

A woman in a dark blue historical dress with a black bodice and a large blue skirt. She is holding a large, bloody knife in her right hand. The background is a blurred, warm-toned outdoor setting.

TORI TELFER

SERYJNE ZABÓJCZYNIE

NAJSŁAWNIEJSZE MORDERCZYNIE
W DZIEJACH

*„Co za okrucieństwo wołające o pomstę do nieba!
Nie było na ziemi, jak mniemam, okrutniejszego rzeźnika”*

Krwawa Hrabina, rozdział o Elżbiecie Batory

 Porodnia K

TORI TELFER

SERYJNE ZABÓJCZYNIE

NAJSŁAWNIEJSZE MORDERCZYNIE
W DZIEJACH

Przełożył Jarosław Mikos



Dla Charliego

*Ta nienawiść przeciw temu,
co człowiecze, gorzej jeszcze, przeciw temu,
co zwierzęce, gorzej jeszcze, przeciw temu,
co materialne, ten wstręt do zmysłów,
do samego rozumu, ten strach przed szczęściem i pięknnością,
to pożądanie ucieczki przed pozorem, zmianą,
staraniem się, śmiercią, życzeniem, pożądaniem samym
– wszystko to oznacza, ważmy się pojąć to,
wolę nicości, niechęć do życia, bunt przeciw
najbardziej zasadniczym warunkom życia, lecz jest
to i pozostanie zawsze wolą! ...*

Nietzsche „Z genealogii moralności”^[1]

Niech nikt nie sądzi, że jestem miękka lub słaba

Eurypides „Medea”^[2]

Wstęp

Nieuchwytna populacja^[3]

Kiedy mówi się o seryjnych zabójcach, zwykle na myśl przychodzą nam mężczyźni. No tak, „mężczyzna” – prawdę mówiąc, raczej jakiś działający samotnie, okrutny socjopata z zaburzeniami, najczęściej opatrzony budzącym grozę określeniem, nadanym przez media, z widocznym upodobaniem do precyzji: „Rozpruwacz”, „Wampir Gwałciciel”, „Syn Sama”, „Widmowy Zabójca”, „Berliński Rzeźnik”. Ten przydomek to jego marka, koszmarne imię koszmarnego człowieka, którego ofiarami są najczęściej niewinne kobiety.

I to jest prawda – sprawcami większości zbrodni w dziejach byli mężczyźni. Dotyczy to zwłaszcza seryjnych morderców. W ciągu minionych stu lat kobiety stanowiły mniej niż dziesięć procent sprawców seryjnych zabójstw, a w każdym razie tak się uważa. (Dane w tej sprawie nie są jednoznaczne^[4]. W 2007 roku ukazała się książka, oparta na rzetelnych badaniach, w której wymieniono sto czterdzieści znanych nazwisk kobiet – seryjnych zabójczyń^[5]. Pewien blog obrońców praw mężczyzn wymienia ich około tysiąc^[6]. Niezależnie jednak od dokładnych danych wiemy, że liczba zabójczyń w USA wzrosła od lat siedemdziesiątych^[7]). Społeczeństwo ma do tego stopnia skłonność do popadania w swego rodzaju „zbiorową amnezję” w kwestiach związanych z przemocą, której sprawczyniami są kobiety^[8], że gdy w 1992 roku oskarżono Aileen Wuornos o siedem brutalnych morderstw, prasa okrzyknęła ją „pierwszą seryjną zabójczynią w dziejach Ameryki” i to określenie powtarzano w następnych dziesięcioleciach.

Aileen nie była pierwszą seryjną zabójczynią w Ameryce – miała wiele poprzedniczek. Seryjne zabójczynie potrafią się doskonale zamaskować: chodzą spokojnie wśród nas, a cały świat widzi w nich żony, matki, babcie. Nawet kiedy już zostaną schwytane i ukarane, większość z nich popada w kompletne zapomnienie, co, jak wiemy, nie przydarza się zabójcom mężczyznom. Historycy nadal zastanawiają się, kim był Kuba Rozpruwacz, ale prawie nikt nie interesuje się losami przerażającej Mary Ann Cotton, która prawdopodobnie miała na swoim koncie trzy albo cztery razy więcej ofiar, w większości dzieci.

Nie chodzi o to, że społeczeństwo nie dostrzega zła w kobietach, skoro już od czasu, gdy Ewa zjadła jabłko, przedstawiano je jako istoty podstępne i działające z niskich pobudek, które ściągają na świat apokalipsę. „Wygląda jednak na to, że wolimy traktować kobiety, dopuszczające się zła, jako postaci ze świata fikcji. Godzimy się z tym, że mogą zwieść mężczyzn na manowce (jak syreny), zrobić ich w morderstwo (*Zaginiona dziewczyna*) albo wyssać z nich ostatni oddech (w wierszu *La Belle Dame sans Merci*), ale kiedy pojawiają się w realnym życiu i naprawdę zaczynają mordować ludzi, nasza wyobraźnia rejteruje na całej linii. Nie potrafimy sobie wyobrazić, że one naprawdę to zrobiły, no wiecie... rozmyślnie? Zazwyczaj uważa się, że kobiety są zdolne najwyżej do zabójstwa w reakcji na coś lub na czyjeś działanie – czyli morderstwa w obronie własnej, zbrodni w afekcie, z powodu nierównowagi hormonalnej, nagłego ataku hysterii – ale nie do zabójstwa popełnionego z zimną krwią, które można obmyślić, przygotować

i przeprowadzić, biorąc pod uwagę bilans zysków i strat^[9].

Stąd wzięło się zapewne słynne zdanie Roya Hazelwooda z FBI, który w 1998 roku powiedział: „Nie ma kogoś takiego jak seryjna zabójczyni”.

A zatem co się dzieje, gdy zostaniemy skonfrontowani z seryjną zabójczynią? Gdy załamują się wyobrażenia na temat „słabszej płci” i wpatrujemy się w niewzruszone spojrzenie kobiety, która ma zaschniętą krew pod paznokciami? Być może najpierw sprawdzamy, czy jest seksowna. (W pewnym badaniu z 2015 roku bardzo pieczołowicie starano się ustalić, które z sześćdziesięciu czterech opisywanych seryjnych zabójczyń cechowała „atrakcyjność powyżej przeciętnej”^[10]). Dzięki temu ich zbrodnie łatwiej przełknąć zaakceptować – odrobina cukru... Dziś pamiętamy seryjną zabójczynię Elżbietę Batory jako ponętneho wampira, który kąpał się w dziewiczej krwi, co ma niewiele wspólnego z prawdą, ale sprawia, że Batory staje się w mniejszym stopniu istotą ludzką, a bardziej postacią mityczną – a jednocześnie uwalnia nas od niewygodnych pytań w rodzaju: Jeśli uważa się, że to mężczyźni mają skłonność do przemocy, skąd biorą się takie postaci jak Elżbieta? Na ogół ludzie starają się na wszelkie możliwe sposoby łączyć seryjne zabójczynie z pożądaniami, nawet jeśli ich zbrodnie nie miały z tym nic wspólnego. Autor pewnego eseju z 1890 roku, opublikowanego pod krzykliwym tytułem *Prawda o kobietach przestępczyniach*, wyklada sprawę jasno, rzecz by można: dużymi literami. „Miejscowa czy cudzoziemka, młoda czy stara, ładna czy odstręczająca, zawsze stara się z wielką pewnością siebie wykorzystać swoją PŁEĆ”^[11].

A jeśli kobieta, o którą chodzi, nie jest atrakcyjna? To spalić ją na stosie! Opatrując przy okazji jakimś głupkowskim przezwiskiem w rodzaju „Chichocząca Babcia”, „Ślicznotka z Piekła” albo „Arszenikowa Anna”. W 2015 roku schwytano pewną starszą Rosjankę – dzięki nagraniom z ulicznych kamer, na których było widać, jak niosła naczynie, zawierające ponoć głowę jej najlepszej przyjaciółki. Media natychmiast nadały jej imię „Babcia Lecter”. To nie są przydomki, które mają wyrywać nas ze snu w środku nocy; to raczej puenta do wielkiego, odwiecznego żartu, jakim jest kobieca agresja. (Oto idzie Arszenikowa Annie. Uważajcie, żeby mieć dla niej sądowy zakaz zbliżania się, jeśli wybieracie się na spotkanie!)

Obok przydomków równie użytecznym narzędziem porządkowania naszych myśli mogą być archetypy, ale i one często w efekcie raczej tłumią zniuansowane wyobrażenia na temat zła i mrocznej strony kobiecości. Na przykład obraz kobiety jako karmicielki jest bardzo piękny i przywołuje na myśl skojarzenia z Matką Ziemią, ale Matka Ziemia jest także bezlitosną niszczycielką, a jej gniew dotyka w równej mierze winnych, jak i niewinnych. Niemniej ten aspekt mitu Matki Ziemi zwykle bywa pomijany, kiedy mówimy o kobietach^[12]. Albo archetyp gwałtownej kobiety o męskim usposobieniu? To już coś, z czym krytycy naprawdę mają kłopoty. Z powodu mitu „kobiecej bierności”^[13] kobieta, która nie uwewnętrznia swojego gniewu, jest często postrzegana nie jako istota o męskich cechach, ale po prostu jako mężczyzna. Najwyraźniej to jedyny sposób na to, aby ją zrozumieć. Gdy w siedemnastowiecznym Paryżu zmagano się z falą trucicielek, pewien autor pokusił się o uwagę: „Nie należy ich uważać za istoty takie same jak inne kobiety, ale już trafniejsze wydaje się porównanie do najbardziej złowrogich mężczyzn”^[14].

Oczywiście rozumiem, że łatwiej jest zaakceptować istnienie seryjnej zabójczynie, kiedy zneutralizujemy grozę za pomocą jakiegoś przydomka albo osłodziemy przez seks, bądź uporządkujemy za pomocą archetypu. Ludzie mają w rękawie niezliczone sztuczki, aby złagodzić obraz kobiecej przemocy: można dehumanizować seryjne zabójczynie, porównując je do potworów, wampirów, czarownic i zwierząt; można je erotyzować z takim uporem, aż wreszcie przestają budzić niepokój („Seksowne morderczynie, które przypuszczalnie chętnie zabrałybyś ze sobą do domu”, *Bad Girls Do It!: An Encyclopedia of Female Murderers*^[15]) czy nawet przywoływać niemiłosiernie zdarty cytat z Kiplinga „Samica tego gatunku jest bardziej mordercza niż samiec!”, po czym odejść spokojnie z poczuciem zadowolenia, że udało nam się poddać sytuację wystarczająco głębokiej analizie. Rozumiem: morderstwo jest przerażające. Kto chciałby je uznać za swoje? Kto chciałby powiedzieć, że je rozumie? Ale, jak sądzę, w ostatecznym rachunku możemy coś zyskać, przyjmując do wiadomości istnienie kobiecej agresji, nawet jeśli jest chora i zdeprawowana. Inaczej będziemy żyli, zaprzeczając prawdzie. A tak na marginesie: właśnie z powodu tego zaprzeczania tak wiele uroczych babć mogło spokojnie zabijać przez dziesięciolecia i nawet nikomu nie przyszło do głowy, że to właśnie one za tym stoją.

Jeśli jest jakieś słowo/wyrażenie, którym chciałabym się posłużyć, mówiąc o kobietach opisanych w tej książce (inne niż „potwory”), byłaby nim „zaradność”. Wielokrotnie z niedowierzaniem kręciłam głową z podziwu na widok liczby prac, jakich te kobiety się podejmowały, liczby mężów, których zdołały zwieść, czy choćby przedstawiciele władz, których wyprowadziły w pole. Nie zgadzam się z ich stoickim i jednocześnie pełnym szaleństwa przekonaniem, że najlepszy sposób na to, aby pozbyć się problemów i pójść w życiu dalej, to kogoś zabić. Ale rozumiem w jakiś sposób ich niezdrowe pragnienie poprawy swojej sytuacji. (W istocie nie odnosi się to do takich superbogatych zabójczyń jak Elżbieta, które po prostu miały się w mroku, dławiąc się własną nieograniczoną władzą). Nietzsche dotknął tego pragnienia w 1887 roku, gdy napisał: „[...] człowiek woli raczej jeszcze chcieć nicości, niż nie chcieć”^[16].

Możemy sobie zadać pytanie, dlaczego kobiety zabijają? Ale myślę, że moglibyśmy równie dobrze zapytać, dlaczego w ogóle ktokolwiek morduje? A to byłby temat na dłuższą i bardziej otrzeźwiająca książkę niż ta. Ludzie zabijają z wielu najróżniejszych pobudek: pod wpływem gniewu, chciwości, chorobliwego narcyzmu czy małostkowej irytacji. Morderstwo to przerażająca zagadka, ponieważ jest czymś tak nienaturalnym (pozbawić kogoś życia to wejść w rolę Boga), a mimo to jest czymś tak przewidywalnym. Od niepamiętnych czasów człowiek spał, jadł, uprawiał seks i zabijał bliźnich (czasami w tej właśnie kolejności, kobiety modliszki!). To podstawowa wiedza na temat ludzkości. W historycznych dokumentach przytaczanych w tej książce mamy do czynienia z mnóstwem świętego oburzenia i wydaje mi się to w jakimś sensie zabawne. Och, jesteśmy zaskoczeni, że ludzie nadal zabijają się nawzajem? Jesteśmy zdumieni, że kobiety także są dziedziczkami tego horroru i same się go dopuszczają?

W posłowniu do *Wojny i Pokoju* Lew Tołstoj przywołuje przypadek Darii Nikołajewny Sałykowej, rosyjskiej seryjnej zabójczynie z osiemnastego wieku, której historia znalazła się również na kartach tej książki. „Studiując listy, dzienniki i analizując

zwyczaję [z czasów Darii], nie znalazłem świadectw takiego przerażającego barbarzyństwa, które przewyższałoby te, z jakimi mamy do czynienia współcześnie, czy w jakiegokolwiek innej epoce” – pisze. „W tamtych czasach ludzie także kochali, odczuwali zazdrość, dążyli do dobra i prawdy oraz dawali się ponieść namiętnościom”^[17].

Każda kobieta występująca w tej książce została ukształtowana przez swoje czasy, jednak błędem byłoby sądzić, że ich zbrodnie, akty „przerażającego barbarzyństwa”, wydarzyły się w jakiejś pierwotnej społeczno-kulturowej zupie, którą my, w naszej niedościgłej terażniejszości, dawno już zostawiliśmy za sobą. Oczywiście, spodziewam się, że pewnego dnia przyjdzie nam żyć w utopijnej kulturze, w której wszystkie opowieści o naszych minionych rozterkach zostaną chwalebnie spalone niczym Biblioteka Aleksandryjska, a następnie, poddawszy się praniu mózgu, uwierzymy w naszą doskonałość. Ale zanim to nastąpi, musimy stawić czoła faktom: seryjne zabójczynie naprawdę istnieją.

Te kobiety bywały sprytne, obdarzone wybuchowym charakterem, przebiegłe, uwodzicielskie, zuchwałe i wyrachowane, cierpiały na urojenia i były gotowe sięgnąć po wszelkie środki, aby dopiąć swego i zdobyć dla siebie lepsze życie, tak jak je rozumiały. Bywały bezwzględne i nieelastyczne. Bywały zagubione i wszystko im się myliło. Bywały psychopatkami i morderczyniami dzieci. Ale nie były wilkołakami. Nie były wampirami. Nie były też mężczyznami. Kroniki raz po raz to potwierdzają: w sposób przerażający były nieuchronnie i niepodważalnie istotami ludzkimi.

Rozdział pierwszy

Krwawa Hrabina^[18]

Elżbieta Batory

Jest coś uwodzicielskiego w angielskiej wersji słowa „morderczyni”. Chodzi głównie o to wężowate podwójne „s” na końcu – *murderess* – które nadaje temu słowu jego trucicielski urok. A do tego te wszystkie opowieści: Lilith, Lady Makbet, Meduza, Medea. Ciągłe nie mamy dość. To wspaniałe bohaterki dzieł literackich, ale rzecz staje się jeszcze bardziej ekscytująca – przynajmniej dla osób zafascynowanych tym, co chorobliwe – kiedy okazuje się, że ktoś taki kiedyś żył naprawdę.

Jedną z pierwszych seryjnych morderczyń w dziejach była kobieta, która rzeczywiście zasłużyła na to podwójne „s” w słowie *murderess* – i która żyje w zbiorowej wyobraźni jako obiekt fantazji seksualnych, a zarazem wampir od czasów, gdy w latach dwudziestych osiemnastego wieku odkryto akta sądowe z jej procesu. To była prawdziwa wielka dama wśród morderczyń; prawdziwa protoplastka sadomasochistek; kobieta, która zainspirowała powstanie nie jednej, nie dwóch, ale ośmiu nazw zespołów black metalowych; przerażająca węgierska hrabina we własnej osobie: Elżbieta Batory.

Dziś Elżbieta jest symbolem obłąkanego, sadystycznego zepsucia arystokracji albo przykładem tego, jak niebezpiecznie jest być kobietą dzierżącą ogromną władzę – w zależności od tego, po jaki akademicki tekst sięgniemy. Nie znaczy to, że mamy wszystkie niezbędne materiały, aby oskarżyć ją o popełnione zbrodnie. Krążą pogłoski o istnieniu obciążającego ją dziennika, który czeka na odkrycie gdzieś na Węgrzech, i są uczeni gotowi oczyścić jej imię. Od czasów gdy żyła, minęło tak wiele stuleci, że prawdopodobnie nigdy nie zdobędziemy ostatecznego dowodu jej winy, potwierzonego przez specjalistów z zakresu medycyny sądowej.

Jednak z całą pewnością wszystko wskazuje na to, że wokół niej przelano wiele krwi.

Dziewczyna i jej zamek

Elżbieta Batory miała wszystko, czego trzeba, aby wieść życie, jakiego moglibyśmy jej tylko pozazdrościć. Urodziła się siódmego sierpnia 1560 roku w jednym z najpotężniejszych rodów Europy Środkowej. Miała do dyspozycji niewyobrażalne bogactwo i doskonałe wykształcenie. Jej rodzice, protestanci, nie szczędzili środków, aby zapewnić swojej niezwykle uzdolnionej córce klasyczną edukację. Elżbieta posługiwała się nie tylko węgierskim i słowackim – językiem, jakim mówiło wielu jej poddanych – ale także greką, łaciną i językiem niemieckim^[19].

Nie wszystko jednak działo się jak należy w świecie małej Elżbiety. Krążą pogłoski o tym, że w dzieciństwie cierpiała na ataki epilepsji^[20]. Okazuje się też, że jej rodzice byli kuzynami^[21]. Podobnie jak wiele potężnych rodów w tamtych czasach, rodzina Batorych przejawiała upodobanie do zawierania związków w kręgu osób ze sobą spokrewnionych, co, historycznie, dawało znane owoce: wielu arystokratów cierpiało na problemy

zdrowotne i miało skłonność do szaleństwa.

Legenda głosi, że Elżbieta jako dziecko była świadkiem przerażających rzeczy, jak choćby upiorny widok zaszywania człowieka w brzuchu konia. Jego przestępstwo? Kradzież. Podobno mała Elżbieta chichotała na widok głowy wieśniaka, wystającej z końskiego ciała^[22]. Liczne anegdoty, rodem z folkloru, opowiadające o jej dzieciństwie, stanowią próbę wyjaśnienia jej późniejszych zbrodni, ale niezależnie od podawanych szczegółów, Elżbieta rzeczywiście w dzieciństwie miała okazję widzieć na własne oczy mnóstwo przemocy. W tamtych czasach bicie służby uchodziło za rzecz oczywistą, wręcz naturalną – zgodnie z węgierskim prawem chłopci stanowili własność szlachty – i wydaje się całkiem prawdopodobne, że Elżbieta od czasu do czasu uczestniczyła w publicznych egzekucjach^[23].

Ale na tym nie koniec. Nie dość, że Elżbieta była inteligentna i z niepokojącą obojętnością reagowała na akty przemocy, do tego była jeszcze naprawdę bardzo ładna. Portret z 1585 roku przedstawia uduchowioną, subtelną piękność o wysokim, jasnym czole – kobiety w jej czasach starały się przesunąć linię włosów do góry, aby wyglądać bardziej arystokratycznie, jak królowa Elżbieta I – która spogląda na nas dużymi, smutnymi oczami.

Elżbietę w wieku dziesięciu lat zaręczono z piętnastoletnim hrabią Ferencem Franciszkiem Nádasym, synem innego potężnego rodu z Węgier. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem Elżbieta, jako narzeczona, przeniosła się do pałacu rodziny Nádasych i zaczęła wprawiać się w sztuce prowadzenia rozległych posiadłości ziemskich tego rodu^[24]. Plotka głosi, że w tym okresie miała romans z młodzieńcem chłopskiego stanu, zaszła w ciążę i musiała oddać dziecko, urodzone potajemnie, podczas gdy jej narzeczony wykastrował nieszczęsnego chłopaka i rzucił go na pożarcie psom. Prawda to czy nie, Elżbieta wkrótce zyskała reputację kobiety o nienasyconym pożądaniu, a młody Nádasdy zdobył sławę z powodu swojej skłonności do przemocy, dzikiej i niepozbawionej pomysowości.

Ósmego maja 1574 roku, na oczach czterech i pół tysiąca zaproszonych gości, czternastoletnia Elżbieta poślubiła swojego impulsywnego narzeczonego^[25]. Wystawne uroczystości weselne trwały trzy dni. Nádasdy dla ukoronowania tego wydarzenia ofiarował swojej młodej żonie najbardziej odosobniony zamek na Węgrzech, Csejte, położony w skalistych ostępach, w którym miała zamieszkać. Zamek, zbudowany w stylu gotyckim, znajdował się na szczycie niedostępnego wzgórza. Nádasdy nie miał oczywiście pojęcia o zbrodniach, jakie Elżbieta z czasem popełni w odciętych od świata, mrocznych komnatach tego zamczyska.

Nádasdy-Batory byli teraz niewyobrażalnie zamożną parą, wysoko postawioną w hierarchii społecznej, ale rzadko się widywali. Dopiero po dziesięciu latach urodziło im się pierwsze dziecko, rzecz dość niezwykła jak na parę małżeńską w tej epoce. Gdyby Elżbieta okazała się bezpłodna, uznano by to za wystarczający powód do rozwodu, ale to nie biologia stanęła jej na drodze do macierzyństwa. To była wojna. Trzy lata po ślubie Nádasdy wyruszył w stronę granicy węgierskiej walczyć z Turkami. W tym czasie Elżbieta przemieszczała się między licznymi zamkami, należącymi do ich rodu, aby nadzorować majątki ziemskie i utrzymywać w ryzach liczną służbę. W listach do męża

jest uprzejma i pełna szacunku i tylko od czasu do czasu pozwala sobie dać wyraz swojej silnej osobowości – którą na ogół starała się powściągać – jak choćby wtedy, gdy skarciła go, że nie mówiąc jej o tym ani słowa, wybrał się do Transylwanii^[26].

W 1591 roku Turcy osmańscy przypuścili poważniejszy atak na Węgry – rozpoczęła się wówczas tak zwana długa wojna – i Nádasdy ponownie musiał wziąć udział w bardziej zajadłej i krwawej odsłonie tego konfliktu. Ten człowiek niewątpliwie kochał wojnę. I był wielkim wojownikiem. Mniej więcej w tym czasie za sprawą rozgłosu, jaki zdobył z powodu swojego coraz bardziej nieludzkiego okrucieństwa, zyskał przydomek Czarnego Rycerza z Węgier. Uczył się pilnie i zanim zgładził pojmanyh wrogów, nie omieszkał poznać dzięki nim wszystkich wymyślnych kar, stosowanych przez Turków, a jeśli zdarzyło się, że był w nastroju, lubił nawet zabawiać się ich odciętymi głowami^[27]. A potem wracał do żony, roznamiętniony świeżo przelaną krwią. W jego głowie wciąż rozlegały się wrzaski zamordowanych nieprzyjaciół.

„Długa wojna” powoli pochłaniała bogactwo Węgier i w końcu rządzącej dynastii Habsburgów brakowało gotówki. Elżbieta nigdy nie czuła jednak finansowych ograniczeń czasów wojny, ponieważ Nádasdy nieustannie posyłał żonie strumienie zdobytych skarbów. Nádasdy i Batory wzbogacili się tak bardzo, że w końcu zaczęli nawet pożyczać pieniądze Habsburgom, aby Węgry mogły dalej prowadzić wojnę^[28]. A skoro sam król był ich dłużnikiem, dwójka naszych bohaterów musiała czuć się niezwykła.

Kopanie gwiazd

Nawet jeśli Elżbieta i Nádasdy nie widywali się zbyt często w tym okresie, znaleźli czas na to, aby nawiązać więź opartą na bardzo specyficznych wspólnych zainteresowaniach: torturowaniu młodych dziewcząt – służących.

Nádasdy oczywiście był aż za dobrze zaznajomiony z przemocą. Człowiek nie zdobywa przydomka Czarnego Rycerza z Węgier, nie przetrąciwszy w drodze na szczyt kości kilku wrogom! Ale i Elżbieta już wcześniej miała dość okazji do wprawienia się w sztuce karania służby, skoro na co dzień zarządzała setkami chłopów w swoich majątkach. Małżonkowie wspólnie przyglądali się aktom okrucieństwa i nawet pochwalali swoje praktyki. W rezultacie, choć nie widywali się często, ich związek miał w sobie element krwawej wzajemności; nie tyle „tęskne spoglądanie na ten sam księżyc”, co raczej „dżganie ludzi sztyletem w tym samym momencie”.

Nádasdy nauczył na przykład swoją młodą żonę, w jaki sposób zwinąć kawałek papieru nasączonego olejem i umieścić go między palcami nieposłusznego służącego, a potem podpalić – zabawa, którą nazwał „kopaniem gwiazd”^[29]. Sprezentował także ponoć Elżbiecie parę rękawic, zakończonych szponami, których używała, kiedy miała ochotę uderzyć służącą w twarz. Pewnego razu Nádasdy kazał podobno posmarować młodą dziewczynę miodem i zmusił ją do stania na dziedzińcu, dzięki czemu ofiara była nieustannie narażona na ukąszenia owadów^[30]. Krótko mówiąc, Czarny Rycerz był źródłem natchnienia dla podatnej na podobne nauki młodej socjopatki, takiej jak Elżbieta.

Nádasdy nie był także jedynym nauczycielem Elżbiety. W 1601 roku w jej otoczeniu pojawiła się tajemnicza kobieta, która nazywała się Anna Darvulia. Miejscowa ludność opisywała ją jako „dziką bestię w kobiecym ciele” i opowiadano sobie, że jest

czarownicą^[31]. Odkąd pojawiła się w zamku, osobowość Elżbiety zaczęła się zmieniać. „Pani stała się bardziej okrutna” – mówili później jej służący^[32]. Jeśli Nádasdy nauczył Elżbietę, jak torturować ludzi, Darvulia nauczyła ją, jak ich zabijać.

„Nie było na ziemi bardziej okrutnego rzeźnika”

Od czasu do czasu wśród służby pary Batory-Nádasdy umierała jakaś dziewczyna, ale w końcu takie wypadki się zdarzały; nic, co mogłoby, choć przelotnie, zainteresować monarchę. W oczach klasy rządzącej te młode chłopki nie miały kompletnie żadnego znaczenia. Po stłumieniu antyfeudalnego powstania z 1514 roku nowy węgierski kodeks prawny, zwany Tripartitum^[33], praktycznie skasował jakiegokolwiek prawa chłopów pańszczyźnianych, a jednocześnie chronił szlachtę, która ich wyzyskiwała^[34].

Elżbieta nie tylko mogła liczyć na ochronę ze strony prawa, ale wręcz stała ponad prawem. Król Węgier musiał już tak często pożyczać pieniądze od rodu Batory-Nádasdy, że Elżbieta była w zasadzie nietykalna. (W chwili śmierci Nádasdyego król był mu winien prawie osiemnaście tysięcy guldenów, dług właściwie nie do spłacenia^[35]). Elżbieta, ukryta w swoim zamku na skale, mogła robić wszystko, na co miała ochotę.

Nie znaczy to, że nikt nie interesował się losem służby Elżbiety. Miejscowi duchowni nabrali podejrzeń, gdy zaczęła coraz częściej zwracać się do nich o odprawianie rytuałów pogrzebowych służących, które zmarły na „cholere” albo „z przyczyn nieznanych i tajemniczych”^[36]. Poprosiła nawet, aby pobłogosławili szczególnie dużych rozmiarów trumnę, jednak pastorzy odmówili, gdy dotarła do nich pogłoska, że w trumnie znajdują się trzy ciała^[37]. Przeróżające domysły nasiliły się tak bardzo, że jeden z duchownych ośmielił się wreszcie po niedzielnym kazaniu poprosić hrabinę Batory o rozmowę i rzucił jej w twarz oskarżenie o morderstwo. „Wasza wysokość nie powinna postępować w ten sposób, ponieważ to obraża Naszego Pana i spotka nas kara, jeśli nie wzniesiemy skargi i nie upomnimy waszej wysokości” – powiedział. „Zaś dla potwierdzenia prawdziwości moich słów wystarczy, że dokonamy ekshumacji ciała [ostatnio zmarłej dziewczyny], a wtedy przekona się pani, że ślady na ciele zmarłej wskażą na sposób, w jaki nastąpiła jej śmierć”.

Hrabina syknęła, że ma krewnych, którzy nie będą tolerowali takich bezwstydných oskarżeń, na co pastor odparł: „Jeśli wasza wysokość ma krewnych, ja także mam pewnego krewnego: to Pan Bóg [...] wykopmy ciała, wtedy zobaczymy, co pani uczyniła”^[38]. Elżbieta wzburzona wybiegła z kościoła i ostatecznie Nádasdy zdołał ułagodzić pastora. Ale nawet on nie mógł w nieskończoność ukrywać uczynków Elżbiety.

Czarny Rycerz zmarł na jakąś chorobę w 1604 roku, gdy Elżbieta miała czterdzieści cztery lata. I znów służący odnotowali zmianę w jej usposobieniu. Stawała się coraz bardziej gwałtowna, wręcz nienasycona. Być może działało się to pod wpływem stresu: musiała teraz zarządzać rozległymi majątkami, a jednocześnie nie mogła już liczyć na szybkie dochody, jakie wcześniej dawały łupy zdobyte podczas „długiej wojny”. A może przerażeniem napawała ją myśl o starzeniu się: legenda głosi, że była niesłychanie próżna. Lub też do głosu doszła ukryta wcześniej psychoza, następstwo związków, zawieranych w gronie bliskich krewnych rodu Batorych. Tak czy inaczej coś, co zaczęło się jako wspólne hobby, łączące ją z Nádasdym i Darvulią, szybko

przekształciło się w pełnowymiarową obsesję. Elżbieta zaczęła z dzikim fanatyzmem torturować i zabijać młode dziewczęta. Wybierała je z pobliskich miasteczek – chłopskie dzieci zdolne do zamążpójścia, obdarzone silnym ciałem – a kiedy już z nimi skończyła, kazała zrzucać zwłoki z zamkowych murów na pożarcie wilkom.

Podobnie jak wcześniej, Elżbieta nie działała samotnie. Oprócz Anny Darvulii miała teraz wokół siebie ponure grono oprawców: znalazła się wśród nich opiekunka jej dzieci, Ilona Jó, dawna przyjaciółka Ilony Jó, Dorka, pewna praczka o imieniu Katalin oraz kaleki chłopiec, znany jako Ficzkó. Darvulia, Dorka oraz Ilona Jó były najokrutniejsze i chlubiły się swoją makabryczną pomysłowością. Ficzkó pomagał, ale był prawie dzieckiem. Katalin miała najmniej skamieniałe serce; czasami próbowała przemycać jedzenie dla dręczonych dziewcząt i pewnego razu sama została pobita, gdy odmówiła udziału w torturach^[39].

Zwykle zaczynało się od jakiegoś błędu, popełnionego przez służącą. Wystarczyło, że dziewczyna pomyliła ścieg, na co hrabina wybuchała gniewem. Elżbieta zaczynała od bicia, kopania albo ubliżania, ale ostatecznie to nie wystarczało i aby zaspokoić swoją żądzę krwi, wymyślała rozmaite kary. Służące, które popełniały błąd podczas szycia, torturowano za pomocą igieł, gdy tymczasem tę, która ukradła monetę, piętnowano tą samą monetą. Elżbieta lubiła też dręczyć ofiary w inny sposób: wbijała im szpilki w palce, mówiąc: „Jeśli dziwkę to boli, może to wyciągnąć”. Po czym, gdy ofiara wyciągnęła szpilki, Elżbieta ucinała jej palce^[40]. Często kazała rozbierać się służącym do naga, zanim zaczęła je bić. Pewnego razu, gdy sama była zbyt chora, żeby podnieść się z łóżka, odgryzła dziewczynie kawałek policzka.

Jeśli tortury na tym się skończyły, można było powiedzieć, że był to całkiem dobry dzień dla służących, ale Elżbieta rzadko ograniczała się do kłucia szpilką czy obcinania palców. Niezależnie od tego, w którym z licznych zamków hrabina się zatrzymywała, zawsze miała przygotowaną izbę tortur. Dochodziło tam do przerażających okrucieństw. Zespół oprawczyń przypalał dziewczęta rozżarzone żelazem albo bił je tak długo, „dopóki ich ciała nie pękły”^[41]. Pewnego razu Elżbieta włożyła służącej palce do ust i rozdarła jej twarz na strzępy. Krążyły także opowieści o obcęgach używanych do wrywania dziewczętom kawałków ciała i pogłoski o wymuszonym kanibalizmie. „Co za okrucieństwo wołające o pomstę do nieba! Nie było na ziemi, jak mniemam, okrutniejszego rzeźnika” – pisał do przyjaciela przerażony pastor Csejte, kiedy się dowiedział, co się dzieje w głębi lochów na zamku Elżbiety^[42]. Niektóre z oprawczyń miały swoje specjalności. Dorka lubiła obcinać dziewczętom palce nożycami, Darvulia wołała wymierzać im pięćset razy batem. Elżbieta lubiła po prostu wszystko^[43].

„Gdziekolwiek pojechała – zeznała później Ilona Jó – natychmiast rozglądała się za jakimś miejscem, gdzie można było torturować dziewczęta”^[44]. Pewien mieszkaniec miasteczka usłyszał od służących, że „ich pani nie może jeść ani pić, jeśli nie zobaczy wcześniej, jak jedna z dziewic spośród jej pokojówek nie zostanie krwawo zgłodzona”^[45]. Najwyraźniej jeśli ktoś nie zginął, Elżbieta czuła się, jakby czegoś jej brakowało.

Kąpiele we krwi

Zatrzymajmy się na moment. Czy to wszystko nie wydaje się nieco zbyt krwawe,

aby mogło być prawdziwe? Piękna hrabina rozrywająca na strzępy twarze dziewcząt? Mordująca dziewice? Zmuszająca je do kanibalizmu? W którymś momencie lista zbrodni Elżbiety zaczyna brzmieć groteskowo. Za sprawą wyrazistych opisów, zawartych w aktach procesu, legenda Batory została w następnych stuleciach po śmierci Elżbiety rozdmuchana do ogromnych rozmiarów i na jej temat zaczęły krążyć liczne opowieści, w których splatały się potężne elementy seksu, obłąkanego narcyzmu i krwi.

Jedna z najbardziej uporczywie podtrzymywanych legend powiada, że hrabina lubiła kąpać się w świeżej krwi swoich ofiar, aby zachować na zawsze urodę. Opowieść brzmi następująco: kiedy pewnego razu jedna ze służących uszkodziła jakiś element stroju Elżbiety, ta uderzyła dziewczynę tak mocno, że krew ofiary spryskała szlachetną twarz arystokratki. Po zmyciu krwi Elżbieta zauważyła, że jej skóra wygląda młodziej niż poprzednio – stała się idealnie gładka, z tym nieuchwytnym blaskiem, który, jak jej się wydawało, straciła na zawsze. Zaczęła więc, podczas swoich sekretnych kąpielii o czwartej nad ranem, obsesyjnie nurzać się w wannach pełnych dziewiczej krwi.

Niestety, wbrew oczekiwaniom maniakalnych wielbicieli opowieści o wampirach, ta historia niemal na pewno jest nieprawdziwa. Żadna ze służących, które zeznawały przeciwko Elżbiecie, nie wspomina o tym, aby hrabina kiedykolwiek kąpała się we krwi. Prawdę mówiąc, opowiadają raczej o tym, że podczas sesji tortur przelewano tak wiele krwi, że można ją było zbierać łyżkami z podłogi, co oznaczało, że Elżbieta najwyraźniej nie przejmowała się gromadzeniem cennej krwi, która lała się z ciał jej ofiar, nie mówiąc już o tym, żeby się w niej kąpać. Okazuje się, że pierwsza wzmianka o kąpielach we krwi pojawiła się ponad sto lat po jej śmierci, w książce *Tragica Historia* z 1729 roku, napisanej przez pewnego uczonego jezuitę, który odkrył protokoły z procesu Batory^[46].

Nietrudno się domyślić, dlaczego pogłoski o kąpielach we krwi zachowały taką żywotność. Nie dość, że kryją w sobie przerażający obraz, mocno działający na wyobraźnię, to przy okazji przynoszą także odpowiedź na niepokojącą zagadkę morderczyni, która nie zabija po prostu dlatego, że jest morderczynią. Legenda o kąpielach we krwi oznacza, że w przypadku Batory nie musimy się martwić problemem zła. Próżność to o wiele prostsze i łatwiejsze wyjaśnienie jej zbrodni, ponieważ wtedy cały ten przelew krwi można sprowadzić do opacznie rozumianego pragnienia, aby dobrze wyglądać i podobać się chłopcom. (Albo dziewczętom. Ponieważ Elżbieta zabijała tylko kobiety – rzadkość w krainie seryjnych morderczyń – krążą liczne plotki, że przyczyną jej okrucieństwa był stłumiony lesbianizm).

Nie należy się jednak martwić brakiem krwawych kąpielii. W zamkach drogiej Elżbiety rozlewano tak wiele krwi, że spływała ona ze ścian. Ubranie Elżbiety często było tak przesiąknięte krwią, że od czasu do czasu musiała przerwać sesję tortur, aby zmienić koszulę^[47]. O ile jej upodobanie do rozbierania dziewcząt do naga może wskazywać na jakiś rodzaj fetyszyzmu, a jej związki z Darwulią i okultyzmem można by łączyć z praktykami mającymi na celu zachowanie wiecznej młodości, o tyle wydaje się, że sens upodobań hrabiny był całkiem prosty: uwielbiała doprowadzać ludzkie ciało do kompletnego zniszczenia.

Gynaecium

W tej części historii o Elżbiecie pogłoski o jej okrucieństwie krążyły już niemal wszędzie, ale nikt nie mógł podjąć jakichkolwiek działań, ponieważ hrabina zabijała młode chłopki, a chłopki nie mogli wnosić oskarżeń przeciw szlachcie. Zdarzało się, że rodzice sprzedawali Elżbiecie swoje dziecko za okrągłą sumę i jeśli dziecko zmarło na „cholere”, no cóż, to był po prostu zły los. Oczywiście Elżbieta zabijała wtedy już tak wiele dziewcząt, że nawet nie miała czasu należycie ich pochować – płytkie groby na dziedzińcach jej zamków czasami były rozgrzebywane przez psy^[48] – ale wciąż pozostawała nietykalna.

W końcu jednak, podobnie jak wiele seryjnych zabójczyń, które przyszły po niej, zrobiła się lekkomyślna, w jej poczynania wdarł się chaos i wreszcie zaczęła zabijać nie te osoby co trzeba.

W 1609 roku okrutna współniczka hrabiny Darvulia zmarła na wylew, a sama Elżbieta miała coraz mniej pieniędzy. Słuchała teraz porad zarządczyni swego domu, Erzsi Majorowej, o której opowiadano, że jest „wiedźmą z lasu”, miejscowej chłopki dobrze zaznajomionej z ziołolecznictwem i praktykami okultystycznymi^[49].

Z całą pewnością Elżbieta była już wtedy na wpół obłąkana z powodu samotności. Nadasdy i Darvulia nie żyli. Jej dzieci zawarły związki małżeńskie i opuściły dom. Jej powiernikami były teraz praczki, wiedźmy z lasu i młody chłopak, który nie bardzo wiedział, co robi. Żadna z tych osób nie potrafiła zrozumieć, co to znaczy być Elżbietą Batory: kobietą potężną i zamożną, piękną, starzejącą się i okrutną; co to znaczy samotnie próbować za wszelką cenę ocalić swój mroczny świat przed rozpadem. Czy Elżbieta miała przyjaciół w swoich kręgach społecznych? Raczej nie, skoro otaczała się głównie chłopkami oraz panicznie unikała większości powinności społecznych, rozładowując swój lęk na ciałach służących^[50]. Nawet jej akty przemocy mają w sobie rys przerażającego osamotnienia. Nie można zathuc na śmierć jakiejś dziewczyny w posępnej izbie tortur, nie wymachując na oślepek rękami w ciemnościach.

Tak czy inaczej, w 1609 roku Elżbieta uznała, że potrzebuje więcej pieniędzy i zapewne źródła lepszej, bogatszej krwi. Ludowa wersja tej opowieści powiada, że chłopska krew przestała zapobiegać starzeniu się hrabiny, więc leśna wiedźma Majorowa wysunęła przypuszczenie, że skuteczniejsza może okazać się krew dziewcząt szlachetnego rodu. W rzeczywistości jednak Elżbieta po prostu nie miała już kogo zabijać. Gdy przyjeżdżała do miasteczka w poszukiwaniu dziewcząt „do pracy”, rodzice zaczęli ukrywać przed nią swoje córki. Może też zrobiła się nieco bardziej lekkomyślna. Bardziej mściwa. Z nowym pomysłem wiązał się jednak pewien problem. Z chłopami można było sobie łatwo poradzić, ale szlacheckie rodziny z pewnością zauważą zniknięcie swoich córek.

Elżbieta wpadła więc na błyskotliwy pomysł: postanowiła otworzyć szkołę dla młodych kobiet pod nazwą *gynaecium*. Otworzyć na niby. Opłaty wnoszone przez rodziców za rzekomą naukę w tej rzekomej szkole dostarczą Elżbiecie tak bardzo potrzebnej gotówki, a od szlacheckich córek dostanie to, czego od nich potrzebuje. Nawet nie starała się przemyśleć swojego planu do końca – dziesiątki martwych dziewcząt i wpływowi rodzice, którzy na pewno oszaleją z niepokoju. Po prostu zaprosiła do siebie grono arystokratycznych panien i, no cóż, wykończyła je.

Kiedy zamożni rodzice zaczęli wypytywać o losy swoich pociech, nedorzeczne wyjaśnienie Elżbiety wzbudziło niepokój^[51]. Oświadczyła, że jedna z dziewcząt była tak zazdrosna o biżuterię koleżanek, że zamordowała je wszystkie, a potem popełniła samobójstwo. Nie trzeba dodawać, że wtedy nikt już nie dawał wiary wyjaśnieniom hrabiny. Prawdę mówiąc, ludzie zaczęli nagle dostrzegać przerażające dowody jej zbrodni, od dawna widoczne gołym okiem: pokryte bliznami ciała dziewcząt, które załatwiały dla niej sprawunki w mieście, dziewczęta z poparzonymi dłońmi, wsiadające do powozu Elżbiety, dziewczęta o zniekształconych twarzach, które w otępieniu snuły się w świetle hrabiny, a nawet pewną dziewczynę, która uciekła z zamku i przybiegła do miasta z nożem wbitym w stopę^[52].

Teraz jednak przelano szlachezną krew i dobrze urodzone rodziny podniosły wrzawę. To wystarczyło, aby król Maciej II podjął działania przeciw Elżbiecie.

„Ześlijcie, och, ześlijcie, chmury, dziewięćdziesiąt kotów!”

W lutym 1610 roku król rozkazał swojemu palatynowi, Jerzemu Thurzonowi, aby rozpoczął śledztwo przeciwko hrabinie.

Sytuacja była niezręczna dla obojga, zarówno dla Jerzego, jak i Elżbiety, ponieważ Thurzo należał do grona najlepszych przyjaciół Ferencza Nádasdyego. W istocie obaj byli tak bliskimi przyjaciółmi, że Nádasdy na łożu śmierci poprosił Thurzona, aby opiekował się jego żoną. A teraz ten otrzymał polecenie, aby wyciągnąć wszystkie trupy, ukryte w szafach hrabiny. Był jednak lojalnym poddanym swojego króla, rozpoczął więc dochodzenie, przy czym mimo zdecydowanego pragnienia, aby dojść do prawdy, starał się jednocześnie traktować Elżbietę możliwie jak najbardziej sprawiedliwie.

Setki osób potwierdziły pogłoski o przerażającym okrucieństwie hrabiny. Na podstawie ich zeznań ustalono liczbę zabitych dziewcząt na sto siedemdziesiąt pięć do dwustu. Świadkowie opowiadali o ścianach, splamionych krwią, o tym, że słyszeli krzyki i odgłosy bicia. Żadna z osób, z którymi rozmawiał Thurzo, nie widziała tego wszystkiego na własne oczy, ale wiele z nich zaobserwowało wokół zamku liczne pochówki i zauważyło, że pewne miejsca w majątku Elżbiety zawsze były pilnie strzeżone.

Thurzo, przekonany o winie Elżbiety, a jednocześnie wewnętrznie rozdarty z powodu obietnicy, jaką dał jej mężowi, napisał list do syna hrabiny i jej zięciów, prosząc o radę. Mężczyźni doszli do sekretnego porozumienia: Thurzo może prowadzić śledztwo w sprawie jej zbrodni pod warunkiem, iż obieca, że Elżbieta nigdy nie stanie przed sądem. Można ją uwięzić i można przesłuchiwać służących, ale rodzina pragnęła uniknąć gorszącego widowiska, jakim byłoby postawienie obłąkanej hrabiny przed sądem. To wiele mówiący fakt, że dzieci Elżbiety nawet nie próbowały dowodzić jej niewinności. „Publiczna kara okryje nas wszystkich hańbą” – napisał jej zięć^[53].

W grudniu tego roku Thurzo był już prawie gotowy do podjęcia stosownych działań prawnych, ale zanim mógł aresztować tak potężną kobietę, musiał mieć absolutną pewność jej winy. Wystosował więc do siebie samego i króla zaproszenie do jej zamku na wieczerzę wigilijną. Elżbieta wdzięcznie odgrywała rolę pani domu, ale z trudem panowała nad sytuacją i pod koniec wieczoru kazała podać mężczyznom tajemnicze szare ciasto, które przygotowała razem z leśną wiedźmą Majorową. Ciasto miało kształt precla

i w jego środku umieszczono opłatek. Kiedy mężczyźni poczęstowali się, poczuli się bardzo źle i – przekonani, że gospodyni usiłuje ich otruć – natychmiast odjechali^[54].

W dzień Nowego Roku poważnie już obłąkana Elżbieta spotkała się z Majorową przed głównym budynkiem zamku Csejte, aby obserwować ruchy gwiazd i chmur. Zamierzały obie rzucić urok, który miał je ochronić, i kazały skrybie zapisać swoje słowa. Kiedy Majorowa uznała, że warunki są odpowiednie, obie kobiety zaintonowały:

„Pomóżcie nam, o, pomóżcie, chmury!” – wołały. „Pomóżcie nam, chmury, ześlijcie zdrowie Elżbiecie Batory! Przyślijcie, och, przyślijcie chmury, dziewięćdziesiąt kotów!”

Koty miały za zadanie zniszczyć Thurzona i króla oraz każdego, kto próbowałby ściągnąć na hrabinę nieszczęście^[55]. Tymczasem Thurzo, o czym hrabina nie wiedziała, właśnie wtedy skrył się w mroku, otaczającym zamek Csejte, pragnąc schwytać ją podczas kolejnej krwawej zbrodni.

Kiedy Elżbieta wróciła do środka, Thurzo w towarzystwie uzbrojonych strażników podkraść się w stronę dworu. Zaraz u wejścia natknęli się na ciało okaleczonej dziewczyny, a w środku znaleźli dwie kolejne konające ofiary. Wrzaski torturowanych zaprowadziły mężczyzn do jednej z izb tortur, gdzie przyłapali grono oprawców na gorącym uczynku.

Nie wiadomo, czy Thurzo nakrył samą hrabinę, czy jedynie odnalazł jej pomocników, ale ostatecznie nie miał wątpliwości co do jej winy. Zawleczono Elżbietę do zamku i zmuszono ją, aby była obecna podczas przeszukania, w trakcie którego odnaleziono kolejne dziewczęta, „ukryte w miejscach, jakie ta przekłeta kobieta przygotowała dla tych przyszłych męczennic”^[56]. Podczas przeszukania zamku Elżbieta wykrzykiwała, że jest niewinna i że wszystkie okrucieństwa były dziełem jej służących. Następnego dnia została formalnie uwięziona w lochu własnego zamku – w którym zaledwie kilka godzin wcześniej przetrzymywała swoje własne ofiary^[57].

Dzikie zwierzę

W sumie przeciw Krwawej Hrabinie zeznało trzysta sześć osób, w tym także członkowie ekipy oprawców, którzy sami zostali teraz poddani torturom. Ich zeznania potwierdzały jej winę po wielokroć.

„Pani biła i torturowała dziewczęta tak bardzo, że była pokryta ich krwią” – oświadczyła Ilona Jó.

„Zabierano je na tortury nawet dziesięć razy dziennie, jak owce” – stwierdził Ficzkó.

Nikt nie wie na pewno, ile dziewcząt zamordowała Elżbieta Batory. Z zeznań czwórki jej współników wynikało, że liczba zabitych dziewcząt wahała się od trzydziestu do pięćdziesięciu – z oczywistych powodów wiedzieli o tym najlepiej – podczas gdy służba w innym zamku hrabiny twierdziła, że zamordowała ona od stu siedemdziesięciu pięciu do dwustu dziewcząt^[58]. Król za pośrednictwem nieformalnych kanałów dowiedział się, że zabiła ich trzysta, a pewna młoda kobieta, zeznająca jako świadek, twierdziła, że hrabina zamordowała aż sześćset pięćdziesiąt dziewcząt i że ich imiona zapisywała w niewielkiej księdze^[59].

Ilona Jó, Dorka i Ficzkó zostali skazani na karę śmierci. Ponieważ Ilona Jó oraz Dorka były osobiście odpowiedzialne za tak wiele „poważnych zbrodni, dokonanych przeciwko krwi chrześcijańskiej”, zgodnie z wyrokiem sądu kat najpierw miał wyrwać im palce za pomocą rozżarzonych żelaznych szczypiec, a następnie je stracić i wrzucić ich ciała do ognia^[60]. Ficzkó, z racji swojego młodego wieku, otrzymał nieco bardziej miłosierny wyrok. Miał zostać ścięty, a potem spalony. Katalin, najbardziej niechętną wobec zbrodni, czekało więzienie.

Zgodnie z obietnicą Thurzona Elżbieta nigdy nie stanęła przed sądem, ale została skazana na dożywotnie uwięzienie w jej własnym, przesiąkniętym krwią zamku. Odwiedziło ją tam kilku pastorów i każdy z nich oświadczył później, że miotała nią wściekłość i że nie okazywała skruchy. Kiedy prosili ją, aby zastanowiła się, jak wiele cierpień zadała innym, Elżbieta jedynie rzucała gniewnie, że jej potężni krewni wkrótce ją uwolnią. Twierdziła, że cała wina spada na Ilonę Jó, Dorkę, Ficzkó i Katalin – a kiedy pastory pytali, dlaczego po prostu nie rozkazała swoim służącym, aby *zaprzestali tortur*, odparła, że się ich bała. Innym razem syknęła, że sama niczego by nie wyznała, nawet gdyby ją torturowano ogniem^[61].

Elżbieta najbardziej nienawidziła jednak Thurzona. W swoich listach, w których usiłowała przekonać krewnych, aby ją uwolnili, nieustannie pomstowała na palatyna za to, że ją uwięził. W końcu Thurzo stracił panowanie nad sobą i wrzasnął: „Ty, Elżbieto, jesteś jak dzikie zwierzę. Zostało ci niewiele miesięcy życia. Nie zasługujesz na to, aby oddychać powietrzem tej ziemi, ani widzieć światło Pańskie. Znikniesz z tego świata i nigdy się na nim ponownie nie zjawisz. A kiedy pochłonie cię mrok, będziesz miała dość czasu, aby odpokutować swoje bestialskie życie”^[62].

Ale czy Elżbieta była aż taką bestią?

W następnych stuleciach kilku uczonych i biografów postawiło tezę, że hrabina była niewinna i że proces jej współników był procesem pokazowym, oraz że nie powinien być doprowadzić do zakulisowego skazania samej Elżbiety. Uznali, że wszystko zostało ukartowane przez króla i Thurzona po to, aby wtrącić do więzienia polityczną rywalkę, pozbawić władzy potężną wdowę i przechwycić te wszystkie wspaniałe ziemie, należące do małżonków Batory-Nádasdy. Zdaniem tych badaczy to, że nie postawiono jej przed sądem, było niesprawiedliwe, a zeznań jej współników, uzyskanych za pomocą tortur, nie można traktować jako wiarygodnych relacji.

Jednak głosy w obronie Elżbiety, dowodzące jej niewinności, nie biorą zwykle pod uwagę pewnych czynników kulturowych i historycznych, jak choćby porozumienia między Thurzonem a dziećmi Batory co do tego, aby uniknąć procesu, czy też faktu, że tortury stanowiły zwyczajowy element procesów inkwizycyjnych podobnych do jej procesu, i że nie uważano by ich w tym przypadku za coś dziwnego ani podejrzanego^[63]. (Czasy Elżbiety Batory były okrutne, co uzmysławia nam fakt, że Ilonie Jó i Dorce zgodnie z oficjalnym wyrokiem miano wyrwać palce). Argumentu za tym, że król pragnął przejąć bogactwa hrabiny i anulować swoje zadłużenie wobec małżeństwa Batory-Nádasdy także nie da się obronić, ponieważ w chwili śmierci Nádasdyego nominalnym dziedzicem i właścicielem jego majątków został jego sześćioletni syn, a kiedy chłopiec skończył lat czternaście, stał się nim w praktyce. W chwili aresztowania

Elżbieta nie była już właścicielką rozległych ziem, należących niegdyś do małżeństwa Batory-Nádasdy, król musiałby więc uwięzić całą jej rodzinę, aby przejąć ich majątek i unieważnić swoje długi. W dodatku, zgodnie z zasadami kodeksu Tripartitum, Thurzo nie mógł liczyć na jakikolwiek materialny zysk ze śledztwa przeciwko hrabinie, nie mógł więc po prostu zrobić ją w zbrodnię, aby się wzbogacić.

Kolejny argument, wykorzystywany przez obrońców Elżbiety: Thurzo rozpoczął śledztwo przeciwko niej w chwili, gdy nie dysponowano żadnymi twardymi dowodami winy, a jedynie pogłoskami o jej okrucieństwie, a sama hrabina nigdy nie została poinformowana, że wszczęto przeciwko niej dochodzenie. Ale to także było całkowicie zgodne z prawem w myśl Tripartitum. Thurzo rozpoczął po prostu procedurę zwaną „zwykłym dochodzeniem”, które miało ustalić, czy w ogóle doszło do jakiejś zbrodni. Był to standardowy sposób zbierania dowodów przeciwko szlachcie, zanim podejrzany zostanie poinformowany o akcie oskarżenia – albo uwięziony w swoich własnych lochach, jak się często zdarzało.

Wszystko to nie znaczy, że hrabina z całą pewnością była jedzącym ludzkie mięso, kąpiącym się we krwi potworem, jak na podstawie słów świadków uznał sąd. Wiele dowodów przeciwko niej opierało się na pogłoskach i zeznaniach, uzyskanych za pomocą tortur, których wartość zawsze będzie raczej podejrzana. Wokół całej sprawy narosło także wiele przekłamań, jak choćby twierdzenie o sześciuset pięćdziesięciu zamordowanych dziewczętach. Poza tym można spotkać wiele innych hipotez, wyjaśniających, dlaczego król pragnął wtrącić ją do więzienia: ona była protestantką, on katolikiem, ona była potężną kobietą, a jemu się to nie podobało. Tropów jest zbyt wiele, aby podejmować tutaj ten wątek. Może pewnego dnia ktoś odkryje spis ofiar, sporządzony jej zawiłym pismem. A do tego momentu zawsze będziemy błądzić w ciemnościach.

Po wtrąceniu Elżbiety do więzienia wszystkie dokumenty dotyczące procesu zostały opieczętowane. Na hrabinę nałożono areszt domowy w jej własnym zamku^[64]. Parlament podjął uchwałę, że jej imienia nie będzie się wymawiać w towarzystwie^[65]. I przez następnych sto lat w miasteczkach wokół Csejte panował spokój.

Morderczyni

Mimo wszystkich wysiłków sądu, aby dalsze życie toczyło się tak, jak gdyby Elżbieta Batory nigdy nie istniała, opowieść o jej zbrodniach zataczała coraz szersze kręgi, zwłaszcza od chwili, gdy w latach dwudziestych osiemnastego wieku odkryto akta procesu. Współcześnie Krwawa Hrabina jest niezwykle popularną postacią w świecie horroru, filmów gore oraz seksownych wampirów, występującą wszędzie, od singla zespołu Venom (fragment tekstu „Counteeess BAAAATHORY”) po poezję, powieści i filmy. Historyk Raymond McNally wysunął nawet tezę, że to Elżbieta zainspirowała Bramę Stokera do napisania powieści *Drakula*. A kiedy w wyszukiwarce Google wpisujemy hasło „Elżbieta Batory”, szybko przekonamy się, jak bardzo jej legenda jest podszyta erotyzmem: w pojawiających się odnośnikach znajdzie się niemal wszystko, od mangi przedstawiającej hrabinę z krwawymi szczypcami do rozgniatania sutków po tworzone przez fanów dzieła z nagą hrabiną w roli głównej, leżącą uwodzicielsko w wannie pełnej... wiadomo czego.

W zeznaniach trzystu sześciu osób, zebranych przez Thurzona, seks pojawia się może raz, może dwa. Przedmiotem procesu nie było badanie dewiacji seksualnych; to było śledztwo, dotyczące pogłosek o torturach i śmierci. Jednak w następnych stuleciach pojawiło się mnóstwo opowieści, przesyconych seksem, jak choćby plotka o tym, że hrabina miała kochanka, chłopca, z którym zaszła w ciążę, albo że miała liczne przygody, kiedy Nádasdy walczył z Turkami. Albo uparcie utrzymująca się opowieść o jej ciotce Klarze, która miała być biseksualistką i sadystką. Zgodnie z tą wersją podczas długich nieobecności Nádasdyego Elżbieta lubiła odwiedzać zamek Klary, gdzie ciotka wprowadzała młodą kobietę w tajniki czarów, tortur i miłosnych związków z kobietami. Inna z kolei pogłoska mówi, że kochanką hrabiny była Anna Darvulia.

W tej historii Elżbiety jest pewien niezdrowy blask, na pewno. Kto nie uległby urokowi tego obrazu: hrabina o wampirycznych upodobaniach, długich, czarnych włosach i skłonności do rozszarpywania nagich dziewcząt? Batory jest uwodzicielską bohaterką, godną węzowatego dźwięku, wijącego się w słowie *murderess*. Ale te wszystkie opowieści o romansach, kochankach i sadyzmie stanowią jedynie metodę uatrakcyjnienia potwornych zbrodni. To sposób odwrócenia uwagi, dziwaczna próba stępienia ostrza jej zbrodni. „Tłukła dziewczęta na śmierć... ponieważ to był dla niej fetysz!” „Była psychopatką... ale także lesbijką!”

W rzeczywistości Elżbieta prawdopodobnie była po prostu najbardziej przerażającą i najmniej atrakcyjną postacią, jaką można sobie wyobrazić: zabójczynią pozbawioną serca. Tworzony przez fanów wizerunek rozpustnej hrabiny z narzędziem zbrodni w dłoniach splamionych krwią nie jest przerażający – grozę budzi raczej jej portret z 1585 roku. Przerażająca jest pustka, kryjąca się w spojrzeniu tych wielkich oczu, patrzących na nas przez minione czterysta lat.

Hrabina Elżbieta Batory zmarła dwudziestego drugiego sierpnia 1614 roku, uskarżając się na chłód w dłoniach. Przed śmiercią leżała w łóżku i śpiewała – pięknie śpiewała^[66]. Pochowano ją w poświęconej ziemi, ale jej ciało zostało później ekshumowane pod wpływem skarg mieszkańców i przeniesione do krypty rodu Batorych. W 1995 roku kryptę otwarto. Nie znaleziono w niej żadnych śladów Elżbiety^[67].

Rozdział drugi

Chichocząca Babcia^[68]

Nannie Doss

Nannie Doss była swoim najlepszym agentem PR. W połowie lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku zawojowała media, flirtując przed kamerami, rzucając upiorne żarty i podsumowując swoje przerażające zbrodnie jako co najwyżej nieszczęśliwy wypadek, jaki przytrafił jej się na drodze do tego jedyne. W końcu była tylko niemądrą, opętaną ideą miłości babcią, która umyślnie nie skrzywdziłaby nawet muchy, a tym bardziej nie zamordowała z zimną krwią czterech mężów. Wszystko, co zrobiła, uczyniła w imię miłości. A miłość może usprawiedliwić wszystko. Czyż nie tak?

Jedną z wielu chwalebnych i wyrafinowanych umiejętności, godnych – tak, tak – *prawdziwej pani domu*, jakimi mogła się poszczycić czterdziestodzieciolatnia Nannie, stanowiła umiejętność upieczenia ciasta z przesłaniem. Potrafiła wyczarować ciasto, na widok którego samotny farmer był gotów z miejsca ją poślubić, nie zadając dalszych pytań. Pewnego dnia wysłała jeden ze swoich wspaniałych wypieków ze swojego domu w Tulsa, w stanie Oklahoma, aż do Goldsboro, w Karolinie Północnej, zamierzając zdobyć serce sześćdziesięcioletniego właściciela farmy mlecznej. Nazywał się John Keel. Nannie uwiodła go swoimi listami, pełnymi humoru, oraz oczywistymi talentami kulinarnymi, toteż John miał szczerą nadzieję, że Nannie wkrótce ruszy na wschód, aby wyjść za niego za mąż. Wprawdzie na razie Nannie utknęła w Tulsie, opiekując się, jak pisała, „chorą, wiekową ciotką”^[69], ale Keel nie powinien się martwić, wkrótce będą razem.

Zanim jednak Keel zdążył jej włożyć na palec obrączkę, dowiedział się czegoś przerażającego o swojej ukochanej: właśnie została aresztowana. Okazało się, że nie ma żadnej wiekowej ciotki. W ogóle nigdy nie miała ciotki w podeszłym wieku. Osobą, którą Nannie się „opiekowała”, był jej mąż, który zresztą właśnie zmarł.

„Jestem naprawdę bardzo, bardzo dumny z tego, że ta kobieta nigdy nie zjawiała się w mojej części kraju” – oświadczył później Keel^[70].

Myślenie nie po kolei

Nannie, którą Keel, jak mu się wydawało, zdążył poznać, urodziła się w 1906 roku jako Nancy Hazle. Jej rodzina posiadała niewielką farmę w Hrabstwie Calhoun w Alabamie. Rodzice Nannie wyznawali surowe zasady: Nannie od dzieciństwa musiała pracować w polu i w żadnym wypadku nie wolno jej było biegać za chłopcami. Dziś krążą pogłoski, że jej ojciec nie stronił od przemocy i że Nannie buntowała się, sypiając z przypadkowymi mężczyznami, gdy tylko miała okazję. Nie wiemy, czy tak było naprawdę, ale wiemy, że ojciec surowo kontrolował jej poczynania, a ona lubiła chłopców – bardzo. Prawdę mówiąc, wobec tego surowego wychowania Nannie buntowała się przez resztę życia.

Zanim jednak w ogóle przyszło jej do głowy, żeby pomyśleć o chłopcach,

przydarzył jej się koszmarny wypadek. Kiedy Nannie miała siedem lat, pewnego razu jechała sama pociągiem, który nagle zatrzymał się w szczerym polu. Dziewczynka uderzyła głową o metalowy drążek i rozcięła sobie głowę. Potem przez całe życie odczuwała następstwa tego wypadku: okropne bóle głowy i poczucie, że czasami zaczynała „myśleć nie po kolei”^[71].

Rodzina Hazle’ów jakoś nie potrafiła wydobyć się z nędzy i kiedy Nannie skończyła piętnaście lat – ślicznotka o zaróżowionych policzkach i szerokich zębach – rzuciła szkołę, żeby pracować w rodzinnym gospodarstwie. W tym samym roku wyszła za mąż. Jej historia nie przypominała dziejów Romeo i Julii; kandydata na męża, Charliego Braggsa, wybrał dla niej surowy ojciec. Sam Braggs początkowo był zachwycony perspektywą małżeństwa. Wydawało mu się, że Nannie jest jedną z tych kobiet, które „chętnie chodzą do kościoła”, a poza tym uważał ją za „dziewczynę śliczną, dobrze zbudowaną i o bardzo wesołej naturze”.

Nannie jednak nie czuła się dobrze w małżeństwie. „Miała wybuchowy temperament” – opowiadał Braggs. „Cała rodzina jest taka. Czasami wpadała we wściekłość z jakiegoś powodu, a czasami wydawało się, że i bez. Obrażała się, a potem znikwała na całe dni albo tygodnie, często z innymi mężczyznami”^[72]. Przekonał się ponadto, że „wcale nie była taką chrześcijanką, za jaką ją uważał, zachowywała się tak, jakby nigdy nie usłyszała nawet jednego wersu z Biblii”^[73].

Mieli pięcioro dzieci, ale troje z nich zmarło w dzieciństwie. Braggs żywił na ten temat kilka stłumionych podejrzeń, ale wolał nawet o tym nie myśleć. Zauważył, że dwoje z tych dzieci tuż przed śmiercią przejawiało symptomy poważnych zaburzeń żołądkowych, „a potem szybko szerniały”^[74]. Jego domysły zostawiały w ustach gorzki posmak, ale co mógł zrobić? Dzieci, narodziny, to był kobiecy świat, dla niego spowity tajemnicą.

Coś jeszcze poszło nie tak w latach ich małżeństwa: ojciec Nannie porzucił jej matkę. Nannie znienawidziła go za to i nie pozwalała mu widywać się z wnukami. Być może w jej przekonaniu ojciec nie stanął na wysokości zadania, jakim było wywiązywanie się w pełni z roli męża. Rozstanie rodziców wzmogło tylko jej uwielbienie dla matki. „Padłabym na kolana i pełzałabym dla niej wszędzie” – mówiła wiele lat później^[75]. Z czasem jej miłość do matki także zaczęła budzić wątpliwości, ale Nannie zawsze gorąco zaklinała się, że mówi prawdę: kochała swoją matkę i nigdy nie skrzywdziłaby kogoś, kogo kocha aż tak bardzo i tak czystą miłością.

Sama Nannie nie czuła się jednak dobrze w roli matki, podobnie zresztą jak w małżeństwie, w każdym razie w tak niedoskonałym, jak jej związek z Braggssem. Po ośmiu latach kłótni i podejrzeń Braggs poczuł się zmęczony uganianiem się za Nannie po całej Alabamie i wystąpił o rozwód. Wyczuwając, że Nannie nie nadaje się do opieki nad dwójką pozostałych córeczek, albo nie chce się tego podjąć, zatrzymał przy sobie najstarszą, a drugą wysłał pod opiekę ojca Nannie.

Wiele lat później Nannie powiedziała jednemu z dziennikarzy, że to nieprawda, jakoby nienawidziła mężczyzn, nawet jeśli jej poczynania mogły coś takiego sugerować, ponieważ niektórzy mężczyźni są dobrzy^[76]. Z całą pewnością lubiła męskie towarzystwo. Zawsze uganiała się za mężczyznami. Pisywała do nich, flirtowała z nimi,

wychodziła za nich. I rzeczywiście mężczyźni, których spotykała, *byli* dobrzy – tak w każdym razie mówili o nich przyjaciele, sąsiedzi, członkowie rodzin. Nannie opowiadała jednak inną historię. W jej wersji wydarzeń zawsze była niewinną księżniczką, którą raz po raz spotykało rozczarowanie ze strony kolejnych, niewystarczająco dobrych zalotników.

Samotne serca

Wieczorem w piątek dwudziestego szóstego listopada 1954 roku policjanci z Tulsy w Oklahomie nie kryli swojego zaskoczenia na widok pulchnej, pogodnej postaci – uosobienie dobrej babci – którą przyprowadzono na posterunek z powodu podejrzeń, że zamordowała swojego piątego męża. Ta kobieta, Nannie Doss, zachowywała się kokieteryjnie, była rozbawiona, policjanci ze zdumieniem patrzyli na jej radosny nastrój. „Mówi bez przerwy – opowiadał detektyw Harry Stege – ale nie o sprawie”^[77]. Ze śmiechem odrzucała pytania o arsenik i autopsję, albo o nieszczęśliwe małżeństwa. Paliła papierosa. Oczy miała roziskrzzone.

Dopiero po trwających dwadzieścia cztery godziny wielokrotnych przesłuchaniach Nannie przyznała w końcu, że, no dobra, *tak*, otruła swojego męża Sama Dossa, dorzucając mu do kawy odrobinę trutki na szczury. Około północy podpisała formalne oświadczenie, w którym przyznała się do popełnienia morderstwa.

W tym czasie na posterunek policji zaczęły docierać informacje o kolejnych zmarłych mężach, przyrodnim wnuku oraz o innych podejrzaniach, jakie ludzie od dawna mieli wobec tej „uśmiechniętej, gadatliwej wdowy”^[78]. Po weekendzie dalszych przesłuchań Nannie, cały czas uśmiechając się do przesłuchujących ją policjantów, powiedziała, że jest wreszcie gotowa, aby oczyścić swoje sumienie. Sam Doss nie był jej jedyną ofiarą, oświadczyła. Miała pięciu mężów i zabiła czterech z nich.

Po rozwodzie z Charliem Braggsem Nannie poślubiła starszego mężczyznę z Jacksonville w stanie Alabama. Nazywał się Frank Harrelson i miał kilkoro dzieci z poprzedniego małżeństwa. Według Nannie Harrelson był podłym pijakiem, który ją bił. Przez piętnaście lat znosiła jego weekendowe pijaństwa aż do chwili, gdy pewnego dnia przyszedł do domu kompletnie pijany i warknął: „Jeśli nie pójdziesz ze mną do łóżka, za tydzień mnie tutaj nie będzie”.

„Postanowiłam dać mu nauczkę” – opowiadała Nannie. „I tak też zrobiłam”^[79]. Harrelson miał zwyczaj pijania taniej, podłej whiskey ze starego słoika po owocach, ukrytego w puszcze na mąkę, więc Nannie znalazła słoik i dołała solidną porcję płynnego arseniku. Kiedy Harrelson następnym razem się wymknął, aby po kryjomu łyknąć sobie czegoś mocniejszego, padł trupem.

Następnym obiektem uczuć Nannie był Harley Lanning z Lexington w Północnej Karolinie. On także był pijakiem, a na dokładkę kobieciarzem. Nannie z trudem znosiła popularność, jaką Lanning cieszył się wśród pań, i wreszcie nie wytrzymała, gdy wydał szalone przyjęcie akurat podczas jej nieobecności. Zabawa okazała się tak szalona, że w końcu wezwano policję, która według Nannie wyciągnęła uczestników zabawy „z łóżka”^[80]. W przypiływie ślepej furii Nannie w 1952 roku dorzuciła Lanningowi trucizny do talerza z jedzeniem. Tego samego weekendu zmarł.

Pozbywszy się trzech mężów, Nannie postanowiła zmienić taktykę. Jak dotąd zupełnie nie udawało jej się znaleźć tego jedyne, ponieważ ciągle natykała się na kobieciarzy, pijaków albo ludzi pokroju Braggsa, którzy nie potrafili przyjąć do wiadomości, że dziewczyna musi czasem wyrwać się z domu na tydzień albo dwa. Wzięła więc sprawy w swoje ręce i następnego męża zamówiła pocztą. Za pięć dolarów została członkinią „klubu samotnych serc” pod nazwą Diamentowy Krąg, z siedzibą pod St. Louis. Przez cały następny rok każdego miesiąca wytrawni kuratorzy Diamentowego Kręgu przysyłali jej listę „samotnych mężczyzn”, a Nannie mogła wybrać z niej każdego, kto tylko jej się spodobał.

Nawiązała korespondencję z przystojnym brunetem z Kansas, który nazywał się Richard Morton, i od tego momentu sprawy potoczyły się szybko. Dwudziestego pierwszego stycznia 1953 roku organizator Diamentowego Kręgu otrzymał od Mortona list:

Uprzejmie prosimy o usunięcie naszych nazwisk z pańskiej listy – R.L. Mortona z Emporia w Kansas i pani Nannie Lanning z Jacksonville w Alabamie, ponieważ spotkaliśmy się i szczęśliwie zostaliśmy małżeństwem. To słodka i cudowna kobieta. Nigdy bym jej nie poznał, gdyby nie pański klub^[81].

Jednak szczęście nie trwało długo i wkrótce znowu coś poszło nie tak. Morton pracował wieczorami w sali bilardowej, ale za dnia często zakładał najlepszy garnitur i wyruszał na jakieś tajemnicze wyprawy. To zaniepokoiło Nannie. Dlaczego miałby wystrojony jeździć do miasta, gdy jego „słodka i cudowna” żona czekała na niego w domu? Co gorsza, kiedy pojechała na wycieczkę do Północnej Karoliny, dowiedziała się skądinąd, że Morton podczas jej nieobecności nabył parę pierścionków. Pierścionki mogły oznaczać tylko jedno: spotykał się z kimś innym.

„Straciłam głowę i wpadłam we wściekłość, kiedy odkryłam, że uganiam się za inną kobietą” – powiedziała^[82]. Uznała, że skoro Morton może dokonywać potajemnych zakupów, ona także może coś kupić – wróciła z Północnej Karoliny z butelką trucizny, schowaną w walizce. Później policjanci zastanawiali się, czy Morton nie kupił tych pierścionków z myślą o Nannie, jako prezent, po czym zastawił je w lombardzie, aby pojechać za nią do Północnej Karoliny, być może uświadomiwszy sobie, że jest na niego wściekła. Gdyby tak było, oznaczałoby to wspaniałą, romantyczny gest, o którym zawsze marzyła. Nic jednak o tym nie wiedziała. Dołała więc trucizny do jego kawy, przekonana, że Morton ją zdradza.

O ile jej pierwsze cztery małżeństwa były naznaczone występkiem – pijaństwem, przemocą i rozpustą, o tyle ostatnie było tak zwykłe, że Nannie mogła raczej oszaleć z nudów. Sam Doss był prawdziwą ofiarą losu, do przesady oszczędnym robotnikiem budowlanym, a w wolnych chwilach kaznodzieją Kościoła baptystów, mieszkańcem Tulsy w stanie Oklahoma. Nie pozwolił jej kupić odbiornika telewizyjnego, chociaż naprawdę tego pragnęła. Nie pozwalał jej tańczyć.

„Działał mi na nerwy”^[83] – opowiadała Nannie, gdy spytano ją, dlaczego usiłowała aż dwukrotnie zabić Dossa^[84]. Za pierwszym razem ugotowała mu wielki garnek paczkowanych suszonych śliwek i zaprawiła je trucizną. (Suszone śliwki były wielkim

hitem w latach pięćdziesiątych, prezydent Eisenhower oświadczył, że jego ulubioną potrawą na świecie jest deser, złożony z ubitego białka jajka, masy śliwkowej i bezwonnej żelatyny o nazwie Prune Whip). Wydawało się, że apetyt był jedyną rzeczą, jakiej Doss sobie nie skąpił. „Jasne, że lubił śliwki” – opowiadała Nannie. „Przygotowałam mu całe pudełko i zjadł wszystkie”^[85].

Za sprawą tej pysznej potrawy Doss wyładował w szpitalu, gdzie spędził dwadzieścia trzy dni, ale śliwki nie wykończyły go na amen. Toteż następnego dnia po powrocie Nannie przygotowała mu ulubione danie Richarda Mortona, dodając do gorącej kawy odrobinę trutki na szczury. Tym razem wszystko poszło tak, jak się spodziewała.

Na szczęście dla ocalałych samotnych Amerykanów, śliwki i kawa były ostatnimi rzeczami, jakie Nannie zaprawiła trucizną. Wezwany lekarz odmówił podpisania świadectwa zgonu Dossa bez wcześniejszej autopsji, która pozwoliłaby ustalić przyczynę śmierci. Co dość dziwne, Nannie spodobał się ten pomysł i zgodziła się z lekarzem, że należy ustalić, co zabiło Dossa, ponieważ „mogłoby to zabić kogoś jeszcze”^[86]. Narządy wewnętrzne jej męża wysłano do laboratorium w Oklahoma City. Tamtejszy patolog sądowy wydał miażdżący werdykt: Doss miał w sobie tyle arszeniku, że można by nim zabić osiemnastu kaznodziejów Kościoła baptystycznego.

Na zdjęciu, jakie zrobiono po zakończeniu długich przesłuchań, widać Nannie Doss, która opuszcza budynek sądu w towarzystwie policjanta z wydziału zabójstw. Uśmiecha się szeroko i wydaje się, że podoba jej się miejsce, w którym się znalazła.

„Uwodziłam i trułam”

Chociaż uwodzicielskie zachowanie Nannie w pewnej mierze potwierdzało jej wersję – członkini klubu samotnych serc, poszukująca miłości, ciągle w niewłaściwym miejscu – policjanci mieli wątpliwości, czy opowiedziała im całą prawdę. Tak wiele osób z nią związanych zmarło w tajemniczych okolicznościach, w tym jej matka, ojciec, dwie siostry, troje z jej własnych dzieci, przyrodni wnuk. Ale kiedy próbowano ją skłonić do tego, aby przyznała się do zabójstwa krewnych, Nannie nagle zmieniała postawę. „Nie możecie rozgrzebać wszystkich grobów w kraju” – ucięła. „I nic więcej na mnie nie znajdziecie”^[87].

Chociaż Nannie zachowywała się jak osoba głęboko obrażona takimi insynuacjami, dowody okazały się obciążające. Widziano ją, jak tuż przed ich śmiercią pojawiła się w towarzystwie obu swoich siostr i ukochanej matki. Po czym następnego dnia po pogrzebie matki Nannie szybko wyjechała, aby poślubić Richarda Mortona – niezbyt to pasowało do obrazu córki pogrążonej w żałobie. Z kolei brat Franka Harrelsona (mąż numer dwa) złożył na policji zeznanie, zawierające mrozącą krew w żyłach anegdotę sprzed dziesięciu lat: razem z Harrelsonem przechodzili pewnego razu obok cmentarza, gdy Harrelson wskazał na niewielki grób, w którym leżał jego wnuk, i wymamrotał, że chłopiec został otruty, a potem powiedział: „Ja będę następny”^[88].

Żaden z tych faktów nie pasuje do obrazu, jaki Nannie tak starannie starała się wykreować: lekkomyślnej, pogodnej babci, która flirtuje z policją, uśmiecha się do dziennikarzy i rzuca dowcipy na temat tej całej głupiej sytuacji. No dobra, może i zabiła męża albo dwóch, ale wszystko to było zaprawione odrobiną humoru w stylu filmu

Arszenik i stare koronki (film, mówiąc nawiasem, który wszedł na ekrany, gdy Nannie miała trzydzieści osiem lat), a poza tym jej mężowie to byli oszuści, kłamcy, brutale i bigoci. W świetle tego faktu jej morderstwa były, no cóż, czymś *praktycznym*, posunięciem w rodzaju „no tak, trzeba to jakoś załatwić”, jakiego spodziewalibyśmy się po rozsądnej gospodyni domowej.

Inne źródła zdecydowanie zaprzeczały temu, aby Morton czy Lanning kiedykolwiek ją zdradzali. Prawdę mówiąc, pikantną opowieść o rzekomej orgii Lanninga podważył nie kto inny jak Charlie Braggs, pierwszy mąż Nannie. Osobliwym zbiegiem okoliczności jedna z dwóch ocalałych córek Nannie i Braggsa ostatecznie poślubiła bratanka Lanninga, a przyjęcie, na które wkroczyła policja, było w rzeczywistości niewinną, rodzinną wizytą. „Wszystko, co się wtedy wydarzyło, wzięło się stąd, że policja usłyszała, iż w domu, który leży na uboczu, są jacyś obcy. Policjanci zajrzeli, żeby sprawdzić, kto to jest” – opowiadał Charlie Braggs. „Nannie napisała po tym do nas straszliwy list, ale nie było spokojniejszego, bardziej zrównoważonego człowieka na świecie niż Harley Lanning”^[89].

Brat Sama Dossa również zaczął kwestionować wiarygodność opowieści Nannie. Jej wersja budziła jego podejrzenia od samego początku: „Żadna kobieta nie przejedzie tysiąca mil, albo coś koło tego, żeby poślubić jakiegoś zwykłego robotnika, tylko dlatego że go pragnie”. Obserwował, jak Nannie dręczyła purytańskiego Sama Dossa, pałac przy nim papierosy i ubierając się w wyzywający sposób. Poza tym brat Dossa nie zgadzał się z powszechnym przekonaniem, że Nannie była osobą „prostą, szczerą, otwartą i pogodną”^[90]. To nie była Nannie, jaką on znał. „Nannie była sprytna” – opowiadał. „Była przebiegła, bardzo przebiegła. I pamiętam, że jednego dnia mówiła ci coś, a następnego coś zupełnie przeciwnego”^[91].

Mimo tych oskarżeń Nannie cieszyła się swoim świeżo zdobytym rozgłosem. Wyrzucała z siebie przesadne reakcje na użytek prasy, a dziennikarze nagradzali ją krzykliwymi nagłówkami gazet. „Spokojna, uroczą babcia przyznaje, że otruła czterech ze swoich pięciu mężów”, „Babcia z Tulsy uwodziła i truła”, „Nannie Doss nosiła kiedyś pistolet, wszyscy ją lubili”. Na chwilę przed kolejnym wywiadem telewizyjnym operator kamery zaproponował jej, żeby zdjęła okulary i uśmiechnęła się do obiektywu, po czym rzucił dla żartu: „Może pani zdobyć następnego męża, jeśli będzie wyglądała ładnie”. Na co Nannie odparła: „To zabójcza prawda, czyż nie?” – i zaczęła się śmiać, tak ją rozbawił ten dowcip^[92]. Była największą sensacją w mediach w Oklahomie w 1954 roku i dobrze o tym wiedziała.

Nannie z pewnością nie była pierwszą ani ostatnią seryjną zabójczynią, która zdobyła taki rozgłos i czerpała z tego satysfakcję, ale do sławy doszła w interesującym momencie dziejów Ameryki. Pomyślmy chwilę o tych wszystkich stereotypach na temat lat pięćdziesiątych: gospodynie domowe spędzają dni na odkurzaniu, z martini w dłoni i błyskiem egzystencjalnego przerażenia w oczach; każdy dom wyposażony jest w odbiornik telewizyjny. Rozgłos zdobyty przez Nannie idealnie pasował do tego społecznego krajobrazu. Stanowiła ona zdeformowaną, obłąkaną parodię gospodyni domowej, była kobietą, która najwyraźniej miała obsesję na punkcie małżeństwa, a także... gotowania, ale jednocześnie używała swego kobiecego uroku, aby zdobywać

i *zabijać* mężczyzn, a nie zdobywać i zatrzymywać ich przy sobie. Była umalowana i nosiła modne okulary; miała starannie ułożone włosy; pozwalała się fotografować z podwójnym naszyjnikiem pereł. Występowała w telewizji, udzielała wywiadów i flirtowała z kamerzystami, stwarzając poczucie bliskości między publicznością a morderczynią, jakie byłoby niewyobrażalne w przypadku wcześniejszych seryjnych morderczyń, i dlatego jej sława zataczała coraz szersze kręgi.

Być może wersja kobiecości, jaką Nannie prezentowała światu, wydawała się, w mroczny sposób, bardziej atrakcyjna i z pewnością bardziej przystępna dla kobiet niż wersje kobiecości, jakie docierały do nich z innych źródeł. W końcu gdy pozostałe amerykańskie gospodynie domowe zmieniały kanał, żeby uciec od relacji ze sprawą Nannie, napotykały boginie w rodzaju Marilyn Monroe w obcisłych, migocących białych sukniach, poślubiające gwiazdy baseballa; kobiety tak doskonałe, że wydawały się z całkiem innego świata.

„Kochanie, jak bardzo nam ciebie brakuje”

Wyznaczeni przez sąd obrońcy Nannie odmówili w jej imieniu składania oświadczenia o przyznaniu się bądź nieprzyznaniu do winy, twierdząc, że jest niepoczytalna. Sąd uznał więc, że nie przyznaje się ona do winy. Sama Nannie nadal flirtowała z każdym, kto miał jakąś władzę. W drodze do sali sądowej powiedziała oskarżycielowi, że zmarła w swojej celi więziennej i aby to udowodnić, położyła mu lodowatą dłoń na karku. Kiedy policjanci budzili ją z wieczornej drzemki, aby zaprowadzić na przesłuchanie, śmiała się: „Nie wiem czemu, chłopaki, chcecie mnie o tej porze zabrać na rozmowę, gadałam z wami już przez cały tydzień”^[93]. Obrońcy musieli wreszcie powiedzieć Nannie, żeby przestała w ogóle paplać do policjantów, ponieważ obawiali się, że w końcu coś jej się wymknie na temat tych wszystkich martwych członków rodziny.

W tym czasie w całym kraju wykopywano kolejne ciała. W przypadku każdego ze zmarłych mężów Nannie w ciele zmarłego znaleziono arszenik, a tym samym mnożyły się stawiane wobec niej zarzuty popełnienia morderstwa. Żadne z tych odkryć nie było zaskakujące, ponieważ do tych morderstw Nannie przyznała się już wcześniej. Ale jedno było szokujące: mimo powtarzanych oświadczeń Nannie o jej miłości do matki, autopsja wykazała, że ciało matki Nannie także było naszpikowane arszenikiem.

Dlaczego Nannie tak bardzo broniła się przed potwierdzeniem, że zabiła swoją matkę? Była niemal radośnie podekscytowana, mówiąc o zabójstwach swoich rozczarowujących mężów, jak gdyby miała prawo odebrać im życie. Biorąc pod uwagę to, jak entuzjastycznie zgodziła się na autopsję Sama Dossa, można by wręcz dojść do wniosku, że *pragnęła*, aby jej morderstwa, popełnione na mężach, wyszły na jaw. A jednak nie potrafiła znieść sugestii, że skrzywdziła własną matkę. Zbudowała narrację, mówiącą, że zabijała tylko tych, którzy zasłużyli na śmierć, więc mordowanie niewinnych członków własnej rodziny nie pasowało do tej historii. „Padłabym na kolana i popełzła dla mojej matki wszędzie” – oświadczyła i gazety to wydrukowały, słowo w słowo.

Chociaż udało jej się wykreować obraz nieszkodliwej kobiecości, tęskniącej za prawdziwą miłością – odwołujący się zarówno do seksistowskich, jak i ageistowskich

założeń na temat tego, kto może być niebezpieczny i kiedy – Nannie, być może matkobójczyni, skrywała w istocie przerażająco mroczną stronę swojej osobowości. To niby mogłoby się wydawać oczywiste, skoro zamordowała, tak, tak, jedenaście osób, w tym dziecko? Ale dziwnym obrotem rzeczy – a może raczej całkiem przewidywalnym – nie budziła w ludziach przerażenia. Dla amerykańskiej opinii publicznej Nannie pozostała na zawsze sympatyczną babcią, puentą jakiegoś dowcipu.

Wielu seryjnych zabójców – na myśl przychodzi Ted Bundy – budzi nasze zdumienie nie tylko z powodu swoich zbrodni, ale także pewnej umiejętności, dzięki której potrafią sprawić, że otoczenie odbiera ich jako osoby normalne, nie gwałtowne, nawet urocze. (Sam Bundy mówił: „Byłem osobą normalną. Miałem dobrych przyjaciół. Prowadziłem normalne życie, za wyjątkiem tego jednego, niewielkiego, ale bardzo silnego i destrukcyjnego fragmentu, który trzymałem w wielkiej tajemnicy, w tajemnicy przed innymi”)^[94]. Kiedy nie dopuszczają się swoich monstrualnych zbrodni, chodzą wśród nas i wyglądają całkowicie niewinnie, czy, jak w przypadku Nannie, niczym pulchna, urocza babcia. Czy to nie ten element całej historii jest tak przerażający, gdy chodzi o seryjnych zabójców? Myśl, że Bundy mógłby być waszym sąsiadem, że Nannie mogłaby przygotować dla was filiżankę kawy?

Ted Bundy, który poza tym był także gwałcicielem i nekrofilem, wydaje się obiektywnie „bardziej przerażający” niż Nannie, która chichotała i nasączała trucizną suszone śliwki. Ale seryjni zabójcy nie budzą naszego lęku dlatego, że są mężczyznami, ale dlatego, że niszczą ład świata. A raczej swoimi czynkami pokazują, że to, co postrzegamy jako ład i normalność (zwyczajny amerykański chłopak, chichocząca babcia, gospodyni domowa z pustką w oczach), przez cały czas było kłamstwem, za którym czaiła się przemoc. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku Nannie Doss o wiele bardziej przypominała przeciętną amerykańską gospodynię domową niż Marilyn Monroe. Stanowiła uosobienie ładu i porządku, macierzyństwa, małżeństwa, czystej podłogi w kuchni. A mimo to pozostawiała za sobą śmierć.

Piątego grudnia dziennikarze dowiedzieli się, że ta „subtelna babcia” miała jeszcze jedno koszmarnie hobby: uwielbiała układać epitafia. Na grobie jej przyrodniego wnuka widnieje napis: „Kochanie, jak bardzo nam ciebie brak”, na grobie Lanninga po prostu: „Spotkamy się wkrótce”^[95].

„Najsprytniejszy kryminalista, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem”

Podczas wstępnego przesłuchania w sprawie Nannie, wyznaczonego na piętnastego grudnia, sędzia postanowił przekazać ją do stanowego zakładu psychiatrycznego, aby lekarze mogli ustalić, czy jest obłąkana, czy nie. „Arszenikowa Nannie” nie zmartwiła się tą perspektywą spędzenia trzech miesięcy w szpitalu. Prawdę mówiąc, poczuła ulgę. Dla niej była to namiastka luksusu.

„Teraz może wreszcie trochę odpocznę i nie będę musiała odpowiadać na te wszystkie głupie pytania” – roześmiała się^[96]. Wiele sobie obiecywała po tych wakacjach w domu wariatów; jednej z więziennych strażniczek powiedziała: „Może ci lekarze w szpitalu powiedzą mi, jak normalnie myśleć”^[97].

Zgodnie ze swoim wyobrażeniem, Nannie dobrze się bawiła w zakładzie, w którym

świętowała swoje pięćdziesiąte urodziny. Jako osoba nadal ciesząca się medialną sławą, zwracała na siebie powszechną uwagę i starannie robiła makijaż za każdym razem, gdy szpitalni psychiatrzy przychodzili, aby ją zbadać. Jeden z lekarzy, zbulwersowany, wypowiadał się dla prasy, że choć nadal cierpiała na bóle głowy – pozostałość wypadku z dzieciństwa – poza tym cieszyła się doskonałym zdrowiem. Prawdę mówiąc, wydawała się osobą niemal idealną. „Gdybyście mieli małe dzieci – oświadczył lekarz – z rozkoszą powierzyłibyście je takiej niani”^[98].

Jego zwierzchnicy byli innego zdania. Czternastego marca grupa specjalistów uznała, że Nannie jest „umysłowo ograniczona i wykazuje cechy wyraźnego upośledzenia zdolności oceny sytuacji i siły woli”^[99], oraz zaleciła, aby umieszczono ją w zakładzie psychiatrycznym. Jednak przedstawiciele oskarżenia nie rezygnowali, domagając się, aby przynajmniej stanęła przed sądem z zarzutem morderstwa. Nannie została więc z powrotem przewieziona do więzienia, podczas gdy jej obrońcy oświadczyli w jej imieniu, że jest „niewinna z powodu choroby umysłowej”. Rozprawę, która miała rozstrzygnąć, czy jest zdrowa, czy nie, wyznaczono na kwiecień, przy czym wszyscy przewracali oczami na myśl o pojedynku ekspertów, zgromadzonych przez obie strony. „Przesłuchanie zapowiada się na bitwę sprzecznych ze sobą świadectw, składanych przez psychiatrów” – szydzili dziennikarze z niewielkiej gazety z Południowej Karoliny^[100].

Nannie nie podobało się, że ponownie zamknięto ją w więzieniu i chciała wrócić do swojego maleńkiego rajku w szpitalu psychiatrycznym, gdzie wszyscy znali jej imię. „Człowiek nikogo tu [w więzieniu] nie widuje, a ja lubię ludzi” – narzekała^[101]. Być może tak naprawdę chodziło jej o to, że w więzieniu nikt nie mógł jej oglądać. Zdołała mimo wszystko uwieść zza kratki dwóch kolejnych mężczyzn. Pewien „starszy kandydat do jej ręki” posunął się nawet tak daleko, że przesłał jej pocztą propozycję małżeństwa – ale Nannie podarła jego list na strzępy. „Miałam już wystarczająco wielu mężów” – oświadczyła dziennikarzom, którzy jak zwykle wyczekiwali każdego jej komentarza^[102].

Przesłuchanie stron, mające rozstrzygnąć, czy Nannie może stanąć przed sądem, okazało się chaotyczną potyczką w stylu „on powiedział, ona powiedziała”, przy czym kwestię psychicznego zdrowia Nannie, albo jego braku, obie strony odbijały między sobą niczym lotkę w badmintonie. „Pani Doss jest umysłowo upośledzona i jest obecnie obłąkana w sensie prawnym. Poza tym już od dłuższego czasu jest szalona” – grzmiał pewien doktor, zeznający po stronie obrony^[103]. Oskarżyciel syknął na to, że może od ręki przywołać pięciu psychiatrów, którzy bardzo chętnie oświadczą, że jest zdrowa, po czym zacytował fragment raportu jednego z lekarzy. „To przebiegła, sprytna, inteligentna, wyrachowana, egoistyczna kobieta, ze skłonnością do przypisywania sobie wielkiego znaczenia, w przypadku której agresywne zachowania, występujące pod wpływem frustracji, wyzwala jej wrogość wobec mężczyzn, a zwłaszcza jej mężów”^[104]. Dyrektor stanowego zakładu psychiatrycznego odnotował, że Nannie potrafi w nieskończoność „chichotać bez powodu”, po czym zapada w długie, mroczne okresy depresji^[105]. Jeśli to nie jest obłąd, to czym jest obłąd? Eksperci oskarżenia prychnęli na to z rozbawieniem. Oświadczyli, że Nannie jest socjopatką oraz „przebiegłą, wyrachowaną kobietą, która udaje obłąd, aby uniknąć krzesła elektrycznego [...] To najsprytniejszy kryminalista, z jakim kiedykolwiek rozmawiałem” – napisał jeden z lekarzy. Słyszając to ostatnie zdanie,

Nannie roześmiała się na głos^[106].

Po trzech dniach takich przepychanek członkowie ławy przysięgłych po zaledwie piętnastominutowej naradzie uznali, że Nannie Doss jest zdrowa na umyśle. Sama zabójczyni z całego serca zgadzała się z tym werdyktem. „Jestem równie zdrowa jak wszyscy” – chichotała. „I myślę, że sama najlepiej wiem, czy jestem szalona, czy nie. Nigdy, w całym moim życiu, nie czułam się bardziej zdrowa na umyśle”. Podczas ogłaszania tego werdyktu żuła gumę i uśmiechała się szeroko do fotografa, który zrobił jej zdjęcie^[107].

Oficjalny proces Nannie wyznaczono na początek czerwca, toteż wszyscy byli zaskoczeni, gdy siedemnastego maja nagle przyznała się do winy. Miała nadzieję na uzyskanie łagodniejszego wyroku i sądziła, być może, że tym nieoczekiwanym aktem zaskarbi sobie trochę wyrozumiałości przysięgłych. Niewykluczone również, że źle zrozumiała następstwa przyznania się do winy. Chciała, aby odesłano ją z powrotem do szpitala psychiatrycznego – gdzie czuła się taka wolna i popularna – i być może nie zdawała sobie sprawy z tego, że na to jest już za późno. Została oficjalnie uznana za osobę zdrową i w sytuacji, gdy przyznała się do winy, oficjalnie stała się morderczynią.

Wyrok zapadł drugiego czerwca. Oskarżyciel namawiał sędziego na karę śmierci. Nannie siedziała między dwójką swoich obrońców, żuła gumę i „miała na sobie powabną niebieską sukienkę, w sam raz na przyjęcie”^[108]. Rozprawa była krótka, ale wyrok długi – dożywocie. Powinna zostać skazana na krzesło elektryczne, ale sędzia nie mógł znieść myśli, że miałby posłać na śmierć kobietę. „W tym sądzie nigdy nie słyszano o tym, aby kobieta została skazana na śmierć za popełnienie jakiegokolwiek zbrodni w Oklahomie” – oświadczył. „Może pewnego dnia się to wydarzy [...] i mieszkańcy tego stanu z wielką niechęcią przyjmą taki bieg wydarzeń”^[109].

Po wysłuchaniu wyroku Nannie oświadczyła: „Nie czuję urazy”^[110].

Zniknięcie z nagłówków

Nannie znalazła się w więzieniu czwartego czerwca i na pewien czas zniknęła z doniesień prasowych, aż do chwili, gdy we wrześniu pewien dziennikarz przeprowadził z nią wywiad. „Myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli” – powiedziała Nannie. „Myślałam, że po prostu zniknęłam z nagłówków z gazet”. Wspomniała, że w więzieniu schudła cztery kilo, ponieważ pracowała w pralni, „a to wyczerpujące”, i uskarżała się, że jej bóle głowy się nasiliły^[111].

Nannie powiedziała także dziennikarzowi, że została „podstępnie” namówiona do podpisania oświadczenia w sprawie otrucia Dossa. Nie po raz pierwszy wspominała o spisku. Kilka miesięcy wcześniej powiedziała reporterowi z „Tulsa World”, że wrobiono ją w przyznanie się do zamordowania czterech mężów oraz że zaczerpnęła pomysł przyznania się do winy z jakiejś opowieści w czasopiśmie^[112]. Być może Nannie uświadomiła sobie, że jej sława jako morderczyni nie będzie trwać wiecznie i nie chciała już kojarzyć się z tą postacią. Wymarzyła sobie teraz lepszą wersję własnego losu: miała być niewinną członkinią „klubu samotnych serc”, wrobioną przez policję.

Poza tym jednak Nannie wydawała się całkiem szczęśliwa i nie pragnęła powrotu do dawnego życia w małżeństwie i do prowadzenia domu. „Jestem zabawna” –

oświadczyła. „Gdyby mnie teraz wypuścili, pojechałabym prosto do szpitala w Vinita i z ochotą spędziłabym tam resztę życia. To brzmi jak szaleństwo, ale wcale tak nie jest”^[113].

Nawet jeśli zakład psychiatryczny stanowił jej ostateczny ideał, Nannie uwielbiała więzienie. Miała tam wszystko, czego nie mogła dostać, żyjąc z Samem Dossem: oglądała filmy, programy telewizyjne, a nawet czasem brała udział w potańcówkach („wyłącznie dla pięćdziesięciu więźniarek”^[114]). Uwielbiała dyrektorkę więzienia, panią N.F. Whitaker, która była dla niej „po prostu jak matka”^[115]. We wrześniu Nannie miała niewielki atak serca i spędziła miesiąc w łóżku, ale poza tym przeżywała wspaniałe chwile. Żyjący członkowie jej rodziny nie odwiedzali jej w więzieniu, ale prawdopodobnie tego się właśnie spodziewała. Jak oświadczyła, w więzieniu „po prostu czuła się jak w domu”^[116].

Ale co właściwie oznaczał dom dla Nannie Doss? Nie znosiła ojca za to, że zostawił jej matkę i przyczynił się do rozpadu rodziny, po czym sama zniszczyła pięć wariantów amerykańskiego małżeństwa. Swoje zabójstwa, popełniane na mężach, pojmowała jako akt człowieka rozczarowanego miłością – głupia Nannie, zawsze trochę *zbyt* namiętnie pragnąca znaleźć księcia z bajki! – nie chciała jednak wziąć na siebie odpowiedzialności za śmierć członków rodziny. Wydaje się, że Nannie miała bardzo konkretne wyobrażenia na temat roli męża i tego, jak powinna wyglądać rodzina, i reagowała z wściekłością, gdy ludzie ją rozczarowywali, nie wywiązując się z obowiązków należycie. (Pamiętamy słowa eksperta oskarżenia – „agresywne zachowania, występujące pod wpływem frustracji, wyzwalają jej wrogość wobec mężczyzn”). Wydaje się prawdopodobne, że źródłem jej kłopotów – albo powodem tego, że się nasilały – był uraz, jakiego doznała w dzieciństwie, ponieważ liczne badania z ostatnich dziesięcioleci wiążą obrażenia płatów czołowych mózgu z większą częstotliwością wybuchów gwałtownych i niekontrolowanych zachowań społecznych^[117]. Niewykluczone także, że jej płynące z urazu, skrajne reakcje wyrastały z najwcześniejszego i największego rozczarowania drugim człowiekiem – ojciec najpierw stłumił jej dziewczęce marzenia o romansie, następnie zaaranżował małżeństwo i wreszcie wbił ostatni gwóźdź do trumny ideałów miłości, gdy porzucił jej matkę.

Ale żaden z tych aspektów jej historii nie został poddany głębszej analizie w prasie, ani wówczas, ani w następnych dekadach. Dziś Nannie wciąż jest pamiętana jako zabawna, mordercza babcia, która w więzieniu czytywała romanse i obsesyjnie starała się wymieniać kolejnych mężów na nowszy model.

Podobna postawa wobec starszych kobiet, które popełniają zabójstwo, utrzymuje się do dziś. Być może zbyt trudno pogodzić się nam z przepaścią, która wyrasta pomiędzy archetypem babci (uśmiecha się do nas spod korony siwych włosów, piecze wspaniałe ciasta i ma na podorędziu mnóstwo przynoszącej pociechę wiedzy na temat starych dobrych czasów) a archetypem mordercy (człowieka silnego fizycznie, zwykle mężczyzny, który mrocznymi ulicami podąża za swoją ofiarą albo zakrada się przez okno w sypialni). W obliczu tego konfliktu ludzie zwykle uciekają się do poczucia humoru, aby sobie jakoś z nim poradzić albo przynajmniej złagodzić dyskomfort. Jak zatytułowano niegdyś redakcyjny komentarz na temat Nannie Doss w jednej z gazet: „Babciu, ty

oszustko!”^[118].

W 2015 roku sześćdziesięcioośmioletnia Rosjanka Tamara Samsonowa została aresztowana pod zarzutem nie tylko popełnienia wielu morderstw, ale także kanibalizmu, po czym podczas przesłuchań odegrała stuprocentową Nannie, gdy posłała pocałunki sądowym reporterom. Nagłówki gazet relacjonujących jej sprawę miały w sobie coś z budzącego grozę dowcipu: nazywano ją Babcią Rozpruwacz, Piekielną Babcią albo Babcią Lecter. To zabawne przydomki, bez wątpienia, ale zbrodnie, o które ją oskarżono, są równie przerażające co zbrodnie samego Kuby Rozpruwacza. A jednak kiedy to ona je popełnia, w jakiś sposób wydają się żartem? (Zgodnie z wielką tradycją seryjnych zabójczyń, które zawsze mają coś wspólnego z kuchnią, uliczne kamery uchwyciły Samsonową w chwili, gdy niosła garnek, w którym, jak sądzono, znajdowała się głowa jej ostatniej ofiary). Albo pomyślmy o Melissie Ann Shepard, osiemdziesięcioletniej domniemanej seryjnej zabójczyni z Kanady, która w 2016 roku została potraktowana przez prasę dokładnie tak samo jak Nannie. Jeden z artykułów poświęconych jej zbrodniom zaczynał się od słów: „Wygląda jak słodka starsza pani, ale...”, podczas gdy w innym nazwano ją „zabójczynią o różowych policzkach”^[119]. Tak! W pewnym sensie to sposób opowiadania, na który nauczyliśmy się reagować śmiechem. Na przykład film *Arszenik i stare koronki* został oparty na ironii sytuacyjnej, zbudowanej wokół postaci starszej kobiety, która zabija. A przecież mówimy tutaj o odbieraniu ludziom życia i kiedy coś takiego dzieje się w prawdziwym świecie, jest to przerażające. Kanadyjska „zabójczyni o różowych policzkach” oszołomiła człowieka benzodiazepiną, a następnie dwukrotnie przejechała go samochodem. Nannie zabiła swoją matkę, choć rzekomo darzyła ją miłością. Ostatecznie to są tragedie, a nie komedie.

Musimy jednak przyznać jedno: Nannie była bystra. Wiedziała, jak wykorzystać sytuację. Miała dość sprytu, aby sobie uświadomić, że jako zabójczyni męża może schować się za tą trochę półprzytomną, chorą z miłości personą i przypuszczalnie ocalić życie. Gdyby pojawiła się w prasie jako maniakałna matkobójczyni, nigdy nie zasłużyłaby na tak wiele uwagi, jaką jej poświęcano – na chichoty z kamerzystami, na dowcipy ze strony policjantów, na słowa lekarza, który naprawdę sądził, że byłaby *świetną* nianią. (I Nannie uwielbiała ten rodzaj uwagi; Nannie, która zawsze czuła się tak kontrolowana przez mężczyzn, od swojego ojca po purytańskiego Sama Dossa). Przypominała gwiazdę reality TV, ujawniającą jedynie najbardziej sprzedawalne aspekty swojej mrocznej przeszłości. Powoli jej opowieść przekształciła się w bajkę na opak: oto kapryśna księżniczka, która nie może znaleźć tego, czego pragnie, i nieszczęśni pretendenci do jej ręki, którzy nie potrafią dać jej tego, czego ona potrzebuje.

W więzieniu Nannie zachowała swoje charakterystyczne poczucie humoru. W maju 1957 roku rzuciła: „Kiedy brakuje im ludzi w kuchni, zawsze mówię, że mogę pomóc, ale nigdy nie pozwalają, żebym tam pracowała”^[120]. Prasa, nadal pozostająca pod jej urokiem, chętnie przytaczała jej słowa. Jednak po dwóch latach spędzonych za kratkami Nannie oświadczyła pewnemu dziennikarzowi z „Daily Oklahoman”, że straciła ochotę do życia. Chciała ponownie stanąć przed sądem w Kansas albo Północnej Karolinie, gdzie także została oskarżona o morderstwo. „Może tam wysłaliby mnie na krzesło elektryczne” – powiedziała^[121].

Niestety, dalsze życie tej morderczyni, której nikt nie traktował poważnie, toczyło się bez wielkich wydarzeń. Po spędzeniu siedmiu lat w więzieniu udała, że ma kolejny atak serca, dzięki czemu przynajmniej na chwilę znalazła się za murami. (Lekarze nie zdiagnozowali u niej żadnej choroby. „Babciu, ty oszustko!”) Dokładnie w dziesiątą rocznicę wydania wyroku, drugiego czerwca – tego dnia została skazana na dożywocie – Nannie Doss zmarła na białaczkę.

Jej sława dawno już należała do przeszłości. Ludzie przestali zwracać uwagę na nią wiele lat wcześniej. Kiedy gazety doniosły o jej śmierci, w nagłówkach nazwano ją „Zabójczynią Mężów”, „Trucicielką Najbliższych” i „Zdeklarowaną Zabójczynią”, bo samo jej imię już nie wystarczało, aby przypomnieć światu, dlaczego miały się nią interesować.

Rozdział trzeci

Najgorsza kobieta na ziemi^[122]

Lizzie Halliday

Pod koniec dziewiętnastego wieku pewna kobieta o imieniu Lizzie odsiadywała we Wschodnim Stanowym Więzieniu w Pensylwanii wyrok za podpalenie. Przez pierwsze półtora roku pobytu za kratkami była wzorową więźniarką, ale na dwa miesiące przed datą wyjścia na wolność zaczęła zachowywać się dziwnie, wydawała się odrobinę rozkojarzona. Przeniesiono ją więc do zakładu psychiatrycznego, a tam lekarze potwierdzili, że jest chora umysłowo i zajmowali się nią aż do czasu, gdy miała prawo odzyskać wolność.

Lizzie wyruszyła następnie do stanu Nowy Jork, w poszukiwaniu pracy. W małym miasteczku Newburgh spotkała starszego mężczyznę, Paula Hallidaya, który rozglądał się właśnie za jakąś pomocą domową. Halliday był wcześniej żonaty, miał sześcioro dzieci, jedno z nich, chłopiec upośledzony umysłowo, nadal mieszkało z Hallidayem na jego farmie. Lizzie poinformowała go, że niedawno przybyła z Irlandii, zaledwie sześć tygodni temu. Umówili się, że będzie pracowała dla niego za czterdzieści dolarów miesięcznie.

Wkrótce Halliday uświadomił sobie, że taniej będzie poślubić Lizzie i korzystać z jej pracy za darmo niż płacić jej za służbę. W dodatku miała ona w sobie coś osobliwie uroczego – całkiem spodobał mu się pomysł, że mogłaby zostać jego żoną. Oświadczył się więc i tak rozpoczął się ich związek, choć zdaniem dzieci Hallidaya Lizzie miała na ich ojca jakiś „dziwny wpływ”^[123].

No cóż, Lizzie, niczym anioł mściciel, wiecznie prowokowała kłopoty, ale niezależnie od tego, jak straszne były nieszczęścia, które ściągnęła na swojego męża, ten nigdy jej nie opuścił. Pewnego razu, wiosną 1891 roku, Halliday po powrocie do gospodarstwa zastał stertę dymiących popiołów tam, gdzie do tej pory był jego dom. Lizzie, stojąca obok ruin, nonszalancko poinformowała go, że jego upośledzony syn właśnie spłonął w ogniu. Twierdziła, że chłopiec zginął, próbując ratować ją z płomieni. Jej opowieść okazała się dość podejrzana, gdy w rumowisku zidentyfikowano drzwi do sypialni syna i okazało się, że są zamknięte na klucz. A klucz Lizzie trzymała w dłoni.

Mimo to Halliday jej nie opuścił. Niecały miesiąc później Lizzie spaliła jego stodołę i młyn, oświadczywszy, że i tak potrzebował nowych zabudowań, a potem od niego uciekła z innym mężczyzną, szukając szczęścia w fachu koniokrada. Szybko została schwytana i wtrącona do więzienia, gdzie natychmiast zaczęła wyrwać sobie włosy z głowy i wrzeszczeć na każdego, kto tylko chciał jej słuchać. To pandemonium okazało się na tyle skuteczne, że została uniewinniona z powodu obłądu. Wysłano ją na drugą stronę rzeki Hudson, do Stanowego Szpitala dla Przystępców Chorych Psychiczenie w Matteawan.

Halliday tymczasem wydrwił postanowienie sądu. Twierdził, że Lizzie jest „całkowicie zdrowa” i „miał nadzieję, że jej obecne zachowanie zapewni jej bezkarność w stosunku do popełnionych przestępstw”^[124]. Jednak lekarze w szpitalu

psychiatrycznym byli odmiennego zdania. Zatrzymali ją tam na rok, po czym zwolnili i przekazali pod opiekę Hallidaya, uznawszy, że została wyleczona.

Małżonkowie jakoś przetrwali następny rok związku, po czym Paul Halliday nagle zniknął.

Lizzie powiedziała sąsiadom, że jej mąż wyjechał w interesach, ale niektórzy z nich w ciągu kilku poprzednich dni zauważyli jakieś podejrzane ruchy wokół farmy – niepokojące odgłosy, jakieś postaci zakradające się w nocy. Poza tym było coś dziwnego w zachowaniu samej Lizzie i sąsiedzi czuli, że nie mogą jej ufać. Pewnego dnia, gdy Lizzie nie było w domu, postanowili przeszukać teren. Nerwowo zastanawiali się, czy nie znajdą ciała.

Znaleźli dwa.

Naturalna brzydota

Lizzie Halliday urodziła się w 1860 roku jako Elizabeth Margaret McNally, w hrabstwie Antrim w Irlandii. Do stanu Nowy Jork przyjechała we wczesnym dzieciństwie z rodzicami i dziewięciorgiem rodzeństwa. Na amerykańskiej ziemi wyrosła na wybuchową, porywczą nastolatkę. „Miała tak wielką skłonność do kłótni, że rodzina wyrzekła się jej na wiele lat” – opowiadał jej brat, John. „Kiedy miała jakąś pracę, nie udawało jej się pozostać długo w jednym miejscu z powodu swojego usposobienia”^[125].

Lizzie była dziewczyną niezwykle gwałtowną, nieprzewidywalną. Pewnego razu zaatakowała swojego ojca; kiedy indziej rzuciła się wściekle na siostrę Jane. Jeśli okazywała miłość, to z równie szaloną intensywnością. Gdy po długiej nieobecności wróciła do domu i dowiedziała się, że jej ojciec niedawno zmarł, padła na jego grób i zaczęła rozgrzebywać ziemię gołymi rękami.

Była niewysoka, ale niezwykle silna i ludzie zawsze zwracali uwagę na jej muskularne kończyny, podobnie jak na jej śliczną, delikatną, irlandzką cerę. Jednak jej duży nos i szerokie czoło narażały ją na szyderstwa, a nawet wyrazy obrzydzenia ze strony nieznanomych. Jeden z sąsiadów wycedził, że Lizzie ma „odstręczającą twarz i najbardziej osobliwy nos, jaki kiedykolwiek widział”^[126]. Pewien pracodawca powiedział wręcz, że charakteryzuje ją „naturalna brzydota”^[127].

Halliday nie była wykształcona, ale cechował ją spryt i zawsze szukała jakiejś okazji do zarobku. Niestety na wielu swoich pracodawcach robiła złe wrażenie; ubierała się niekonwencjonalnie, miewała wahania nastroju i, szczerze powiedziawszy, budziła w nich lęk. Pewnego razu rzuciła nożem w młodego mężczyznę, który się z nią droczył; innym razem napluła małej dziewczynce w twarz. Kiedy jeden z pracodawców usiłował skorygować jej pomysły na pieczenie, Lizzie pobiegła z krzykiem do najbliższego sądu, twierdząc, że pracodawca ją zaatakował. Prawdę mówiąc, ciągle stawiała się w sądach. Usiłowała nawet doprowadzić do aresztowania dwóch młodych chłopców, którzy wycelowali w jej stronę lufy swoich pistoletów-zabawek. W przypiływie lepszego nastroju odwiedzała zgromadzenia Kościoła metodystycznego albo przeżywała nagłą fascynację jakimś innym ruchem religijnego odrodzenia, działającym w pobliżu.

Kiedy nie pracowała, wychodziła za mąż, a kiedy nie była zamężna, szukała kolejnych zajęć. Jako piętnastolatka poślubiła starszego mężczyznę, dezentera z armii,

który posługiwał się fałszywym nazwiskiem Ketspool Brown. Okres małżeństwa oboje spędzili, obawiając się o własne życie. Lizzie oświadczyła swojej rodzinie, że Brown chciał ją zamordować, a Brown powiedział swojemu lekarzowi: „Boję się jej; groziła, że mnie zabije”^[128]. Mieli syna – po porodzie Lizzie wpadła w spiralę depresji. Odwiedzała siostrę i uskarżała się, że nieustannie słyszy śpiewy i widzi w pokoju rozbłyskujące światła. W końcu naprawiając suknię, z igłą w ręku, zawołała: „Jaki sens ma to życie?” – i podarła ją^[129].

Po trzech latach małżeństwa Ketspool Brown zmarł na tyfus, a Lizzie wiodła dalej niespokojne życie, wychodząc za trzech kolejnych mężczyzn, z których każdy był wiele lat od niej starszy. Żadne z tych małżeństw nie okazało się szczęśliwe. Lizzie usiłowała zabić jednego z mężów filiżanką zatrutej herbaty, a kiedy indziej bez wyraźnego powodu podarła na ulicy jego pierzynę na strzępy. Jej piąty mąż, w odróżnieniu od pozostałych, był młody i przystojny, ale ich związek nie przetrwał jego wyznania: oświadczył Lizzie, że „zatłukł swoją pierwszą żonę na śmierć”^[130]. Przerażona Lizzie zabrała syna i uciekła do Filadelfii, gdzie otworzyła sklep, ubezpieczyła go, a potem spaliła, żeby zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia, zniszczywszy przy tym kilka sąsiednich domów.

Po odsiedzeniu dwuletniego wyroku we Wschodnim Więzieniu Stanowym, a następnie w szpitalu dla chorych psychicznie, Lizzie została zwolniona, a wtedy odkryła, że jej syn zniknął. „Mój chłopiec ma teraz jakieś dwanaście lat” – powiedziała później dziennikarzowi. „Nigdy nie udało mi się go odnaleźć”^[131].

Krew z serca

Kilka mil od farmy Hallidaya mieszkała rodzina sympatycznych, łagodnych ludzi. Nazywali się McQuillanowie: siedemdziesięcioczeroletni Tom, jego żona Margaret i dziewiętnastoletnia córka Sarah. Latem 1893 roku Sarah wyjechała na wakacje i dobrze się bawiła. W tym czasie, dwudziestego szóstego sierpnia, przed ich domem pojawiła się w wozie konnym jakaś kobieta i przedstawiwszy się jako pani Smith, oświadczyła, że szuka sprzątaczkę do pracy. Sarah skorzystałaby z takiej propozycji, ale właśnie wyjechała odpocząć, więc do pracy zgłosiła się Margaret. Jedna z sąsiadek uznała, że w pani Smith jest coś niepokojącego i zaczęła namawiać Margaret, żeby nie brała tej posady. Margaret nie przejęła się jej słowami i odjechała z panią Smith, wołając za sobą przekornie: „Żegnaj, gdyby się miało zdarzyć, że nie spotkamy się więcej!”^[132].

Kilka dni później rzekoma pani Smith wróciła do domu McQuillanów i w panice zaczęła opowiadać, że Margaret spadła z drabiny i rozpaczliwie pragnie widzieć się z córką. Tom McQuillan chciał sam pojechać do żony, ale pani Smith powtarzała uparcie, że Margaret koniecznie chce zobaczyć Sarah. Tak więc dziewczyna wsiadła na wóz i obie kobiety odjechały.

Kiedy minęły dwa dni, a Tom McQuillan nie miał żadnych wiadomości od żony ani córki, nabrał podejrzeń i ruszył na poszukiwanie domu pani Smith. Wkrótce zorientował się, że nieznajoma podała mu fałszywy adres i nazwisko. Gdy zaczął wypytywać o tajemniczą panią Smith, która potrzebowała kogoś do sprzątnięcia domu, nikt nie miał pojęcia, o kim mówi.

W tym czasie jeden z synów Hallidaya także zaczął podejrzewać, że stało się coś

niedobrego. Jego ojciec nie wracał do domu zbyt długo, a wytłumaczenia, podawane przez Lizzie, nie były spójne. Syn przez kilka dni obserwował ją, żeby się zorientować, co się dzieje, po czym pojechał na policję i uzyskał nakaz przeszukania domu.

Kiedy miejscowy konstabl ze swoimi ludźmi przybył do domu Hallidaya, Lizzie właśnie starała się usunąć krwawe plamy z dywanu. Widząc w bramie gospodarstwa tyłu mężczyzn, poderwała się wzburzona i zagroziła, że ich pozabija, jeśli wejdą do domu. A kiedy konstabl nie zwrócił na nią uwagi, Lizzie chwyciła deskę i z całej siły walnęła go w głowę, wrzeszcząc, że „wyrwie mu krew z serca”^[133].

Policjanci zaczęli przeszukiwać posiadłość. Dom wydawał się pusty, jednak w stodole wkrótce odkryli przerażający sekret. Pod warstwą śmieci przysypanych stertą siana znaleźli ciała Margaret i Sarah McQuillan. Obie miały związane ręce i nogi oraz głowy zawinięte w szmatę. Kobiety odniosły liczne rany postrzałowe piersi.

Początkowo Lizzie wzruszyła ramionami na widok tych przerażających dowodów i oświadczyła, że nawet jeśli coś złego stało się w jej domu, ona nie ma z tym nic wspólnego. Wkrótce jednak zaczęła zachowywać się osobliwie. Szarpała swoje ubranie, twierdząc, że chodzą po niej stonki. Później, gdy jakiś ciekawski sąsiad spytał ją o ciała odkryte w stodole, nie chciała patrzeć w jego stronę, ale gdy się odwróciła, można było zauważyć „chytre spojrzenie”^[134]. Powoli wszyscy zaczęli sobie zadawać pytanie, czy Lizzie jest szalona, czy tylko udaje, i to pytanie powtarzano sobie przez resztę jej życia.

Zwycięskie Poszukiwaczki Przygód

Lizzie została aresztowana i przewieziona do więzienia w Burlingham; w tym czasie w gospodarstwie Hallidaya kontynuowano poszukiwanie ciał. Żyjące dzieci Paula Hallidaya zamartwiały się teraz na śmierć, pełne obaw o los swojego ojca. Jeden z jego synów w końcu zwrócił się o pomoc do przyjaciela i rankiem obaj zakradli się do domu na farmie, by sprawdzić, czy policjanci czegoś nie przeoczyli. Po wejściu do kuchni zauważyli, że niektóre deski podłogowe nie pasują do siebie, postanowili więc je podważyć.

Okazało się, że ziemia pod podłogą kuchni jest świeżo poruszona i miękka. Mężczyźni przynieśli łom i zaczęli nim dźgać podłogę, aż wreszcie poczuli opór, jednak to, na co trafili, nie było twarde jak skała albo cegła. W ziemi kryło się coś miękkiego. Przerażeni, pobiegli po pomoc.

Wkrótce potwierdziły się najgorsze obawy synów Hallidaya. Lizzie pogrzebała ich ojca pod podłogą jego własnej kuchni. Ciało starego Paula Hallidaya, które znajdowało się już w stanie „zaawansowanego rozkładu”, nosiło w piersi liczne rany postrzałowe. Zmarły otrzymał też silny cios w głowę – uderzenie było tak mocne, że lewe oko wyleciało z oczodołu^[135].

Ósmego września 1893 roku Lizzie przewieziono do następnego więzienia, w Monticello w stanie Nowy Jork. Wiadomość o jej zbrodniach rozeszła się po całej okolicy i w rezultacie jej stary dom, niedaleko Newburgh, został doszczętnie rozebrany przez poszukiwaczy makabrycznych pamiątek. W Monticello setki ludzi ustawiały się na ulicach, aby obserwować jej przybycie. Lizzie pozwoliła strażnikom więziennym bez problemów zaprowadzić się do celi, ale co jakiś czas wydawała z siebie „ogłuszający

wrzask”, jak gdyby chciała „powiadomić publiczność na zewnątrz, że została uwięziona”^[136].

W więzieniu Lizzie odgrywała całe przedstawienie, co nie poprawiało jej publicznego wizerunku. Ludzie sądzili, że w swoim rzekomym szaleństwie posunęła się już trochę za daleko z tymi wszystkimi niezbornymi monologami i ogłuszającymi wrzaskami. Rozdzierała ubranie na sobie, szarpała koce na strzępy, odmawiała jedzenia i odpowiadała chaotycznie na pytania. W dodatku do większości tych szalonych wybuchów dochodziło wtedy, kiedy ktoś się jej przyglądał. Ale jeśli udało się komuś na nią zerknąć w chwili, gdy sądziła, że jest sama, okazywało się, że siedzi na łóżku, „zasepiona i zatopiona w myślach”, przedstawiając sobą obraz całkowitego zdrowia^[137]. Opinia publiczna nie mogła dojść do zgody, czy Lizzie jest szalona, czy nie? W nagłówku z dwunastego września w „New York Timesie” można przeczytać: „Pani Halliday nie jest szalona”. Z kolei siódmego listopada w tej samej gazecie: „Pani Halliday jest szalona”. Nie można było się zdecydować.

W tych czasach opinia publiczna z dystansem podchodziła do pomysłu uznania przestępcy za osobę niepoczytalną. Ludzie nazwali taki werdykt „ucieczką w szaleństwo”, przekonani, że niektórzy więźniowie udają obłąd, aby wyjść na wolność. Powszechnie uważano, że werdykt, uznający sprawcę przestępstwa za osobę niepoczytalną, jest „szeroko nadużywany” oraz że prawnicy o wątpliwej reputacji uciekają się do niego jako „ostatniej deski ratunku, pragnąc oszukać w ten sposób wymiar sprawiedliwości”^[138]. W rzeczywistości podejrzenia opinii publicznej były nieuzasadnione. „Uważa się dość powszechnie, że ucieczka w obłąd bardzo często przynosi sukces [...] ale to przekonanie jest mylne” – oświadczył doktor Carlos F. MacDonald, omawiając w 1895 roku przypadek Halliday podczas zebrania Towarzystwa Medycznego Stanu Nowy Jork. „Takie orzeczenie bywa w sposób bezzasadny proponowane w pewnej liczbie przypadków, ale powszechnie wiadomo, że rzadko okazuje się skuteczne, gdy nie ma do tego należytych podstaw”^[139].

Pewna kobieta postanowiła osobiście sprawdzić, czy Lizzie ucieka w szaleństwo. Nellie Bly była nieustraszoną dziennikarką, która już wcześniej zdobyła sławę dzięki swoim błyskotliwym śledztwom w sprawie Przytułku dla Obląkanych Kobiet na wyspie Blackwell oraz ponurego procederu handlu dziećmi w Nowym Jorku. Wykorzystała swój spory rozgłos, aby nakłonić Lizzie do udzielenia jej dwuczęściowego wywiadu na wyłączność i w październiku znalazła się w celi więziennej twarzą w twarz z potrójną morderczynią. Jak zauważyła Bly, cela była ozdobiona wydartymi z czasopism fotografiami modelek, prezentujących bieliznę, oraz zdjęciami polityków. Na parapecie okiennym leżała rozkładówka zatytułowana „Poszukiwaczki przygód, które odniosły sukces”, obok stała mała blaszana puszka pełna kwiatów^[140].

Upłynęło trochę czasu, zanim Lizzie zaczęła mówić o morderstwach McQuillanów – początkowo miała ochotę rozmawiać jedynie o stanie swoich finansów w Newburgh – jednak Bly w końcu zdołała nakłonić ją do tego, żeby się przed nią otworzyła. W pewnym sensie Lizzie uraczyła dziennikarkę obląkaną opowieścią o nocy, w której dokonano morderstw, twierdząc, że razem z Paulem Hallidayem i trójką McQuillanów popijała biber i zajadała chleb z masłem, gdy nagle, nie wiadomo jak,

ktoś ją uśpił chloroformem. A gdy Lizzie leżała bez przytomności, ta sama tajemnicza osoba zdołała zabić zarówno Paula Hallidaya, jak i obie kobiety z rodziny McQuillanów, i kiedy Lizzie się ocknęła, nie miała pojęcia, co się stało.

Bly, co rozumiała, sceptycznie podeszła do tej szalonej opowieści i spytała Lizzie, jak to się stało, że nie zauważyła w domu plam krwi i dziur po kulach, ani nawet tego, że ktoś został niedawno pogrzebany pod podłogą w jej kuchni. „Niczego nie widziałam” – odparła Lizzie spokojnie.

Lizzie już wcześniej posługiwała się tą osobliwą retoryką – przyznawała wprawdzie, że znalazła się na miejscu zbrodni, ale całkowicie wypierała się jakiegokolwiek odpowiedzialności. Kiedy w Pensylwanii została uwięziona za podpalenie, broniąc się, opisywała siebie jako ofiarę i osobę całkowicie bierną: „Ktoś wylał naftę z lampy na podłogę i przyłożył zapalniczkę. Widziałam to, ale ja tego nie zrobiłam. Nie odezwałam się słowem, bo bałam się, że sama zostanę zabita, ale leżałam w łóżku z otwartymi oczami i wszystko widziałam, co tam się stało”.

Podczas wywiadu udzielonego Bly Lizzie wspomniała o tajemniczym „gangu”, który lubił zabijać swoje ofiary, strzelając „tam, gdzie to najlepiej posłuży” – to znaczy prosto w serce. Podczas drugiego wywiadu Lizzie pominęła fragment o chloroformie, ale ponownie wspomniała o gangu, twierdząc, że kiedy popełniono morderstwa, znalazła się na zewnątrz i obserwowała wszystko przez okno. „Kobiety McQuillanów siedziały na sofie, i [jakiś człowiek] je zastrzelił” – oświadczyła. „Słyszałam, jak jedna jęknęła, kiedy została trafiona, a potem otworzyła oczy i powiedziała: «Mój Boże! Sprowadziłeś mnie tutaj, żeby mnie zamordować?»”.

Bly wiedziała, że Lizzie karmi ją samymi kłamstwami. W końcu, zirytowana, postanowiła postawić sprawę otwarcie: „Sądzę, że pani sama i bez niczyjej pomocy zabiła swojego męża i kobiety z rodziny McQuillanów, a potem ich pochowała” – oświadczyła. „Nie wierzę, że kiedykolwiek była pani obłąkana, choćby przez chwilę w swoim życiu i [sądzę], że jest pani najbardziej przebiegłą i najbardziej niezwykłą przestępczynią, jaką widział świat”.

Lizzie tylko się uśmiechnęła na te słowa.

Pragnąc wydostać od niej wyznanie, Bly naciskała dalej. „Zabiła pani czy nie?” – spytała. W więziennej celi dochodziła północ. „Innym razem. Głowa mnie boli” – powiedziała Lizzie. „Innym razem”.

Bly wstała i zabrała się do wyjścia, ale zatrzymała się w drzwiach, żeby zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie: Czy Lizzie żałuje swoich zbrodni.

Lizzie znowu się uśmiechnęła. „Bóg przyśle cię do mnie z powrotem” – oświadczyła w odpowiedzi. Bly, czując jak „mały dreszcz” przebiega po jej grzbiecie, opuściła więzienie.

„Nie zasługiwała na żadnych przyjaciół, nawet na kota”

W oczekiwaniu na proces, Lizzie zachowywała się coraz bardziej gwałtownie. Zaatakowała malutką żonę szeryfa, wyciągała stalowe zszywki z podeszew swoich ciężkich butów i zbierała je, aby użyć ich jako broni, próbowała podpalić swoją celę. Rozpoczęła także strajk głodowy. A kiedy żadna z tych czynności nie przyniosła jej

wolności, Lizzie urwała pasek materiału ze swojej sukienki i usiłowała powiesić się w drzwiach swojej celi. W chwili gdy szeryf ją odciął, oczy wyszły jej na wierzch, a jej twarz była mocno zniekształcona, ale nadal oddychała. Pięć dni po tej próbie samobójczej Lizzie rozbiła okno w swojej celi, po czym kawałkiem szkła przecięła sobie gardło i ręce w łokciach. Szeryf zastał ją, gdy siedziała na łóżku, zalana krwią. „Pomyślałam, że się potnę, żeby zobaczyć, czy będę krwawić” – powiedziała lekarzowi^[141]. Po tym wypadku przykuto ją do żelaznego pierścienia, wystającego pośrodku podłogi w celi.

Sceptycy nadal upierali się, że to wszystko było udawane. Czemu powiesiła się w drzwiach akurat w tym momencie, wiedząc, że zaraz będzie tamtędy przechodził szeryf? Inni uważali, że jej próby samobójcze były aż nazbyt realne, ponieważ Lizzie wierzyła, że wkrótce czeka ją proces. W rzeczywistości proces Lizzie został odroczonej do wiosny – a wtedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia – tyle że nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją o tym powiadomić.

Jej proces w Monticello ostatecznie rozpoczął się osiemnastego czerwca. Wychudzona, spokojna Lizzie weszła do sali sądowej, a pod gmachem ludzie ustawiali się na ulicy, mając nadzieję, że uda im się dostrzec morderczynię. Obrońca Lizzie, George H. Carpenter, zamierzał przekonać sąd, że jego klientka jest obłąkana. Oskarżyciel starał się udowodnić, że motywem, stojącym za zabójstwem obu kobiet, były pieniądze. Thomas McQuillan łkał, kiedy rozpoznał pierścionki należące do jego zamordowanej córki. Lizzie skubała swój nos tak mocno, że zrobiła w nim krwawe rany.

Obrona zasadniczo nie kwestionowała przedstawionych dowodów: tak, kule pasowały do znalezionej broni. Tak, pierścionki należały do Sarah McQuillan. Obrońcy starali się wytłumaczyć obecność plam krwi na dywanie, dowodząc, że Lizzie nie była kobietą zbyt schludną i „nie stosowała środków czystości zwykle używanych przez kobiety”^[142]. Innymi słowy były to plamy krwi menstruacyjnej, a nie „krwi z serca”. Fakt, że taka argumentacja mogła się w ogóle pojawić, daje nam pewne wyobrażenie o tym, jak opinia publiczna postrzegała Lizzie: jako osobę niecywilizowaną, niestosującą się do elementarnych zasad higieny, dziką jak zwierzę.

George H. Carpenter wiedział, że nie zdoła wykazać niewinności Lizzie, ale sądził, że być może uda mu się udowodnić, że jego klientka nie odróżniała dobra od zła. Jego argumentacja przebiegała dwutorowo: po pierwsze Lizzie Halliday była w sposób oczywisty obłąkana, po drugie jej zbrodnie nie miały żadnego motywu – co potwierdzało tylko fakt, że była szalona. Carpenter sprowadził dyrektora zakładu psychiatrycznego i trzech lekarzy, którzy potwierdzili pod przysięgą, że Lizzie jest szalona. Powołał także na świadka strażnika więziennego z czasów, gdy Lizzie próbowała swoich sił jako złodziejka koni. Strażnik oświadczył sędziom, że Lizzie miała zwyczaj wrzeszczeć w swojej celi: „Ma! Pa! Nancy!”. „Dzika jak jastrząb” – oświadczył. „Wtedy była obłąkana, jest obłąkana i dziś”^[143].

Podczas procesu liczni lekarze zaglądali do celi Lizzie, aby ją zbadać. Często zastawali Lizzie podczas rozmów z Duchem Świętym. Pewnego razu rzuciła się na nich z uniesioną pokrywą ustępu, gotowa roztrzaskać parę czaszek. Udzielała bezsensownych odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania: Ile ma lat? „Dziewiętnaście skunksów”. Gdzie mieszka? „Prałam wasze koszule”. Imię ojca? „Zabraliście mój majątek”.

„Oszukuje” – oświadczył jeden z lekarzy. „A do tego przesadza”^[144].

George H. Carpenter, broniąc swojej żalostnej klientki, namiętnie dowodził, że Lizzie nigdy nie wypowiedziała słowa w swojej obronie, przeciwnie, siedziała w sali sądowej, pogrążona w milczeniu, pozbawiona kontaktu z którymkolwiek członkiem rodziny czy przyjacielem, na oczach tłumu gapiącego się na nią, „jak gdyby była dziką bestią albo potworem”^[145]. Zaklinał przysięgłych, aby potraktowali chaotyczną naturę morderstw McQuillanów jako dowód, że ta kobieta nie wiedziała, co robi. Oskarżyciel namawiał tymczasem przysięgłych do tego, aby rozważyli raczej „skazanie podsądnej na śmierć, jako wroga społeczeństwa”^[146]. Oświadczył, że w najmniejszym stopniu nie jest obłąkana i dodał, że w życiu codziennym Lizzie Halliday potrafiła bez problemu przychodzić na umówione spotkania, karmić konia i na wiele innych sposobów funkcjonować w cywilizowanym społeczeństwie. W odpowiedzi na słowa Carpentera, że Lizzie nie ma żadnych przyjaciół, oskarżyciel rzucił: „Nie zasługuje na przyjaciół, nawet na kota”^[147].

Przysięgli po zaledwie kilkugodzinnej naradzie doszli do zgodnej opinii, że Lizzie Halliday nie jest obłąkana i uznali ją winną morderstwa pierwszego stopnia. Lizzie zasłoniła twarz chusteczką i zachowała milczenie. George H. Carpenter płakał.

Komisja do Spraw Obłądu

„Pani Halliday skazana na śmierć” – głosiły nagłówki następnego dnia. Tego ranka Lizzie weszła do sądu, powłócząc nogami, po czym stała z pustką w oczach, nie zdradzając w żaden sposób, że rozumie, co się wokół niej dzieje, gdy sędzia odczytywał werdykt: śmierć na krześle elektrycznym. Pierwszy raz w dziejach kobieta miała otrzymać taki wyrok.

W chwili gdy śmierć Lizzie stała się czymś całkowicie realnym, opinia publiczna nagle zaczęła kwestionować sprawiedliwość decyzji sądu. Nie spodziewano się krzesła elektrycznego. Wielu uznało, że taka kara jest zbyt surowa, tym bardziej że jeszcze nigdy nie widziano, aby kobieta umarła w ten sposób. W ciągu kilku dni pojawiły się głosy nawołujące do złożenia na ręce gubernatora Nowego Jorku, Roswella Pettibone Flowera, petycji, aby powołał komisję, która bardziej wnikliwie zajmie się kwestią psychicznego zdrowia Lizzie.

W lipcu gubernator Flower w końcu uległ tym nawoływaniom i powołał komisję, złożoną z trzech lekarzy, która miała przyjrzeć się dokładnie i przez dłuższy czas stanowi umysłu Lizzie Halliday. Gazety wychwalały decyzję gubernatora jako przejaw humanitaryzmu, a jednocześnie same wciąż nie potrafiły dojść do jasnego przekonania, czy zabójczyni jest, czy nie jest szalona. Obłąd wiele by wyjaśniał, skoro zabójstwo obu kobiet z rodziny McQuillanów wydawało się tak bezsensowne. Nie przyniosło Lizzie żadnej korzyści, prawie nie znała tych kobiet. Z drugiej strony, właśnie została oficjalnie uznana przez sąd za osobę zdrową psychicznie. Prości ludzie mieli jedno wyjaśnienie w kwestii stanu jej umysłu: zwyczajne zepsucie. „Brak motywu jest dla nich czymś oczywistym – pisał jeden z dziennikarzy – dlatego sięgają do teorii zdeprawowania”^[148].

Lekarze, powołani przez gubernatora Flowera, obserwowali Lizzie przez cały lipiec, kiedy czekała na swoją śmierć. Odnotowali jej przyspieszone tętno, „skrajne

wychudzenie”. Zaczynała zdradzać objawy cukrzycy i cierpiała na „szczególnie obfite krwawienia menstruacyjne”^[149]. Wtykała sobie kawałki sukienki do nosa i do uszu. Wydawała się kompletnie otepiała: nie odganiała much, które chodziły jej po twarzy; nie wzdragała się, gdy lekarze kłuli ją nożem. Nieustannie się śliniła, ciekło jej z nosa, przeklinała wszystkich wokół i bez żadnego powodu; w kółko powtarzała liczbę trzynaście, czasami twierdziła, że rzeka płynie tuż pod drzwiami jej celi. Lekarze spisali część jej chaotycznych wypowiedzi:

Złamał grzbiet moich żeber. Zaszylście we mnie tego niedźwiedzia. To wasza robota. Zaszylście ich we mnie. Złamaliście trzy moje nogi. Zrzuciliście mnie na dół z poddasza. Pokryliście mnie ostrymi gwoździami. Oni was nie chcą w swoim domu. Oni chcą odpilować mój nos. Zabierzcie ze mnie te węże. Przynieśliście je do mnie w koszyku. Zawiazaliście je wokół mnie^[150].

Lekarze przyznawali, że jest inteligentna – miała dość sprytu, aby zaplanować i przeprowadzić liczne morderstwa – ale odnotowali także, że jest niezdolna do pohamowania swoich impulsów. Uznali, że nie posiada „umiejętności dokonywania wyborów”. Nie zdaje sobie sprawy ze swoich wybuchów gwałtownej przemocy. Jeden z lekarzy nazwał to „obłędem łączącym elementy zachowań świadomych oraz powstających pod wpływem niekontrolowanych impulsów”. Czuł się głęboko urażony tym, że wcześniejsze zeznania, złożone w sądzie przez lekarza o nazwisku Mann – „tak zwanego eksperta”, który uległ „żądaniom podekscytowanej, krzykliwej opinii publicznej” – niemal doprowadziły do stracenia Lizzie na krześle elektrycznym^[151]. Jego zdaniem nie ulegało wątpliwości, że Lizzie nie potrafi kontrolować swojej głęboko gwałtownej natury.

Pozostali lekarze zgodzili się z tą opinią. Nie potrafili oświadczyć z całą pewnością, czy Lizzie rozpoznaje „naturę i konsekwencje” swoich zbrodni, ale byli zdecydowanie przekonani, że brakuje jej „umiejętności dokonywania wyboru między popełnianiem ich a niepopełnianiem”^[152]. Z tego powodu uznali ją za osobę chorą umysłową.

Po raz pierwszy ktoś wypowiedział się w sposób bardziej zniuansowany na temat stanu umysłu Lizzie i to ją uratowało. Została wysłana do stanowego zakładu psychiatrycznego dla przestępców w Matteawan, gdzie miała pozostać do końca życia.

Stanowy Szpital Psychiatryczny dla Kryminalistów w Matteawan

W zakładzie psychiatrycznym Lizzie rozkwitła. W chwili przyjazdu wykrzykiwała coś o robakach i mamrotała niespójnie, jednak dyrektorka kazała jej usiąść i powiedziała, że jeśli chce być dobrze traktowana w szpitalu, musi zachowywać się tak uprzejmie, jak tylko potrafi. Co zaskakujące, Lizzie posłuchała. Zaczęła dbać o higienę, przestała przeklinać lekarzy, a nawet wykonywała niewielkie prace. Ponieważ nadal cieszyła się pewnym rozgłosem, dziennikarze od czasu do czasu zaglądali do szpitala, żeby opisać, co się dzieje z najbardziej krwawą morderczynią w hrabstwie, i donosili, że jest teraz pochłonięta szyciem.

Ale pod koniec sierpnia 1895 roku, zaledwie kilka dni po wizycie jednego z dziennikarzy, który napisał, że Lizzie „straciła ten gwałtowny wygląd cechujący ją

w obłądziej” oraz że jest „spokojna, pracowita i zadowolona”^[153], Lizzie zaczęła układać nowy plan.

W tym okresie zaprzyjaźniła się z inną więźniarką, Jane Shannon, także osobą o morderczych skłonnościach; najwyraźniej połączyła je silna niechęć do ślicznej młodej opiekunki, która nazywała się Kate Ward. Lizzie twierdziła teraz, że jest już „całkiem zdrowa” i powinna zostać odesłana do zwykłego więzienia. Była pewna, że wszyscy pracownicy szpitala – a zwłaszcza Ward – spiskują, żeby ją zatrzymać w Matteawan^[154]. I tak pewnego dnia Lizzie i Shannon zaczęły się na Ward w łazience, gotowe przelać trochę krwi.

Lizzie, silna jak zawsze, rzuciła Ward na podłogę i wetknęła jej ręcznik do ust. Podczas gdy Shannon przytrzymywała dziewczynę, Lizzie wrywała jej włosy, drapała po twarzy i okładała z całych sił. Zanim inne opiekunki uświadomiły sobie, co się dzieje w łazience, Ward straciła przytomność. Gdyby przybyły chwilę później, z całą pewnością już by nie żyła.

Za tę napaść Lizzie została za karę zamknięta w jednoosobowej celi, ale w końcu dyrektorka pozwoliła jej wrócić do regularnego życia szpitala. Lizzie uspokoiła się, znowu zachowywała się jak należy i tak upłynęły jej kolejne lata. Po miesiącach głodzenia się w celi więziennej, w szpitalu przybrała na wadze trzydzieści kilo. W 1896 roku ciężko zachorowała na odrę, fakt skrzętnie relacjonowany przez prasę.

W 1897 roku myśli Lizzie zaczęły obsesyjnie krążyć wokół sztucznej szczęki. Chciała sprawić sobie nowe zęby, przekonana, że dzięki nim będzie wyglądała bardziej atrakcyjnie. Zaczęła więc symulować bóle zębów i opowiadać lekarzom, że jedynym lekarstwem na te dolegliwości będzie usunięcie tych, jakie jeszcze miała. Lekarze zbadali ją i stwierdzili, że jej zęby są w jak najlepszym stanie, ale Lizzie nie zaprzestała się skarżyć. Jakies sześć miesięcy później wreszcie postawiła na swoim. Zabrano ją na małą wycieczkę do miasteczka Fishkill Landing, gdzie pewien dzielny dentysta wyposażył ją w lśniący, nowy komplet zębów.

Wokół gabinetu dentysty zebrał się mały tłumek ciekawskich i gdy Lizzie pojawiła się w drzwiach, uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej bardzo zadowolona z siebie. Być może miała poczucie, że nowa szczęka stanowi oficjalne potwierdzenie społecznego awansu. Przed laty, gdy pracowała jako gospodyni domowa i uciekała od jednego męża do drugiego, trzymając małego synka na ramieniu, nie byłoby ją stać na sztuczne zęby.

Następnej jesieni grupa pensjonariuszek napisała i wystawiła w szpitalu „ekscytujący dramat wojenny”^[155]. Lizzie Halliday obserwowała przedstawienie z pierwszych rzędów. Gdy rozgrywał się jej własny dramat, nie płakała i nie powiedziała ani słowa, ale teraz, siedząc na widowni, łkała za każdym razem, gdy bohater był w niebezpieczeństwie. Prasa przytoczyła ten fakt z upodobaniem. Wyglądało tak, jakby w opowieści o losach Lizzie pojawiło się poruszające zakończenie – a nawet coś w rodzaju odkupienia.

Ostatnie zabójstwo

Nellie Wicks była jedną z najlepszych opiekunek w Matteawan. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata i już zdążyła awansować na stanowisko głównej opiekunki

oddziału kobiecego. Wicks marzyła, że pewnego dnia opuści szpital i zacznie studiować pielęgniarstwo. Jednak zwykle nie wspominała nikomu o swoich marzeniach.

Jedną z jej ulubionych pacjentek była Lizzie Halliday, która teraz była kobietą po czterdziestce. Lizzie zachowywała się tak spokojnie i wydawała się na tyle godna zaufania, że otrzymała przywileje w zakresie szycia, co oznaczało, że miała dostęp do całego koszyka materiałów: płótna, nici, nożyczek. Czasami mamrotała coś, co brzmiało jak groźba śmierci, ale wszyscy na oddziale nauczyli się ignorować jej groźby. Lizzie nigdy nie próbowała wcielić ich w życie.

Jesienią 1906 roku Wicks ogłosiła wielką nowinę: zamierzała opuścić szpital i rozpocząć studia, aby zdobyć dyplom pielęgniarki. Lizzie załamała się i błagała Wicks, żeby została w szpitalu, ale Wicks zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze. Kiedy zbliżył się dzień odjazdu, Lizzie przestała ją błagać i zaczęła jej grozić, mówiąc, że prędzej ją zabije, niż pozwoli odjechać. Jak zwykle nikt nie zwracał uwagi na groźby Lizzie, a zwłaszcza Wicks. Wiedziała, że między nią a podopieczną powstała jakaś specjalna więź i szczerze wierzyła, że Lizzie nigdy nie chciałaby jej skrzywdzić.

Tymczasem w psychice Lizzie zaczęły budzić się dawne mordercze odruchy. Pewnego ranka, gdy Wicks weszła do łazienki, Lizzie zakradła się za nią, trzymając w dłoni nożyczki, które zabrała z koszyka na materiały do szycia. Wicks zauważyła, że w pomieszczeniu jest druga osoba dopiero w chwili, gdy Lizzie mocno uderzyła ją w głowę. Gdy Wicks upadła na podłogę, Lizzie wyrwała jej klucze i zamknęła od wewnątrz drzwi łazienki. Następnie zaczęła dźgać Wicks, zadając jej ponad dwieście ciosów: w twarz, szyję oraz „tam, gdzie to posłuży najlepiej” – w serce.

Pozostali pracownicy oddziału słyszeli wrzaski Wicks, ale zanim zdołali wyłamać drzwi, było już za późno. Wicks leżała nieprzytomna i krwawiła obficie. Zmarła na kozetce dwadzieścia minut później. Nie zdążyła zostać pielęgniarką, zdobyła za to wątpliwą sławę: została pierwszą w Stanach Zjednoczonych pracownicą służby więziennej, którą zamordowano podczas pełnienia służby.

Gdy koroner spytał Lizzie, dlaczego to zrobiła, odparła: „Chciała mnie zostawić”^[156].

Najgorsza

Wracamy do starego pytania, czy Lizzie symulowała. Kiedy ponad sto lat później czyta się raport komisji do spraw zdrowia psychicznego, jego stwierdzenia brzmią wiarygodnie: Lizzie była inteligentna, sprytna i czasami zdawała sobie sprawę z tego, co robi, ale nie potrafiła opanować swoich gwałtownych zachowań. (A poza tym, bądźmy uczciwi – nawet gdyby *była* absolutnie zdrowa, udawanie obłądu przez dziesięciolecia wydaje się samo w sobie jakimś rodzajem szaleństwa).

Wydaje się jednak całkiem prawdopodobne, że Lizzie *rzeczywiście* symulowała to i owo. Najprawdopodobniej wiedziała, jak wygląda „obłąd” w oczach opinii publicznej i starała się zachowywać zgodnie z tym wyobrażeniem: histeryczne krzyki z celi więziennej, spokój, jaki ją ogarniał, kiedy sądziła, że nikt jej nie obserwuje. Wszystko to nie znaczy, że ogólna diagnoza komisji do spraw zdrowia psychicznego była błędna – w żadnej mierze nie oznacza to, że była zdrowa umysłowo! – ale wyjaśnia, dlaczego prasa

i opinia publiczna były tak rozdarte w jej sprawie. Ludzie dostrzegali jej niewątpliwą inteligencję, więc z trudem przychodziło im pogodzić się z myślą, że nie miała pojęcia, co właściwie robi, kiedy przemyślała nożyczki, aby zabić Wicks, albo kiedy zwabiła do siebie kobiety z rodziny McQuillanów, albo tak mocno walnęła Paula Hallidaya w głowę, że jego lewe oko wypadło z oczodołu. Nawet jeśli była „dzika jak jastrząb”, wiedziała, w jaki sposób popełnić morderstwo z premedytacją, i dlatego stała się tak przerażającą zagadką.

Niektórzy ludzie usiłowali wyjaśnić jej zbrodnie w znacznie bardziej seksistowskich i całkiem otwarcie niedorzecznych kategoriach – być może dlatego, że „szaleństwo” stanowi tak niejasne, budzące poczucie zagrożenia i w ostatecznym rozrachunku niezadawalające wyjaśnienie morderstwa. Byli i tacy, którzy spekulowali, że „dziki stan umysłu” Lizzie pojawiał się za każdym razem, kiedy była w ciąży, a potem wszystkie jej dzieci rodziły się martwe^[157]. Inni żywili przekonanie, że miała sekretnego kochanka, który pomógł jej zaciągnąć ciężkie ciała kobiet z rodziny McQuillanów do stodoły – ponieważ, jak twierdzili, Lizzie nie miała dość siły, żeby zrobić to samodzielnie. Jeszcze inni uważali, że Lizzie w młodości była „młodą i atrakcyjną członkinią wędrowniej grupy Cyganów” i że ziarno tej wolności w jakiś sposób wydało w jej sercu owoc przemocy^[158]. Zdarzali się nawet tacy, którzy wierzyli, że to Lizzie była Kubą Rozpruwaczem, po czym przybyła do Ameryki, aby siać spustoszenie, mordując kolejne kobiety. Kiedy ktoś wreszcie zadał jej pytanie, czy nie jest Rozpruwaczem, odparła: „Czy oni myślą, że ja jestem słoniem? Tamto zrobił mężczyzna”^[159].

Być może najbardziej mgliste wyjaśnienie zbrodni Lizzie – oprócz prostego „zepsucia” – kryło się w gazetowych nagłówkach, które pojawiały się w ślad za jej kolejnymi czynami. W druku mówiono o niej językiem przesady, w superlatywach: „Multimorderczyni”, „Supermorderczyni”, „Najgorsza kobieta na ziemi”. Lizzie stała się symbolem czegoś niewyobrażalnie strasznego, najbardziej przerażającą kobietą przełomu stulecia, jaką widziano w Nowym Jorku. Krył się za tym pewien blask oraz echo okrzyków, jakimi reklamowano eksponaty gabinetów osobliwości: „Chodźcie zobaczyć Najgorszą-kobietę-na-ziemi, wystąpi zaraz po Kobięcie-z-dwiema-głowami! Pięćdziesiąt centów za wejście!”.

Stulecie później wielki rozgłos zdobyła multimorderczyni Aileen Wuornos – jako *pierwsza* seryjna zabójczyni – co pokazuje, podobnie jak w przypadku Lizzie, siłę oddziaływania medialnej gorączki w połączeniu ze „zbiorową amnezją”, która sprawia, że losy zabójczyń są z taką intensywnością opisywane za ich życia, a następnie one same popadają w kompletne zapomnienie. Wuornos nie była pierwsza, tak jak Lizzie prawdopodobnie nie była najgorsza. Ale brzmiało to naprawdę dobrze i dzięki temu przyciągało uwagę.

Być może dlatego, że wydawała się tak bardzo zanurzona w przemocy i miała tak silne mordercze odruchy, Lizzie budziła większą nieufność w sali sądowej i wśród dziennikarzy niż inne seryjne zabójczynie, które przyznawały się do większej liczby ofiar. Lizzie mordowała, no cóż, jak mężczyzna. Większość seryjnych zabójczyń posługuje się trucizną, a nie przemocą fizyczną, i atakuje osoby sobie najbliższe. Ale nie Lizzie Halliday. Lizzie dźgała, strzelała, waliła pałką w głowę i polowała na nieznajomych. (Nic

dziwnego, że porównywano ją z Kubą Rozpruwaczem). Nawet wygląd Lizzie potwierdzał przekonanie, że w jakimś sensie była niekobieca. Nie miała w sobie nic, co wydawałoby się urocze, żadnego uwodzicielskiego szcęgółu, którego można by się ucześcić, jak to bywa w przypadku atrakcyjniejszych zabójczyń. Widziano w niej osobę toporną i dziką: dziką jak jastrząb, pozbawioną przyjaciół jak kot, pozwalającą, by krew menstruacyjna ściekała jej na dywan, niereagującą na muchy chodzące jej po twarzy. Już nie tylko istotę niekobiecą, ale, prawdę mówiąc, niehumaniczną.

I chociaż zabiła „jedyne” pięć osób (o ile nam wiadomo), to, że popełniła kolejne morderstwo już jako osoba skazana, przyczyniło się do powstania wyobrażenia Lizzie jako niereformowalnej zabójczynie, kogoś, kto *zawsze* będzie zły – najgorszy jaki może być. Nawet aparat prawa i medycyny nie zdołał uśmierzyć drzemających w jej naturze odruchów przemocy. Usiłowano ją pohamować. Nie potrafiiono jednak jej zatrzymać ani uratować, ponieważ tym, od czego musiała uciec – i nigdy uciec nie mogła – była ona sama.

Dwudziestego ósmego czerwca 1918 roku biedna, szalona, sprytna Lizzie Halliday zmarła na chorobę Brighta (kłębuszkowe zapalenie nerek). Miała pięćdziesiąt osiem lat i prawie połowę swojego życia spędziła w zakładzie psychiatrycznym. Nikt z rodziny nie zgłosił się po ciało, została więc pochowana na przyszpitalnym cmentarzu, na którym groby są oznaczone jedynie numerami. Kilkadziesiąt lat później szpital zamknięto. Po latach opisywania jej w gazetach w samych superlatywach, Lizzie leży w bezimiennym grobie, zarośniętym trawą i kwiatami.

Rozdział czwarty

Diabeł w ciele świętej^[160]

Elizabeth Ridgeway

Elizabeth Ridgeway wychowała się w dobrej, chrześcijańskiej rodzinie, ale gdzieś na swej drodze spotkała diabła. Pod koniec życia wszystkie złe uczynki przypisywała temu „przyjaznemu duchowi” – można by rzec: demonowi służącemu czarownicy – który spędzał z nią noce i szeptał jej do ucha niedobre myśli. Elizabeth niespecjalnie przejmowała się Kościołem; wolała siedzieć w domu i mieszać w swoim kociołku. Szybko się obrażała i kłamała bez wysiłku, cały czas zamartwiając się przy tym niemożnością znalezienia miłości. Ale chociaż żyła w siedemnastym wieku i prawdopodobnie informacje na jej temat zachowały się jedynie w dwóch źródłach pochodzących z tej epoki, wydaje nam się osobą zaskakująco znajomą, ze swym pomocnikiem i całą resztą.

Elizabeth urodziła się w malutkim, brytyjskim miasteczku Ibstock, w drugiej połowie siedemnastego wieku. Jej ojciec, rolnik, nazywał się Husbands. Chociaż Ipstock wydawało się sennym miasteczkiem, nie było całkiem wolne od wybuchów przerażającej prowincjonalnej przemocy, która pojawiała się nagle, nie wiadomo skąd. Kiedy wielebny Ralph Josselin, wikary z miasteczka na południu, zatrzymał się w Ipstock na noc, ze zdumieniem dowiedział się, że jakiś człowiek został właśnie zamordowany tuż pod domem, w którym Josselin spędził noc. Wstrząśnięty, zapisał w dzienniku: „Mam powód, aby dozgonnie chwalić Pana i dziękować Mu za łaskę, jaką mi okazał tego dnia”^[161].

Przemoc, Bóg i mężczyźni – to czynniki, które ukształtowały życie Elizabeth.

Flirt w siedemnastowiecznej Anglii

Elizabeth żyła w domu rodzinnym do dwudziestego dziewiątego roku życia, co oznaczało staropanieństwo na tyle zaawansowane, że mieszkańcy małego miasteczka uznali ją za „Pannę Pobożną, zwolenniczkę prezbiterian”^[162]. Ale to była tylko fasada; Elizabeth oświadczyła bowiem pewnemu kaznodziei, że „obojętnie odnosi się do Kościoła i Prywatnych Spotkań”^[163]. Miała wybuchowy temperament i bardzo szybko traciła cierpliwość, jeśli ktoś miał odmienne zdanie niż ona. Kiedy pewnego razu pokłóciła się z matką – poszło o „jakiś spór dotyczący prowadzenia domu”, a może matka skarciła ją za jakieś „inne uchybienia, które jej się [w Elizabeth] nie podobały” – córka szybko rozprawiła się z matką za pomocą trucizny.

Po śmierci matki Elizabeth prowadziła dom swojemu ojcu, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z prawdziwych przyczyn tak nagłej śmierci ukochanej żony. Spędziwszy kolejny rok w domu rodzinnym, Elizabeth uznała jednak, że pora ruszyć w świat. Potrzebowała w życiu jakiejś odmiany, a poza tym niewykluczone, że i ojciec zaczął ją irytować, ponieważ – podobnie jak niedawno zmarła matka – nabrał nagle zwyczaju mówienia jej, co ma robić. Porzuciła więc ojcowskie gospodarstwo i znalazła sobie zatrudnienie w miasteczku, pracując i żyjąc jako służąca u bogatszego człowieka.

Jej pan rzadko bywał w domu, Elizabeth cieszyła się więc pewną swobodą i chętnie podejmowała odwiedzających ją mężczyzn, których tak bardzo pożałowało jej młode, dzikie serce. A gościła ich serdecznie. Jej ulubionym sposobem na flirt były rozmowy o miłości i małżeństwie, podczas których lubiła podkreślać, że to właśnie jej rozmówca jest tym jedynym, i składała mnóstwo obietnic, których nigdy nie zamierzała dotrzymać. Wśród swoich licznych wielbicieli miała kilku faworytów: lubiła zwłaszcza Johna Kinga oraz *naprawdę* lubiła Thomasa Ridgewaya^[164]. King pracował jako służący w innym domu w Ibstock, należał zatem mniej więcej do tej samej warstwy społecznej co Elizabeth. Ale Ridgeway był krawcem, zatrudniał dwóch czeladników i jego nazwisko cieszyło się w mieście pewnym poważaniem.

Podczas gdy Elizabeth flirtowała ze swoimi zalotnikami, jednocześnie zaczęła żywić poważną urazę wobec innego służącego, pracującego w tym samym domu co ona. Zaczęło się pewnie od jakiegoś drobnego nieporozumienia, może w sprawie obowiązków domowych, ale zamiast zwrócić się ze swoją pretensją wprost do nieszczęsnego człowieka, Elizabeth dusiła w sobie gniew tak długo, że wreszcie nie mogła już wytrzymać. To było dla niej typowe – zawsze cechowała ją „zawziętość, posępne usposobienie”^[165]. W końcu zamordowała swoją matkę w równie błahych okolicznościach. Służący, który wzbudził jej irytację, był młodym człowiekiem, cieszącym się doskonałym zdrowiem. Ale kiedy pewnego ranka Elizabeth dodała mu do zupy białej rtęci^[166], zaczął się uskarżać, że nie czuje się najlepiej i kilka godzin później umarł w męczarniach.

U schyłku lata Elizabeth uświadomiła sobie, że nie może dłużej ciągnąć tej całej historii z Johnem Kingiem i Thomasem Ridgewayem na dotychczasowych zasadach. Każdy z nich najwyraźniej oczekiwał, że dziewczyna go poślubi. Zachowywała się z nimi „tak swobodnie”, że ich oczekiwania wydawały się zrozumiałe, zważywszy na społeczne obyczaje epoki^[167]. A poza tym trudno było w jakiś prosty sposób wyplątać się z tego miłosnego trójkąta, nie przyprawiając nikogo o złamane serce i nie wywołując skandalu, który oburzyłby szacowne osoby – chyba że ktoś rozstałby się z tym światem.

Elizabeth nie miała już wątpliwości, że zdecydowanie woli bogatszego i bardziej wpływowego Ridgewaya. Ale nie mogła dopuścić do tego, aby King wszystkiego się domyślił, zanim nie będzie gotowa się go pozbyć, ponieważ mógłby wpaść we wściekłość i gdyby taka była jego wola, zrujnować jej reputację. Nadal więc zwodziła Kinga za pomocą szeptów i pocałunków, dopóki nie znalazła okazji, aby „przyprawić mu piwo i w ten sposób wysłać go na tamten świat”^[168].

Biedny John King spodziewał się, że wkrótce poślubi młodą kobietę, a okazało się, że jego ukochana jest zabójczynią. Zmarł dość nieprzyjemną śmiercią – nagle i w sposób dziwaczny, zapadający w pamięć: jego krew „szczerniała”, czuł ogień palący wnętrza, w żołądku gwałtowne skurcze. Elizabeth odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie spoczął w poświęconej ziemi.

Po śmierci Johna Kinga Elizabeth spędziła całą zimę jako przykładna służąca, wiedząc, że wyglądałoby to podejrzanie, gdyby natychmiast uciekła ze swoim drugim kochankiem. Wreszcie, w piątek pierwszego lutego 1683 roku, poślubiła Thomasa Ridgewaya. Ojciec w otwartych słowach zabronił jej wychodzenia za mąż za tego

człowieka, ale Elizabeth albo nie słuchała ojcowskich napomnień, albo nie dbała o nie.
Ashby-de-la-Zouch

Pierwsze trzy tygodnie po ślubie małżonkowie spędzili we mgle „wzajemnej miłości”, a w każdym razie tak to wyglądało w oczach postronnych^[169]. Widywano nowożeńców, jak przechadzają się po targowisku w Ashby-de-la-Zouch i kupują różne rzeczy do nowego domu, zatopieni w małżeńskim szczęściu. Oczywiście, gdyby ktoś miał czas chodzić za nimi krok w krok, zauważyłby, że Elizabeth wymyka się, żeby po kryjomu kupić coś od pewnej starej wdowy – biały proszek o wartości dwóch pensów. Ale kto w owych czasach zwracał uwagę na podobne drobiazgi? Flirtująca panna była szczęśliwie zamężna, kawaler wniebowzięty, wyglądało na to, że wszystko toczy się jak najlepiej w domu Ridgewayów.

Ale Elizabeth nie była szczęśliwa. Spędziwszy rok na rozmowach pełnych aluzji do małżeństwa, teraz zrozumiała, że w ogóle nie pragnie być żoną. W głębi ducha czuła się „zawiedziona tym, że nie spełniły się jej oczekiwania wobec małżeństwa: nie potrafiła bowiem kochać swojego męża tak, jak powinna”^[170]. No cóż, nieszczęście w małżeństwie to nie jest sprawa błaha, ale Elizabeth już wcześniej zdarzało się zwracać przeciwko ludziom, którzy narazili się jej w jeszcze drobniejszych sprawach. Może Ridgeway przeżuwał obiad z otwartymi ustami. A może w czymś się z nią nie zgadzał; coś, czego Elizabeth na pewno nie potrafiła znieść. A może, kiedy już nie mogła szukać ucieczki w towarzystwie dowcipnego Johna Kinga, Elizabeth uświadomiła sobie, że Ridgeway jest straszliwym nudziarzem.

Na dokładkę wyszło na jaw, że Ridgeway wcale nie jest aż tak zamożnym, jak jej się wydawało, cieszącym się szacunkiem krawcem. Wkrótce po ślubie siostra zażądała od Ridgewaya spłaty długu w wysokości dwudziestu funtów – czyli sumy, która doprowadziłaby do całkowitego bankructwa jego samego i świeżo poślubioną żonę. I tak, zamiast wygody i prestiżu, Elizabeth nagle musiała zmierzyć się z perspektywą życia w ubóstwie i upokorzeniu. Czuła się tak udręczona tą sytuacją, że aby wyrwać się z tego nieszczęsnego związku, zastanawiała się, czy nie powinna się otruć. Jednak nie mogła nikomu się zwierzyć ze swojej udręki. Właśnie poślubiła człowieka, o którego starała się od miesięcy i okazanie niezadowolenia postawiłoby ją w bardzo złym świetle, jako osobę niewdzięczną, nieodpowiedzialną, szaloną.

Jedno można powiedzieć o niej na pewno: zawsze szukała rozwiązań. Nie minęło wiele dni, a porzuciła myśli o samobójstwie i „zamieniła swą rozpacz w pragnienie zemsty”^[171]. Był w końcu łatwy sposób na to, aby uwolnić się z nieszczęsnego małżeństwa i sama zdążyła już wypróbować jego skuteczność. Zaczekała na spokojny, niedzielny poranek, trzy tygodnie i dwa dni po ślubie, kiedy to Ridgeway wybrał się bez niej do kościoła. A gdy jej mąż oddawał się modłom, Elizabeth ugotowała mu garnek zupy i dodała odrobinę białego proszku, który kupiła w Ashby-de-la-Zouch. Kiedy Ridgeway wrócił do domu, Elizabeth z uśmiechem podała mu obiad.

Ridgeway zjadł większość posiłku, choć uskarżał się swoim młodym uczniom, że coś mu chrzęściło w zębach przy jedzeniu. Pół godziny później zaczął wymiotować. Przez wiele godzin miotał się w „wielkiej udręce”, wreszcie zmarł w mękach po północy^[172].

Jego śmierć nie wzbudziła podejrzeń. Ridgewaya pochowano, a Elizabeth została wdową – i była teraz wolna.

Krwawiące ciało

Kilka dni później nastoletni uczniowie Ridgewaya wszystko zepsuli, w każdym razie z punktu widzenia Elizabeth. Oni także zauważyli jakąś chrzęszczącą substancję na dnie miski Ridgewaya. Chłopcy podejrzewali, że to trucizna; Elizabeth z kolei zaczęła podejrzewać, że chłopcy ją podejrzewają. Postanowiła więc ich uciszyć za pomocą owsianki nafaszerowanej arsenikiem. Kiedy odmówili jedzenia, zmieniła taktykę i obiecała im, że jeśli będą siedzieć cicho, sownie ich wynagrodzi. Ale i to się nie udało: jeden z przerażonych chłopców pobiegł do krewnych Thomasa Ridgewaya z wiadomością, że Elizabeth z całą pewnością zamordowała swojego świeżo poślubionego męża.

Wiść o otruciu wkrótce dotarła do sędziego pokoju. Sir Beamont Dixey, „gentleman wielkiej roztropności i rozumu”^[173], polecił koronerowi przeprowadzenie śledztwa. Koroner skwapliwie wykopał Ridgewaya, który był już od ośmiu dni martwy, i rzucił okiem na rozkładające się ciało. Bez wątpienia Ridgewaya otruto, Elizabeth została niezwłocznie przewieziona do więzienia w Leicester.

W tym czasie niektóre sądy odwoływały się jeszcze do praktyki zwanej *ius cruentationis*, która stanowiła średniowieczną metodę ustalania winy bądź niewinności oskarżonego. Zgodnie z doktryną osoba podejrzana o morderstwo musiała dotknąć ciała ofiary i jeśli oskarżony był winny, ciało zmarłego zaczynało krwawić. Według późniejszych relacji ojciec Thomasa Ridgewaya zmusił Elizabeth, aby dotknęła gnijącego ciała męża, akt, który – zdumiewające! – „budził w niej bardzo silną odrazę”. To samo źródło utrzymuje, że kiedy ostatecznie dotknęła zwłok, „z nosa i ust trupa rzuciła się krew, równie świeża, jak gdyby właśnie został zadźgany”^[174].

W piątek czternastego marca Elizabeth, stojąc przed dwunastoosobową ławą przysięgłych, oświadczyła, że jest niewinna. Przysięgli szybko i zgodnie uznali, że otruła Ridgewaya. Została skazana na śmierć przez spalenie. Niemniej pojawiły się głosy protestu wobec surowego werdyktu, ponieważ pewne „osoby o czułym sercu”^[175] dowodziły, że świadectwo szesnastoletniego ucznia nie może być wystarczającym dowodem, aby ją skazać, sędzia jednak nie miał wątpliwości. Zamiast zgodzić się na ponowny proces, poprosił duchownego, niejakiego Johna Newtona, aby służył skazanej duchową poradą w ostatnich dniach jej życia.

Wspomniany John Newton – nie należy mylić go ze sławnym osiemnastowiecznym kaznodzieją i abolicjonistą o tym samym imieniu i nazwisku – był człowiekiem łagodnym i nieśmiałym; ożywionym przez najlepsze intencje, a do tego miotanym wątpliwościami. Zbrodnia budziła w nim przerażenie, ale traktował samą Elizabeth z wielką uprzejmością. Pragnął służyć jej poradą duchową, której tak bardzo potrzebowała, aby jej pomóc w zrozumieniu ciężaru popełnionych zbrodni i wesprzeć w przejściu z tego życia w następne.

Niestety, Elizabeth nadal z „wielką obojętnością” podchodziła do osób duchownych i nie zamierzała ułatwiać Johnowi Newtonowi jego pracy. Taka właśnie była

Elizabeth: niewzruszona wobec perspektywy śmierci, niezainteresowana nawet losem własnej duszy.

Fałszywa istota

Newton przez dziesięć dni codziennie odwiedzał Elizabeth w więzieniu, pragnąc wydobyć z niej pełne wyznanie^[176]. Ze zdumieniem przekonał się, że Elizabeth – ta płacząca kobieta, która zaklinała się w sądzie, że nigdy nikogo nie skrzywdziła – stanowi twardy orzech do zgryzienia. Z wyraźną przyjemnością fabrykowała kolejne wyznania, wymyślając skomplikowane opowieści, które miały zbić go z tropu, po czym najczęściej śmiała mu się w twarz.

Pierwsze kłamstwo, jakim go poczęstowała, dotyczyło śmierci Johna Kinga: oświadczyła, że to jej mąż, Thomas Ridgeway, zamordował Kinga całkowicie bez jej wiedzy. Powiedziała, że nie miała pojęcia, *czemu* Ridgewayowi miałyby zależeć na zabiciu Kinga, ale według jej słów, tuż przed swoją śmiercią Ridgeway krzychał w przerażeniu, że „Bóg zesłał na niego karę za zło, jakie uczynił tej zmarłej osobie”. Twierdziła nawet, świętoszkowato i nie bez ironii, że w pewnym sensie wini samą *siebie* za śmierć Kinga, ponieważ, jak powiedziała, często ukazywał się jej jego duch!

Elizabeth miała kilkoro rodzeństwa i kiedy Newton wdał się z nimi w rozmowę, szybko usłyszał od nich, że jego podopieczna kłamie. Rodzinie opowiedziała bowiem nieco inną historię o swoim byłym kochanku: nadal twierdziła, że to Ridgeway go zamordował, ale w tej wersji Elizabeth ponoć wiedziała wszystko na temat tego morderstwa i nawet je poparła. Ponieważ Thomas Ridgeway i John King byli rywalami walczącymi o jej serce, jak oświadczyła Elizabeth, łatwo zrozumieć, że nienawidzili się i Ridgeway nawet po ślubie ponoć nadal mówił o zemście na swoim nieszczęsnym przeciwniku. (Jej rodzeństwo przypuszczalnie nie zwracało większej uwagi na to, co się działo z Elizabeth, ponieważ – w wersji, jaką powtórzyli Newtonowi, nie zgadzała się kolejność zdarzeń. King nie żył już w chwili, gdy Ridgeway związał się węzłem małżeńskim z Elizabeth). „Na pewien czas udawało mi się odwozić go od tego – powiedziała Elizabeth swoim krewnym, a ci przekazali jej słowa Newtonowi – ale w końcu wyraziłam zgodę, mówiąc: «Zrób z nim co chcesz»”.

Kiedy Newton próbował skonfrontować Elizabeth z jej własnym kłamstwem, odparła świętoszkowato, że „nie ośmieliłaby się osądzać” swojego męża niezależnie od jego czynów, i odmówiła przyznania się do jakiegokolwiek winy w tej sprawie.

W tym momencie Newton był już mocno zirytowany postawą Elizabeth i przypuszczalnie wściekły na samego siebie, że uwierzył w jej opowieść o duchu. Wrócił do domu i gotował się na myśl o tej, jak pisał, „zamkniętej w sobie, głupiej, niepewnej i tak *fałszywej istocie*, z którą muszę mieć do czynienia”.

Tydzień po wydaniu wyroku śmierci na Elizabeth pojawił się kolejny świadek, który złożył zeznanie przeciwko niej. Jedną z jej sąsiadek widziała, jak Elizabeth kupowała truciznę na targowisku w Ashby-de-la-Zouch. Po tym obciążającym ją zeznaniu Elizabeth przyznała wreszcie, że kupiła truciznę, ale nie chciała powiedzieć, do czego jej użyła. Newton jeszcze raz zawitał w jej celi, pragnąc usłyszeć potwierdzenie tej wersji wydarzeń, ale wszystko, co udało mu się osiągnąć, to mgliste wykręty: nie chciała

się nawet przyznać, że poprzednio już *złożyła zeznanie* o zakupie. Duchowny wyszedł z jej celi wzburzony i oświadczył, że nie odwiedzi jej ponownie, dopóki skazana nie będzie „w lepszym usposobieniu” i sama po niego nie pośle.

Jako duchowny Newton musiał w ciągu tygodnia odwiedzić wiele osób, ale nie mógł uwolnić się od myśli o Elizabeth – nie potrafił jej rozgryźć. Wiedział, że nie jest głupia „ponieważ kiedy indziej wydawała się wystarczająco uważna i rozumna”. Może, zastanawiał się, jej milczenie wyrastało z pragnienia, aby zachować względnie nieskażoną reputację; nie chciała, aby „zamię niesławy odcisnęło się na niej jeszcze mocniej, a to za sprawą jej wyznania”. Co bardziej prawdopodobne, Elizabeth miała nadzieję na ulaskawienie. Wiedziała, że nadal są pewne osoby „o czułym sercu”, które uważają jej proces za niesprawiedliwy. Może sądziła, że jeśli zachowa milczenie, w ostatniej chwili otrzyma jakiś rodzaj ulaskawienia.

Mimo to nie potrafiła powstrzymać się od igrania z Johnem Newtonem. Przynajmniej trzykrotnie udawała, że jest gotowa wyznać przed nim wszystko i za każdym razem Newton pędził do jej celi, gdzie nieodmiennie spotykało go rozczarowanie. Jak na ironię, jeśli naprawdę miała nadzieję, że uda jej się ocalić życie, Newton mógłby okazać się jej użytecznym sojusznikiem. Mogłaby mu opowiedzieć jakąś ckliwą historię, przekonać go o swojej niewinności i błagać, aby się za nią wstawił u sędziego. Zamiast tego robiła co w jej mocy, aby go dręczyć.

Podczas jednego z takich fałszywych wyznań Elizabeth zaczęła opowiadać Newtonowi, że jest gotowa odsłonić całą prawdę i tylko prawdę, po czym wyrzuciła z siebie jeszcze bardziej szaloną historię niż wcześniej. A było to tak: w miasteczku o nazwie Hinckly żył pewien człowiek, który miał na jej punkcie obsesję, przy czym nie przestał jej pragnąć nawet po tym, jak już poślubiła Ridgewaya. Przeciwnie, człowiek z Hinckly zaczął ją prześladować i doszedł do wniosku, że aby mieć Elizabeth dla siebie, musi zabić jej świeżo poślubionego męża. I tak pewnej niedzieli, gdy Ridgeway poszedł do kościoła, ten człowiek zakradł się do domu Elizabeth i podrzucił truciznę do miski zupy. Elizabeth widziała go przy tym, ale go nie powstrzymała i bez wahania podała zatrutą zupę swojemu mężowi.

Elizabeth poinformowała Newtona, że poprzysięgła nie zdradzić imienia człowieka z Hinckly, ale jeśli Newton będzie uważnie przyglądał się widzom podczas jej egzekucji, dostrzeże tego człowieka w tłumie, „albowiem jego oblicze zdradzi jego winę”. Newton, człowiek błogosławionej niewinności, uwierzył w tę nedorzeczną opowieść i był przerażony rzekomą przysięgą Elizabeth, że nie odkryje tożsamości mordercy swojego męża. „Odsłoniłem przed nią niegodziwość tego rodzaju przysięgi – pisał – oraz to, że nie może ona w żadnej mierze czuć się związana przez taką piekielną pieczęć tajemnicy”. Jednak Elizabeth nadal odmawiała wyjawienia imienia mordercy i Newton jeszcze raz wyszedł z jej celi sfrustrowany.

Elizabeth z całą pewnością lubiła manipulować ludźmi. Doskonałym przykładem tego upodobania był dramat z udziałem Johna Kinga i Thomasa Ridgewaya: zręcznie wykorzystywała społeczne zwyczaje swoich czasów, aby tak mocno wciągnąć obu mężczyzn w matnię, że (a) obaj sądzili, że zdobyli jej serce i ją poślubią oraz (b) obaj przypłacili to życiem.

Radosny element jej manipulacji – śmianie się Newtonowi prosto w twarz, posyłanie pocałunków (czy jakikolwiek był ich siedemnastowieczny ekwiwalent) Ridgewayowi i Kingowi – wydaje się pozostawać w sprzeczności z jej samobójczymi myślami i skłonnością do pogrążania się w smutku. Jednak władza, jaką miała nad innymi ludźmi, najwyraźniej sprawiała jej przyjemność i niewykluczone, że była to jedyna rzecz, jaka naprawdę dawała jej radość. Poczucie sprawczości, jakie ogarniało ją, gdy igrała z innymi, z pewnością pomagało jej wyrwać się z objęć „zawziętego, posępnego usposobienia”, a nawet „rozpaczy”, do której miała tak wielką skłonność. Kilkaset lat później badacze podzielili psychopatki na dwie ogólne kategorie, pierwsza z nich – kobiety, które potrzebują silnych wrażeń, łatwo ulegające nudzie, pozbawione empatii i uwielbiające manipulować innymi – to nieomal idealny obraz Elizabeth^[177]. Często czuła się znużona, sfrustrowana, miała poczucie klaustrofobii i w tym nastroju mordowała osoby, które drażniły ją swoimi wymaganiami. Matka mówiła jej, co ma robić, krytykowała charakter. Jej współpracownik nie zgadzał się z nią, wkraczał w zawodowe kompetencje. John King *naprawdę* przysporzył jej kłopotów swoim irytującym zwyczajem dawania wiary jej słowom. A Thomas Ridgeway przypuszczalnie założył jej za skórę najbardziej: człowiek, który nagle zaczął panoszyć się w jej domu, czekał na nią w łóżku, mówił jej, co ma robić, oczekiwał od niej, że kiedy przyjdzie do domu z kościoła, dostanie gorącą zupę.

W innej epoce Elizabeth mogłaby wykorzystać swoją słabą odporność na nudę i pragnienie poszukiwania wrażeń jako napęd dynamicznej kariery. Ale w małym miasteczku, ze swoją reputacją najpierw Panny Pobożnej, a następnie kobiety skłonnej do flirtu, nie miała wiele okazji, aby uwolnić się od znużenia. Elizabeth z pewnością znalazła rozwiązanie, ale nie było ono zbyt przyjemne dla innych.

Następnego dnia była niedziela i Elizabeth zabrano do kościoła wraz z grupą innych przestępców. Newton wygłosił kazanie. Pochlebiał sobie, że temat posłuszeństwa ostatecznie przekonał Elizabeth do szczerego wyznania swoich grzechów. Niestety, nadal nie zamierzała mówić prawdy, mimo że zgodnie z planem następnego dnia miała umrzeć. Nie chciała także rozmawiać z Newtonem tego wieczora. Wolała pomówić z ojcem, paplając o tym, jak to człowiek z Hinckly okazał się kompletnym kłamcą. Jej ojciec zapewne musiał z przerażeniem słuchać swojej córki – kobiety bez serca, zastanawiając się, czy nie zamordowała własnej matki i czemu z taką swobodą wybucha śmiechem w obliczu śmierci.

Dopiero następnego ranka, w dniu egzekucji – poniedziałek dwudziestego czwartego marca 1684 roku – Elizabeth przyznała się. Być może ostatecznie dotarło do niej, że „musi umrzeć i że nic tego nie zmieni”^[178].

Newton, wdzięczny, że jego kłamliwa penitentka wreszcie zdecydowała się na wyznanie grzechów, zastał ją we łzach, „pogrążoną w rozmyślanie o zbliżającej się śmierci i Dniu Sądu”^[179]. Przyznała, że zabiła swojego męża, ponieważ nie potrafiła go kochać, oraz pod wpływem wstrząsu, jakim okazały się jego długi. Mówiła o swoich skłonnościach samobójczych: trzy lata wcześniej, mniej więcej w okresie śmierci matki, kupiła truciznę z myślą o tym, żeby się zabić, i ponownie zamierzała się otruć arsenikiem z Ashby-de-la-Zouch, zanim ostatecznie użyła go przeciw swojemu mężowi.

Ulotny druk, wydany w Londynie, poświęcony „najbardziej barbarzyńskiej i okrutnej morderczyni”, Elizabeth Ridgeway, przynosi znacznie barwniejszą relację o jej ostatecznym wyznaniu. W tym tekście Elizabeth rzekomo przyznaje się w rozmowie z innym spowiednikiem, że przez minione osiem lat „sypiała z przyjaznym duchem”. Ten demon najpierw skusił ją, aby otrują siebie samą, a następnie „każdego, kto ją obraził”. Elizabeth wyznała, że zawsze nosiła przy sobie truciznę, ukrytą we włosach, i że odnawiała swój zapas, ilekroć szła na targ. Przyznała się też do zabójstwa swojej matki, zabójstwa innego służącego oraz Johna Kinga, wyznała też, że zamierzała zamordować obu uczniów swojego męża.

Mimo detali na temat trucizny we włosach i demonicznych aluzji, to nie było dramatyczne zrzućenie z siebie ciężaru win, jakiego spodziewali się inni, bowiem Elizabeth „nie wydawała się bardzo swobodna w swoim wyznaniu, wspominając jedynie o tych osobach, o śmierć których ją oskarżono”. Wielu podejrzewało, że w ciągu ośmioletniej zażyłości z „przyjaznym duchem” zabiła także kilka innych osób. Jednak Elizabeth nigdy najwyraźniej nie przejmowała się aktem wyznania win i jeśli miała na sumieniu jakieś inne zbrodnie, nigdy się o tym nie dowiemy^[180].

Dziewczyna godna pożałowania

Newton wreszcie uświadomił sobie, że nigdy nie usłyszy od niej pełnego wyznania win. Elizabeth po prostu nie miała zamiaru upaść na kolana i wrywać sobie włosów,miotana przez wyrzuty sumienia. Toteż gdy opowiedział dzieje Elizabeth Ridgeway przed swoją kongregacją, tłumaczył się czytelnikom z „godnej pożałowania Formy, a także Materii” swojej opowieści. Temat był mało zachęcający – „przerażające otrucie” – i rozpaczliwie pragnął przedstawić swoim parafianom jakiś rodzaj ostatecznej pokuty. Z całych sił starał się, aby Elizabeth wydawała się osobą, która naprawdę żałuje swoich grzechów, twierdząc, że płakała podczas swojej ostatniej spowiedzi i „szczerze błagała mnie, abym wyjawiał innym [jej wyznanie] jako rzeczywistą prawdę”, ale niewiele słyhać w tym prawdziwego katharsis.

Niestety, przedstawiony przez Newtona portret Elizabeth jako, w pewnym sensie, skruszonej winowajczynie, został podważony przez poczynania samej Elizabeth w dniu jej śmierci. Władze trzymały ją w więzieniu przez większość tego dnia, mając nadzieję, że przyzna się do innych morderstw, nie powiedziała jednak ani słowa. Może bała się śmierci, ale lęk jej nie uciszył. Kiedy Newton i inny duchowny zaproponowali, że będą jej towarzyszyć w drodze na stos, rzuciła krótko, że nie potrzebuje, aby w jakikolwiek sposób wstawiali się za nią do Boga, ponieważ „potrafi czytać i modlić się równie dobrze jak oni”^[181]. Głodny wrażeń tłum czekał już, aby zobaczyć, jak Elizabeth płonie na stosie, wyrzuciwszy z siebie w ostatniej chwili jakieś wyznanie, ale ona rozczarowała wszystkich, oświadczając, że wszystko powiedziała już w więzieniu.

Zanim przyszła pora na jej egzekucję, Elizabeth musiała jeszcze oglądać śmierć dwóch braci – w ostatniej chwili starano się ją na tyle przerazić, by przyznała się do innych zbrodni. Jeden z braci otrzymał przerażającą propozycję łaski: miał zostać uwolniony, jeśli zgodzi się odegrać rolę kata zarówno wobec Elizabeth, jak i własnego brata. Mężczyzna odmówił i obaj bracia zostali powieszani razem, na oczach Elizabeth.

Relacje z ostatniego dnia Elizabeth podkreślają, że była najgorsza, najbardziej skazana złem (brzmi znajomo?). Kilka stuleci później jej zbrodnie wydają się dość nijakie. To doskonały przykład tego, jak historia przynosi ze sobą zapomnienie: z czasem, gdy coraz bardziej czujemy się przytłoczeni przez straszliwe wydarzenia naszych dni, przeszłość traci swą złowrogą siłę, staje się niemal malownicza.

Ale jeśli próbujemy dzielić zło na kategorie, możemy uznać, że Elizabeth wcale nie była „najgorsza”, pod żadnym względem. To prawda, wybuchwała gniewem, wpadała w przygnębienie, była arogancka i miewała myśli samobójcze. Szybko nawiązywała związki z mężczyznami i równie szybko kładła im kres, ale z całą pewnością nie była – jak później twierdzono – najbardziej „barbarzyńskim przykładem” przemocy i śmierci w stuleciu, w którym żyła^[182]. Nie była nawet specjalnie krwiożercza, a raczej oziębiała – niedbająca o śmierć i pragnąca, przynajmniej dwukrotnie, położyć kres własnemu życiu. Widać to w niezwyklej obojętności, z jaką odnosiła się do Johna Newtona, który zapewne był nieco irytujący, gdy co jakiś czas wpadał do jej celi i wywierał na nią presję, żeby przyznała się do winy, a jednocześnie rozpaczliwie pragnął przynieść jej jakiś rodzaj duchowego ukojenia. Kobieta, która potrafi ze śmiechem kłamać w oczy pastorowi w przeddzień swojej egzekucji, nie wydaje się typem osoby, która szczególnie bałaby się śmierci. Może rzeczywiście nosiła ze sobą we włosach truciznę.

Tuż przed śmiercią Elizabeth zaczęła jednak mówić z pewnym ożywieniem. Błagała, aby pozwolono jej najpierw zawisnąć na szubienicy, a dopiero potem spalić się w ogniu, ale władze odmówiły jej. Przywiązano ją do słupa i podpalono chrust wokół stóp. Kiedy płomienie dotknęły jej ciała, wydała z siebie przerażający krzyk i usiłowała wyrwać się z ognia. To oznaczało – niczym rodzaj łaski – że zadławiła się, ponieważ wokół szyi miała zawiązaną pętlę i dym zaczął wypełniać jej płuca. A potem, już nieprzytomna, spłonęła.

Rozdział piąty

Żmije^[183]

Raya i Sakina

W najbiedniejszej dzielnicy egipskiego miasta Aleksandria żyła raz kobieta, znana ze swego upodobania do spalania zbyt dużych ilości kadzidła. Nocą czy za dnia, dom Rayi Bint ‘Ali Hamam spowijały zawsze kłęby gęstego, słodkiego dymu. Jej sąsiedzi uważali, że to dziwne, ale mieli własne sprawy na głowie. Trzeba było prowadzić kawiarnię, uspokajać miejscowych łobuzów, unikać władz.

Chociaż Aleksandria słynęła ze swego piękna i wyrafinowania, jeśli ktoś znał Rayę albo jej młodszą siostrę Sakinę, przypuszczalnie nie miał najlepszych zamiarów. Należały one do kryminalnego półświatka: ulic pełnych zbiegów i prostytutek, pokoików pachnących haszyszem. Dzielnica, w której mieszkały, al-Labbān, stanowiła domenę ciemnych interesów, służących zaspakajaniu przyziemnych potrzeb brytyjskich wojsk okupacyjnych, i aleksandryjska elita na ogół starała się nie zwracać uwagi na przestępcze poczynania jej mieszkańców. Policja także zwykle ignorowała to miejsce. W końcu był rok 1919 i należało zająć się przede wszystkim rewolucją.

No cóż, mieszkańcy Egiptu nabrali przekonania, że po zakończeniu pierwszej wojny światowej ich kraj będzie mógł rządzić się samodzielnie, a gdy tak się nie stało, nacjonaści wzniesli bunt przeciwko brytyjskiej okupacji. W całym kraju wybuchły strajki, zamieszki, demonstracje, przez pewien czas policja bardziej zajmowała się polityką i buntownikami niż burdelmamami, prowadzącymi swój interes, czy handlarzami narkotyków. „Gdzie jest policja?” – uskarżał się dziennikarz Fikri Abaza. „Władze za bardzo skupiły swoją uwagę na szkoleniu niezliczonych zastępów tajnej policji politycznej, by wystarczyło im czasu na odpowiednie przygotowanie sił niezbędnych dla zapewnienia naszego wewnętrznego bezpieczeństwa i osobistego bezpieczeństwa obywateli”^[184].

Nie ulegało wątpliwości – przynajmniej dla tych, którzy potrafili odczytywać oznaki nielegalnych poczynań tuż przed nosem władz – że Raya i Sakina parają się jakąś podejrzaną działalnością. Ale ludzie nie mieli czasu zwracać na to uwagi, nawet jeśli zapach kadzidła z ich domu *rzeczywiście* wydawał się nieco osobliwy. Nawet jeśli *od czasu do czasu* w mieszkaniu obu sióstr rozlegał się jakiś krzyk.

Perła Morza Śródziemnego

Raya urodziła się około 1875 roku, mała Sakina przysła na świat dekadę później. Ich rodzina mieszkała w położonej na uboczu wiosce górnego Egiptu, a dzieciństwo sióstr przebiegało w sposób chaotyczny, wśród licznych obowiązków, jakie zwykle podejmują dorośli – dzieciństwo, jakie często staje się udziałem dzieci, których rodzice używają przemocy albo są nieobecni. Raya i Sakina zaznały jednego i drugiego: ojciec je porzucił, a matka, kobieta narcystyczna, nie okazywała im wiele miłości, jeśli w ogóle zwracała na nie jakąś uwagę. Dziewczęta miały starszego brata, który zwykle nie pracował. W domu

zawsze brakowało pieniędzy, więc Raya i Sakina musiały wspólnie zadbać o rodzinę, mając się najróżniejszych zajęć dla zarobienia paru groszy. Nie trzeba dodawać, że bardzo szybko stały się dorosłe.

Kiedy ich rodzina wędrowała bez celu po górnym Egipcie, dziewczęta zatrudniały się przy sprzedaży pieczonych warzyw albo jako kelnerki w kawiarniach. W końcu Sakina została prostytutką, sypiając z klientami w zamian za jedzenie. Kiedy ich skupiona na sobie matka czasami łaskawie zainteresowała się, jak pomnożyć rodzinny dochód, próbowała rabunku. Często Raya i Sakina przyłączały się do niej^[185].

Ten wędrowny tryb pozwalał im jakoś przeżyć, ale w końcu Sakina zmęczyła się życiem z dnia na dzień. Najpierw wyszła za męża, potem rozwiodła się, a następnie uciekła z domu z kochankiem. Wylądowali w mieście Tanta, rozstali się i Sakina ponownie zaczęła pracować jako prostytutka. W 1913 roku znalazła się w szpitalu, gdzie leczono ją z choroby wenerycznej, i tam spotkała drugiego męża, Aḥmada Rageba. Kiedy wyzdrowiała, oboje uciekli do Aleksandrii.

Wkrótce światem wstrząsnął konflikt, później nazwany pierwszą wojną światową. Rageb zostawił Sakinę, aby wstąpić do Armii Pracy. Kilka razy wracał do domu, ale jego wizyty nie były zbyt przyjemne: przy pierwszej okazji przekonał się, że jego żona pracuje jako prostytutka, przy drugiej odkrył, że zamieszkała z innym mężczyzną, a w końcu ta zażądała od niego rozwodu. Rageb ustąpił. W 1916 roku Sakina po raz trzeci wyszła za męża za mężczyznę, który nazywał się Muhammad ‘Abd al-‘Āl i pracował w kilku fabrykach przemysłu bawełnianego.

Bez wątplenia Sakina była kobietą odważną, nie bała się społecznych ani małżeńskich reperkusji swoich poczynań (Rageb mógł wystąpić przeciw niej na drogę sądową z powodu cudzołóstwa, ale tego nie zrobił – być może był człowiekiem łagodnych obyczajów, a może się jej bał). Zawsze chętnie, w sposób otwarty mówiła o swoim życiu seksualnym i ten fakt w połączeniu z długą historią rozwodów, romansów i ponownych małżeństw – nie wspominając o podejmowanej od czasu do czasu pracy w roli prostytutki – przyczynił się później do powszechnej opinii, że zbyt łatwo poddawała się swoim impulsom seksualnym, ze szkodą dla siebie. Innymi słowy: miała silne libido. Lub też: była pożądliva. Nabrała nawet okropnego zwyczaju picia ponad miarę, co również przyczyniło się do obrazu jej osoby jako kogoś, kto kompletnie nie potrafi nad sobą zapanować. Właściciel jej ulubionego baru zauważył, że potrafiła w ciągu jednej godziny wypić dziesięć do piętnastu kieliszków wina i nie stracić przytomności^[186].

Podczas gdy Sakina wędrowała po świecie, Raya została w domu. Ona także wyszła za męża i po śmierci męża poślubiła jego brata Hasaba Allaha – dość powszechny zwyczaj w tamtych czasach. Hasab Allah nie był specjalnie atrakcyjną partią. Miał reputację złodzieja oraz przemytnika haszyszu i wygnano go już wcześniej przynajmniej z jednego miasta. Ale Raya od dawna obracała się w świecie drobnych przestępców. Małżeństwo utrzymało się, małżonkom urodziła się córka. Ciągła zmiana miejsca zamieszkania i mężów, charakterystyczna dla Sakiny, najwyraźniej nie pasowała do jej starszej siostry. Dopiero w 1916 roku Raya i Hasab Allah postanowili zamieszkać z Sakiną w Aleksandrii. Hasab pracował dorywczo w porcie jako robotnik, Raya także znalazła dla siebie jakieś zajęcie – tak jak zawsze.

Aleksandria, perła Morza Śródziemnego, była miastem chaotycznym, kosmopolitycznym oraz uczonym, wiecznie nękanym przez ducha jej sławnej biblioteki spalonej w starożytności. Ale dla Rayi i Sakiny plaże, parki, hotele i muzea Aleksandrii mogły równie dobrze leżeć w jakimś innym mieście. Ludzie podobni do obu sióstr, przybysze z prowincji górnego Egiptu, znajdowali się w mieście w niekorzystnym położeniu: zwykle zarabiali mniej niż rdzenni mieszkańcy Aleksandrii, trudniej im było się całkowicie zasymilować z racji swojej ciemniejszej skóry i odrębnego akcentu, a do tego oskarżano ich zwykle o wszelkiego rodzaju moralne występki i charakteryzowano złośliwie za pomocą stereotypu jako ludzi „o słabym umyśle, pożądlivych, wybuchowych i mściwych”^[187].

Ale jeśli Raya i Sakina łatwo mogły zostać zaklasyfikowane jako osoby obce, nie były w tym osamotnione. Aleksandria stanowiła krainę wielkich szans dla tysięcy osób ich pokroju: niemal jedna trzecia populacji miasta skądś przybyła. Miasto było, jak ujęła to badaczka Nefertiti Takla, „porowate”; owszem, istniały granice, ale łatwo było je przekraczać. Pociągi, przybywające na tamtejszy dworzec, przywoziły robotników z całego Egiptu, w porcie roiło się od europejskich marynarzy. Główna ulica wiodła prosto z portu niczym wielka arteria w głąb uliczek al-Labbān, gdzie zarówno miejscowi, jak i przyjezdni mogli znaleźć rozpustę, jakiej tylko mogli zapragnąć.

Złote bransoletki

Siostry rozlokowały się w al-Labbān, rozejrzały się, uważnie przyglądając się sytuacji społecznej i ekonomicznej, i postanowiły, że najlepszą rzeczą, jaką mogą zrobić, będzie otwarcie domu publicznego. W końcu nadal szalała pierwsza wojna światowa, w pobliżu znajdowała się baza militarna brytyjskich wojsk okupacyjnych pełna żołnierzy, a ci żołnierze nade wszystko pragnęli kilku rzeczy: alkoholu, narkotyków i dziewcząt. Swój najlepszy interes siostry założyły tuż obok obozu, a ich dom publiczny nazywał się – tak, tak – „Obóz”. Pełni požądania, niecierplivi żołnierze zostawiali w nim mnóstwo pieniędzy. Biznes prosperował w najlepsze. Raya mówiła później, że w czasie wojny zawsze miała pieniądze w kieszeni^[188]. Sakina zdobywała dodatkową gotówkę, handlując złotem na czarnym rynku, i próbowała też otworzyć kawiarnię. Sprzedawała nawet zgniłe końskie mięso niepodejrzewającym niczego gospodyniom domowym, za co na krótko znalazła się w więzieniu^[189].

Podobnie jak wielu seryjnym zabójczyniom przed nimi, siostrom nie brakowało inwencji. Dostrzegły popyt, stworzyły podaż. W ciągu pierwszych trzech lat, jakie spędziły wspólnie w Aleksandrii, ich interesy kwitły w najlepsze. Ponadto wszystko zawdzięczały samym sobie, ponieważ obaj mężowie pracowali jako robotnicy fizyczni dla armii brytyjskiej.

Niewiele wiemy o charakterze tych mężów, ale pamiętajmy o jednym: jedna z ich prac w latach wojny polegała na znoszeniu z pola bitwy ciał zabitych żołnierzy, wynajdowaniu ich wśród powszechnej rzezi i wrzasków, wszechobecnej krwi. Kiedy wracali do swoich żon, z całą pewnością przywozili część tej traumy ze sobą^[190]. Raya na pewno wołała te okresy, gdy męża nie było w domu, choć ujmowała to w kategoriach finansowych: kiedy wracał, nie miała już pieniędzy w kieszeniach, ponieważ je zabierał.

„Obóz”, choć cieszył się popularnością, formalnie rzecz biorąc, był przedsięwzięciem działającym w ukryciu. Wprawdzie prostytutka była w Egipcie zajęciem legalnym, od 1882 roku regulowanym przez prawo, to jednak prowadzenie takiego domu publicznego mogło przyprawić o ból głowy. Wymagało wypełniania licznych dokumentów, płacenia podatków i cotygodniowych badań medycznych zatrudnionych pracownic. W dodatku oznaczało, że trzeba było otwarcie przyznać się do prowadzenia burdelu i porzucenie wszelkich nadziei na wstąpienie w szeregi przyzwoitego mieszczaństwa. Z tego powodu większość właścicieli domów publicznych i pracujących w nich kobiet wolała działać nielegalnie. Prowadząc swój interes w sekrecie, siostry mogły zatrudniać pracownice należące do nieco wyższej klasy, które prostytuowały się potajemnie, ponieważ dzięki temu mogły zachować publicznie status osób szanowanych. Te kobiety po prostu wynajmowały u Rayi i Sakiny pokoje: kiedy korzystały z pomieszczeń należących do sióstr, płaciły im połowę tego, co dostawały od klientów^[191].

Chociaż często myślimy o prostytutce jako aktywności obciążonej przymusem, w tamtych czasach praca taka była całkiem opłacalna – prawdę mówiąc, stanowiła jedno z najbardziej intratnych zajęć, na jakie mogła liczyć kobieta i nawet panie z niższej klasy średniej czasem się w nią angażowały. O dochodach, czerpanych z tej aktywności, świadczyły liczne złote ozdoby, które pracownice seksualne nosiły publicznie. Im więcej pieniędzy zarabiała, tym więcej inwestowała w coraz grubsze bransoletki; najwyraźniej strzegły w ten sposób swoich pieniędzy, trzymając je blisko, ale także podkreślały wartość swego ciała^[192]. Jeśli ktoś wybierał się do domu publicznego, pragnął spać z kobietą, która miała na sobie tak wiele złotych bransoletek, że aż pobrzękiwały, uderzając o siebie.

Może świat się ucieszył, gdy pod koniec 1918 roku pierwsza wojna światowa dobiegła końca, ale siostry nie miały powodów do radości. Mniej brytyjskich żołnierzy oznaczało mniej klientów, a mniej klientów – że prostytutki zaczynały rozglądać się za lepiej płatnymi zajęciami. Poza tym do domu wrócili mężowie Rayi i Sakiny i przejęli prowadzenie interesu, co przypuszczalnie frustrowało obie siostry, które wcześniej z radością kontrolowały środki produkcji na swój własny, sekretny sposób. Policja w końcu zamknęła „Obóz” i siostry połączyły siły z właścicielką domu, Amīną bint Mansūr, która na pierwszym piętrze budynku prowadziła kawiarnię, oferującą haszysz, podczas gdy Raya i Sakina prowadziły swój interes na drugim, kusząc klientów kawiarni, by weszli na górę. Kiedy i ten lokal został ostatecznie zamknięty przez policję, siostry przeniosły swój interes do własnych domów, co rodziło jednak pewne problemy. Z całą pewnością można było się w końcu zdenerwować, kiedy tydzień za tygodniem trzeba było starannie planować korzystanie z pomieszczeń i ciągle dochodziło do konfliktów.

W latach wojny kobiety pracujące u sióstr często mogły sobie pozwolić na kupowanie *własnej* złotej biżuterii, ponieważ interesy szły tak dobrze. Ale po wojnie wszystkim brakowało pieniędzy i teraz siostry zaczęły kupować biżuterię *dla* swoich pracownic. W rezultacie dziewczęta były u nich zadłużone, a Raya i Sakina zaczęły traktować je nie jako współpracownice, a jako służące, od czasu do czasu zmuszając je do różnych prac fizycznych, oprócz świadczenia usług seksualnych^[193]. Co gorsza, bywało, że siostry i właścicielka domu sprzedawały dziewczęta do innych domów publicznych –

wyrywając je od rodzin i kochanków po to, aby zdobyć dodatkową gotówkę.

Nie trzeba dodawać, że stosunki międzyludzkie stawały się coraz bardziej przesycone wrogością, czemu z pewnością nie pomagała obecność wielu ciemnych typów z sąsiedztwa, znanych jako *fitiwwa*, czyli kogoś pomiędzy gangsterem a Robin Hoodem. Ci ludzie ochraniaли mieszkańców i rozsądzałi spory – Raya i Sakina wykorzystywały ich do ochrony swoich klientów i uciszania sąsiadów, dbając o to, aby nikt nie wzywał policji do burdelu – ale *fitiwwa* stosowali także przemoc wobec najsłabszych członków społeczności. Znani byli z tego, że gwałcili dziewczęta i nie obawiali się nawet krzywdzić Rayi, jeśli się z nimi nie zgadzała. Dla Rayi, która w latach wojny zaznała smaku niezależności, ten nowy „model biznesowy”, zdominowany przez mężczyzn, mógł się wydawać czymś wyjątkowo obraźliwym, wręcz nie do zniesienia.

Krótko mówiąc, wszystko się zmieniało, a każdy miał nerwy napięte jak postronki. Aleksandrią wstrząsnęła rewolucja z 1919 roku: robotnicy, od sprzątaczy ulic po pracowników poczty, zaczęli strajk, na pewien okres paraliżując całą gospodarkę kraju^[194]. Miejsce starego porządku kryminalnego z lat pierwszej wojny światowej – burdele w pobliżu koszar wojskowych, czarny rynek, na którym można było sprzedawać zgniłe końskie mięso, mężowie nieobecni w domu – zajął nowy ład, przynosząc ze sobą wszystkie nieuchronne napięcia, jakie wynikają ze zmiany warty. Jednak niezależnie od osobistego rozczarowania nowym porządkiem, Raya i Sakina nie zamierzały łatwo się poddawać i podobnie jak wszyscy dostrzegły zmianę klimatu gospodarczego. Potrzebowały nowego planu.

Siedemnaście martwych dziewcząt

Pod koniec 1920 roku policja zaczęła otrzymywać skargi na przeraźliwy smród, wydobywający się z domu Rayi. Sąsiedzi zawsze uważali, że to dość niezwykle, że dom Rayi nieustannie spowijają kłęby ciężkiego, gęstego dymu z kadzidła, ale ta szybko wyjaśniała im, że ponieważ jej klienci piją i palą, używa kadzidła do zamaskowania zapachu ich rozpusty. Początkowo sąsiedzi jej wierzyli, ale w końcu poczuli coś, czego nawet kadzidło nie mogło stłumić – duszący, ciężki smród gnicia.

Na pozór bez związku z tym faktem, na początku listopada w pewnym domu w sąsiedztwie, na ulicy Makoris, trzeba było zbudować nową instalację wodną i kanalizacyjną, więc właściciele domu poprosili swojego bratanka, Ahmada, o rozpoczęcie prac budowlanych. Ahmad miał poważne kłopoty ze wzrokiem, ale śmiało zabrał się do pracy i zaczął kopać dół pod podłogą jednego z pokoiów. Wkrótce jego łopata uderzyła w coś twardego i powietrze wypełniło się ohydny smrodem. Ponieważ Ahmad widział naprawdę źle, pochylił się, aby wyciągnąć ten przedmiot z piachu – wtedy, ku swojemu przerażeniu, uświadomił sobie, że trzyma w ręku ludzkie ramię.

Policja wpadła do pokoju. (Cóż, wiedząc to, co dziś wiemy o policji, „przybyła niespiesznie” byłoby lepszym opisem). Ahmad poinformował policjantów, że ostatnią osobą, zamieszkałą w tym pokoju, była kobieta o imieniu Sakina. Opuściła go miesiąc wcześniej. W tym czasie inni policjanci zainteresowali się cuchnącym odorem, wydobywającym się z domu Rayi, a kiedy odkryli źródło tego zapachu – liczne ciała pogrzebane pod podłogą – obie siostry nagle wzbudziły powszechną ciekawość.

Nie pierwszy raz Rayę i Sakinę zaciągnięto na posterunek policji, aby złożyły zeznania. W ciągu minionego roku zdarzały się liczne wypadki zaginięcia kobiet, które świadkowie widzieli po raz ostatni w towarzystwie obu siostr, ale za każdym razem, gdy sprowadzano Rayę i Sakinę na posterunek, potrafiły one przekonać policjantów, że nie mają nic wspólnego z tymi wypadkami. Zwłaszcza Sakina zawsze była niezwykle przekonująca. Teraz w odpowiedzi na pytania dotyczące ciała znalezione pod podłogą jej dawnego mieszkania stwierdziła, że jest niewinna. Jednak kiedy policja poinformowała Rayę, że ciała znaleziono także w jej pokoju, starsza z sióstr załamała się i obie zostały aresztowane.

W sumie z działalnością sióstr powiązano siedemnaście kobiecych ciał, w tym także ciała znalezione w pokoju byłej właścicielki domu. Gazety opublikowały nawet zdjęcia przedstawiające zwłoki wystające z piachu, niemal zmumifikowane, ale nadal w widoczny sposób należące do ludzi. Na niektórych zdjęciach można rozróżnić włosy. I tym razem dziennikarze zaczęli uskarżać się na brak zainteresowania ze strony policji: „Gdzie była policja, gdy popełniono te zbrodnie? Niektóre z tych ciał zamieniły się w szkielety, co pokazuje, że ofiary zostały zamordowane dawno temu”^[195]. Stan rozkładu zwłok stanowił policzek dla ludzi, którzy wierzyli, że policja naprawdę szuka zaginionych. Jeśli te kobiety zmarły tak dawno, że ich ciała zdążyły przekształcić się w *to*, czyż nie był to widoczny dowód, że władze nie dbają o to, kto żyje i kto umiera na ulicach al-Labbān?

Uduszenie

Dwa lata wcześniej jedna z dziewcząt pracujących dla obu sióstr pojawiła się z nowym kompletem złotych bransoletek. Dziewczyna być może nie zauważyła, że Raya przygląda się jej biżuterii, ale Raya z pewnością zwróciła uwagę na złoto – nabrała obsesyjnego przekonania, że właśnie ta prostytutka zachowuje dla siebie większą część zysków, niż jej się należy. Miesiąc później dziewczyna nie żyła.

Współcześnie zbrodnie obu sióstr ujmuje się jako morderstwa popełnione pod wpływem chciwości – chodziło wyłącznie o złoto. Pamięta się Rayę i Sakinę jako złowrogie postacie, które snuły się po sąsiednich targowiskach i wypatrywały kobiet pobrządkujących kosztowną biżuterią, po czym zwabiwszy je do swoich mieszkań, częstowały ofiary winem zaprawionym narkotykami, a następnie zabijały i odzierały ich ciała z wszelkich kosztowności, nawet najcieńszej obrączki.

Prawda jest jednak taka, że nie wszystkie ofiary zostały zamordowane z powodu złota, wiele z nich zabójczynie знаły całkiem dobrze. Kobiety zginęły, ponieważ sprzeciwiły się Rayi, która prawdopodobnie decydowała kogo zabić i kiedy^[196]. Raya często czuła się udręczona przez swoje podejrzenia, żyjąc w przekonaniu, że wszyscy ją oszukują. Na przykład jedną z nielicznych ofiar grupy zabójców, która nie była prostytutką, okazała się kobieta o imieniu Zannūba, sprzedawczyni drobiu, przyjaciółka obu sióstr, która pewnego razu zajrzała do domu Rayi, aby odebrać dług, i zginęła tego samego dnia. Raya była także bezlitosna wobec pracownic, które złamały warunki umowy. Przynajmniej dwukrotnie zdarzyło się, że kiedy jedna z tych kobiet oddaliła się, nie podawszy stosownego wyjaśnienia, została zamordowana natychmiast po swoim

powrocie.

Kiedy siostry postanowiły odebrać komuś życie, proponowały nieszczęsnej ofierze kieliszek wina, zaprawionego narkotykami. A kiedy ich ofiara popadła w oszołomienie i dezorientację, siostry oraz ich mężowie (a może także *fitiwwa*) zabierali się do pracy. Najwyraźniej wypracowali skuteczny system zabijania w cztery osoby, zapewniający minimum hałasu i niewiele rozlewu krwi: ktoś wtykał ofierze wilgotną szmatę do ust, dwie inne osoby trzymały ją za ręce i nogi, czwarta dusiła ją na śmierć^[197]. (Kto dokładnie znajdował się w pokoju, gdy dochodziło do tych morderstw? Choć przesłuchano wiele osób z kręgu znajomych obu sióstr, w tym właścicielkę domu Amīnā bint Mansūr oraz licznych *fitiwwa*, w końcu sąd uznał, że morderczy szwadron składał się z sześciu osób, obu sióstr, ich mężów i dwu *fitiwwa*, o imionach ‘Urābī Hassan i ‘Abd al-Rāziq Yūsuf).

Sekcje zwłok ofiar zasadniczo potwierdziły taką wersję wydarzeń. Patolog sądowy ustalił, że wszystkie ofiary (a) były kobietami, (b) miały od dwudziestu do pięćdziesięciu lat i (c) wszystkie zmarły na skutek uduszenia się. Nie znalazł żadnych dowodów na zadawanie ran ciętych ani bicie czy uderzenie tępym narzędziem i domyślił się, że wszystkie kobiety przed uduszeniem zostały upojone alkoholem. Te wnioski potwierdziło zeznanie córki Rayi: dziewczyna opowiedziała, że widziała swojego ojca, Hasaba Allaha, jak wsypywał biały proszek do naczynia z alkoholem przed podaniem go ofiarom, a te następnie trzymały się za brzuch, cierpiąc, zanim w końcu zemdlały. Nawet Hasab Allah przyznał, że tak właśnie było.

Ale Hasab Allah oraz pozostali oskarżeni mężczyźni szybko zeszli na dalszy plan, gdy zdumiona społeczność z przerażeniem skupiła uwagę na Rayi i Sakinie, najbardziej morderczej parze sióstr, o jakiej kiedykolwiek słyszano. W oczach Egipcjan z klasy średniej te siostry były kimś więcej niż tylko kryminalistkami: stanowiły jaskrawy symbol wszelkiego zła, jakie pojawia się w społeczeństwie, w którym kobiety chodzą swobodnie po ulicach, bez zasłony na twarzy.

„I zło rozniosło się wszędzie”

Wkrótce cały kraj usłyszał o Rayi i Sakinie. Do tego momentu prasa egipska prawie nigdy nie koncentrowała uwagi na przestępstwach popełnianych przez członków klasy niższej wobec innych osób z tej klasy^[198], jednak redaktorzy dostrzegli, że ta historia jest niezwykle ekscytująca, więc opisując ją, nie nakładano na siebie żadnych ograniczeń. Mordercze siostry, które parały się seksem i przemocą? Nagłówki pisały się same.

Nawet Egipcjanie, którzy nie umieli czytać, słyszeli o Rayi i Sakinie nie tylko dlatego, że prasowe artykuły często odczytywano na głos w kawiarniach, ale także dlatego, że gazety publikowały policyjne zdjęcia sióstr – przypuszczalnie prasa egipska *po raz pierwszy* opublikowała wtedy fotografie przestępców^[199]. „Chłopcy sprzedający gazety na każdej ulicy krzyczeli: «Raya i Sakina, Raya i Sakina za piastra!»” – czytamy w kairskim tygodniku „Al-Haqa‘iq”. „I w ten sposób uczynione przez nie zło rozniosło się wszędzie, do domów i do dzieci w szkołach, do robotników w fabrykach, i do każdej dzielnicy dotarła wiadomość o tej zbrodni. A serca w ludzkich piersiach wyczuły ją, jej echo dosięgło nawet zmarłych w ich grobach”^[200].

Jednak to, że sama historia była skandaliczna i przerażająca, a tym samym

niezwykle ekscytująca, nie było jedynym powodem, który sprawiał, że wiadomość o niej rozeszła się tak szeroko. Aresztowanie Rayi i Sakiny – oraz wiadomość, że ich ofiary także były kobietami i że wiele z nich to prostytutki – zbiegło się z obawami społecznymi, dotyczącymi erozji egipskich wartości moralnych, zwłaszcza gdy odnosiło się to do zmiany ról kobiecych. W latach dwudziestych dwudziestego wieku kobiety zaczęły bowiem wkraczać w tradycyjnie męskie przestrzenie, jak targowiska, bary, kawiarnie – i to, że stawały się teraz ofiarami morderstw, zaczęto postrzegać, przynajmniej przez część opinii publicznej, jako potwierdzenie, że spotkało je dokładnie to, na co zasłużyły. Prasa obwiniała ofiary o ich własną śmierć, twierdząc, że gdyby tak bezwstydnie nie kręciły się po mieście i nie pracowały jako prostytutki, nigdy nie natknęłyby się na mordercze siostry. „Jaka siła zmusiła te kobiety, aby wchodzić do tych przybytków zepsucia i ściągać na siebie śmierć z rąk morderczyń?” – czytamy w jednym z redakcyjnych komentarzy. „Odpowiedź łatwo zrozumieć [...] to utrata przyzwoitości u niektórych kobiet i mężczyzn”^[201]. Inny komentarz kładł nacisk na moralne zepsucie ofiar: „Raya [...] wynajdywała kobiety o słabych duszach”^[202].

„Utrata przyzwoitości” to marne wyjaśnienie sensu poczynań seryjnego mordercy. Nie ulega wątpliwości, że ofiary poruszały się w świeżo powstałym, „porowatym” społeczeństwie, w którym kobiety musiały pracować, aby przetrwać, prostytutka często stanowiła najbardziej lukratywne zajęcie, po jakie mogły sięgnąć, a policja nie zwracała wiele uwagi na to, co się dzieje. To właśnie próba zachowania elastyczności w niestabilnym społeczeństwie doprowadziła je do upadku. Raya i Sakina same od lat żyły w podobnym kulturowym otoczeniu: od dzieciństwa przyzwyczajone do drobnych przestępstw, nauczyły się, w jaki sposób unikać uwagi policji, aby przetrwać, musiały nawiązywać sojusze z bardzo niebezpiecznymi mężczyznami, uciekającymi się do przemocy. Tak wyglądał świat, jaki znały, świat, który przywiódł je do popełnienia zbrodni tak straszliwych, że, jak pisano, „rzuciły cień na dwudzieste stulecie”^[203].

W obliczu obaw, związanych z mrocznym potencjałem społecznego wyzwalań się kobiet, media skoncentrowały się w mniejszym stopniu na rzeczywistych poczynaniach sióstr jako morderczyń, a bardziej na ich występnych życiu, dowodząc, że ich „chciwość i pogoń za przyjemnościami stanowiły przykład zachowań, cechujących wyłącznie kobiety, gdy wobec braku męskiego nadzoru dochodzi u nich do utraty wszelkiej kontroli”^[204]. Obserwatorzy na sali sądowej byli wstrząśnięci, gdy Raya nieustannie przeklinała, a Sakina nie stroniła od śmiałych opisów swojego życia seksualnego, z czym wiązał się wszechobecny lęk, że gdyby Raya i Sakina zostały wypuszczone na wolność, w jakiś sposób zdołałyby zdeprawować inne kobiety. Wizja dwójki sióstr jako potężnej siły deprawacji objęła swoimi mackami także teren za oceanem. Gazety w Arkansas i Wisconsin donosiły, że wśród ofiar znalazły się turystki, które „zwabiono na wycieczkę krajoznawczą”, sugerując w ten sposób, że egipskie siostry dotarły w jakiś sposób na drugą stronę Atlantyku i zapolowały na niewinne Amerykanki^[205]. Zupełnie jak gdyby status ofiary morderstwa stał się zaraźliwy – coś, czym dziewczęta mogą się zarazić od swoich rówieśnic, jak przeziębienie albo pragnienie, żeby założyć minispódniczkę.

Kiedy nie opisywano ich jako dewiantek, przejawiających zachowania „cechujące

wyłącznie kobiety”, prasa przyrównywała siostry do zwierząt: zmię, tygrysów, węży i wilków^[206]. W gazecie „Al-Rashid” opublikowano rysunek, przedstawiający Rayę jako bestię z pazurami, unoszącą się nad drżącą dziewczyną i syczącą: „Nie ma dla ciebie ucieczki przed moimi szponami”^[207]. Jeden z komentarzy redakcyjnych krzyczał: „Raya, nie jesteś człowiekiem [...] jesteś potworem z pustyni, podstępny lisem, zdradzieckim wilkiem!”^[208].

Ta retoryka okazała się zaskakująco skuteczna. Gdy po Aleksandrii rozeszła się pogłoska, że Rayę i Sakinę można oglądać w zoo, ludzie pognali, żeby zobaczyć niesławny parę, ale w klatkach znaleźli tylko zwierzęta^[209].

„Zbrodnie popełnione przez kobiety na ogół wymagają elementu miłosierdzia”

Przestępcy stanęli przed sądem w maju 1921 roku. Publiczność tłoczyła się w sali sądowej w Aleksandrii, żeby ujrzeć wydarzenie, na które sprzedawano bilety, a gazeta „Al-Ahram” na użytek głodnych sensacji czytelników każdego dnia publikowała pełen zapis protokołu z procesu. Policja patrolowała tłumy, obawiając się zamieszek, ale tego tygodnia publiczność była jednomyślna. „Nie ma nikogo, kto prosiłby o choćby odrobinę miłosierdzia dla Rayi i Sakiny oraz pozostałych członków tego gangu” – czytamy w gazecie „Al-Muqattam”^[210].

Kontrowersyjna była jednak kwestia stosownej kary za zbrodnie obu sióstr. Żadna kobieta nie została wcześniej skazana w Egipcie na karę śmierci, jednak oskarżyciel Suleiman Bek Ezzat pragnął takiego właśnie wyroku. Naszkicował pokrótce dzieje przestępstw popełnianych przez kobiety, aby wykazać, że Raya i Sakina są inne: „Po pierwsze zbrodnie popełniane przez kobiety zwykle wymagają elementu miłosierdzia i współczucia, jak choćby wtedy gdy kobiety czują się zmuszone, by zabić drugą żonę swojego męża albo gdy trują kogoś, kto je skrzywdził. Po drugie karę śmierci [niegdyś] wykonywano publicznie”. Chodziło o to, że straszny widok kobiety straconej publicznie stanowił dotąd wystarczający powód, aby unikać orzekania takiej kary. Nikt nie uważał jednak, aby Raya i Sakina zasłużyły sobie na prawo do miłosierdzia bądź współczucia – szukanie okazji do zarobku wydawało się znacznie mniej sympatycznym motywem niż zazdrość albo zabijanie w obronie własnej – a poza tym kary śmierci nie wykonywano już poza więzieniem, więc, dowodził Ezzat, wszelkie społeczne wątpliwości dotyczące skazania kobiety na śmierć, nie miały w tym przypadku znaczenia^[211].

Podczas procesu nie brakowało niejasnych oświadczeń, niekonsekwencji i chaotycznych zachowań. W pewnym momencie Sakina podczas składania zeznań pospiesznie pochłonęła ogromny posiłek, jaki przed nią postawiono, starając się być może pokazać w ten sposób, że głodzono ją w więzieniu, żeby wydobyć z niej zeznania. Dwaj *fitiwwa* wprost oświadczyli, że byli głodzeni i obrzucani wyzwiskami. Przestępcy wypierali się wszystkiego, co im zarzucono: Raya i Sakina twierdziły, że w chwili popełnienia morderstw nie było ich na miejscu zbrodni, *fitiwwa* dawali wyraz swojej niewinności; Raya i Sakina wskazywały na *fitiwwa*; mężowie oświadczyli, że *fitiwwa* nie kiwnęły palcem. obrońcy nie mieli wielkiego pola manewru i najczęściej po prostu usiłovali przerzucać brzemień winy z jednego oskarżonego na drugiego – to nie Raya, ale Sakina; nie Sakina, ale Hasab Allah, i tak dalej, w kółko.

Pojawili się świadkowie, składający mrozące krew w żyłach zeznania. Jedna z sąsiadek oświadczyła, że widziała, jak obaj mężowie przyprowadzili do domu Sakiny Zannūbę, nieszczęsną sprzedawczynię drobiu. Słyszała, że cała grupa przez wiele godzin piła i zabawiała się, ale o świcie dobiegł ją przerażający krzyk. „Kiedy rankiem spytałam o to Sakinę, powiedziała, że to nic takiego” – oświadczyła sąsiadka. Inny świadek wyjaśniał, że Zannūba „wiedziała za dużo o ich działalności [...] Zabili, aby uciszyć ją raz na zawsze”^[212].

Chociaż sędziowie ostatecznie uznali, że Raya i Sakina nie były sprawczyniami zbrodni, a jedynie winne współnictwa, nie zmniejszyło to ich wyroku. Podobno Ezzat słyszał, jak Sakina mówi, że zamierza za piętnaście albo dwadzieścia lat wyjść na wolność, a wtedy znowu zacznie pracować jako prostytutka. Przedstawiając tę informację w sądzie, Ezzat zażądał, aby sędzia „uwolnił społeczeństwo od tych dwu zdeprawowanych jego członków”^[213].

I tak właśnie sąd postąpił. Kiedy sędzia ogłosił wyrok skazujący sześcioro podsądnych na karę śmierci: Rayę, Sakinę, obu mężów i obu *fitiwwa*, na sali sądowej zapanowało trwające piętnaście minut prawdziwe pandemonium^[214]. Ustanowiono przy tej okazji precedens: wobec kobiet postępujących bezlitośnie sądy będą bezlitosne.

Rzeczy, których nawet mężczyźni nie potrafią zrobić

Rankiem dwudziestego pierwszego grudnia 1921 roku strażnicy wyprowadzili Sakinę z jej celi. Miała ręce skute kajdanami.

„Pozbieraj się” – powiedział jeden ze strażników. „Bądź silna”.

Słyszac te słowa, Sakina odwróciła się do niego: „Jestem silną kobietą” – warknęła. „Jeśli dałam sobie radę do tej pory, dam sobie radę i teraz”.

Czego byśmy nie mówili o Sakinie, z pewnością wiedziała, kim jest. „Bądź silna?” A kim była Sakina, jeśli nie silną kobietą? Pracowała straszliwie jako dziecko. Wyruszyła z domu w świat, zanim jej siostra zebrała w sobie dość odwagi, aby pójść jej śladem. Zażądała rozwodu. Sprzedawała gnijące końskie mięso, aby przeżyć. Umiała zachować milczenie na posterunku policji, gdy jej starsza siostra załamała się i wszystko wyznała.

Gdy usłyszała te słowa pouczenia ze strony strażnika, coś musiało się w niej głęboko poruszyć, ponieważ w ostatnich chwilach mówiła nieustannie. „Mordowałam!” – wołała, kiedy odczytywano jej wyrok śmierci. „Mordowałam, ale to jest w porządku, skoro umiałam oszukać władze al-Labbān”. (Według innej relacji mówiła: „Zwodziłam policję”). Kiedy przekazano ją w ręce kata, krzyknęła: „To jest miejsce, w którym stają silni ludzie, ja jestem silną kobietą i robiłam rzeczy, których nawet mężczyźni nie potrafią zrobić”.

W tym epickim, końcowym monologu słycać namiętność i wyzywającą odwagę. I kiedy prasa opublikowała jej słowa, Sakina – dziwka, pijaczka, deprawatorka szanujących się kobiet – nagle zaczęła wyglądać jak jakaś bohaterka walki z establishmentem. W końcu to właśnie dość długo robiła: zwodziła policję, niewnikającą zbyt w życie jej dzielnicy; wielokrotnie przyprowadzano ją na posterunek, na kolejne przesłuchanie, i za każdym razem udało jej się przekonać policjantów, żeby puścili ją wolno. Może nawet upiekłoby się jej także ostatnim razem, gdyby nie siostra. Teraz

media, co prawda niechętnie, ale patrzyły na Sakinę z pewnym podziwem. Gazeta „Al-Ahram” wręcz wychwalała ją jako „jedną z najbardziej szalonych i najodważniejszych osób, jakie stanęły na szafocie”^[215].

Po wykonaniu wyroku obie siostry niemal natychmiast stały się częścią publicznej mitologii. Sześć miesięcy po ich śmierci pewna grupa wędrownych aktorów wystawiła sztukę poświęconą obu siostram, oświadczając przy tej okazji, że jednym z jej podstawowych motywów jest „gniew kobiet”^[216]. Pojawiły się kolejne utwory, komentarze sławnych współczesnych pisarzy, książki, filmy, program telewizyjny z 2005 roku. Film z 1953 roku, zatytułowany *Raya and Sakina*, przedstawia bitwę między heroicznymi policjantami a niegodziwymi siostrami, które – w filmie – zostały schwytane, zanim udało im się zabić ponownie. Film w niczym nie przypominał prawdziwej historii sióstr, która stawiała w dość surowym i mało pochlebnym świetle działalność aleksandryjskiej policji. „Gdzie była policja? Jak coś takiego mogło się wydarzyć w dwudziestym wieku?” – komentował jeden z dziennikarzy, powtarzając żalobny refren, jaki towarzyszył sprawie od początku do końca^[217].

(Coś takiego rzeczywiście wydarzyło się w dwudziestym wieku ponownie, zaledwie dwanaście lat po śmierci Rayi i Sakiny. W 1933 roku pojawiła się inna para sióstr zabójczyń, wywodzących się z nizin społecznych Francji. Dwie siostry Papin także miały ciężkie dzieciństwo i matkę, która je biła. Kiedy brutalnie zamordowały dwie osoby, należące do klasy średniej, one także stały się osobliwym symbolem rewolucyjnego buntu przeciw burżuazji. Niestety, dla biednego dziennikarza – dwudziesty wiek okazał się jeszcze gorszy).

Dziś, gdy od czasów Rayi i Sakiny dzieli nas sto lat przemocy, można poczuć pokusę, aby wpatrując się w ich policyjne portrety, szukać jakiegoś przebłysku osobowości, skrywanych myśli czy nawet zagadki serca bez litości. Po ich śmierci poeta i krytyk literacki, Abbās Mahmūd al-Aqqād, ostrzegał obserwatorów przed takimi skłonnościami. W twarzach Rayi i Sakiny nie było nic barbarzyńskiego, napisał, nic, co wołałoby wielkimi literami: „morderczynie”. Jeśli ktoś dostrzegał zło w ich twarzach, to była jedynie projekcja.

Ale nawet sam poeta padł ofiarą błędu, przed którym usiłował przestrzegać opinię publiczną, przyznając, że w ich twarzach odbija się pewien stopień „nieczułości”, choć „nieczułość ze samej swej natury nie narzuca się w spojrzeniu”^[218]. Widzicie? Nie sposób nie patrzeć, i widzimy tam to, czego szukamy. Ze zdjęć obie siostry rzucają nam zawsze to samo spojrzenie: wyzywające, pełne lęku i gniewu.

Twarze obu sióstr – i wszystko co projektujemy na te twarze – nadal budzą w ludziach przerażenie. Nawet imiona, jakie nosiły obie siostry, straciły popularność wśród młodych egipskich rodziców. „Raya, Sakina”, te słowa stały się synonimem zła. Turyści snują się po al-Labbān, aby wpatrywać się w dom, który być może do nich należał^[219]. W ten sposób ich mit żyje dalej, wśród ulic, na których prowadziły swoje ciemne interesy, kryjąc się za plecami innych, nieustająco zagrażając szanowanym kobietom, które idą przed siebie, nie mogąc uniknąć zerkania w stronę cienia. Nawet po śmierci obie siostry zachowały swoją władzę. Co pewien czas jakaś zirytowana matka mówi swojej córce, że jeśli nie zacznie się zachowywać jak należy, przyjdą po nią Raya

i Sakina^[220].

Rozdział szósty

Nieszczęsna kobieta^[221]

Mary Ann Cotton

Powiada się, że Kuba Rozpruwacz był pierwszym angielskim seryjnym zabójcą, ale mówi się tak tylko dlatego, że o innych zapomniano.

Jakieś czterdzieści lat przed Rozpruwaczem przez Anglię przetoczyła się straszliwa fala morderstw. Osobom, które dopuściły się tych zbrodni, brakowało jednak niepokojącej, krwawej charyzmy Rozpruwacza – zabijał prostytutki, a potem szydził z policjantów, przysyłając im nerczkę albo dwie – i dlatego nie zapisały się tak mocno w naszej pamięci. Sprawcami tych morderstw były osoby ubogie, z rozpaczą przemierzające kraj w poszukiwaniu jakiejś pracy. Zabijały, aby zagarnąć ubezpieczenie na życie albo żeby mieć o jedno mniej do wykarmienia. Zwykle je łapano. Były to kobiety.

Kiedy w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku w Anglii nastąpił okres wielkiego głodu, uwaga opinii publicznej na krótko skupiła się na przestępstwach popełnianych przez kobiety. Kryzys z 1839 roku doprowadził do zastoju w przemyśle jedwabniczym, bawełnianym i wełnianym i w całym kraju zapanowała stagnacja gospodarcza. W tym okresie niektóre kobiety, zdecydowane na wszystko, zaczęły zabijać, traktując morderstwo jako brutalny sposób na przetrwanie. Przynajmniej dziewięć z nich skazano jako seryjne morderczynie^[222]. Znalazła się wśród nich Sarah Dazley, „kobieta Sinobrody”, która zgładziła wielu swoich mężów, a także Mary Milner – trująca swoich krewnych. Gospodarka w końcu zaczęła powoli podnosić się z kryzysu, ale kobiety nadal mordowały, jak choćby Catherine Wilson, pielęgniarka, która swoim pacjentom zamiast lekarstwa podawała dawkę kwasu siarkowego. W latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku do tego morderczego siostrzeństwa dołączyła pewna śliczna młoda kobieta. Nazywała się Mary Ann Cotton i nie potrafiła spokojnie znieść tego, że ktoś staje jej na drodze.

Nawet jeśli takie rzeczy zdarzały się wcześniej, to nie znaczy, że jej zbrodnie mniej szokują. A poza tym, ta dziewczyna była jeszcze nawet gorsza.

Śliczne czarne oczy

Mary Ann Cotton, z domu Robson, urodziła się w 1832 roku. Jej nastoletni rodzice byli biedni i często zmieniali miejsce zamieszkania, w zależności od tego, gdzie jej ojciec, górnik, zdołał znaleźć pracę. Mary była wyjątkowo ładnym dzieckiem i prawie sto lat później pewna wiekowa sąsiadka nadal pamiętała jej „śliczne czarne oczy”^[223]. Mimo śmierci młodszej siostrzyczki, a potem ojca, który wpadł do szybu kopalni i zginął na miejscu, gdy miała dziewięć lat, Mary Ann opisywała później swoje wczesne dzieciństwo jako „dni radości”^[224]. Nie musiała się wtedy martwić o obowiązki, które prześladowały ją przez resztę życia: małżeństwo, macierzyństwo i gonienie za groszem.

Niemniej, po śmierci ojca wszystko się zmieniło i Mary Ann musiała odtąd pomagać w utrzymaniu rodziny. Pracowała ciężko jako wykwalifikowana siła robocza,

jako nastolatka była nauczycielką w szkółce niedzielnej, krawcową oraz pokojówką zatrudnioną u pewnej bogatej rodziny. Ta ostatnia posada dała Mary Ann okazję, by przyjrzeć się dostatniemu życiu, luksusom, jakie można mieć za pieniądze, i to doświadczenie zmieniło ją na zawsze. W dorosłym życiu nigdy nie była bogata, ale zawsze lekką ręką wydawała pieniądze na sprzętaczki. W świecie zdominowanym przez dojmujące ubóstwo, fatalne warunki sanitarne i szalejące choroby, czerpała wielką pociechę ze świadomości, że co pewien czas jakaś dziewczyna zajdzie do jej domu i uklęknie, żeby wyszorować podłogi.

Kiedy Mary Ann miała dziewiętnaście lat, poślubiła człowieka, który nazywał się William Mowbray. Ceremonia ślubna odbyła się dwanaście mil od jej domu rodzinnego, prawdopodobnie dlatego, że Mary Ann była już w ciąży i chciała uniknąć skandalu. Na ślubie nie było przyjaciół ani członków rodziny. To była pierwsza z wielu podobnych ceremonii, podczas których Mary Ann stała przed ołtarzem w ciąży i wokół siebie nie miała nikogo oprócz człowieka, z którym wstępowała w związek.

Mogłoby się wydawać, że małżeństwo uwolni ją od ubóstwa, ale związek z Williamem Mowbrayem okazał się jedynie kolejną odśłoną życia w nędzy. Mowbray zabrał swoją nastoletnią żonę do osiedla lepianek w południowo-zachodniej Anglii, gdzie Mary Ann urodziła czworo albo pięcioro dzieci, z których wszystkie zmarły wcześniej i nawet nie zostały oficjalnie zarejestrowane (pod koniec życia nie potrafiła sobie przypomnieć, ile dokładnie dzieci wydała na świat w tym czasie). Kiedy rodzina Mowbrayów w końcu ruszyła z powrotem na północ, towarzyszyła im tylko jedna żyjąca córeczka, Margaret Jane, która zmarła wkrótce po przeprowadzce. Przyczynę jej śmierci określono jako „*scarletina anginosa* oraz wyczerpanie”.

Nietrudno wyobrazić sobie psychologiczne piętno, jakim surowy krajobraz, poczucie uwięzienia w wiecznej nędzy oraz tak wczesna śmierć dzieci odcisnęły na psychice Mary Ann. Jej pierwsze doświadczenie macierzyńskie skończyło się niemal równie szybko, jak się zaczęło – związała się z kochankiem i wylądowała na pustkowiu, stojąc nad pięcioma albo sześcioma maleńkimi grobami. Być może właśnie wtedy zrodziło się w niej poczucie, że dziećmi nie warto się przejmować: nie nadają się do życia w nieprzyjnym świecie, nie ma sensu nawet pamiętać ich imion.

Małżeństwo Mowbrayów wędrowało dalej, od jednej dorywczej, źle opłacanej pracy do drugiej. Ostatecznie Mowbray znalazł zatrudnienie na statku parowym i oboje z Mary Ann mogli osiąść w jakimś miasteczku niedaleko wybrzeża, gdzie urodziło się troje dzieci: Izabella, kolejna Margaret Jane i mały John Robert, który zmarł rok później z powodu „biegunki”. Wykorzystywanie tych samych imion przy kolejnych dzieciach wskazuje, jak niewiele one znaczyły. Pierwsza Margaret Jane zmarła w 1860 roku, druga urodziła się w 1861. To była dziwna reinkarnacja.

W tym okresie Mowbray czasem przez kilka miesięcy znajdował się na morzu i Mary Ann wkrótce związała się z pewnym rudowłosym górnikiem, mieszkańcem sąsiedniego miasteczka. Nazywał się Joseph Natrass. Niewykluczone, że Natrass był największą miłością jej zagmatwanego życia, a przynajmniej jakąś namiastką luksusu, na jaką mogła liczyć w tej niewielkiej osadzie. Tak czy inaczej, Mary Ann zakochała się i oboje pozostawali w kontakcie przez wiele lat. Pojawienie się Natrassa zbiegło się

w czasie z osobliwą zmianą jej osobowości. Wcześniej Mary Ann podążała wszędzie za swoim mężem, od jednego tymczasowego osiedla lichych budowli do drugiego. Odkąd poznała Natrassa, brała sprawy w swoje ręce.

W jaki sposób dokładnie Mary Ann zmieniła się z kogoś, kto obserwował, jak inni wokół niej umierają, w kogoś, kto *sprawiał*, że inni wokół zaczynali umierać? Być może morderstwo stanowiło sposób, aby znaleźć się bliżej Natrassa – akt odrzucenia wcześniejszej tożsamości, jako żony innego mężczyzny. Albo nie potrafiła znieść długich nieobecności Mowbraya w domu i w końcu załamała się pod presją samotnego macierzyństwa^[225]. A może po prostu szczerze nienawidziła otaczających ją osób i pewnego dnia powiedziała sobie: *dosyć tego*.

Cokolwiek spowodowało w niej tę dogłębną przemianę, nowe ugruntowało się. Mary Ann szybko dowiedziała się, co arsenik potrafi zrobić z ludzkim ciałem i jak łatwo rozpuszcza się w gorącej herbacie.

Gorączka

Mowbray zmarł w 1865 roku – może w sposób naturalny, a może nie. Jako przyczynę śmierci podano „gorączka tyfusowa i biegunka”, co nie całkiem pasuje do symptomów zatrucia arsenikiem, chyba że lekarz, który wypisywał świadectwo zgonu, pomylił tyfus plamisty (*typhus*) z dudem brzuszny (*typhoid fever*). Objawy duru brzusznego rzeczywiście bardzo przypominają zatrucie arsenikiem, a lekarze w tamtych czasach często używali terminów „typhus” oraz „typhoid” zamiennie^[226]. Niezależnie jednak od przyczyny, jego śmierć była niezwykle wygodna dla Mary Ann. Jako wdowa odebrała sporą sumę pieniędzy z ubezpieczenia, zabrała swoje dwie małe córki i wyruszyła do miasta, w którym mieszkał Natrass. Wkrótce druga Margaret Jane zmarła na „gorączkę tyfusową”, podobnie jak jej ojciec, a Mary Ann wysłała Isabellę do jej babki. Isabella dożyła dziewięciu lat – była najstarszym z zamordowanych dzieci Mary Ann.

Ale gdy Mary Ann poczuła się wreszcie wolna od dzieci i zamieszkała w tym samym mieście co jej rudowłose ukochany, odkryła prawdę o wiele bardziej nieprzyjemną niż śmierć: Natrass miał już żonę. To całkowicie pokrzyżowało plany Mary Ann, ta jednak podeszła do sprawy we właściwy sobie, praktyczny sposób. Zamiast dalej uganiać się za Natrassem, natychmiast wyruszyła z powrotem do miasteczka, w którym mieszkała poprzednio i zatrudniła się jako pielęgniarka. Okazała się wspaniałą opiekunką i najwyraźniej potrafiła sprawiać, że jej podopieczni mężczyźni czuli się wyjątkowo dobrze.

Jednym z nich był mężczyzna „dobrze zbudowany, muskularny”^[227]. Nazywał się George Ward i wkrótce znalazł się pod wielkim urokiem tej ślicznej, nowej pracownicy. Jednego dnia jęczał, przewalając się na łóżku, udręczony przez chorobę, następnego dnia prawdziwy anioł pomógł mu dojść do zdrowia. Niemal natychmiast się oświadczył. I tym razem żaden z członków rodziny Mary Ann nie uczestniczył w ceremonii ślubnej, która była krótka i nieco przygnębiająca. Świadkiem ich małżeństwa był, jak wynika z aktu ślubu, pan młody z ceremonii ślubnej, która odbyła się chwilę wcześniej.

Podczas swojego krótkiego małżeństwa z Wardem Mary Ann nie zaszła w ciążę. Jak na nią było to dość wyjątkowe i część biografów zastanawiała się, czy nie oznaczało

to, że Ward okazał się rozczarującym kochankiem^[228]. Ten rodzaj spekulacji często towarzyszy rozważaniom na temat seryjnych zabójczyń, wraz z sugestią, że ich mroczne pragnienie zabijania jest w jakiś sposób połączone z nienasyconym apetytem seksualnym i że jedno można zastąpić drugim (to znaczy, że skoro Mary Ann nie znalazła satysfakcji w łóżku z Wardem, znalazła ją, trując go)^[229]. Ward z całą pewnością rozczarowywał w ten czy inny sposób, ponieważ zmarł zaledwie po piętnastu miesiącach małżeństwa, cierpiąc na klasyczne symptomy zatrucia arsenikiem: rozwolnienie, bóle żołądka, mrowienie w dłoniach i stopach.

Po śmierci drugiego męża i wolna od dzieci, których większość nie żyła, Mary Ann nadal wiodła ten nowy rodzaj niespokojnego życia. Przeprowadziła się po raz kolejny i podjęła się pracy gospodyni domowej w domu zamożnego ojca piątki dzieci. Nazywał się James Robinson, niedawno owdowiał po śmierci młodej żony i prezentował sobą wszystko to, czego Mary Ann szukała u mężczyzny. Przed świętami Bożego Narodzenia 1866 roku przeniosła się do domu Robinsona i nie minął tydzień od jej przybycia, a najmłodsze dziecko Robinsona nie żyło, przy czym upłynęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny między pierwszymi oznakami choroby a śmiertelnymi konwulsjami. Mary Ann miała już oko na Robinsona i teraz oczyszczała teren z wszelkich możliwych przeszkód, stojących jej na drodze.

Śmierć dziecka nie osłabiła namiętnego zauroczenia Robinsona i na początku marca Mary Ann była już w ciąży. Wtedy jednak zachorowała jej matka i Mary Ann została wezwana do domu, aby się nią zająć. Być może nie podobała jej się ta zmiana planów, ponieważ dziewięć dni później – mimo że Mary Ann była ponoć wykwalifikowaną pielęgniarką – jej matka leżała już w grobie. Sąsiedzi zaczęli coś podejrzewać. Nie dość, że Mary Ann zaledwie kilka dni przed tym faktem przewidziała rychłą śmierć matki, to w dodatku przeszukała następnie cały dom w poszukiwaniu cennych rzeczy, i to w sposób, który sąsiedzi uznali za nietaktowny i znamionujący nadmierną chciwość. Mimo to Mary Ann, nie zważając na ich szeptania, chwyciła swoją córeczkę Isabellę i wróciła do Robinsona.

Kwiecień 1867 roku okazał się wyjątkowo niefortunny dla domu Robinsonów. W ciągu dziesięciu dni trójka jego dzieci wiła się w łóżku, tocząc pianę i wymiotując^[230]. Dziewięcioletnia Isabella, ostatnie dziecko Mowbraya, zmarła z powodu „gorączki gastrycznej”, sześciolatek James Robinson w wyniku „uporczywej gorączki”, a jego ośmioletnia siostra, Elizabeth – od „gorączki połączonej z dolegliwościami gastrycznymi”. Wszystkie te „naturalne przyczyny” stanowiły wygodną zasłonę dla zatrucia arsenikiem. To, że te śmierci następowały tak szybko, jedna po drugiej, niewątpliwie wskazuje, jak rozrzutnie Mary Ann potrafiła posługiwać się trucizną i z jaką niecierpliwością podchodziła do swoich obowiązków w roli macochy – ale jednocześnie pokazuje, jak często dzieci umierały w tych czasach. Nawet nagłe zgony trójki dzieci nie sprawiły, aby ktokolwiek nabrał podejrzeń. Życie jakoś toczyło się dalej.

James Robinson poślubił morderczynię swoich dzieci podczas kolejnej samotnej uroczystości w sierpniu 1867 roku. Ich pierwsza córka urodziła się w listopadzie tego roku. Po kilku miesiącach zmarła z powodu „konwulsji” (Mary Ann wykorzystywała ciążę jako sposób na doprowadzenie do małżeństwa, ale nie interesowała się szczególnie

wychowywaniem dzieci). W tym momencie Robinson z pewnością nie chciał znać prawdy. Później przyznał, że „w tamtym okresie nie pozwalał swoim myślom krążyć wokół pewnych spraw: unikał ich”^[231].

W 1869 roku Robinson i Mary Ann mieli kolejne wspólne dziecko – urodził się mały George – a jednocześnie zaczęli gwałtownie kłócić się o pieniądze. Robinson przekonał się, że Mary Ann ma skłonność do drobnych finansowych podstępów: zaciągała niewielkie długi, zachowywała pieniądze, o których mówiła, że je wydała, wykorzystywała ostatniego żyjącego syna Robinsona, żeby zastawiał w jej imieniu ubrania w lombardzie. W tej ostatniej sprawie kłócili się zaciekle i Mary Ann tak bardzo zezłościła się na męża, że uciekła, zabierając ze sobą małego George’a. Podczas jej nieobecności Robinson zamknął dom i przeniósł się do siostry. Później w płaczącym liście Mary Ann opisywała jego postępek jako zdradę: „Opuściłam dom na kilka dni, nie chciałam się z nim rozstawać. [...] Kiedy wróciłam, nie miałam już domu”^[232].

Po kilku miesiącach Mary Ann przybyła pospiesznie do miasta z małym George’em i zostawiła go przyjaciółce, aby w tym czasie „wysłać list”, i nigdy nie wróciła. W końcu George znalazł się w domu swojego ojca. Mary Ann zapewne uświadomiła sobie, że już nigdy nie uda jej się zamieszkać razem z Robinsonem – który z pewnością zaczął już wtedy podejrzewać, że poślubił nienasyconą zabójczynię – musiała więc uwolnić się od wszystkich krępujących ją więzów, aby zająć się następnym pomysłem.

„Nie mam żadnej gorączki”

Trzydziestosiedmioletnia Mary Ann pracowała teraz i wędrowała. Po raz trzeci w swoim życiu nie miała męża ani dzieci; podobno zamieszkała z pełnym wigoru marynarzem, a kiedy ten przebywał na morzu, okradła go^[233]. Nie minęło wiele czasu, nim znowu wróciła do domowych problemów. W końcu dom to było jej naturalne pole walki, jej mata zapaśnicza – miejsce, gdzie radziła sobie najlepiej w swoim krwawym rzemiośle. Mary Ann stanowiła swoiste uosobienie mrocznej strony wiktoriańskiego ideału kobiecości: przeświadczenia, że nie ma niczego słodsze, niczego czystsze niż dobra kobieta, troskliwie zajmująca się domem.

Mary Ann zaczęła korespondować z pewną znajomą z młodości – zamożną starą panną, która nazywała się Margaret Cotton. Margaret miała brata, Fredericka Cottona, który był wdowcem z dwójką synów i, podobnie jak Robinson, desperacko potrzebował gospodyni domowej. Biedna Margaret prawdopodobnie sądziła, że robi bratu przysługę, przysyłając mu wykwalifikowaną i uroczą Mary Ann, ale nie miała pojęcia, jaki koszmar Mary Ann wkrótce ściągnie na całą rodzinę Cottonów.

Mary Ann została gospodynią w domu Fredericka Cottona z początkiem 1870 roku, a cztery tygodnie później jego ukochana siostra Margaret nie żyła. Pieniądze, należące do Margaret, odziedziczył jej brat, a ten zainteresował się Mary Ann, która wkrótce zaszła w ciążę. Jesienią poślubiła Cottona mimo faktu, że formalnie była wciąż zamężna. Później będzie to jedyne przestępstwo, do jakiego się przyznała: bigamia. Kilka tygodni po ślubie wykupiła polisę ubezpieczeniową na synów nowego męża.

W 1871 roku cała piątka przeniosła się do West Auckland: Mary Ann, Frederick

Cotton, jego synowie Frederick junior i Charles Edward oraz świeżo narodzony Robert Robson. W West Auckland Cotton znalazł pracę jako rębacz w kopalni węgla, ale przeprowadzka okazała się korzystna także dla Mary Ann – tak się akurat złożyło, że osiedlili się na tej samej ulicy, na której mieszkał pewien rudowłosy górnik, znany jej w przeszłości. Joseph Natrass nie był już żonaty, a Mary Ann nie miała wyrzutów sumienia, aby pozbyć się swojego ostatniego męża. Już nieraz grzebała bliskich mężczyzn.

Mary Ann zawsze zabijała szybko, wykorzystując realia epoki: złe warunki higieniczne, błędne diagnozy lekarzy oraz wysoki współczynnik śmiertelności noworodków w niewielkich miasteczkach Wielkiej Brytanii, aby wyjaśnić, dlaczego śmierć zawsze podążała za nią krok w krok, wszędzie gdziekolwiek się znalazła. Ale teraz zaczęła zachowywać się jeszcze bardziej ryzykownie. Nie miała już czasu, aby pozostawać w małżeństwie przez kilka lat albo czekać, aż dzieci będą świętowały swoje kolejne urodziny. Frederick Cotton zmarł szybko i równie szybko Natrass wprowadził się do Mary Ann i jej dzieci jako „lokator”.

Mary Ann oczywiście myślała o poślubieniu Natrassa, rozważając zamordowanie Cottona. Morderstwo i ponowne małżeństwo stanowiły dotąd jej *modus operandi* i przez chwilę ślub z Natrassem musiał wydawać jej się ostatnim krokiem do osiągnięcia takiego życia, jakiego pragnęła. Natrass ją ekscytował. Reprezentował sobą miłość i śmiałą przygodę i niewykluczone, że to on nieświadomie zainspirował ją do morderstwa, ale Mary Ann pragnęła czegoś więcej niż miłości. Pożądała także pieniędzy i zanim poślubiła Natrassa, spotkała nowego mężczyznę, który był bogatszy niż Natrass. Dla Mary Ann to było teraz najważniejsze.

Ten nowy człowiek, poborca podatkowy, nazywał się Quick-Manning. Kiedy spotkał Mary Ann, która nadal od czasu do czasu najmowała się jako pielęgniarka, chorował na ospę. Mary Ann zauroczyła go w taki sam sposób, w jaki podbijała serca wszystkich swoich pacjentów. W tym czasie sympatia mieszkańców miasteczka dla Mary Ann zaczynała słabnąć. Bardzo jej współczuli, kiedy nieomal natychmiast została wdową z trójką małych dzieci do wykarmienia. Ale kiedy Natrass się do niej wprowadził, ludzie nabrali podejrzeń. A gdy uwiodła Quick-Manninga, tego już było za wiele.

W dodatku sąsiedzi nie mieli wątpliwości, że Mary Ann źle traktuje dzieci Cottona. Wyglądały, jak gdyby miały zaraz umrzeć z głodu. Kiedy jakaś sąsiadka delikatnie zwróciła na to uwagę, Mary Ann odparła, że dzieci Cottona mają „słabe żołądki” i nie dopisuje im apetyt^[234]. W rzeczywistości Mary Ann zawsze z trudem znosiła obecność dzieci i pragnęła szybko oczyścić teren dla Quick-Manninga. Zabiła więc Fredericka Cottona juniora („gorączka gastryczna”), otruła małego Roberta Robsona („konwulsje i ząbkowanie”) i zaczęła truć samego Natrassa („gorączka tyfusowa”) – wszystko w ciągu dwudziestu dni. Jedna z sąsiadek przyszła pomóc w opiece nad chorymi dziećmi i zauważyła, że niemowlę z trudem łapie oddech, patrząc w przestrzeń lśnącymi, nieruchomymi oczami. „Ono umiera” – powiedziała dziewczyna. „Kogo mam sprowadzić?” Na co Mary Ann odparła: „Nikogo”^[235].

Joseph Natrass wiedział, że jego kochanka go truje, ale nie mógł już nic zrobić. Był zbyt bliski śmierci. Jego ciałem co chwila wstrząsał paroksyzm, który sprawiał, że

zaciskał dłonie, zagryzał zęby, podciągał nogi do góry, jego oczy uciekały w głąb, tak że widać było tylko białka. Sąsiadka, która zajrzała, aby pomóc Mary Ann, zauważyła, że w jego chorobie jest coś nienaturalnego. „Widziałam go, jak miał ataki, był cały poskręcany i wydawało się, że cierpi straszliwie” – opowiadała potem. „Na co on odparł: «Nie mam żadnej gorączki»”^[236].

Kiedy Natrass zwijał się w konwulsjach, obok leżało sztywne, maleńkie ciało Roberta Robsona. Niemowlę zmarło cztery dni wcześniej, ale Mary Ann czekała, aż Natrass umrze, żeby mogła pochować ich obu za jednym razem. Chciała możliwie jak najwięcej zaoszczędzić na kosztach pogrzebu.

Ostatnie dziecko

Kiedy to całe zamieszanie się skończyło, Mary Ann zaszła w ciążę. Ojcem był Quick-Manning. Mary Ann nie mogła się doczekać, żeby go poślubić, ale na drodze jej szczęścia stał jeszcze jeden problem – jej pasierb Charles Edward, ostatni z synów Cottona. Nie znosiła w nim wszystkiego, musiała przeklinać siebie samą za to, że tak długo pozostawiła to dziecko przy życiu. Sąsiedzi zauważyli już, jak okrutnie traktowała małego Charlesa: szarpała go za uszy, ciągnęła za włosy, a w święta wielkanocne wrzuciła jego jeden jedyny niewielki smakołyk – pomarańczę – do ognia.

Pewnego popołudnia miejscowy sklepikarz i aptekarz, Thomas Riley, zatrzymał się koło domu Mary Ann, aby spytać, czy mogłaby zaopiekować się pacjentem chorym na ospę. Kiedy tak sobie rozmawiali, Mary Ann skierowała rozmowę na Charlesa Edwarda: jak wielkim jest dla niej utrapieniem, jak bardzo ta odpowiedzialność jej *cięży*. Charles Edward kulił się w rogu pokoju, przysłuchując się rozmowie. Mary Ann zatrzepotała rękami i spytała, czy Riley nie mógłby przypadkiem umieścić dziecka w przytułku. Na co Riley odpowiedział, że nie.

Mary Ann niezmiészana odparła: „Pewnie to i tak nie ma znaczenia, bo moje kłopoty wkrótce się skończą. Pójdzie tą samą drogą co reszta rodziny Cottona”.

Sześć dni później Riley ponownie przechodził obok domu Mary Ann i dostrzegł ją w drzwiach, najwyraźniej w rozpacz. Powiedziała mu, że Charles Edward nie żyje i błagała, żeby wszedł do środka i spojrzął na ciało.

Zapraszanie ludzi, aby oglądali jej ofiary, zawsze stanowiło jedną ze sztuczek Mary Ann. Spokojnie znosiła obecność lekarzy i zachęcała ich, aby wpadali do niej i polecali jej jakieś remedium na „gorączkę tyfusową” albo „konwulsje”, na które zawsze, jak się wydawało, cierpieli jej pacjenci. W ten sposób udawało jej się uniknąć przyłapania na zbrodni – odgrywała rolę zrozpaczonej opiekunki, matki, żony. Zapraszając Riley, aby wszedł do jej domu i obejrzał ciało, narażała się na ryzyko. Jeśli jednak Riley zinterpretuje śmierć chorowitego, wygłodzonego dziecka jako naturalną – nawet nieuchronną – nie przyjdzie mu do głowy oskarżać zalanej łzami matki chłopca.

Jednak tym razem – wraz ze śmiercią Charlesa Edwarda i rzuconą mimochodem uwagą o reszcie rodziny Cottonów – Mary Ann posunęła się za daleko. Riley był pewny, że zamordowała swojego małego pasierba. Nie chciał oglądać ciała, tylko poszedł prosto na policję.

Wszczęto dochodzenie. Ciało biednego chorego Charlesa Edwarda rozłożono na

stole. Sekcja zwłok była pobieżna, ponieważ uznano, że chłopiec zmarł z przyczyn „naturalnych”. Mimo to lekarz musiał nabrać podejrzeń, ponieważ na wszelki wypadek zachował część wnętrzności Charlesa Edwarda, które zakopał w słoikach na swoim własnym podwórku.

Mary Ann żyła jak dawniej, jednak dni jej wolności były policzone. Ludzie plotkowali, miejscowe gazety podchwyciły podejrzenia Riley'a i w końcu mieszkańcy przekonali lekarza, żeby jeszcze raz zbadał ciało Charlesa Edwarda. Doktor wykopał więc słoiki z podwórka, zbadał ich zawartość za pomocą bardziej miarodajnej i rzetelnej metody, i znalazł wszędzie arszenik. O północy pobiegł na posterunek policji i następnego dnia Mary Ann została aresztowana.

Krótką liną

Początkowo Mary Ann została oskarżona jedynie o zamordowanie Charlesa Edwarda, ale wkrótce zarzuty objęły również zabójstwo Josepha Natrassa, Fredericka Cottona juniora i małego Roberta Robsona. Ich ciała ekshumowano i poddano badaniom. We wszystkich znaleziono duże ilości arszeniku. Policja usiłowała przeprowadzić także ekshumację Fredericka Cottona seniora, ale osobliwym zbiegiem okoliczności nie znaleziono nigdzie jego ciała, mimo że rozkopano kilka grobów.

W więzieniu Mary Ann urodziła dziecko Quick-Manninga i podczas procesu karmiła je piersią przed obliczem sądu, odmawiając zeznań. To było sprytnie posunięcie, wywołujące współczucie przysięgłych: nawiązywało do wiktoriańskich ideałów kobiecości. (Ideał kobiecości tej epoki w jego całej, duszącej chwale, uchwycił poemat z 1854 roku, zatytułowany *The Angel in the House* [Anioł w Domu], w którym autor [Coventry Patmore – przyp. tłum.] ekscytował się: „A ona jest tak zwyczajnie, delikatnie słodka / Że nie uchwyci tego nawet mój najgłębszy zachwyt”). W jaki sposób ta milcząca, karmiąca piersią matka mogła być zdolna do *morderstwa*? Dziennikarze obserwowali ją w sali sądowej, zauważając jej „delikatne i ujmujące” piękno, które rozmyślnie usuwano z portretów, jakie towarzyszyły ich relacjom z procesem^[237].

Obrońcy Mary Ann uczepili się faktu, że w jej domu w chwili śmierci Charlesa Edwarda nie znaleziono arszeniku. Twierdzili, że chłopiec przypadkowo uległ zatruciu wyziewami arszeniku, wydzielającymi się z zielonych tapet w jego sypialni, oraz okruciami arszeniku zawartego w mieszaninie arszeniku i mydła, jakiej Mary Ann używała do czyszczenia domu. Oskarżenie sprowadziło szanowanego lekarza, aby podważyć tę teorię. W ciałach było zbyt wiele trucizny, oświadczył doktor. Ciało Josepha Natrassa na przykład zawierało cztery razy więcej arszeniku niż potrzeba było, by zabić człowieka.

Mary Ann załamała się tylko raz, gdy obrońca wygłosił melodramatyczną mowę o tym, że to niemożliwe, aby matka zabiła własne dziecko. „Matka karmiąca [swoje dziecko], [...] wpatrująca się w jego śliczny uśmiech, świadoma, że częstowała je arszenikiem!” – lamentował obrońca. „Gdy to przez nią jego kończynami targa dreszcz konwulsji, a ono patrzy jej w twarz, szukając u niej opieki i ochrony!”^[238] Jak to możliwe, żeby jakakolwiek „zwyczajnie, delikatnie słodka” wiktoriańska matka mogła być oskarżona o coś tak potwornego? Wtedy Mary Ann zaczęła płakać. Współczujący jej

widzowie mogli zinterpretować jej płacz jako oznakę, że zgadza się ze słowami obrońcy: *Tak, nigdy bym nie mogła zrobić czegoś takiego własnemu dziecku.* Ale w rzeczywistości obrońca jedynie opisał to, co Mary Ann zrobiła wiele razy wielu swoim dzieciom. Wiedziała aż za dobrze, jak „śliczne uśmiechy” mogą zamienić się w grymas agonii, wymioty i pianę toczącą się z ust.

Ostatecznie Mary Ann została skazana za popełnienie „straszliwego morderstwa” na Charlesie Edwardzie. „Można odnieść wrażenie, że uległa pani najgorszemu ze wszystkich złudzeń” – oświadczył sędzia. „[...] Myślała pani, że może przeprowadzać swoje niegodziwe zamysły, nie narażając się na zdemaskowanie”. Pobladła, gdy usłyszała wyrok odczytywany na głos: śmierć przez powieszenie.

Kat, którego wybrano, aby wykonał wyrok na Mary Ann Cotton, budził kontrowersje z powodu kilku niechlujnie przeprowadzonych egzekucji. Lubił stosować „krótką linę”, co od czasu do czasu dawało nieprzyjemny efekt uboczny: ciało nie opadało z platformy wystarczająco nisko i lina *nie* skręcała karku skazańca. Kiedy coś takiego się przydarzyło, kat musiał osobiście pociągnąć ramiona powieszonoego ku dołowi, który w tym czasie dusił się powoli, obracając się na końcu liny wokół swojej osi.

Podczas swoich ostatnich dni Mary Ann gorączkowo pisała listy do rodziny i przyjaciół, prosząc ich, aby składali petycje o jej ułaskawienie. Nie miała pojęcia, co się działo podczas jej procesu; w końcu napisała, że prawnik strony oskarżenia „będzie tam, coby mnie bronił”^[239]. Nadal powtarzała, że jest niewinna i w swoich listach przybierała ton męczeńskiego niedowierzania, kiedy uskarżała się na „kłamstwa, jakie o mnie się mówi”^[240]. Błagała nawet swojego jedyne go żyjącego męża, Jamesa Robinsona, aby ją odwiedził i przywiózł ich synka George’a. Odmówił oczywiście.

Wykonała jednak ostatni macierzyński gest, aranżując sprawę adopcji swojego niedawno narodzonego dziecka. Ale i w tym przypadku jej działania były nacechowane złymi intencjami. Kilka dni wcześniej przyłapano ją na „pocieraniu jego dziąseł mydłem”, myślała bowiem, że jeśli jej dziecko się rozchoruje, „sąd daruje jej życie aż do czasu, w którym dojdzie ono do zdrowia”^[241].

Mary Ann była już wtedy matką dokładnie przez połowę swojego życia. Czy jej się to podobało, czy nie, jej istnienie do tego momentu było w znacznej mierze określone przez ukrywane albo widoczne cięższe, niedawne cięższe albo cięższe, w które zachodziła z innym mężczyzną niż jej mąż. Uwodzenie mężczyzn, a co za tym idzie cięższe, stanowiło jedną z jej najbardziej wypróbowanych rodzajów broni (innym był biały proszek, który można było kupić w aptece). Mary Ann wykorzystywała swoją płodność, aby kontrolować wzloty i upadki swojego życia. Oddanie ostatniego dziecka na wychowanie innym stanowiło silny znak, że wszystko – uwodzenie, małżeństwo, porody i trucie – się skończyło.

Czy Mary Ann była socjopatką, uzależnioną od przyływu emocji towarzyszących zabijaniu niewinnych istot? A może była osobą przedsiębiorczą, wspinającą się po drabinie pozycji społecznej na ramionach kolejnych mężczyzn w rozpaczliwej próbie zdobycia jakiejś autonomii? Z całą pewnością do czegoś dążyła, ale trudno powiedzieć, czego pragnęła najbardziej. Pieniądzy? Wolności? A może bólu innych osób? Postrzegając małżeństwo i macierzyństwo jako rodzaj więzienia – z którego za wszelką cenę pragnęła

się wyrwać – ale także jako rodzaj wybawienia, i dlatego stosowane przez nią metody przypominały błędne koło, a powtarzający się schemat doprowadzał niemal do szaleństwa. Zabijała jednego męża, aby poślubić następnego; truła jedno dziecko i wkrótce zachodziła w ciążę, aby urodzić następne. Czy właściwie myślała o tym, co może się zdarzyć z tym następnym mężem, z kolejnym dzieckiem? Czy miała nadzieję, że coś się w niej poruszy do głębi; osiągnie jakieś ostateczne poczucie zadowolenia, ulgi, spełnienia macierzyńskiego, miłości? Nieważne, jak wiele cierpień przysporzyła innym ludziom, nic tak *naprawdę* nie zmieniało się w jej życiu. A tym samym nigdy nie udało jej się uciec z gabinetu luster i musiała raz po raz przeżywać ponownie swoją własną ponurą historię.

Przerazająco niegodziwa

Droga Mary Ann z celi na szafot dwudziestego czwartego marca 1873 roku trwała zaledwie cztery minuty. Mary Ann miała wtedy czterdzieści lat, okrywał ją szal w białoczną kratkę, maskujący ręce przywiązane do jej boku za pomocą pasa. Taki szal uchodził za szczyt mody w sąsiednich miasteczkach, ale gdy gazety opublikowały zdjęcie Mary Ann, moda szybko minęła. Przed więzieniem zebrał się tłum ludzi, pragnących zobaczyć jeszcze raz skazaną. Dziennikarze, których wpuszczono do środka, pisali, że wyglądała na istotę „nieszczęsną, potępioną”^[242], histerycznie łkała, gdy powoli szła do przodu. Na szafocie, gdy pętla zawisała na jej szyi, przez jej ciało przebiegł dreszcz. Powiedziała jeszcze: „Boże, miej litość nad moją duszą”, a potem ziemia usunęła jej się spod stóp.

Upłynęły trzy minuty, zanim zmarła, i kat musiał własnymi rękami uspokoić jej ciało, wstrząsane dreszczami.

„Wiadomość o jej straceniu może przyczynić się do rozwiania pewnego popularnego przekonania, od dawna cieszącego się nazbyt dużym poważaniem, w myśl którego kobieta zabójczyni, niezależnie od tego, jak bardzo przerażająca byłaby jej niegodziwość, może zazwyczaj mieć nadzieję na ulaskawienie z racji swojej płci” – pisała kilka dni później gazeta „Burnley Advertiser”. „Jednak potworności, jakich dopuściła się Mary Ann Cotton nie pozostawiły w jej przypadku miejsca na ludzkie miłosierdzie, albowiem o ile nie była osobą, która padła ofiarą przerażających oszczerstw, o tyle można powiedzieć, że nigdy bardziej odrażający potwór nie stąpał po ziemi”^[243]. Oczywiście nikt w Anglii nie miał pojęcia, że piętnaście lat później najslawniejszy seryjny zabójca w dziejach kraju zacznie rozpruwać wnętrzności prostytutek w najuboższych dzielnicach Londynu. To on stanie się potem najbardziej odrażającym potworem, jaki kiedykolwiek stąpał po powierzchni ziemi i przykuje uwagę prasy w sposób, w jaki nigdy nie dokonała tego Mary Ann Cotton.

W jakiś tydzień po jej śmierci wystawiono moralizującą sztukę, zatytułowaną: *Life and Death of Mary Ann Cotton* [Życie i śmierć Mary Ann Cotton]. Przez chwilę dzieci śpiewały o niej na ulicach: Mary Ann Cotton nie żyje / w łóżku, z szeroko otwartymi oczami gnije. Ale wkrótce zapomniano o niej kompletnie, a cykl narodzin i śmierci toczył się w małych angielskich miasteczkach jak przedtem.

Rozdział siódmy

Dręczycielka^[244]

Daria Nikołajewna Sałtykowa

Daria Nikołajewna Sałtykowa lubiła rytuał cerkwi prawosławnej: liturgię, jałmużnę, regularne pielgrzymki. W pewnym sensie była osobą podporządkowaną swoim nawykom. Przewidywalną. Przemierzając życie z regularnością zegarka, tik-tak. Raz na rok na przykład wyruszała z miasta, aby odwiedzić święte przybytki i sobory rosyjskiej cerkwi prawosławnej. W swoim domu utrzymywała niemal medytacyjny rytuał tortur. Godzinami biła swoje służące i zabijała te, które irytowały ją najbardziej. Nawet stosowane przez nią tortury były przewidywalne: biła te służące, które nie potrafiły należycie posprzątać jej domu. Tik-tak.

Przyglądając się jej postępowaniu, ktoś mógłby dostrzec w nim najgorszy rodzaj religijnej hipokryzji: ostentacyjną pobożność, a jednocześnie autentyczny kult zła. Ale Daria nie postrzegała samej siebie jako osoby dwulicowej. Postępowała jedynie zgodnie z głęboko uwewnętrznionym przesłaniem, że ma prawo czuć się lepsza od innych i dlatego może robić w życiu to, na co ma ochotę. Dlaczego miałyby załamywać swoje splamione krwią dłonie i modlić się o wybaczenie? To ona była osobą, która może wybaczyc – albo i nie. Czuli się równie nietykalna jak Bóg.

Młoda wdowa

Daria należała do świata przywilejów. Była zamożną rosyjską szlachcianką, spokrewnioną z mężami stanu, książętami; miała do swojej dyspozycji armię służących, a do tego prawo zdecydowanie stało po jej stronie. Mogła się spodziewać, że zostanie potraktowana z godnością i że wymiar sprawiedliwości będzie rozstrzygać wątpliwości na jej korzyść, niezależnie od tego, co zrobiła – ponieważ nawet jeśli prawo, formalnie rzecz biorąc, nie aprobowало wszystkich jej poczynań, z całą pewnością miała po swojej stronie innych członków rosyjskiej szlachty. Ci arystokraci nie mieli ochoty ustanawiać precedensów, których nie mogliby potem unieważnić – jak choćby ryzykowny precedens pociągania szlachty do odpowiedzialności za swoje czyny. Życie podobało im się takie, jakie było: bezpieczne dla nich i niebezpieczne dla całej reszty.

Daria urodziła się w marcu 1730 roku, jako trzecia z pięciu córek. Wyszła za mąż korzystnie: jej mąż, Gleb Aleksandrowicz Sałtykow, był kapitanem w pułku kawalerii rosyjskiej gwardii cesarskiej. Rodzina Sałtykówów była sławna i dobrze ustosunkowana, powiązana z rodami składającymi się na prawdziwe „who is who” rosyjskiej arystokracji. Stroganowowie, Tołstojowie, Musinowie-Puszkiniowie, Tatiszczewowie, Szachowscy, Golicynowie, Naryszkinowie. Z pewnością małżeństwo Darii wiązało się z licznymi obowiązkami społecznymi i niewykluczone, że było nawet dla niej stresujące, gdy musiała obcować z przyszłymi mężami stanu albo wnukami dawnych caryc. A jednocześnie Daria nie była kobietą wykształconą. Nigdy nie nauczyła się czytać^[245].

Daria i Sałtykow mieli dwóch synów – Fiodora i Mikołaja – ale ich małżeństwo nie

trwało długo, ponieważ Sałtykow zmarł w 1756 roku. Niespodziewanie w wieku dwudziestu pięciu lat Daria została wdową. Możemy sobie wyobrazić, że mogła poczuć się zarazem przytłoczona i porzucona. Musiała zaopiekować się dwójką małych chłopców i nagle pod jej zarządem znalazły się dwa rozległe majątki. Poza tym jej zmarły mąż posiadał dwór w Moskwie, przy ulicy Kuźnieckiej, oraz letnią posiadłość położoną w okolicach wioski Troickoje. Nagle i całkiem nieoczekiwanie jedno i drugie należało do Darii.

Kiedy nie zajmowała się zarządzaniem swoimi nowymi posiadłościami, Daria wyruszała w coroczne pielgrzymki do któregoś z sanktuariów cerkwi prawosławnej. Lubiła zwłaszcza odwiedzać Kijów, sławny ze swojej architektury religijnej, a czasami podróżowała do Kazania, aby podziwiać tamtejszą ikonę Matki Boskiej, jedną z najświętszych relikwii w całym kraju. Na tym pozłacanym portrecie widać było z bliska zanurzoną w myślach twarz Matki Boskiej, trzymającej maleńkiego Chrystusa, stojącego z całą powagą na jej kolanach.

Być może Daria lubiła poważne, niemal karcące spojrzenie ich oczu. Może podobała jej się myśl o Chrystusie, który nigdy się nie uśmiecha. Tak czy inaczej, przypuszczalnie cieszyło ją to, że znalazła się z dala od domu, ponieważ gdy tylko do niego wracała, zaczynały przytłaczać ją obowiązki. Zarówno w Moskwie, jak i w Troickoje do obu posiadłości przypisane były „dusze”. Setki dusz. I wszystkie należały teraz do Darii.

Dusze

Daria żyła w czasach, gdy zamożność i wpływy szlachcica mierzono nie tym, jak wiele ziemi posiadał, ani ile miał pieniędzy, ale ilu chłopów pańszczyźnianych na niego pracowało. Chłopi pańszczyźniani to byli rosyjscy chłopi, którzy żyli i pracowali na ziemi swojego właściciela. Byli winni właścicielowi pracą, pieniądze albo połączenie jednego z drugim, ale *formalnie* nie byli niewolnikami, ponieważ teoretycznie mogli wykupić swoją wolność. W taki sam sposób, jak Syzyf mógł zmontować jakiś rodzaj podpory, która powstrzymałaby toczony przez niego głaz przed staczaniem się przez całą wieczność w dół zbocza. Chłopi pańszczyźniani żyli w Rosji od stuleci, ale w połowie osiemnastego wieku Rosja zbliżała się do czegoś, co można by nazwać szczytem pańszczyźnianego uzależnienia. Posiadanie chłopów pańszczyźnianych przekształciło się w formę wystawnej konsumpcji, która całkiem wymknęła się spod kontroli. Na przykład w czasach panowania Katarzyny Wielkiej najbogatsi arystokraci chlubil się tym, że mają orkiestry i balety, złożone z chłopów pańszczyźnianych^[246].

Ale jednocześnie były to czasy, w których problem nieograniczonej konsumpcji, dzięki dochodom czerpanym z pracy milionów ludzi, stawał się dla Rosji niewygodny. Katarzyna Wielka przejmując władzę, pragnęła pokazać światu, że Rosja jest krajem oświeconym i że ona sama jest nowoczesną władczynią, wspaniałomyślną dla poddanych. A jednak – ci chłopi! W jakiś sposób kwestia praw chłopów pańszczyźnianych nigdy nie nadażyła za snutymi przez Katarzynę wizjami wspaniałego kraju, poddanego modernizacyjnym wpływom Zachodu. Nawet w najbardziej liberalnych kręgach widok chłopów, pracujących w ogrodach i na polach, stanowił nieustające przypomnienie, że nie

sposób było uwolnić się od kryjącego się w tym systemie okrucieństwa. Nieważne, jak nowoczesny stałby się twój świat.

Chłopów pańszczyźnianych nazywano „duszami” i szlachcic posiadał nad należącymi do niego „duszami” praktycznie nieograniczoną władzę. Jeden z cesarskich dekretów, wydanych kilka lat przed narodzeniem się Darii, podkreślał, że szlachta nie ma żadnego obowiązku traktować swoich „dusz” jak ludzi oraz że „właściciele mogą sprzedawać swoich chłopów i służbę domową nawet nie całymi rodzinami, ale pojedynczo, na sztuki, jak bydło”^[247].

Szlachta cały czas stosowała w stosunku do swoich chłopów kary fizyczne, często wymierzone za pomocą grubego, rosyjskiego skórzanego bicia, zwanego knutem. Ten rodzaj kar uważano za rzecz całkowicie normalną, choć szlachcic zasadniczo nie miał prawa zabić chłopą pańszczyźnianego^[248]. Katarzyna Wielka w swoich wspomnieniach odnotowała, że w wielu domach w Moskwie można było znaleźć „żelazne kołnierze, łańcuchy i inne narzędzia tortur, dla tych, którzy popełnią najmniejsze wykroczenie”^[249]. Jej uwagę przykuł zwłaszcza jeden osobliwy przypadek: otóż pewna starzejąca się szlachcianka trzymała w swojej sypialni fryzjerkę, zamkniętą w klatce, ponieważ szlachcianka nie chciała, aby ktokolwiek z towarzystwa się dowiedział, że nosi perukę – a fryzjerka była jedyną osobą, która mogła zdradzić jej sekret.

Sytuację chłopów jeszcze bardziej pogarszało to, że nie mogli się w żaden sposób bronić, odwołując się do sądów. Władze, które zawsze paranoicznie obawiały się wybuchu morderczego powstania chłopskiego, były przekonane, że przyznanie chłopom pańszczyźnianym jakiegokolwiek ochrony prawnej zrodzi w nich poczucie bezpieczeństwa, a poczucie bezpieczeństwa może doprowadzić do aktów niesubordynacji^[250]. W rezultacie nie dość, że panowie mogli bez procesu wysyłać swoich chłopów na Syberię, albo zmuszać ich do pracy do końca życia w kopalni, to jeśli jakiś chłop pańszczyźniany ośmielił się uskarżać na postępowanie swojego pana, już samo to stanowiło wystarczający powód do wymierzenia mu kary. Nawet Katarzyna Wielka, choć chlubiła się swoim humanitaryzmem, ogłosiła cesarski dekret, stwierdzający, że jeśli jakiś chłop pańszczyźniany próbowałby złożyć skargę na swojego pana, ma zostać wychłostany i wysłany do pracy w kopalniach w Nercyńsku do końca życia^[251].

A zatem jeśli ktoś był chłopem pańszczyźnianym, jakoś jego życia była całkowicie uzależniona od kaprysów pana albo pani. Oczywiście w Rosji żyło w tych czasach wielu posiadaczy ziemskich, którzy traktowali swoich chłopów przyzwoicie i chłopci w ich majątkach liczyli na życie w spokoju, dostatku oraz cieszyli się wolnym czasem, w którym mogli uprawiać własną ziemię. Jednak Daria nie należała do tego grona. Ściany i schody w jej posiadłościach były splamione krwią.

„Jestem panią samej siebie”

Daria miała obsesję na punkcie czystości i lubiła, żeby podłogi w jej domu przypominały tak podziwiane przez nią ikony cerkwi prawosławnej: by były preczyste. A do tego miała wybuchowy charakter i połączenie tych dwóch cech oznaczało złą wiadomość dla służących, które sprzątały w jej domu. Na widok niedokładnie umytej podłogi albo niedoskonale upranej bielizny Daria wpadała w dziki gniew. Chwytała jakąś

laskę, wałek albo bat i zaczynała okładać trzęsącą się ze strachu dziewczynę, która była winna tych uchybień.

Rosyjska szlachta w całym kraju batożyła chłopów pańszczyźnianych za podobnie błahe przewinienia – z tą różnicą, że Daria nie miała hamulców. Wkrótce wśród jej sąsiadów w Moskwie zaczęły krążyć przeraźliwe plotki na temat chłopów należących do Sałtykowej: Daria zamykała swoje pokojówki w pustej szopie i głodziła je całymi dniami; służące Darii miały plamy krwi na ubraniu. Wieśniacy w Troickoje także szeptali. Coś niedobrego dzieje się w letnim domu Darii, mówili. Pewnego razu usłyszeli, jak z majątku wyjeżdża wóz, wiozący ciało zmarłej służącej. Kiedy zajrzeli do środka, zobaczyli, że dziewczyna miała skórę w strzępach i powyrywane włosy z głowy.

Te mordercze chłosty, a przynajmniej większość z nich, zaczęły się w 1756 roku, w tym samym roku, w którym Daria została wdową. Pierwszą oficjalną skargę przeciw Darii odnotowano w 1757 roku, dotyczyła ona zamordowania ciężarnej kobiety, która nazywała się Anisa Grigoriewa. Prawdę mówiąc, to było podwójne morderstwo: najpierw Daria zaczęła tłuc Grigoriewę wałkiem i biła ją tak długo, aż wreszcie Grigoriewa poroniła. Następnie Daria, jako osoba pobożna, wezwała popa, mieszkającego w pobliżu, żeby udzielił umierającej kobiecie ostatniego namaszczenia, ale Grigoriewa straciła przytomność, zanim duchowny dotarł na miejsce. A kiedy w końcu przybył, przerażony rzucił jedno spojrzenie na ciało zmarłej i odmówił pochówku bez policyjnego dochodzenia.

Na miejsce przybyła policja, zabrała ciało zmaltretowanej kobiety do szpitala w celu przeprowadzenia sekcji zwłok, po czym nie zrobiła nic więcej. Denatka miała głęboką ranę w okolicach serca, a jej całe plecy były sine i opuchnięte. Z pewnością nie zmarła z przyczyn naturalnych. Ale czy policjanci mieli aresztować szlachciankę? Absurd!

Kiedy zrozpaczony mąż Grigoriewej nie wytrzymał i zgłosił się na policję, Daria natychmiast się o tym dowiedziała. Złożyła własny wniosek, domagając się od policjantów, aby nie dawali wiary zeznaniu tego człowieka i zamiast tego przykładnie go ukarali, a potem odesłali do niej. Być może z rąk do rąk przeszły wtedy jakieś pieniądze. Policja wysłuchała Darii i nie kiwnęła palcem w sprawie skargi męża Grigoriewej. A kiedy przywieziono go z powrotem do majątku Sałtykowej, Daria zesłała go na wygnanie, gdzie wkrótce zmarł.

Wtedy właśnie Daria powinna była stanąć przed sądem. Zabiła kobietę w ciąży i mogło to potwierdzić wielu świadków – zarówno samą zbrodnię, jak i to, co działo się potem: mąż zmarłej, służący, który został zmuszony do tego, aby bić Grigoriewę, inny, który pochował dziecko, duchowny, policjanci, a także lekarz (lub lekarze), który przeprowadził autopsję. Gdyby w następstwie tej skargi wszczęto śledztwo, udałoby się uratować dziesiątki – a może setki – istnień ludzkich. Nikt się jednak nie przejmował. W końcu byli to tylko chłopci pańszczyźniani. Szlachta i tak sprzedawała ich „jak bydło”.

A zatem Daria zabijała dalej, a potem znowu, pewna swojej nietykalności i wściekła na swoją służbę za każdy drobny błąd, za to, że ktoś nie usunął jej się z drogi, że musiała nimi wszystkimi kierować, ponosić odpowiedzialność; za to, że w ogóle istnieli. Jeśli ona była dla nich Bogiem, to chłopci pańszczyźniani byli jej żalonymi

zabawkami. Mogła sprawić, że sprząтали, gotowali, wrzeszczeli, błagali, zalewali się krwią. Zwykle zmuszała kogoś ze służących, aby zaczął chłostę, a potem brała sprawy w swoje ręce i biła, dopóki ofiara nie zmarła. Czasami kazała swoim służącym mężczyznom, aby na jej oczach bili własne żony albo krewnie. W Troickoje rzuciła w pewną dziewczynę, młodą chłopkę, naczyniem z wrzącą wodą, a potem zatłukła ją na śmierć. Wieśniacy pamiętali to ciało: poparzona skóra niemal zaczęła odchodzić od kości.

Daria zabijała głównie kobiety, ale czasami brała się za mężczyzn. Jeden z jej służących, chłop pańszczyźniany Chryzant Andriejew, miał za zadanie nadzorować nieszczęsne pokojówki i kiedy Daria doszła do wniosku, że nie dość sumiennie spełnia swoje obowiązki, zabiła go i wyrzuciła na dwór, kładąc mu przez całą noc stać w przejmującym chłdzie. Następnego ranka, gdy został sprowadzony z powrotem, niemal zamarznięty, Daria zacisnęła na jego uszach parę szczypiec rozgrzanych do czerwoności. Następnie zaczęła go oblewać gotującą wodą, a kiedy upadł na podłogę, kopała go i tłukła. Kiedy wreszcie miała dosyć, kazała innemu służącemu zabrać przed jej oczu krwawiące ciało. Gdy tylko nieszczęsny wieśniak znalazł się poza zasięgiem wzroku Darii, zmarł.

I tak to trwało – prawdziwa litania przerażających okrucieństw. Daria podpaliła włosy jednej z kobiet i zrzuciła z kamiennych schodów jedenastoletnią dziewczynkę. Karmiła swoją służbę raz na dzień, dlatego nieustannie brakowało im sił. Chwytała drewniane polana – ułożone w każdym pokoju, aby palić nimi w piecach – i używała jak pałki. Sąsiedzi słyszeli jej okrzyki: „Bij mocniej!”. Kiedy jeden z jej służących ośmielił się ją obrazić, Daria chwyciła go za włosy i zaczęła tłuc jego głową o ścianę.

Chociaż stajenni i pokojówki co jakiś czas od niej uciekali i o morderstwach opowiadali przedstawicielom miejscowych władz, chwymano ich i sprowadzano z powrotem do Darii, gdzie czekały ich kajdany i bicie, albo skazywano ich na zesłanie.

„Nic mi nie możecie zrobić!” – wrzasnęła Daria do jednego ze stajennych, który próbował donieść władzom o jej uczynkach. „Żebyście nie wiem ile opowiadali albo uskarżali się na mnie, władze nigdy nic mi nie zrobią. Nie wymienią mnie za was”.

W tym poczuciu bezkarności nie chodziło o jakąś irracjonalną brawurę, ponieważ, jak dowiodła sprawa śmierci Grigoriewej, system stał po stronie Darii: latami fałszowała dowody i przekupywała kluczowe figury w systemie władzy. Jeśli duchowni odmawiali pochowania którejś z jej ofiar, zarządca jej majątku, Marcjan, wypełniał sfałszowane akty zgonu, potwierdzając, że ofiara zmarła nagle z powodu choroby i nie zdążyła się wypowiedzieć albo że duchowny przybył za późno, albo że dziewczyna była tak chora, że nie potrafiła wydusić słowa i ostateczna spowiedź była niemożliwa. Czasami w tych dokumentach pisano, że ofiara uciekła, choć w rzeczywistości leżała w grobie pod domem. W świadectwie opisującym śmierć jedenastoletniej dziewczynki, którą Daria zepchnęła ze schodów, stwierdzono, że dziewczynka po prostu się... potknęła.

Jeśli skargi docierały do urzędników, Daria płaciła łapówki. Prowadziła spis podarunków, jakie wysłała do tych, którzy mieli władzę: jedzenie, pieniądze, nawet chłopów pańszczyźnianych. Prawdę mówiąc, jeden z urzędników poszedł Darii tak bardzo na rękę, że odwiedził ją i doradzał, w jaki sposób ma postępować z mnożącymi się przeciwko niej oskarżeniami. „Gdyby Sałtykowa nie była chroniona przez swoich

protektorów i nie mogła liczyć na ich pomoc, mniej osób byłoby chłostanych i mniej by zmarło” – wściekał się jeden z jej stajennych, który widział, jak latami dzieją się te okrucieństwa, nie napotykaając na żaden opór.

W pewnym momencie obserwując, jak jej służba okłada kolejną dziewczynę na śmierć, Daria zaczęła wrzeszczeć: „Jestem panią samej siebie” – wołała. „Nie boję się nikogo”. To przekonanie, że jest kimś lepszym, nietykalnym, wręcz *namaszczone* przez prawo, było spójne z jej obrazem samej siebie. Być może zabijała, aby udowodnić jedną, prostą prawdę: że po prostu może.

Miłość i proch

Współcześnie w mrocznych zakątkach internetu można znaleźć ludzi, usiłujących wytłumaczyć liczne zbrodnie Darii w nieco melodramatyczny, prosty i łatwo uchwytny sposób: wszystko z powodu złamanego serca.

Po śmierci męża Daria nawiązała romans z przystojnym, młodym sąsiadem, kapitanem Nikołajem Andriejewiczem Tiuczewem. Jego posiadłość w Troickoje sąsiadowała z jej majątkiem. Wszyscy tamtejsi chłopcy pańszczyźniani wiedzieli, że Daria i Nikołaj mają romans, ale ich miłość nie trwała długo i zerwali ze sobą tuż przed Wielkim Postem w 1762 roku, gdy Daria miała mniej więcej trzydzieści dwa lata.

Kapitan nie wytrwał jednak długo w samotności i Daria poczuła się bardzo tym urażona. Co gorsza dowiedziała się, że nowa kobieta w życiu kapitana jest od niej młodsza, a na domiar złego kapitan zamierza się z tą piękną, ambitną dziewczyną *ożenić*. Tego było już za wiele. Daria chodziła w kółko, niespokojna, pragnąc zemsty, i wreszcie wpadła na obłąkany pomysł: postanowiła po prostu wysadzić ich w powietrze.

Oślepiąca przez pragnienie zemsty, wysłała jednego ze swoich ludzi, aby kupił pięć funtów prochu, który następnie zmieszała z siarką i zawinęła w tkaninę konopną. Kazała swojemu służącemu umieścić łatwopalną mieszankę w pobliżu domu nowej kochanki kapitana, a następnie poczekać na jego powrót. Kiedy kochankowie znajdą się w środku, służący miał podpalić dom, wysadzając ich w powietrze, przyłapanych, by tak rzec, na gorącym uczynku.

Pomysł okazał się jednak zbyt obłąkany nawet dla zaprawionych w okrucieństwie służących Darii. Pierwszy służący, którego wysłała z tą misją, po prostu odmówił spalania domu, więc po powrocie Daria stłukła go na miazgę. Następnie wysłała go ponownie z tą samą misją, tym razem w towarzystwie drugiego służącego, ale obaj twierdzili, że nie udało im się wzniecić ognia. Daria, wściekła, zmieniła więc plan. Jeśli wysadzanie w powietrze zawiodło, może napaść się powiedzie? Rozkazała innej grupie służących, żeby zaczęli się przy drodze na zniechęconą parę kochanków, jadących w powozie, i zatłukli ich na śmierć.

Wtedy właśnie chłopcy uznali, że jeśli chcą jakoś położyć kres tej obłąkanej fantazji o zemście, muszą sekretnie poinformować kapitana o spisku Darii na jego życie. I tak też uczynili. Kapitan natychmiast udał się na policję i złożył oskarżenie przeciwko swojej byłej kochance.

Kiedy jednak policja zaczęła wypytywać, Daria okazała się niewzruszona. „Nie wysłałam Romana Iwanowa i Leontiewa, aby podłożyli ogień w domu pani Paniutiny, ani

nie kazałam innym, aby na nią napadli” – odparła chłodno. Twierdziła, że w czasie rzekomych prób zamachu była chora i nie ruszała się ze swojego moskiewskiego majątku, spędzając czas w towarzystwie jednego z duchownych. Innymi słowy, była dobrą, pobożną kobietą, której nigdy nie przyszłoby do głowy mścić się na kimkolwiek, niezależnie od tego, jak straszliwie zostałaby przez niego zdradzona.

Oczywiście, Daria była trochę *zdenierwowana* na kapitana. Jednak jej złamane serce w żaden sposób nie mogłoby się stać niegojącą się raną, która zamieniła ją w bezwzględną, seryjną zabójczynię.

Mordowała swoich chłopów pańszczyźnianych wiele lat wcześniej, zanim to wszystko się wydarzyło. Historia z Tiutczewem stanowi jedynie zgrabny punkt zaczepienia dla dalszych spekulacji: powiada się oto, że aby Daria mogła być zdolna do popełnienia tak potwornych zbrodni, jakieś inne okoliczności musiały doprowadzić ją samą do szaleństwa.

Prawdę mówiąc, „szaleństwo” stanowi najczęściej spotykane wyjaśnienie zbrodni Darii. Kiedy dowiadywali się o nich mieszkańcy Moskwy, sądzili, że jest obłąkana, i ludzie do dziś myślą podobnie. (Z pewnością każdy seryjny zabójca w dziejach był uważany za osobę szaloną. Jak inaczej wyjaśnić powtarzające się akty przerażającej, wyrachowanej przemocy?) Daria sprawiała jednak wrażenie osoby nie tyle szalonej, co zatrwająco logicznej. Dramat z udziałem kapitana bardzo dobrze pokazuje jej straszliwą zdolność do układania planów i racjonalnego tłumaczenia swoich poczynań: kupiła niezbędne materiały, zmieniała swoje plany, gdy zaszła taka konieczność, i spokojnie wypierała się odpowiedzialności. Nawet logika stojąca za mordowaniem przez nią własnych chłopów pańszczyźnianych wydaje się całkiem spójna. Jeśli jakaś służąca nie posprzątała domu jak należy, zasługiwała na śmierć. Jeśli służący skarżył się władzom, zasługiwał na śmierć. Chłopi pańszczyźniani stanowili jej własność i miała prawo oceniać ich wydajność oraz zaangażowanie w pracy. Z punktu widzenia Darii wszystko to wydawało się całkowicie sensowne.

Od zawsze istniało pokrewieństwo między szaleństwem a logiką. Pisarz G.K. Chesterton mówił o „logicznej i wyczerpującej teorii szaleńca”, dodając, że „człowieka chorego umysłowo nie powstrzymuje ani poczucie humoru, ani miłosierdzie”^[252]. Daria z całą pewnością nie czuła się ograniczona przez miłosierdzie czy cokolwiek innego. Jeśli w jakimś momencie pragnęła wysadzić w powietrze swojego byłego kochanka, nie miała ochoty słuchać opinii, że jest „szalona”. Po prostu chciała mieć pewność, że nagie ciała byłego ukochanego i jej rywalki smażą się w ogniu jak świnię na rożnie. Jeśli kazała swoim chłopom pańszczyźnianym, aby coś zrobili, chciała, by uczynili to, nie zadając pytań. Boże Świąty! Czy już nikt jej nie *słucha*?

Ucieczka mężów

Nikt nie znał lepiej kulisów rządów terroru w domu Darii niż Jermołaj Ilin, człowiek, który zajmował się jej końmi. Ilin był trzykrotnie żonaty z trzema ciężko pracującymi kobietami, z których każda miała straszliwe nieszczęście, że została „zatrudniona” przez Darię. Nosiły piękne imiona : Katarina, Teodozja, Aksinia. I Daria zamordowała je wszystkie.

Daria wiedziała, że Ilin jej nienawidzi za to, co zrobiła z jego żonami, ale ostrzegła go, że jeśli kiedykolwiek będzie próbował na nią donieść, osobiście wybatoży go na śmierć. Ilin znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie rzuca grózb na wiatr – ale każdy ma swoje granice, nawet w znoszeniu okrucieństw. Ostatecznie zrozpaczony Ilin, porzuciwszy wszelką ostrożność, postanowił zdać się na łaskę systemu, który nie dbał o to, czy on sam będzie żył, czy umrze.

W kwietniu 1762 roku Ilin i drugi poddany Sałtykowej, Sawielij Martynow, stawili się w Sankt Petersburgu, pragnąc wytoczyć Darii sprawę sądową. W ręku ściskali list, zawierający niemal nieprawdopodobne oskarżenia o to, że w ciągu minionych sześciu lat Daria zabiła ponad sto osób. Obaj mężczyźni byli przekonani, że gdyby tylko udało im się w taki sposób złożyć swój list władzom, aby dostał się bezpośrednio do rąk świeżo osadzonej na tronie carycy Katarzyny Wielkiej, władczyni coś zrobi w tej sprawie.

Misja była samobójcza – ale okazała się skuteczna. Opowieść, którą przywieźli ze sobą, wydawała się na tyle bulwersująca, że zwróciła uwagę władz w Sankt Petersburgu. Sprawa została przekazana kolegium sprawiedliwości wraz z notatką zalecającą, aby kolegium wszczęło śledztwo dotyczące życia Darii Nikołajewny Sałtykowej – szlachcianki, matki, wdowy po człowieku bez skazy, przykładnej wyznawczyni wiary chrześcijańskiej.

„Nic nie wiem; nic nie zrobiłam”

Jeśli Daria potrafiła wpaść we wściekłość z powodu brudnych podłóg i byłych kochanków, możemy sobie tylko wyobrazić, jaki gniew ją ogarnął, kiedy się dowiedziała, iż dwóch chłopów pańszczyźnianych zdołało doprowadzić do tego, że władze zainteresowały się jej poczynaniami. Tym razem jednak nie mogła spełnić swoich grózb, że zatłucze ich na śmierć, ponieważ wielkoduszna caryca Katarzyna zaczęła się jej przyglądać i życie, jakie wiodła dotychczas, miało nieodwołalnie się skończyć.

W pewnym sensie ta sprawa wypłynęła w idealnym momencie dla Katarzyny Wielkiej. No cóż, Katarzyna próbowała pokazać światu, że wraz z jej panowaniem w Rosji zaczęła się nowa era – charakteryzująca się humanitaryzmem i oświeceniem, w której szlachecka krew nie stanowi już wystarczającej wymówki, by człowiek mógł robić wszystko, co mu się podoba. Katarzyna musiała więc przykładowie kogoś ukarać. W oczach prawa wszyscy byli równi!

No tak, do pewnego stopnia. Rzecz w tym, że Katarzyna odczuwała jednocześnie silne naciski, aby sprawę Sałtykowej załatwić dyplomatycznie. Daria należała do rodziny cieszącej się znacznym prestiżem, inni arystokraci byli więc żywo zainteresowani tą, jakby to powiedzieć, niefortunną sytuacją. Pragnęli dopilnować, aby Katarzyna nie wprowadziła żadnych precedensów, których później nie da się cofnąć. (Oczywiście, oni także mieli krew na rękach: opowieści o chłopach, których wychłostali za mocno, o przekupstwie i pośpiesznych pochówkach). Mimo to oskarżenia wysunięte przeciw Darii były zbyt poważne, aby Katarzyna mogła „zamieść sprawę pod dywan”, porozumiewawczo robiąc oko do moskiewskich wielkich rodów. Liczba ofiar przypisywanych Darii sięgnęła już zawrotnej liczby sto trzydzieści osiem. Czy im się to podobało, czy nie, członkowie kolegium sprawiedliwości mieli do czynienia z jednym

z najstraszliwszych seryjnych zabójców w dziejach.

Dzięki osobistemu zainteresowaniu Katarzyny tą sprawą śledztwo przeciw Darii przeprowadzono niesłychanie metodycznie. To już nie był powierzchowny proces jak w przypadku Batory: śledczy przesłuchali setki świadków zarówno w Moskwie, jak i w Troickoje, starannie potwierdzając, a potem raz jeszcze, każde oskarżenie wysunięte przeciw szlachciance. Ci świadkowie potrafili precyzyjnie odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie tylko śledczy pragnęli im zadać. Pamiętali imiona zmarłych chłopów i chłopek oraz daty ich śmierci. Poświadczali nawzajem swoje wersje wydarzeń. Jeśli któryś ze świadków budził choćby najmniejszy cień wątpliwości – czy chodziło o sprzeczne zeznania, skrupuły dotyczące wiarygodności świadka czy fakty, których nie dało się udowodnić – kolegium interpretowało daną sprawę na korzyść Darii. Odrzucono także liczne przypadki z powodu braku dowodów. Odpowiedź Darii na zarzut zamordowania stu trzydziestu ośmiu osób była krótka i rozbijająca: „Nic nie wiem, niczego nie zrobiłam”.

Mimo to uznano, że jest winna trzydziestu ośmiu morderstw oraz podejrzana o popełnienie morderstwa w kolejnych dwudziestu sześciu przypadkach. Niemniej to, że Daria odmówiła przyznania się do winy, wzbudzało ogromny niepokój Katarzyny – widać to wyraźnie w samej liczbie listów, jakie poświęciła tej sprawie. Katarzyna II była zdecydowaną przeciwniczką stosowania tortur – co ujęła w sławnych słowach: „Wszelkie kary, które mogą okaleczyć ciało człowieka, są barbarzyńskie”^[253]. Pragnęła jednak, żeby Daria przyznała się do *czegokolwiek*. Pisała do członków kolegium: „Wyjaśnijcie Sałtykowej, że zeznania i fakty w tej sprawie oznaczają, że zajdzie potrzeba oficjalnego zastosowania tortur, jeśli nie przyzna się do swojego udziału w tych zbrodniach. Wyślijcie więc do niej duchownego, który będzie towarzyszyć jej przez miesiąc i namawiać do wyznania win. A jeśli się nie przyzna, to przygotujcie ją na tortury”.

Katarzyna nie chciała, aby Darię poddano torturom, ale miała nadzieję, że sama *wizja* tortur wystraszy ją na tyle, że przyzna się do swoich zbrodni. „Pokażcie jej izbę tortur – pisała Katarzyna – żeby wiedziała, co ją czeka. Dajcie jej ostatnią szansę na przyznanie się do winy i na skruchę”. Jednocześnie Katarzyna nieustannie przypominała śledczym, że niezależnie od tego, co się stanie, Darii nie może spaść włos z głowy. Ustanowienie precedensu w postaci poddania torturom albo stracenia członka arystokracji budziło wśród szlachty głęboką niechęć i było zdecydowanie zbyt ryzykowne. „Należy starannie dopilnować, aby nie doszło do niepotrzebnego rozlewu krwi” – pisała. „Wszystkie osoby zamieszane w te zbrodnie muszą być odpowiednio przesłuchane, wszystkie fakty należy zgromadzić i spisać. A potem macie to wszystko przekazać mnie”.

Daria nigdy się do niczego nie przyznała.

„Całkowicie bezbożna dusza”

„Niniejszym postanawiamy, co następuje, i naszą wolę przekazujemy senatowi” – głosił cesarski werdykt Katarzyny wydany drugiego października 1768 roku. „Rozważywszy raport, przedstawiony nam przez senat, dotyczący zbrodni popełnionych przez nieludzką wdowę Darię, córkę Nikołaja, uznajemy, że nie zasługuje ona na to, aby nazywać ją istotą ludzką oraz że jest gorsza od najgorszych sławnych morderców, skrajnie

pozbawiona serca, okrutna i niezdolna do powściągnięcia swojego gniewu”. Cesarski dekret formułował także karę, przeznaczoną dla morderczyni. Najpierw Daria zostanie poprowadzona na szafot na centralny plac Moskwy, gdzie usłyszy wyrok, który zostanie odczytany bez wymieniania ani razu rodzowego nazwiska Darii, ani nazwiska jej męża – w ten sposób wymazywano jej tożsamość jako członka społeczeństwa i faktycznie zrywano wszelkie więzy rodzinne. Następnie zostanie zamknięta w lochu do końca swoich dni.

W latach prowadzonego przeciwko niej śledztwa Daria dorobiła się mrocznej reputacji. Po Moskwie krążyły niesamowite opowieści, że dopuszczała się kanibalizmu i ludzie pragnęli teraz za wszelką cenę zobaczyć na własne oczy sławną zabójczynię. Katarzyna łaskawie sprzyjała takiemu widowisku, rozsyłając do wszystkich szlacheckich domów zaproszenia, w których domagała się, aby członkowie moskiewskiej elity przyszli na plac i obserwowali karę, jaka spotkała Darię. Jednak zaproszenia kryły w sobie także zamaskowaną groźbę: ostrzegała szlachtę, że nadużycia władzy mają realne konsekwencje. Nadciągało oświecenie. Nie mogła się dłużej godzić z tym, aby wszystko uchodziło szlachcie na sucho.

Osiemnasty października to była niedziela. W Moskwie padał pierwszy tego roku śnieg, ale to nie powstrzymało tłumów ludzi, którzy przyszli na plac Czerwony pogapić się na „nieładną wdowę”. W południe wyprowadzono Darię na plac i przywiązano do słupa. Na szyi zawieszono jej tablicę z napisem: „Dręczycielka i morderczyni”. Podczas odczytywania wyroku obok niej stała straż. Jeden z widzów ponoć donosił potem z przejęciem, że Daria miała w oczach spojrzenie „nie z tego świata”^[254]. Po godzinie została odprowadzona w kajdanach.

Kara, jaka spotkała Darię, nie była krwawa, ale oznaczała długą i przerażającą izolację. Umieszczono ją w podziemnej celi więziennej, zwanej „izbą pokuty”, do której dostęp miała jedynie zakonnica i strażnik więzienny. Nie docierał tam żaden promień światła; skazana mogła cieszyć się jedynie płomykiem świecy podczas posiłków. W ten sposób, w całkowitych ciemnościach, spędziła jedenaście lat. Oprócz jedzenia i picia pozwalano jej tylko na jeden rodzaj aktywności: w każdą niedzielę mogła stać pod szybem wentylacyjnym, prowadzącym do miejscowej cerkwi i słuchać liturgii.

O czym myślała Daria w kolejne niedziele, słysząc słowa kapłana? „Święty Boże, który stworzyłeś wszystko z niczego, który stworzyłeś człowieka na Twój własny obraz i podobieństwo i ozdobiłeś go każdym Twoim darem”. Czy Daria czuła cokolwiek, myśląc o ciałach, które zniszczyła, stworzonych na ten „obraz i podobieństwo”? Kiedy liturgia dotyczyła kwestii grzechu i zła oraz potrzeby uświęcenia, czy myślała wtedy o sobie? Czy jedynie stała tam w ciemnościach, pod szybem wentylacyjnym, błędząc myślami gdzieś daleko, mrużąc swoje nieprzyzwyczajone do światła oczy z innego świata?

Potworna Daria. Uwewnętrzniła uwarunkowania systemu pańszczyźnianego tak głęboko, że być może naprawdę wierzyła w to, że w oczach Boga jest usprawiedliwiona, kiedy wysyła na tamten świat te odrażające, niegodne dusze podrzędnych istot. Wszystko wokół mówiło jej, że jest istotą lepszą: słuchała orkiestr złożonych z chłopów pańszczyźnianych, podziwiała balet, widziała, jak karano poddanych za choćby próbę

krytyki swoich panów. Nawet w jej ukochanym Kościele prawdopodobnie nigdy nikt jej nie powiedział, że poddaństwo jest czymś złym. Dokument opublikowany w 1776 roku „ignorował istnienie systemu pańszczyźnianego”^[255]. Historyk Richard Pipes wyartykułował to z jeszcze większą siłą, mówiąc o rosyjskiej cerkwi prawosławnej: „Żaden z nurtów chrześcijańskich nie splamił się tak naganną obojętnością wobec społecznych i politycznych nieprawości”^[256]. Milczenie duchownych było wymowne: Ci chłopci pańszczyźniani są dla nas niczym. Są niczym dla Boga. Nic nie znaczą.

Daria doprowadziła ten sposób myślenia do logicznego ekstremum. Jeśli chłopci pańszczyźniani są niczym, jakąś niższą formą życia, jeśli ona była tą lepszą – co potwierdzał system prawny wspierany przez Kościół – to mogła z nimi zrobić wszystko, co jej się tylko spodoba. Czuła się uprawniona do owoców ich pracy, ich krwi i może nawet do ich dusz.

Ale oczywiście nie zabiła ich wszystkich. W rzeczywistości nie była żadnym Bogiem. Toteż kiedy ona marniała w więziennym lochu, chłopci, którzy ją przeżyli, zaczęli mówić na nią „Sałtyczycha” – przydomek, który nie miał żadnego odpowiednika, ale stanowił drobny akt socjolingwistycznego buntu. Arystokraci nigdy nie odnosili się do siebie nawzajem za pomocą tego rodzaju zdrobnień, więc samo istnienie przydomka wskazuje, że został jej nadany przez chłopów. Słowo „Sałtyczycha” opisuje prostą, wiejską kobietę, kogoś, kto jest może trochę zbyt szorstki, Daria byłaby przerażona, gdyby usłyszała swoje szlacheckie nazwisko, przekształcone w ten sposób. Fakt, że przydomek się utrzymał – nawet pojawił się sto lat później w posłowie do *Wojny i Pokoju* – stanowił małe zwycięstwo dla „dusz”^[257].

W 1779 roku przeniesiono Darię do wykutej w skale izby, wyposażonej w niewielkie zakratowane okno. Plotka głosi, że sypiała z jednym ze strażników i wydała na świat dziecko, ale dobiegałoby wówczas pięćdziesiątki. Moskwa nie zapomniała o niej – „potworze w ludzkiej skórze”, nazywanym „kompletnie bezbożną duszą”^[258] – i ciekawskie dzieci czasami zerkały przez okienko, żeby choć na moment zobaczyć odrażającą Sałtyczychę. A kiedy im się to udało, ta wyła i pluła – potwierdzając pogłoski o swojej brutalności i przekonując wszystkich, że nadal nie czuje skruchy z powodu swoich zbrodni. O ile nam wiadomo, o tyle nigdy nie czuła żalu.

Spędziła w więzieniu w sumie trzydzieści trzy lata, aż do swojej śmierci dwudziestego siódmego listopada 1801 roku. Kiedy była już starą kobietą, odwiedził ją państwowy urzędnik – zapewne ciekawy, czy szlachta potrafi zachować swoje szlacheństwo po latach spędzonych w lochu. Odnotował, że Daria zrobiła się otyła oraz że „wszystkie jej gesty zdradzały teraz obłąd”. Po latach błąkania się w mroku nie była już panią samej siebie.

Rozdział ósmy

Lodowata Anna^[259]

Anna Marie Hahn

Pewnego dnia, latem 1937 roku, do pociągu jadącego na zachód, w stronę Colorado Springs, wsiadły trzy osoby, należące do trzech różnych pokoleń: śliczna trzydziestoletnia kobieta, nastoletni chłopiec o twarzy cherubina i schorowany starszy mężczyzna. Chłopiec co chwila biegał po korytarzu pociągu, aby przynieść starszemu mężczyźnie szklankę zimnej wody. Starzec był blady i ciągle narzekał, że chce mu się pić. Drzemał niespokojnie. W końcu chłopiec, aby się czymś zająć, opadł na swoje siedzenie i zaczął rysować. Szkicował chwilę i w końcu pokazał mężczyźnie swoje dzieło. Przedstawiało ludzką czaszkę.

Starszy, schorowany mężczyzna spojrział na rysunek z przerażeniem w oczach. „Czarownice!” – wrzasnął, chwytając kartkę papieru i unosząc ją do góry. „Czarownice!” Chłopiec tylko parsknął, roześmiany, widząc jego przerażenie. Wkrótce cały wagon zanosił się śmiechem. Kiedy mężczyzna uświadomił sobie, że nikt nie zamierza ruszyć mu na pomoc, zmiął papier i wetknął go do kieszeni. A potem znowu zasnął, budził się i zasypiał ponownie, jak gdyby zmagął się z jakimś koszmarem.

Miłość od pierwszego wejrzenia

Anna Marie Hahn miała dzieciństwo jak z bajki, jednak to cudowne dzieciństwo zostało przedwcześnie przerwane, gdy nagle, niczym piorun, spadła na nią dorosłość: w jej życiu pojawił się mroczny kochanek i złamał jej serce. W każdym razie tak brzmiała wersja, w którą Anna Marie sama głęboko wierzyła i chciała, by równie głęboko uwierzyli w nią inni. Urodziła się w 1906 roku w idyllicznym bawarskim miasteczku Füssen, położonym u podnóża Alp, sławnym ze swoich lutników. Jej ojciec, Georg Filser, zajmował się produkcją mebli. Rodzina była szanowana, pobożna i zamożna. Anna, jako najmłodsze z dwanaściorga dzieci, choć pięcioro z jej rodzeństwa zmarło, przypuszczalnie była uwielbiana i rozpieszczana przez całą rodzinę. Jej matka, Katie, zawsze mówiła, że Anna była jej ulubienicą.

W tym pogodnym niemieckim miasteczku pojawił się jednak pewien człowiek. Nazywał się doktor Max Matscheki i był sławnym wiedeńskim lekarzem, pracującym nad lekarstwem na raka – „jednym z największych lekarzy na świecie” – a do tego był przystojny jak gwiazda filmowa^[260]. Max słodko uwodził dziewiętnastoletnią Annę i gdy kołysali się w zgodnym rytmie na parkiecie tanecznym, szeptał jej do ucha romantyczne obietnice. „To była taka miłość, o jakiej marzy każda młoda dziewczyna, miłość od pierwszego wejrzenia” – opowiadała Anna. „Byłam wtedy szczęśliwa”. Matscheki przysięgał, że się z nią ożeni i w końcu Anna, porwana tą idealistyczną opowieścią, wylądowała z nim w łóżku. Dlaczego nie? Była pewna jego uczuć i podekscytowana czekającą ich wspólną przyszłością. Ale kiedy doktor Max Matscheki dowiedział się, że Anna jest w ciąży, wycofał się. Jest ktoś inny, oświadczył. Żona w Wiedniu. „Czułam się

tak, jak gdyby mnie przygniotła jakaś góra” – opowiadała później Anna. „Nie zabiła mnie, ale po prostu przydusiła i zmiażdżyła”^[261].

Jej opowieść brzmiała prawdziwie i romantycznie. Wiązał się z nią jednak pewien kłopot. Nikt nigdy nie słyszał w Wiedniu o doktorze Maksie Matschekim. Sławny lekarz okazał się wytworem wyobraźni Anny, widmowym kochankiem zastępującym jakiegoś zwykłego mężczyznę. Dziecko było bowiem całkiem realne i kiedy konserwatywna rodzina Anny dowiedziała się, że dziewczyna jest w ciąży, wszyscy wpadli w przerażenie. W niewielkim pobożnym miasteczku nie można było ukryć ciąży nastolatki. Gdy tylko syn Anny, Oskar, przyszedł na świat, rodzina uznała, że Anna powinna na dobre zniknąć z ich życia – wyjechać do Ameryki.

Prawdę mówiąc, Anna poczuła się szczęśliwa na myśl, że wyjedzie i zostawi za sobą świat małomiasteczkowych plotek, jakie towarzyszyły jej przez długie dziewięć miesięcy. „Nie mogłam już znieść tego wszystkiego, co ludzie opowiadali o moim nieszczęściu – wspominała potem”^[262]. Po dwóch latach udało jej się zdobyć wizę i w wieku dwudziestu dwóch lat wyjechała, zostawiając synka u rodziny, ale zamierzała po niego wrócić, kiedy już ustatkuje się za oceanem. Samotna podróż przez morze, bez Oskara, musiała stanowić dla niej niezwykłą udrękę. „Mój mały chłopiec był jedyną radością, jaką przyniosło mi dotąd życie” – opowiadała^[263].

Anna do końca swoich dni z czułością wypowiadała się o doktorze Maksie Matschekim. Niewykluczone, że lubiła obraz samej siebie, jaki wyłaniał się z tej opowieści: niewinnej marzycielki, seksualnie atrakcyjnej dziewczyny, miotanej bezlitośnie falami tajemniczego romansu. Wizerunek ofiary. Opowieść o ojcu Oskara stanowiła jedno z jej najbardziej filmowych kłamstw – seks i lekarstwo na raka! – ale było także wyjątkowo niewinne. Przynajmniej nikt z jego powodu nie zginął.

Ameryka!

Aby zdobyć pieniądze na podróż, Anna napisała do wuja, Maksa Doeschela, który mieszkał w Cincinnati, i poprosiła go o pożyczkę. Nie utrzymywali bliskich kontaktów – prawdę mówiąc, Doeschel nigdy wcześniej nie słyszał o swojej siostrzenicy. Mimo to przysłał jej dwieście trzydzieści sześć dolarów i czekał, niepewny, kogo właściwie powinien się spodziewać. Później Anna przechwalała się, że przysłał jej oszałamiającą kwotę szesnastu tysięcy dolarów, ale Anna zawsze kłamała, gdy chodziło o pieniądze.

Anna przybyła do Cincinnati w lutym 1929 roku. Była śliczną blondynką, która dobrze mówiła po angielsku^[264]. Niemal natychmiast złapała szkarlatynę i przez kilka miesięcy była chora, ale w kwietniu doszła do siebie na tyle, by znaleźć pracę w hotelu. Zaczęła zarabiać pieniądze, a jednocześnie zachowywała się, jakby stała się kimś innym. Doeschel i jego żona nie bardzo rozumieli, skąd biorą się jej wysokie zarobki – „potrafiła z wielkim talentem zadbać o swoje potrzeby finansowe” – zwłaszcza że na razie nie wspomniała ani słowem o zwrocie pożyczki. Nabrała za to zwyczaju robienia ekstrawaganckich zakupów, a potem starała się trzymać wszystko w tajemnicy, jak gdyby pragnęła ukryć sam fakt, że były „zbyt kosztowne jak na pracującą dziewczynę”. Twierdziła nawet, że buduje dom, co już nie miało najmniejszego sensu. W jaki sposób mogłaby sobie na coś takiego pozwolić? Ale co tam logika: Anna chciała, aby postrzegano

ją właśnie jako osobę, która *może* zbudować sobie dom, jeśli ma na to ochotę^[265].

W hotelu, gdzie pracowała, poznała łagodnego, nieśmiałego człowieka, który nazywał się Philip Hahn. Nie przypominał romantycznego, wiedeńskiego lekarza, ale podobało jej się to, że obiecywał jakiś rodzaj bezpiecznej przystani. „Był dla mnie miły i powiedział, że mnie kocha i pragnie się ze mną ożenić” – opowiadała potem. Dodając: „Początkowo się przestraszyłam, kiedy zaczął mówić o małżeństwie”^[266]. Ale kiedy Hahn zgodził się występować w roli ojca Oskara, Anna ostatecznie ustąpiła. Pobrali się rok później. W lipcu 1930 roku Anna mogła już wrócić do Niemiec i zabrać swojego synka do Ameryki.

Jej ciotka i wuj zareagowali pewnym zaskoczeniem, gdy Anna wróciła do Cincinnati z małym blondynkiem, ponieważ nigdy wcześniej o nim nie wspominała. Zirykowani kłamstwami, jakimi ciągle ich karmiła, i zaniepokojeni jej niezrozumiałym zachowaniem, ostatecznie postanowili zerwać z nią wszelkie związki. Podobnie jak wcześniej zrobiła to jej rodzina w Niemczech.

Stany Zjednoczone zaczęły już wchodzić w przygnębiający okres załamania gospodarczego, znany jako Wielki Kryzys, i myśli Anny coraz częściej obracały się wokół pieniędzy. Nałogowo grała na wyścigach konnych i często wystawiała czeki bez pokrycia, kiedy traciła gotówkę. Razem z mężem otworzyła restaurację, po czym usiłowała ją spalić, żeby dostać odszkodowanie z ubezpieczenia. Z tego samego powodu próbowała także spalić swój dom. Być może pieniądze podsycaly w niej jakieś wielkie, romantyczne złudzenia, przypominające opowieść o wuju, który przysłał jej szesnaście tysięcy dolarów na wyprawę do Ameryki – sumę po prostu bajkową, wyczarowującą bogatych krewnych gotowych ją rozpieszczać oraz wizję luksusowej wycieczki przez Atlantyk. Tak czy inaczej, hazard i podpalenia wkrótce przestały jej wystarczać. Zaczęła rozglądać się za czymś poważniejszym.

Współcześnie niektórzy psychologowie ewolucyjni spekulują, że mężczyźni seryjni zabójcy należą do typu „łowcy,” podczas gdy kobiety zabójczynie to jedynie „zbieraczki”, rozsądnie gromadzące zasoby, należące do ofiar, zamiast uciekać się do przemocy pod wpływem głęboko zakorzenionego i nieopanowanego pragnienia przemocy^[267]. Anna formalnie rzecz biorąc, gromadziła pieniądze, pochodzące z dokonywanych przestępstw, ale do szpiku kości była łowczynią. Z zimną krwią zastawiała sidła na swoje ofiary, jak gdyby obserwowała je przez lunetę myśliwskiego sztucera, i osaczała je z bezlitosnym wyrachowaniem. W dodatku, jak przystało na prawdziwego drapieżnika, polowała na jednostki słabe. Prawdę mówiąc, jako przestępca działała w sposób dość niewyrafinowany, ale jej ofiary były samotne, niewinne i dawały się łatwo wyprowadzić w pole. To byli ludzie, którzy sądzili, że cały świat o nich zapomniał, i rozpaczliwie pragnęli uwierzyć w to, że pochylająca się nad nimi blondynka jest aniołem.

„Moja dziewczynka”

Jednym z pierwszych obiektów jej troski był sześćdziesięciodwuletni Ernest Kohler, właściciel domu, w którym mieszkała. Kohler posiadał duży, piękny dom i w 1932 roku wynajmował dwa pokoje rodzinie Hahnów oraz jeden pokój pewnemu

lekarzowi, który nigdy nie zamykał swojego gabinetu na klucz. Czasami Anna zakradała się do gabinetu doktora i fałszowała recepty na narkotyki, wykorzystując czyste formularze leżące na biurku. Ale przede wszystkim flirtowała z Kohlerem.

Kohler zmarł nagle szóstego maja 1933 roku. Jego śmierć stanowiła dla Anny prawdziwy dar niebios. Zostawił jej swój piękny dom, warty dwanaście tysięcy dolarów, samochód, a także tysiąc sto sześćdziesiąt siedem dolarów na rachunku oszczędnościowym, do tego mnóstwo cennych antyków. Oczywiście pracownicy biura koronera poczuli się może trochę niezręcznie, gdy odebrali kilka anonimowych telefonów z sugestiami, że Kohler został otruty, jednak Anna przekonująco wyjaśniła, że nic takiego się nie stało, a Kohler zmarł na raka przełyku. Koroner sprawdził więc przełyk zmarłego, nie znalazł śladów trucizny i spokojnie wysłał ciało do kremacji.

Annie związek z Kohlerem wydawał się idealny. Wołała mężczyzn raczej w podeszłym wieku, samotnych i najlepiej niemieckiego pochodzenia, dzięki czemu mogła nawiązać z nimi bliższe więzi, odwołując się do wspólnego kulturowego dziedzictwa. Najczęściej wybierała mężczyzn w wieku emerytalnym (co oznaczało, że potencjalnie mieli zasobne konto w banku), zapomnianych przez społeczeństwo (a więc stawali się szczególnie podatni na jej wdzięk). Proponowała im swoje towarzystwo jako swego rodzaju asystentka i przyjaciółka, która będzie się nimi opiekować, gotować albo z nimi flirtować bez zbędnych ceregieli.

Ci mężczyźni musieli szcypać się, przecierając oczy ze zdumienia: oto siedzą samotni w swoich kawalerskich mieszkaniach, a tu nagle u ich drzwi pojawia się ta cudowna istota, chętnie śmieje się z ich żartów i gotuje dla nich wyszukane potrawy, wywołujące uczucia nostalgii. Czasami pozwalała im nawet się całować i wkrótce ci mężczyźni zaczęli, ku swojemu zdumieniu, rzucać słowa takie jak „zaręczyny” i „miesiąc miodowy”. Naprawdę była jakimś cudem. Prawdziwą drugą szansą w życiu. A do tego taka zachwycająca: pełna życia, o orzechowych oczach i delikatnej urodzie, którą trudno było uchwycić na kliszy aparatu fotograficznego.

Następny przyjaciel Anny, sześćdziesięcioletni handlowiec z branży węglowej, George E. Heis, mówił o niej „moja dziewczynka” i z apetytem pochłaniał smażone przez nią bawarskie naleśniki Hügelsheimer Pfannkuchen^[268]. Kiedy Anna nieśmiało poinformowała Heisa, że rozwiodła się ze swoim mężem (kłamstwo!), zauroczony mężczyzna zaczął wspominać o małżeństwie.

A właśnie, co właściwie robił w tym czasie Philip Hahn? No cóż, jej mężowi przypadła drugoplanowa rola w sztuce, jaką stało się życie Anny Hahn. Nie podobały mu się jej przyjaźnie ze starszymi mężczyznami, ale Anna ignorowała jego protesty. Raz dorzuciła nawet truciznę do jego obiadu, ale zrobiła to tak nieudolnie, bez przekonania, że możemy przypuszczać, że Hahn nic dla niej nie znaczył. Nie okazał się nawet na tyle ważny (albo bogaty), żeby miała go zabić. Hahn gwałtownie rozchorował się po tym posiłku i zaczął podejrzewać, że Anna próbowała go zamordować, więc, co zrozumiałe, ich małżeństwo straciło dla niego smak. Mimo to nie rozstał się z żoną, być może z powodu Oskara.

Spędzając miło czas z Heisem w jego domu, Anna często zwracała się do swojego starzejącego się ukochanego z niewinnymi prośbami o pieniądze, a on odczo

przystawał na te prośby – czasem wyciągał gotówkę z kieszeni, czasem podejmował jakąś sumę z firmowego konta Consolidated Coal Company. Kiedy jednak „pożyczki”, zaciągnięte przez Annę, sięgnęły w sumie dwóch tysięcy dolarów, dyrektor zajmujący się w firmie sprawami bankowymi zażądał wyjaśnień. Heis musiał się przyznać, że ma śliczną nową przyjaciółkę i że nie potrafi jej niczego odmówić. Nieczuły na szaleństwa miłości dyrektor zaczął domagać się od Anny spłaty długu.

W tym momencie Heis wreszcie nieco otrzeźwiał. Zaczął przyglądać się Annie chłodniejszym wzrokiem, mniej zaślepionym namiętnością i uświadomił sobie nie tylko, że Anna cały czas prosiła go o pieniądze, ale że w dodatku często chorował po przygotowanych przez nią potrawach. Prawdę mówiąc, czasami przez kilka dni nie mógł wstać z łóżka. Heis podzielił się tymi podejrzeniami ze swoim doradcą finansowym. Czy dziewczyna próbowała go otruć? Kiedy Anna następnym razem pojawiła się ze swoim popisowym daniem – szpinakiem posypanym białymi granulkami czegoś, co *wyglądało* jak sól – Heis oświadczył, że pragnie dostać swoje dwa tysiące dolarów z powrotem i że nie chce jej więcej widzieć na oczy.

Heis nie miał pojęcia, że wypowiadając te słowa, *de facto* podpisał wyrok śmierci na kilku innych starzejących się, samotnych kawalerów w Cincinnati – jego żądania zmusiły Annę do nasilenia poszukiwań kolejnej ofiary. Pod koniec 1936 roku spotkała Alberta Palmera, lat siedemdziesiąt dwa, z którym połączyło ją namiętne upodobanie do wyścigów konnych. Podobnie jak Heis, Palmer nazywał Annę „swoją dziewczynką” i pochłaniał ugotowane przez nią potrawy. Zamierzali wspólnie pojechać na Florydę. Zostawiała mu ekliwe liściki, które przypuszczalnie doprowadzały go do szaleństwa: „Mój kochany, słodki Tatusiu”, czytamy w jednym. „A zatem do jutra, kiedy znów się zobaczymy. Z miłością i mnóstwem pocałunków. Twoja Anna”^[269]. Czującymi słówkami namówiła go do wysupłania dwóch tysięcy dolarów, które po części wykorzystwała na spłacenie Heisa.

W końcu Palmerowi także wrócił rozsądek. Zaczął ją wypytywać, czy nie mogłaby w jakiś sposób zacząć spłacać długu, jaki zaciągnęła *u niego*, na co ona w odpowiedzi przygotowywała mu kolacje, które niszczyły jego zdrowie. Poza tym niewykluczone, że dotarły do niego plotki z sąsiedztwa o niedawnym romansie Anny z Heisem. Urażony i wściekły Palmer postawił Annie ultimatum: albo od razu odda mu pożyczone dwa tysiące dolarów, albo zostanie jego narzeczoną – na stałe i na wyłączność. Anna jednak nie musiała nigdy dokonywać tego wyboru, dwudziestego szóstego marca 1937 roku Palmer zmarł. Prawdopodobnie był to atak serca.

Anna znalazła swojego następnego dobroczyńcę, pojawiając się po prostu przed jakimś przypadkowo wybranym budynkiem mieszkalnym i śmiało zadając napotkanej kobiecie pytanie, czy przypadkiem nie mieszka tu „jakiś starszy mężczyzna”^[270]. A kiedy usłyszała, że jedno z mieszkań rzeczywiście wynajmuje niemiecki emigrant Jacob Wagner, oświadczyła, podejrzliwie przyglądając się lokatorce, że ach tak, oczywiście, Wagner jest jej wujkiem – choć kilka minut wcześniej nawet nie znała jego nazwiska. Następnie wsunęła Wagnerowi pod drzwi liścik i umówiła się z nim na spotkanie. „Mam nową dziewczynę” – przechwalał się Wagner kumpłowi^[271]. Jego nowa dziewczyna często prosiła go o pożyczki i zapewniała, że może na niej polegać, pokazując

mu na dowód sfałszowaną książeczkę bankową, gdzie czarno na białym wypisano, że Anna ma na koncie ponad piętnaście tysięcy dolarów. Czy ta liczba miała jakiś związek z iluzorycznymi szesnastoma tysiącami, przysłanymi jej rzekomo przez wuja? Może to była jej wymarzona suma: ilość pieniędzy, jaką kojarzyła ze stabilizacją i bajkowym szczęściem?

W jej poczynania zakradł się pewien chaos. Wdawała się w afery z wieloma mężczyznami naraz, czasami należącymi do tych samych kręgów społecznych. Jej prośby o pieniądze zaczynały brzmieć nedorzecznie – jeśli naprawdę ma piętnaście tysięcy dolarów na koncie, dlaczego w ogóle potrzebuje pożyczek? – a w swoich polowaniach na nowe ofiary posuwała się teraz wprost do zadania przypadkowo spotkanej osobie pytania, gdzie może znaleźć „starszych mężczyzn”. Ale na tym właśnie polegał geniusz Anny: wyszukiwała osoby samotne, wyizolowane społecznie. Z całą pewnością wzbudzała podejrzenia – kobieta mieszkająca w tym samym domu co Wagner na zawsze zapamiętała jej dziwaczne pytanie – ale najczęściej po prostu nikt nie przejmował się losem tych mężczyzn.

Kiedy Anna zastawiała swoje sidła na Wagnera, zabiła ponownie, tym razem dla naprawdę niewielkiej sumy, osiemdziesięciu dolarów, i futra z królików. Zaprzyjaźniła się z pewną starszą wdową, ubierając się w strój pielęgniarki i oferując swoje usługi, a następnie ukradła kosztowności, które staruszka trzymała pod łóżkiem. („Po prostu uwielbiałam sprawiać, by starsi ludzie czuli się bezpiecznie” – mówiła później)^[272]. Za zrabowane pieniądze kupiła sobie piękne futro i zaproponowała okradzionej, że znajdzie „winowajcę”, jeśli niczego niepodejrzewająca wdowa zapłaci jej osiemdziesiąt dolarów. A potem wykończyła biedną kobietę za pomocą lodów z trucizną.

Tymczasem w mieszkaniu Wagnera sprawy przybrały niepokojący obrót. Wagner zaczął podejrzliwie patrzeć na Annę, kiedy zginęła gdzieś jego książeczka bankowa, ale Anna zapewniła go, że nie zrobiła nic złego i aby go uspokoić, podała mu dobrze przygotowane jedzenie i picie. Wkrótce Wagner trafił do szpitala, „półprzytomny, zwijający się z bólu, w stanie szoku i umierający”. To był przerażający widok. Arsenik często sprawia, że ofiara staje się oszalała z pragnienia; wkrótce przed śmiercią Wagner błagał pielęgniarkę, aby dała mu coś do picia, szepcząc: „Ich könnte ein Fass voll Wasser trinken!” (Mógłbym wypić beczkę pełną wody)^[273].

Wkrótce Anna pojawiła się w najbliższym sądzie, zajmującym się sprawami spadkowymi, i niczym wytrawna aktorka teatralna odegrała rolę Lady Makbet. Wylawszy stosowną ilość łez, skromnych i rozdzierających serce, spytała szeptem, czy przypadkiem któryś z pracowników nie mógłby przeszukać mieszkania Wagnera, tak na wszelki wypadek, aby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś ważnych dokumentów. Rzeczywiście, wysłannik sądu znalazł odręcznie spisany testament Wagnera, leżący na półce:

Niniejszym sporządzam mój testament i czynię to z własnej nieprzymuszonej woli. Posiadam pieniądze w Fifth Third Bank. Po opłaceniu kosztów mojego pogrzebu pragnę, aby reszta tej sumy została przekazana mojej krewnej, Annie Hahn. Pragnę, aby pani Hahn była egzekutorką mojego testamentu. Nie życzę sobie żadnych kwiatów i wystawiania ciała na widok publiczny^[274].

Ten testament – a to ci niespodzianka – został napisany przez samą Annę i doprawdy pani Hahn wykazała się imponującym opanowaniem i pewnością siebie, kiedy naprowadziła władze wprost na swoje fałszerstwo. Jako przestępczyni Anna nie przejmowała się konsekwencjami swoich czynów i ta obojętność po części wynikała z jej skrajnego braku empatii. Ostatnia wola, testament? Osiemdziesiąt dolarów jakiejś starszej pani? Nie było dla niej żadnych świętości; nic nie mogło wytrącić jej z równowagi. I podobnie jak wiele innych jej oszustw, to także okazało się skuteczne. Władze nie miały żadnego powodu podejrzewać tej czarującej, zrozpaczonej blondynki, a poza tym najwyraźniej nikt nie przejmował się losami Wagnera na tyle, aby potwierdzić bądź zakwestionować rodzinne związki Anny z Wagnerem.

Jej łowy trwały nadal: kilka tygodni później zaprzyjaźniła się z sześćdziesięciosiedmioletnim Georgem Gsellmanem, emigrantem z Węgier, mówiącym po niemiecku, który uważał się za kobieciarza. Po spotkaniu z Anną przechwalał się jedną ze swoich byłych: „Nie chciałaś wyjść za mnie, a teraz spotkałem śliczną młodą blondynkę, nauczycielkę z Niemiec”^[275]. Anna zdołała go namówić jedynie do pożyczania stu dolarów, ale dla Gsellmana to było mnóstwo pieniędzy. Prawdę mówiąc, bankier Gsellmana zauważył, że to była największa suma, jaką jego klient kiedykolwiek pobrał z konta.

Pewnego wieczoru podekscytowany Gsellman oświadczył swoim dwóm sąsiadom, że następnego dnia się żeni! Rankiem ciało niedoszłego pana młodego leżało sztywne na łóżku. Na kuchni pozostał zjedzony do połowy posiłek z dodatkiem osiemnastu gramów arszeniku. To ilość trucizny znacznie przewyższająca dawkę niezbędną do zabicia człowieka, ale kto by się tym przejmował? Na pewno nie Anna.

Czarownice

Mówią, że trucizna jest dla słabeuszy. Jako pierwszy terminem „broń tchórzów” posłużył się przypuszczalnie angielski poeta Phineas Fletcher (1582–1650) i ta opinia utrzymała się przez następne stulecia. Nawet jedna z postaci w *Grze o Tron* George’a R.R. Martina wypowiada kwestię, że aby kogoś otruć, nie trzeba odwagi. Trucizna działa podstępnie, powoli i nie naraża sprawcy na nieprzyjemny rozlew krwi albo pewną niezręczność w kontakcie wzrokowym przy wbijaniu ofiary na pal. W rezultacie śmierć przez otrucie na ogół nie kojarzy się z czymś strasznym. Truciciele zwykle nie budzą w nas takiego przerażenia jak, powiedzmy, mordercy, którzy wypruwają ofiarom wnętrzności.

Ale to niesprawiedliwa opinia, ponieważ aby kogoś otruć, trzeba wykazać się umiejętnością długofalowego planowania oraz odpornością nerwową, konieczną przy znoszeniu przedłużających się męczarni ofiary. Musisz mieć siłę, aby dzień po dniu patrzeć ofierze w oczy pełne ufności, wiedząc jednocześnie, że powoli jej życie gaśnie. Powinieneś umieć odgrywać rolę opiekunki albo rodzica, albo kochanki, gdy w tym samym czasie wytrwale realizujesz swój morderczy plan, przebiegający w tempie nie do zniesienia dla wielu z tych, którzy pociągają za spust albo wykonują zamaszty ruch mieczem. Musisz ściierać z podłogi wymiociny ofiary i okazywać współczucie, kiedy błaga o kroplę wody. Kiedy wrzeszczy, że jej wnętrzności płoną, musisz zachować

stalowe nerwy, wiedząc, że nieubłaganie zbliża się jej śmierć, a jednocześnie podać jej kolejny łyk trującego napoju. Broń tchórzy? O nie. Trucizna to broń zimnych, pozbawionych serca, prawdziwie okrutnych ludzi.

Anna Hahn nie była tchórzem. Wiedziała, w jaki sposób przedłużyć śmierć, jak sprawić, aby bolała niczym ogień piekielny. Jej ostatnia ofiara przypominała wiele poprzednich, ale z jakiegoś powodu Anna zachowywała się wobec tego człowieka wyjątkowo podle. Truła go tak długo, aż wił się z bólu w swoich własnych odchodach. Jego ostatnie dni stanowiły koszmarną sekwencję bólu i halucynacji. A do tego zabiła go setki mil od jego domu.

Johan Georg Obendoerfer był szewcem, częściowo emerytowanym, oraz wdowcem i dumnym dziadkiem jedenaściorga wnuków. Pewnego dnia do jego warsztatu weszła uroczą blondynka, mówiąca po niemiecku, która spytała, czy nie mógłby jej naprawić butów. Być może Anna – która w tym czasie nadal spotykała się z Gsellmanem – wiedziała już, kim jest człowiek pracujący w warsztacie, i złamany obcas stanowił jedynie wymówkę. Tak, czy inaczej, Obendoerfer od razu się zakochał.

Po kilku tygodniach spotkań z Anną można było odnieść wrażenie, że Obendoerfer stał się nowym człowiekiem. Zgolił wąsy, aby wyglądać młodziej, zaczął wspominać o zaręczynach. Anna kokieteryjnie zaproponowała, że powinni wyjechać na wspólne wakacje, zanim naprawdę będzie mogła się zdecydować. Opowiadała, że ma piękny dom na ranczo bydła w Colorado i powiedziała Obendoerferowi, że powinni zabrać ze sobą Oskara, żeby sprawdzić, czy będzie im się tam podobało – i jeśli miejsce przypadnie im do gustu, cała trójka mogłaby się tam przenieść na stałe. Obendoerferowi spodobał się ten pomysł, więc Anna szybko zamordowała Gsellmana i zaczęła planować wycieczkę.

Obendoerfer nigdy w nie czuł się tak szczęśliwy. Otwierała się przed nim perspektywa drugiego życia, niczym piękny kwiat roztaczający słodką woń: narzeczona, małżeństwo, akry dzikich amerykańskich pustkowi, które mogłby nazwać swoją ziemią. A nawet dziecko. Dwudziestego lipca 1937 roku zapakował torbę podróżną i udał się do domu Anny, kupiwszy po drodze piwo dla uczczenia okazji. Aby radośnie zaznaczyć początek ich wyprawy, Anna przygotowała rozkoszny obiad – przyprawiony tymi białymi granulkami, które tak bardzo uwielbiała dorzucać do potraw. Rankiem następnego dnia Obendoerfer czuł się tak źle, że Anna i Oskar musieli mu pomagać przy wsiadaniu do taksówki.

Mimo to cała trójka wyruszyła w drogę, najpierw pojechali pociągiem z Cincinnati do Chicago – gdzie Anna zameldowała się razem z Oskarem w eleganckim hotelu, a Obendoerfera umieściła w tanim motelu w pobliżu – a potem do Denver, gdzie zatrzymali się na kilka dni. Pierwszego dnia pobytu w tym mieście Anna i Oskar poszli sprawdzić, jak się miewa Obendoerfer i zastali go w łóżku, wijącego się z bólu we własnych wymiocinach i odchodach. Anna udawała, że stara się złagodzić jego cierpienia, karmiąc go chłodnymi kawałkami arbuza, podczas gdy Oskar patrzył na nich z boku. Ale Obendoerfer zwracał wszystko, co zjadł. Zostawiła więc biednego mężczyznę jego nieszczęściu i zajęła się skomplikowaną sprawą: kradzieżą oszczędności jego życia.

Anna napisała list do jego bankiera z Cincinnati, twierdząc, że Obendoerfer zamierzał przenieść się do Denver i chciał w tym celu przesłać swoje pieniądze do Denver

National Bank, a na razie potrzebował tysiąca dolarów na bieżące wydatki. Przez następny tydzień ciągle zachodziła do Denver National Bank sprawdzić, czy przysły pieniądze, coraz bardziej niecierpliwie, z rosnącą frustracją.

W tym czasie hotelowy pokój zajmowany przez Obendoerfera zaczął cuchnąć tak niemiłosiernie, że obsługa odmówiła wchodzenia do środka. Kiedy właściciel hotelu, zajrzawszy do pokoju, zobaczył Obendoerfera zwiniętego w pozycji płodowej, leżącego we własnych odchodach, zażądał od Anny, aby zabrała go do szpitala. Anna wzgardliwie odparła, że ledwo zna tego człowieka. Po czym wsadziła Obendoerfera do pociągu zmierzającego do Colorado Springs.

Obendoerfer z pewnością zaczął podejrzewać, że Anna go truje, ale był już zbyt wycieńczony, w malignie agonii. Mógł jedynie błagać o wodę i bezsilnie patrzeć przez okna pociągu. Kiedy Oskar pokazał mu rysunek, przedstawiający ludzką czaszkę, Obendoerfer wykrzesał z siebie odrobinę sił, aby oskarżyć matkę i syna – czarownicę, czarownicę! – jednak wszyscy po prostu roześmiali się na widok jego przerażenia. A wtedy mógł już tylko skulić się, wspierając głowę o szybę, ze zmiętym rysunkiem przedstawiającym czaszkę w kieszeni obok serca, resztką sił zastanawiając się, w jaki sposób mógł pomylić ich z aniołami.

To, że Oskar siedział tuż obok umierającego mężczyzny, stanowi jeden z elementów budzących największą groźbę w historii Anny. Oskar przypuszczalnie nie rozumiał, co się dzieje, jednak wszystko to działo się na jego oczach. Czuł zapach wymiocin, widział agonię starego człowieka. Obserwował, jak jego matka podawała Obendoerferowi kawałki zatrutego arbuza (Anna wozila ze sobą solniczkę pełną arszeniku i obficie „solila” nim jedzenie Obendoerfera). Ze swoimi kręconymi włosami, idealną buzią i poważną, inteligentną twarzą, Oskar z całą pewnością pomagał Annie sprawiać wrażenie osoby nikomu niezagrożającej, czy wręcz uosobienia niewinności. Mimo to ludzie, którzy go znali, mówili, że był „wrednym dzieciakiem”, zabijał zwierzęta dla zabawy i raz wystrzelił z wiatrówki do swojego przyjaciela^[276]. Ale co z tego? Może matka trzymała go przy sobie, ponieważ dzięki niemu wyglądała wiarygodnie.

W Colorado Springs Anna i Oskar zostawili Obendoerfera i poszli zwiedzać miasto. Po powrocie do hotelu Anna zauważyła, że drzwi do prywatnego mieszkania właściciela są lekko uchylone. Zajrzała do środka i dostrzegła dwa diamentowe pierścionki, migotliwie połyskujące na toalecie. Wsunęła je do kieszeni, ale kiedy wychodziła z pokoju, wpadła wprost na żonę właściciela, która, co zrozumiałe, zareagowała nieufnie i zażądała wyjaśnień. Anna odparła, że po prostu ogarnęła ją ciekawość, jak wyglądają pokoje. Kradzież tych pierścionków, w biały dzień, była posunięciem wyjątkowo głupim i bezmyślnym, powodowanym zwykłą chciwością, a do tego, jak się okazało, fatalnym w skutkach.

Z pierścionkami w kieszeni Anna w końcu zawiozła Obendoerfera do szpitala, gdzie zarejestrowała go jako osobę bezdomną. Wkrótce zmarł w szpitalu, nigdy nie dotarłszy do obiecanego raj.

Największa zbrodniarka w Cincinnati

Z początkiem sierpnia 1937 roku policja w Cincinnati rozpoczęła tajne

dochodzenie w sprawie okoliczności zgonu Jacoba Wagnera, po otrzymaniu informacji od jednego z przyjaciół zmarłego, który zauważył, że jakaś podejrzana kobieta kręciła się po domu Wagnera kilka dni przed jego śmiercią. W tym samym czasie inni detektywi udali się do miejsca zamieszkania Anny Marii Hahn z pozoru w zupełnie innej sprawie – chodziło o kradzież dwóch diamentowych pierścionków, które Anna, wracając do Cincinnati, zastawiła w lombardzie za siedem dolarów pięćdziesiąt centów.

Kiedy na progu mieszkania Hahnów zjawili się policjanci, Anna głośno zaprotestowała na wiadomość o aresztowaniu. Początkowo została zatrzymana pod zarzutem kradzieży przedmiotów większej wartości, jednak to aresztowanie przypominało pociągnięcie za koniec nitki: nagle wszystko zaczęło się ze sobą zazębiać. Policjanci odkryli, że Anna opiekowała się Jacobem Wagnerem tuż przed jego śmiercią oraz że była w Colorado Springs mniej więcej w tym samym czasie, gdy mieszkaniec Cincinnati o nazwisku Obendoerfer zmarł tam w podejrzanych okolicznościach. Okazało się, że Anna trzyma w domu truciznę, ukrytą na poddaszu, itd., itd. Wyglądało na to, że ta śliczna złodziejka biżuterii może być sprawczynią największej zbrodni, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w Cincinnati.

Nazajutrz po jej zatrzymaniu detektyw Walter Hart podpisał nakaz aresztowania już nie tylko za kradzież, ale za „morderstwo, ucieczkę z miejsca zbrodni i kradzież”. W reakcji Anna starannie uczesała się, uśmiechała i opowiadała dziennikarzom, jak bardzo cieszy się, że zrobią jej zdjęcie. „Jestem, chłopaki” – oświadczyła lodowato blondynka o orzechowych oczach. „Zróbcie mi ładne zdjęcie”. Czy nie obawiała się zgromadzonych przeciwko niej dowodów? „Jak mogą mnie oskarżać o takie rzeczy?” – pytała. „Mogę śmiało stawić wyzwanie wszystkiemu, co się wydarzy”^[277].

Modlitwy matki

Coś w sprawie Anny poruszało uczucia kobiet w Cincinnati. Nie chodzi o to, że budziła ich odruchową sympatię, ale namiętnie pragnęły zobaczyć, jak będzie się zachowywała w sądzie, a to, że była matką, nie pozostawało bez znaczenia. W dniu, kiedy Anna miała składać swoje zeznania, w sali na każdego mężczyznę przypadało piętnaście kobiet i te kobiety wiele godzin czekały przed gmachem sądu, żeby mieć pewność, że jako pierwsze dostaną się do środka. Anna nie okazywała żadnych emocji, ale nie miało to znaczenia. Kiedy Oskar podbiegł do niej, aby coś wyszeptać jej do ucha, kilka kobiet otarło łzy z oczu, a jedna z członkiń ławy przysięgłych łkała.

Jeśli chodzi o ławę przysięgłych, kobiety miały w niej równie przytłaczającą przewagę jak na widowni. Ława przysięgłych składała się z jedenastu kobiet i jednego przystojnego mężczyzny, toteż prasa szybko nazwała to gremium „ławą w spódniczkach”. Wśród dziennikarzy sprawa Hahn budziła zrozumiałą ekscytację: zapowiadała się na wybuchową i sensacyjną, doskonałą okazję do długich redakcyjnych komentarzy.

Prawdę mówiąc, jedynymi ludźmi, którzy najwyraźniej nie interesowali się tą historią, było rodzeństwo Anny, mieszkające w Niemczech. Dowiedziawszy się o aresztowaniu siostry, odpowiedziało, że „nie jest zainteresowane” wynikiem sprawy i że rodzina zamierza ukryć całą wiadomość przed swoją starzejącą się matką, aby jej nie denerwować^[278]. Mimo to Anna nabrała przekonania, że jedna z jej sióstr pojawi się

w sądzie po oficjalnym rozpoczęciu procesu. „Będzie to dla mnie wielką pociechą, gdy znajdzie się w pobliżu jakiś członek mojej rodziny” – snuła marzenia^[279].

W więzieniu Anna dużo rozmyślała o swojej rodzinie, zwłaszcza o matce. Wysłała jej krótki telegram: „Po prostu módl się za mnie”. (Rodzeństwo Anny nie zamierzało pokazywać go matce). Podczas jednego z niedzielnych nabożeństw w więzieniu zażądała, aby odśpiewano hymn zatytułowany: „Modlitwy matki zawsze były ze mną”^[280], nie zdając sobie sprawy z ironii sytuacji: jej matka nie miała pojęcia, gdzie Anna się znajduje, ani co robi.

Poza Oskarem i Filipem Hahnem żaden członek rodziny Anny nigdy nie pojawił się w sądzie, aby ją wesprzeć. Dawno temu wykreślili ją ze swojego życia. Teraz byli oficjalnie „niezainteresowani”. Nie przerażeni, zaszokowani, załamani albo wzburzeni czy gotowi do moralnego potępienia – byli niezainteresowani. Czy to nie oznaczało przypadkiem, że byli także *niezaskoczeni*? Czyżby zawsze widzieli w Annie tę mroczną stronę? Także w czasach młodości, czy wyczuwali jej okrucieństwo, brak empatii i postanowili się od niej odsunąć, gdy tylko znaleźli wygodny pretekst?

„Ta kobieta dręczyła mnie tak jak się torturuje potępionych!”

Początek procesu Anny wyznaczono na jedenastego października. Miała być sądzona za morderstwo popełnione na Jacobie Wagnerze, ponieważ oskarżyciele uznali, że tę sprawę będzie najłatwiej udowodnić. Dysponowali odręcznie napisanym testamentem oraz zeznaniami eksperta, który mógł wykazać, że dokument został sfalszowany. Mieli także wyniki ekshumacji zwłok, potwierdzające, że w ciele Wagnera było dość arszeniku, aby go zabić nie raz, ale dwa razy.

Oskarżyciel, Dudley Miller Outcalt, miał opinię najlepszego w swoim fachu, był błyskotliwym mówcą z talentem do budowania sądowego dramatu. Dziennikarze z zachwytem relacjonowali jego płomienne wstępne przemówienie, podczas którego oświadczył, że zamierza udowodnić, iż Anna Hahn „zabiła tak wielu mężczyzn, że nie ma na ziemi nikogo do niej podobnego”^[281]. Po drugiej stronie sali znalazł się zespół obrońców Anny, dygocząc ze strachu – ci ludzie nigdy nie zajmowali się poważnymi przestępstwami, a co dopiero oskarżeniem o morderstwo. W dodatku jeden z członków zespołu, Joseph Hoodin, był poważnie przeziębiony. Hoodin okazał się w końcu dość żalospną postacią. Oświadczył nawet, że zamierza powołać pięćdziesięciu trzech świadków, aby udowodnić niewinność Anny, ale ostatecznie udało mu się znaleźć jedynie dwóch. W końcu nazwał całą sprawę: „robotą, z którą nikt nie mógłby sobie poradzić”^[282].

W przeciwieństwie do wyrazistych, rozemocjonowanych prawników, Anna zdobyła sobie reputację królowej lodu. Za każdym razem, gdy pojawiała się w sądzie, była nienagannie ubrana i uczesana – inne więźniarki, obsesyjnie podziwiające sławę swojej towarzyszki z celi, starannie układały jej włosy – na szyi nosiła złoty krzyż, miała spojrzenie pozbawione wyrazu. W więzieniu z rozbawieniem czytała artykuły prasowe, w których usiłowano rozwikłać „zagadkę jej flegmatycznego usposobienia”^[283]. Wysuwane przeciw niej oskarżenia odrzucała spokojnie, konsekwentnie i nieubłaganie. „Nigdy nie usłyszą ode mnie żadnego przyznania się do winy, ponieważ nie mogę

przyznać się do czegoś, czego nie zrobiłam” – oświadczyła jednemu z dziennikarzy. „Choć przypuszczam, że będą teraz podejrzewać mnie o śmierć wszystkich osób powyżej sześćdziesiątki w całym kraju”^[284].

Jednak ten spokój najwyraźniej stanowił jedynie maskę, ponieważ rzeczy nie przedstawiały się najlepiej dla Anny Hahn. Arsenik znaleziono nie tylko w ciele Wagnera, ale także Palmera, Gsellmana oraz Obendoerfera i na rozprawie w dniu dwudziestego drugiego października sędzia oświadczył, że oskarżenie może dołączyć do materiału dowodowego świadectwa dotyczące innych przypadków otrucia, nie ograniczając się do analizowania jedynie morderstwa popełnionego na Wagnerze. Kolejni świadkowie, zeznający w sali sądowej, pogrąжали ją coraz bardziej. Kobieta z kamienicy Wagnera, która zapamiętała pytanie Anny, czy „mieszkają tam jacyś starsi mężczyźni”; sąsiedzi którzy mówili o jej nienaturalnie spokojnej postawie wobec śmierci; pracownicy bankowi, przedstawiający świadectwa jej podejrzanych posunięć finansowych – przedstawianie czeków, które budziły wątpliwości itd. Eksperti od grafologii ustalili, że testament Wagnera został sfalszowany przez Annę osobiście. Toksykolog przebadał ulubioną torebkę Anny i znalazł liczne ziarenka arszeniku w wyściełającej ją tkaninie. Lekarze pokazywali przerażonym członkom ławy przysięgłych mózgi, wątroby, nerki zamordowanych mężczyzn, które unosiły się ponuro w słojach pełnych formaliny.

Gwiazdą oskarżenia okazał się George Heis, ten od zatrutego szpinaku i niespłaconego długu wobec Consolidated Coal Company. Zyskał sławę jako „żyjący świadek”^[285] oskarżenia, a jego wystąpienia w sali sądowej budziły przerażenie i były skrajnie obciążające. Prawdę mówiąc, oskarżyciele nie mogliby sobie wymarzyć bardziej inkryminującego obrazu: chudy jak szkielet George Heis, przykuty do wózka inwalidzkiego, który trzęsącymi się dłońmi wskazuje na Annę i opowiada przysięgłym, że to właśnie jest kobieta, która usiłowała go zamordować z zimną krwią.

W końcu miejsce dla świadków zajęli Oskar, a potem Anna. Najwyraźniej przygotowano Oskara do wystąpienia, ponieważ odpowiadał on na pytania bardzo uważnie: tak, przynosił Obendoerferowi wodę; nie, nie uświadamiał sobie, że starzec umiera. Chłopiec potknął się tylko raz, przyznając, że matka początkowo poprosiła go, aby niezgodnie z prawdą powiedział, że spotkali Obendoerfera w pociągu. Anna była jeszcze spokojniejsza niż jej syn. Oskarżyciele usiłowali ją złamać, ale Anna się nie poddawała. Jeśli miała sumienie, skrywało się gdzieś w głębi, niewrażliwe na poczucie winy, retoryczne naciski oraz coraz wyraźniej rysującą się perspektywę werdyktu skazującego.

Końcowa mowa Outcalta rzuciła salę na kolana. „Anna Hahn jest jedyną osobą na tym Bożym świecie, która mogłaby popełnić tak straszliwe morderstwa!” – wołał w stronę przysięgłych. „Siedzi tam teraz, ze swoją twarzą Madonny i łagodnym głosem, ale ukrywają one bezwzględność i namiętne dążenie do celu, o jakich nigdy nie słyszano w tym stanie!”^[286]. Odpowiedź Hoodina zabrzmiała bezbarwnie: tak, to prawda, Anna nie była doskonała, ale kto jest doskonały? Zaryzykował nawet twierdzenie, że oskarżyciele nie potrafili udowodnić, w jaki sposób właściwie arsenik dostał się do ciała Wagnera. Nikogo nie przekonał swoją argumentacją. Tylko raz wykazał przeblysł geniuszu, kiedy przypomniał członkom ławy przysięgłych, że Anna jest matką. W chwili gdy niemal

wszyscy na sali sądowej mieli łzy w oczach, Hoodin błagał przysięgłych o oszczędzenie życia Anny, aby mogła wychować swojego chłopca. Nawet Anna wycisnęła z siebie jedną łzę, albo dwie.

Ale było już za późno na to, aby nadać jej ludzkie oblicze. Outcalt wstał ponownie, aby dokończyć swoją mowę, w której nazwał Annę osobą podstępną, zachłanną, działającą z zimną krwią i pozbawioną serca. A potem podsumował w wielkim stylu: „W czterech rogach tej sali sądowej stoi czterech zmarłych mężczyzn – zakrzyknął, wskazując po kolei na każdy róg sali, gdy głośno wywoływał ich imiona: Jacob Wagner! George Gsellman! Georg Obendoerfer! Albert Palmer!”.

Członkowie ławy przysięgłych wstrzymali oddech. Outcalt grzmiał dalej. „Z czterech rogów tej sali sądowej kościste postaci wskazują na nią i mówią do was: «Ta kobieta mnie otruła! Ta kobieta skazała mnie na śmierć w męczarniach! Ta kobieta mnie dręczyła, zadając mi tortury godne potępionych!»”^[287].

To był błyskotliwy popis retorycznej swady: przywołanie do życia zmarłych mężczyzn w przerażającym kontraście z oskarżoną, która siedziała teraz blada, skamieniała, jak gdyby została zrobiona z wosku.

Ława przysięgłych wydała werdykt najsurowszy z możliwych: winna – bez zalecenia, aby udzielić jej prawa łaski. To oznaczało, że sędzia musi wydać wyrok śmierci. Kiedy odczytywano wyrok, wielu członków ławy przysięgłych miało łzy w oczach. Tylko nie Anna.

Prawdziwa Anna

W grudniu 1937 roku, kiedy jej prawnicy usiłowali znaleźć jakiś sposób na to, aby uratować ją przed karą śmierci, Anna została przeniesiona do więzienia stanowego Ohio w miejscowości Columbus, gdzie zbudowano specjalną celę, aby odizolować ją od reszty więźniów. Była jedyną więźniarką osadzoną w tym miejscu. Początkowo strażniczki, które miały się nią zajmować, znalazły się pod wrażeniem tej niewielkiej blondynki. „To najdzielniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam” – oświadczyła żona dyrektora^[288].

Jacyś opętani obsesją nieznajomi pisali do Anny listy, w których proponowali, że zajmą jej miejsce w więzieniu albo pytali, czy będą mogli zachować jej ubrania po egzekucji.

W więzieniu Anna postanowiła spisać swoje „wyznania”, były pełne wymówek i odrzucające fakty. Psychiatra mógłby dostrzec w tym dokumencie kilka klasycznych cech osoby psychopatycznej, w tym „eksternalizację winy”. Anna usiłowała przypisać swoje zbrodnie rozmaitym wydarzeniom z dzieciństwa, chorobom, wypadkom i operacjom; oraz wielokrotnie dawała wyraz swojemu zdumieniu, że miałyby się ich dopuścić, jak gdyby w żadnym stopniu nie czuła się odpowiedzialna za swoje poczynania. „Siedziałam tam, słuchając jakiejś opowieści z książki, o kimś zupełnie innym” – pisała. „Po prostu nie mogłam w to uwierzyć, że to miałam być ja, Anna Marie Hahn, osoba która tak bardzo kocha ludzi i zawsze chciała mieć przyjaciół. Bóg w niebie powie mi, co takiego mnie zmusiło do popełnienia tych straszliwych rzeczy. Musiałam nie być przy zdrowych zmysłach, kiedy to zrobiłam. Tak bardzo kocham wszystkich ludzi”^[289].

Obrońcy Anny nadal toczyli rozpaczliwą walkę o jej życie, twierdząc, że

„osądzono ją niczym jakieś zwierzę, na które się poluje”, ponieważ włączenie innych morderstw do materiału dowodowego w sposób nieodwracalny nastawiło przysięgłych przeciwko niej^[290]. Kiedy zbliżała się data egzekucji, prawnicy Anny skierowali protesty na ręce gubernatora stanu Ohio, aby spróbować go nakłonić do zamiany wyroku Anny na dożywocie. Sama Anna była przekonana, że tak właśnie się stanie. Pierwszego grudnia Oskar składał zeznania przed sekretarzem urzędu gubernatora, prosząc o życie swojej matki jako prezent na Boże Narodzenie.

Jednak te sentymentalne posunięcia nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Kiedy Anna dowiedziała się, że jej ostateczna próba uratowania życia zawiodła, załamała się. Wrzeszczała: „O mój Boże! Nie myślałam, że on może mi to zrobić! Powinien dać mi żyć, dla mojego chłopca!”^[291].

Anna zawsze była kameleonem. Miała urok psychopaty: potrafiła z laserową precyzją skierować go na właściwy obiekt i jeśli skupiła na kimś swoją uwagę, ofiara była przekonana, że Anna jest osobą ciepłą, kochającą, pełną życia. Jeśli jej na kimś nie zależało – jak w przypadku krewnych i różnych podejrzliwych sąsiadów – stawiała się osobą podstępą i skrytą, „dziwną kobietą”, która nosiła fałszywy uniform pielęgniarki i wydawała się w niepojęty sposób nieporuszona, gdy śmierć zabierała jej starszych przyjaciół. Ale teraz, gdy wszystkie jej nadzieje przysły, pojawiła się nowa Anna – dzika, pozbawiona nadziei, zupełnie niedbająca o pozory. W środku nocy chodziła tam i z powrotem po swojej celi, łkając i paląc papierosy, jednego za drugim. Od czasu do czasu krzyczała: „Mój Boże! A co z Oskarem?”^[292].

„W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin swojego życia – donosiła jedna ze strażniczek, które ją pilnowały – Anna Hahn zmieniła się z kobiety opanowanej, pewnej siebie, dumnej i nawet próżnej, jaką była cały czas od chwili aresztowania, w małą wiedźmę – demona o dzikim spojrzeniu. Kiedy wiedziała już, że wszystko się wydało, stała się prawdziwą Anną”^[293].

Pod maską

W przeddzień egzekucji Anna spędziła wiele godzin z Oskarem. Nie potrafiła tknąć jedzenia. Kiedy kończyła się pora odwiedzin i strażniczki zaczęły upominać ją, że nadszedł czas, aby Oskar opuścił celę, Anna zaczęła raz po raz całować go po twarzy.

Strażniczki jeszcze raz zwróciły jej uwagę. Anna, nie zważając na ich słowa, dalej go całowała. Wreszcie jedna ze strażniczek musiała siłą oderwać od niej Oskara. „Nie zabierajcie go ode mnie!” – wrzasnęła Anna^[294]. Oskar płakał, kiedy wyprowadzano go z celi matki, a Anna rzucała się na strażniczki z taką siłą, że musiano jej podać środek uspokajający.

Przez lata Oskar był jej małym blond pomocnikiem, towarzyszył jej podczas najbardziej ponurych przygód. Był też jedynym członkiem rodziny, który nigdy jej nie opuścił (Hahn, zawsze bierny i nieistotny, powoli zniknął z prasowych relacji podczas procesu). Mówi się, że psychopaci nie odczuwają miłości, ale ostatnie chwile, jakie Anna spędziła z synkiem wskazują, jeśli nie na miłość, to na jej uczuciowe uzależnienie, a nawet obsesję. Niewykluczone, że Anna postrzegала Oskara jako przedłużenie samej siebie, niewielkie lustro, które stworzyła wraz ze swoim tajemniczym kochankiem, furtkę

bezpieczeństwa. Jednak w końcu straciła tego skwapliwego, małego aktora, który ciągle błagał wszystkich naokoło o jej życie, zaklinając się, że jest niewinna, i teraz była naprawdę sama. Oskar został adoptowany przez inną rodzinę, która zmieniła jego nazwisko.

Kiedy siódmego grudnia 1938 roku Anna szła na krzesło elektryczne, mijając innych skazańców, słyszała ich życzenia: „powodzenia” i „Bóg z tobą”, dobiegające z cel po obu stronach korytarza. „Żegnajcie, chłopcy” – odpowiadała. Miała włosy w nieładzie i zszarzałą twarz. Tym razem nie założyła złotego krzyżyka, który nosiła przez cały czas trwania procesu.

Kiedy wprowadzono ją do komory egzekucyjnej, Anna załamała się na widok „Old Sparky”, krzesła elektrycznego. Nigdy wcześniej nie siedziała na nim kobieta. „Błagam, nie. Och, mój chłopiec. Pomyślcie o moim chłopcu. Czy nikt nie przyjdzie, nikt nic dla mnie nie zrobi?” – wołała, rzucając rozpaczliwe spojrzenia wokół sali na ludzi, którzy nie mogli w żaden sposób jej uratować – duchownego, trzech lekarzy, przerażonych dziennikarzy. „Czy nie ma tu nikogo, kto by mi pomógł? Ktokolwiek. Ktokolwiek. Czy nikt mi nie pomoże?”^[295]

Przez całe życie Anna Hahn zachowywała się wyjątkowo beznamiętnie w obliczu śmierci. Potrafiła patrzeć na wycieńczonego starszego mężczyznę, brudnego od własnych wymiocin, którego sama otruła, a potem powiedzieć, że właściwie go nie zna. Zabijała ludzi, jak gdyby chodziło o jeszcze jedno z jej oszustw, fałszerstwo, czeki bez pokrycia czy kradzież pierścionków. Ale teraz, kiedy śmierć zajrzała jej w oczy, Anna nie potrafiła wytrzymać tego spojrzenia. Musiano ją zawlec na krzesło, miotającą się i wrzeszczącą.

Jeden ze strażników umieścił elektrodę na wygolonym miejscu na jej głowie i drugą na nagiej łydce. Kiedy Anna wbiła spojrzenie w oczy duchownego, strażnik założył jej na twarz skórzaną maskę. Duchowny poprosił, aby powtarzała wraz z nim słowa modlitwy *Ojciec Nasz*, a ona posłuchała, płacząc pod swoją maską. Niektórzy dziennikarze, obecni w sali, powtarzali słowa modlitwy razem z nią. Kiedy wypowiedziała „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw”, trzej strażnicy nacisnęli trzy guziki i prąd elektryczny przepłynął przez jej ciało. Jak pisał jeden z dziennikarzy, towarzyszył temu odgłos przypominający „zimne ognie z okazji czwartego lipca”^[296]. Jej ciało uniosło się lekko na krześle, a potem jej kciuki odwróciły się na zewnątrz.

Po wszystkim jeden z lekarzy sprawdził, czy ustało bicie serca i stwierdził zgon. „Jestem zaskoczony, że się załamała” – oświadczył dyrektor więzienia ze łzami w oczach. „Spodziewałem się, że zachowa zimną krew”^[297]. Anna przez lata postępowała z zimną obojętnością, ale śmierć oczywiście zawsze będzie bardziej beznamiętna. Dyrektor zauważył, że żaden skazaniec w dziejach więzienia nie był tak przerażony jak Anna Hahn, kiedy stanęła przed krzesłem elektrycznym.

Rozdział dziewiąty

Słowik^[298]

Oum-El-Hassen

Oum-El-Hassen była marokańską tancerką, która zeszła na złą drogę. No wiecie, „złą” nie w tym sensie, że bywała bezczelna, urzekająca i nieokiełznana, ale naprawdę złą: stała się kobietą okrutną, nieprzeniknioną i bez serca. Karierę rozpoczęła jako wspaniała tancerka w kabarecie, a zakończyła publicznym upokorzeniem, skrywając swoją niegdyś piękną twarz za białą muślinowej zasłony. Opowieść o jej losach dotarła z procesu w Fezie do najmniejszych amerykańskich miasteczek i takie gazety jak „San Antonio Light” czy „Oshkosh Daily Northwestern” donosiły z zapartym tchem, że ta sławna północno-afrykańska piękność okazała się najokrutniejszym ze wszystkich zbrodniarzy. Mimo to jej dzieje wciąż kryły w sobie tajemnice, ciągle pojawiały się kolejne fakty. Oum-El-Hassen była piękną i *jednocześnie* bestią, całkowitą zagadką, na zawsze skazaną na to, że jej portret malowano tak, jak widzieli ją inni.

Oum-El-Hassen, która występowała na scenie jako Moulay, urodziła się w 1890 roku, w „oślepiająco białym” mieście Algier, nadmorskiej stolicy Algierii^[299]. Wyrosła na piękność niezwyklej, eterycznej urody oraz wspaniałą tancerkę i w wieku lat dwunastu zaczęła pracować jako prostytutka. Wkrótce wychwalano ją jako „najpiękniejszą tancerkę kabaretową w Afryce Północnej”^[300].

Chociaż miejsce, jakie zajmowała w strukturze społecznej, nieuchronnie narażało ją na niebezpieczeństwo, Moulay była inteligentna i radziła sobie sprytnie. Wiedziała, do kogo należy władza i potrafiła zadbać o lojalność ludzi wpływowych. Na przełomie wieków Algieria stanowiła część francuskiej Afryki Północnej, więc Moulay postanowiła wielbić Francuzów – zwłaszcza francuskich żołnierzy. Później pewien dziennikarz pisał o „dzikiej przyjaźni między krwią francuską i jej własną”, a sama Moulay ponoć przysięgła, że nigdy nie będzie spała z nikim, kto nie należy do francuskiej armii^[301]. Z pewnością doceniano jej lojalność wobec żołnierzy, ale ta lojalność pozostała nieodwzajemniona. Kobieta może być lojalna wobec armii, ale armia rzadko bywa lojalna wobec kobiet.

Wiele lat później francuska pisarka Colette napisała posepnie, że gdyby Moulay nie była tak bystra i przewidująca, jej życie potoczyłoby się zgodnie ze smutnym i dobrze znanym scenariuszem: piękna prostytutka znaleziona martwa w jakimś rowie. Ale Moulay nigdy nie miała stać się jedną z tych „nie wiadomo jak wielu nieszczęsnych” młodych, martwych dziewcząt^[302]. Wiedziała, że w swojej profesji nieuchronnie spotka się z przemocą i postanowiła stanąć po stronie tych, którzy tę przemoc stosują.

Tysiąc Francuzów

W młodości Moulay była sprytną kobietą interesu i już koło dwudziestego roku życia prowadziła popularny dom publiczny w Fezie. Tam zabawiała francuskich oficerów i najróżniejsze postaci z miejscowej elity, oferując im „radość, luksus, młode tancerki,

piękne, mocne berberyjskie kobiety, tajemnicze kobiety Chleuh, uległe córki Południa”^[303]. (Ten opis wyszedł spod pióra francuskiego dziennikarza i przypuszczalnie dobrze oddaje to, w jaki sposób francuscy oficerowie zadawali się z tancerkami Moulay: wybierając swoje ulubienice z bezosobowego tłumu odczłowieczonych istot). Chociaż prywatne życie Moulay spowija mgła tajemnicy, wiemy, że raz była zakochana. Przez pięć lat żyła z pewnym francuskim pułkownikiem i urodziła córeczkę, którą odesłała do swojej siostry w Algierii. Jej życie toczyło się dobrze. Była zamożna i szanowana. I wyglądało na to, że przyszłość będzie jeszcze lepsza.

Trzydziestego marca 1912 roku władca Maroko, sułtan Abd al-Hafiz, podpisał traktat z Fezu, zasadniczo nie powiadamiając jednak swojego ludu o tym, co właściwie się dzieje. Na mocy tego traktatu Maroko stawało się francuskim protektoratem i marokańscy nacjonałiści potraktowali decyzję sułtana jako zdradę. Przez tydzień albo dwa „gotowali się” w milczeniu – w dniach, które, jak opisywał to jeden ze świadków, były „przesycone grozą” – po czym siedemnastego kwietnia marokańskie wojska zbuntowały się przeciwko swoim francuskim dowódcom i „wyległy na ulice Fezu, polując na wszystkich Europejczyków”^[304].

Nastąpiła rzeź. Kiedy buntownicy przelewali się ulicami, Moulay odwróciła się od swoich rodaków i ukryła w swoim burdelu trzydziestu francuskich oficerów. Gdy zbuntowani żołnierze zastukali do jej drzwi, żeby przeszukać budynek, ze zdumieniem zobaczyli Moulay, która powitała ich, wymachując bronią. W rezultacie sama została postrzelona w dłoń i zdołała zastrzelić jednego z buntowników. Tego dnia, gdy francuscy oficerowie ze strachem drżeli w pokojach Moulay, na ulicach zamordowano ponad siedemset osób – głównie Marokańczyków.

Po drugiej stronie oceanu historyczna prasa amerykańska malowała znacznie barwniejszą wersję wydarzeń. Dziennikarze twierdzili, że Moulay przebrała oficerów za prostytutki: kazała im zgolić wąsy, przyciemnić skórę, pokryć twarz makijażem; przebrała ich w peruki, turbany i jedwabne szaty, do rąk wcisnęła wachlarze, za którymi mieli skrywać swoje męskie rysy, po czym kazała ustawić im się w uwodzicielską grupę, starannie umieszczając prawdziwe dziewczęta z przodu^[305].

I tak, jak głosi opowieść, gdy wściekli buntownicy wylamali drzwi, ich spojrzenia przykuła najpierw ta pociągająca scena, a potem zobaczyli Moulay, która trzymając pistolet na wysokości oczu, krzyczała, żeby spróbowali podejść bliżej. Zażądała od nich, żeby zostawili w spokoju jej interesy, a potem już łagodniejszym tonem zaproponowała, żeby wrócili zabawić się z dziewczętami innym razem, kiedy emocje opadną. Większość buntowników przystała na ten pomysł, ale kiedy jeden z nich rozpoznał, jak się wydawało, francuskiego oficera, Moulay strzeliła Marokańczykowi prosto w serce.

Niezależnie od tego, czy przebrała żołnierzy, czy nie, Francuzi byli bezgranicznie wdzięczni Moulay za okazaną pomoc. „Jest bogata, jest uwielbiana, wszyscy ją kochają” – trąbiły francuskie gazety^[306]. Oficerowie w nagrodę wręczyli jej jedenaście tysięcy franków i szeptano nawet, że powinna zostać odznaczona prestiżowym francuskim orderem Legii Honorowej. Sama Moulay czuła się niezwykle dumna z tego, co zrobiła, i zmieniła później liczbę uratowanych oficerów z trzydziestu na sześćdziesięciu. Jednak szanujące się francuskie elity nie mogły pogodzić się z pomysłem

nagrodzenia najwyższym odznaczeniem w kraju jakiejś prostytutki, która prowadziła kabaret, więc ostatecznie Moulay została pominięta. Odrzucenie „złamało jej serce – donosił dziennikarz „San Antonio Light” – ponieważ kobiety z towarzystwa mogły teraz patrzeć na nią z góry”^[307]. Taka właśnie była Moulay: pragnęła, aby ją uwielbiano, ale wybierała ludzi, którzy nie chcieli albo nie mogli otwarcie jej wielbić.

Mimo tego zawodu, namiętna lojalność Moulay do armii francuskiej nie osłabła i w 1925 roku ponownie uratowała życie wielu Francuzów. Pewien wysokiej rangi marokański urzędnik zamierzał zgładzić francuski garnizon, organizując religijne powstanie podczas dorocznego święta. Moulay dowiedziała się o całej sprawie. Udała się natychmiast do francuskiego generała z ostrzeżeniem i generał zdołał stłumić rewoltę. Ujmując rzecz w liczbach, zrobiła teraz dla Francuzów znacznie więcej niż podczas zamieszek w Fezie w 1912 roku. Później, gdy straciła swoją pozycję i „uwielbienie”, lubiła przypominać innym, że uratowała życie „tysiąca Francuzów”^[308].

Nadal jednak była sławna, kochana przez francuskich żołnierzy, była prawdziwą królową półświatka w Fezie. Nawet jeśli była tylko madame w domu publicznym, cieszyła się szacunkiem i tak wielkim poważaniem, o jakim tylko mogła marzyć kobieta, zajmująca jej pozycję społeczną.

A potem zniknęła.

Ciało w koszyku

Tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego Moulay zeszła do podziemia, ani co tam robiła. Może straciła wiele pieniędzy, a może pułkownik w końcu złamał jej serce. Nie brakuje mrocznych pogłosek na ten temat: zadawała się z handlarzami narkotyków, brała udział w handlu „białymi niewolnikami”, zaczęła palić haszysz i powoli zanurzyła się w odmęty uzależnienia. Ostatecznie utraciła licencję na prowadzenie domu publicznego i w końcu wyniosła się z Fezu do podrzędnej dzielnicy Meknes, miasta położonego jakieś siedemdziesiąt kilometrów na południowy zachód. Prowadziła tam nowy interes z pomocą „brudnego i cuchnącego”^[309] starego służącego, który nazywał się Mohammed Ben Ali i szybko został jej prawą ręką.

Ale ten burdel nie przypominał eleganckiego kabaretu, w którym Moulay zabawiała francuskich oficerów wysokiej rangi, oferując im „radość, luksus, młode tancerki”. Klientami jej nowego interesu byli mężczyźni bardziej okrutni, którzy nie spodziewali się elegancji, czy nawet czystości. A Moulay, ze swej strony, najwyraźniej przestała kompletnie dbać o takie rzeczy.

„Mężczyźni, jakich przyjmuje, są trudni i wymagający, a kobiety, jakie im oferuje, są zaniedbane” – donosiła gazeta „Paris-Soir”. Jej przybytek słynął z „brudu i przemocy” oraz „odrażających praktyk” podczas orgii. Rezultaty widać było na wychudzonych, posiniaczonych ciałach zatrudnionych tam dziewcząt. Moulay paranoicznie obawiała się, że jej dziewczęta będą po kryjomu błagać o pomoc podczas swoich „romantycznych rozmów” z klientami, więc aby do tego nie dopuścić, czasami ukrywała się za zasłoną, żeby je podsłuchiwać^[310].

Niewykluczone, że za każdym razem, gdy patrzyła na te dziewczęta, które w niczym nie przypominały „pięknych, mocnych” okazów, jakie prezentowała

francuskim żołnierzom przed laty, ogarniał ją jakiś irracjonalny gniew. Te nowe prostytutki, wychudzone i pobite, w naoczny sposób przypominały Moulay o jej własnym upadku. Zaczęła więc je maltretować z pomocą Mohammeda Ben Alego. Dziewczęta były głodzone, zamykane, by nie mogły uciec, oraz bite pod byle pretekstem. Przynajmniej siedem z nich bito tak mocno i tak często, że zostały inwalidkami.

Jesienią 1936 roku Moulay miała mniej więcej czterdzieści sześć lat. Nie była już szczupła i młoda, jej rysy twarzy „roztopiły się w tłuszczu wieku średniego”^[311]. Dni luksusu i uwielbienia dawno miała za sobą, a jej życie wypełniała teraz przemoc – zwłaszcza jeden, szczególnie przerażający sekret.

Na ulicach otaczających burdel Moulay czasami zabawiały się dzieci i pewnego dnia grupa chłopców znalazła coś, co przykuło ich uwagę: ciężki kosz przewiązany sznurkiem. Niecierpliwie przepychali się, żeby go otworzyć. Jednak nic nie mogło ich przygotować na widok, jaki ukazał się ich oczom. Z koszyka wystawały „stopy, dłonie, głowa z włosami, tors i młode piersi” – ciało w kawałkach, rodzaj obłąkanej dioramy. Poćwiartowane ciało obłożono miętą, koprem i tymiankiem, które wetknięto do koszyka, aby stłumić zapach gnicia^[312].

Wkrótce policja zastukała do drzwi Moulay, żądając wyjaśnień. Moulay przyjęła policjantów wyniośle i wzgardliwie. Tak, powiedziała, zmarła dziewczyna nazywała się Cherifa. To jedna z jej byłych „lokatorek”^[313] – chyba trudno o większy eufemizm – ale nie miała pojęcia, jak do tego doszło, że Cherifa wylądowała w koszyku. A potem przypomniawszy policjantom, że uratowała życie tysiąca Francuzów, na wypadek gdyby ktokolwiek zapomniał, z kim ma do czynienia.

Mohammed Ben Ali pod presją pytań nie był już tak opanowany i gdy tylko policjanci zaczęli go maglować, paplał coś o zemście, biciu i uduszeniu, ale Moulay uciszyła go natychmiast. „Mohammed to dureń” – powiedziała. „Nie wie, o czym mówi”^[314].

Mimo to policjanci, nie całkiem przekonani, przeszukali dom Moulay. Odkryli broń w pokoju Mohammeda Ben Alego i kilka podejrzanych plam krwi. Kiedy szukali dalej, usłyszeli dziwne odgłosy, dobiegające zza jednej ze ścian – słabe drapanie, a potem miauczenie, które bardzo przypominało kota.

Moulay oświadczyła, że to rzeczywiście kot. Miała niedawno remont w jednym z pokojów i nieszczęsne zwierzę przypadkiem zostało uwięzione przy tej okazji. Policjanci zachowywali się, jak gdyby zamierzali jednak rozbić ścianę, więc Moulay spokojnie odwiodła ich od tego pomysłu, mówiąc, że wynajęła już specjalistę, który przyjdzie i uwolni kota. Zrobi to fachowo, nie robiąc tyle zamętu. Zachowywała się tak przekonująco, że policjanci mieli już wyjść, gdy zza ściany usłyszeli głos jakiegoś dziecka: „Pomocy! Jest nas tutaj czworo i umieramy”^[315].

Colette bierze udział w procesie

Wieść o sensacyjnej zbrodni szybko rozeszła się po mieście i Moulay jeszcze raz zdobyła sławę. Jednak tym razem to nie było przyjemne. Sprzedawcy zaczęli oferować amatorom krwawych ciekawostek kosztowności, zaklinając, że zostały „wyrwane z gardła” samej Moulay^[316]. W oczekiwaniu na dramat, krwawe szczegóły i wielką ludzką

tragedię, francuskie gazety wysłały do Fezu swoich najlepszych dziennikarzy, aby relacjonowali przebieg procesu.

W Maroko pojawiła się także sławna francuska pisarka Colette, mniej zainteresowana prawnym pojedyńkiem na sali sądowej, a bardziej tym, aby jakoś zrozumieć niepojętą Oum-El-Hassen. W sali sądowej Colette siedziała bardzo blisko Moulay – tak blisko, że mogłaby nawet jej dotknąć – i wpatrywała się w tę czterdziestoosmioletnią kobietę niczym jastrząb. Moulay miała na sobie nienaganne białe szaty. Zasłaniała usta białą chusteczką, więc jedynymi widocznymi częściami jej twarzy były zakrzywiony nos i „bardzo ciemne zielono-brązowe oczy, obficie ozdobione wokół błękitną kredką”^[317]. Ale kiedy odsuwała chusteczkę, żeby się odezwać, wszystkie ślady elegancji zniknęły: brakowało jej kilku zębów, usta miała „płaskie, bez wdzięku, jakby stworzone do plotek, inwektyw i – być może – okrucieństwa”.

Na sali sądowej widzowie mogli oglądać przerażającą ekspozycję dowodów: niewielki zestaw przedmiotów domowego użytku, wykorzystanych przypuszczalnie do tego, aby zabić i porąbać biedną Cherifę. Wśród nich sławny kosz, w którym upchnięto jej pokawałkowane ciało; kocioł, w którym prawdopodobnie ją ugotowano, nóż, rewolwer, żelazną obręcz oraz „tłuczek nadający się raczej do rozgniataania czaszek niż migdałów”^[318]. Najsmutniejszy widok sprawiały różowo-białe kawałki bawełny, którymi owinięto poćwiartowane kończyny ofiary. Na żadnym z nich nie było śladów krwi, ponieważ według Mohammeda Ben Alego, Cherifa była zbyt wychudzona, by krwawić.

Zamordowanie tej tancerki okazało się jedynie symbolem „komnaty grozy”^[319], w jaką zamienił się dom Moulay. Wszyscy byli całkiem pewni, że Moulay zabijała wielokrotnie podczas lat spędzonych w Meknes. W końcu doliczono się jedynie połowy jej „lokatorek”. Oskarżyciel M. Julin oświadczył: „Z czternastu dziewcząt, o których wiadomo, że mieszkały w tym domu przez rok, trzy zniknęły, cztery nie żyją, a siedem poddano tak strasznym torturom, że pozostaną kalekami do końca życia. Kiedy jakaś dziewczyna wchodziła do tego domu, nigdy już nie widywano jej na zewnątrz”^[320].

Zidentyfikowano jeszcze jedną ze zmarłych dziewczyn, nazywała się Aicha, była tancerką w domu horrorów Moulay na długo przed przybyciem Cherify, ale „straciła zdrowie i wygląd z powodu ciągłego bicia i klienci przestali się nią interesować”^[321]. W sytuacji gdy Aicha straciła swoją użyteczność, Moulay zapewne zamordowała ją za pomocą bochenka chleba, nafaszerowanego strychniną.

Aicha i Cherifa przynajmniej zostały wymienione w prasie z imienia, ale pozostałe ofiary Moulay na zawsze pozostały bezimienne. Jej przybytek był miejscem pogrążonym w skrajnym mroku, cuchnącym ściekiem, w który najuboższe i najmłodsze piękności najwyraźniej wpadały, snuły się w nim, a potem zniknęły. Szczegóły dotyczące śmierci innych dziewcząt, oprócz tych dwóch – a także zniknięcia trzech innych – nigdy nie wypłynęły na światło dzienne i nie pojawił się nikt, aby je oplakiwać.

Taniec gorącej herbaty^[322]

Ani Colette, ani francuski reporter Paul Boué – pracujący na miejscu dla „Paris-Soir” i dyktujący swój reportaż przez telefon – nie przekazali szczegółowej opowieści o wydarzeniach z nocy, w której zmarła Cherifa. (Znamy jednak datę tego wydarzenia:

dwudziesty pierwszy listopada 1936). W jakiś sposób jednak dramatyczna opowieść o tej nieszczęsnej nocy znalazła drogę do prasy amerykańskiej. Ta relacja jest bardziej interesująca ze względu na zawarte w niej szczegóły, stanowiące raczej owoc domysłów niż zgodność z faktami – amerykański dziennikarz najwyraźniej próbował upchnąć w tej opowieści wszystkie egzotyczne klisze, jakie tylko przyszły mu do głowy, a tym samym jego historia opowiada nam więcej na temat opinii prasy zachodniej o Moulay niż o samej Moulay. A to jest zarazem intrygujące i dręczące. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co się wydarzyło, ale zamiast tego dostajemy dwuwymiarową, nasyconą erotyką i egzotykiem opowieść o dziewczynie, która tańczy niczym księżniczka w niewoli, oraz o drugiej kobiecie, okrutnej i bez serca niczym czarownica.

Cherifa była tak utalentowaną tancerką, jak głosi opowieść, że często zmuszano ją do wykonania przed klientami wyszukanego rytuału, zwanego „Tańcem gorącej herbaty”, którego autorką była Moulay. Podczas tego przedstawienia Cherifa była kompletnie naga i Moulay umieszczała na jej głowie tacę z ustawionymi filiżankami wrzącej herbaty miętowej. Tak obciążona, Cherifa miała tańczyć i wykonywać akrobatyczne sztuczki, a jednocześnie nie poparzyć się wrzątkiem. Udawało jej się dokończyć występ raz na cztery próby i ciągle nosiła ślady poparzeń.

Pewnego wieczora Moulay podejmowała wyjątkowo ważnego gościa, który był pod silnym wpływem haszyszu, co wyzwalало w nim szczególne okrucieństwo. Nie wystarczył mu pełen napięcia spektakl z Cherifą w roli głównej, uzupełnił go więc małą rozrywką własnego pomysłu: wtykał igły w nagie plecy Cherify, podgrzewał je papierosem i przyglądał się, jak dziewczyna wije się z bólu.

Tego już Cherifa nie wytrzymała. Kiedy mężczyzna skupił swoją uwagę na jednej z igieł, obróciła się i z siłą akrobatki uderzyła go prosto w brzuch. A kiedy się skulił, kopnęła go tak mocno w podbródek, że niemal złamała mu kark. Jednak zanim zdołała go wykończyć, na dziewczynę rzucili się Moulay i Muhammad – i to był początek jej końca.

Chociaż ta historia jest przypuszczalnie owocem wyobraźni, wskazuje na zaskakująco wiele prawd, ukrytych w opowieściach o miętowej herbacie i tańcu nagiej tancerki. Wiemy, że Cherifa *była* ofiarą brutalnej przemocy, głodzono ją i zmuszano do sypiania ze strasznymi mężczyznami. Wiemy, że Moulay *miała* okrutne usposobienie i z wielką pomysłowością wykorzystywała swój intelekt, aby zadawała swoich klientów. Taca z gorącą herbatą i zapalniczka stanowią zapewne element dodany dla kolorytu, ale nie są sednem tej opowieści. To, co jest tu najważniejsze, to fakt, że Moulay jeszcze raz sprzymierzyła się z człowiekiem, uciekającym się do przemocy, a nie z ofiarą.

A przy okazji, skoro już mówimy o reportażu: co na to prasa marokańska? Czy ukazały się jakieś relacje w języku arabskim o zamordowaniu Cherify, o przerażającym interesie Moulay? Prawdę mówiąc, w czasach Moulay nie istniała żadna arabskojęzyczna prasa marokańska o większym zasięgu, Maroko było francuskim protektoratem, wydawano tu gazety po francusku, ale te, jak można się domyśleć, opisywały głównie Francuzów. Podejmowane przez nacjonalistów próby wydawania gazet w języku arabskim często napotykały na opór francuskich władz kolonialnych, które starały się nie dopuścić do tego, aby idea protektoratu jako idealnego modelu państwowości Maroka nie spotykała się z krytyką^[323]. A zatem to, co wiemy dziś o Moulay, pochodzi z prasy

wydawanej w języku francuskim albo angielskim. Relacja Colette (napisana po francusku) to najlepszy reportaż, jakim dysponujemy, ale mimo że jej opowieść chwilami bywa całkiem empatyczna i chociaż pisarka stara się uwzględnić dewastujące następstwa kolonializmu, Colette nie pochodziła z tego samego kraju co Moulay. Dysponujemy zatem niedoskonałym portretem dziwnej, okrutnej kobiety, która nigdy – nawet w prasowych relacjach – nie zdołała się uwolnić z duszących macek kraju, który kochała – albo udawała że go kocha lub była zmuszona go kochać.

W sali sądowej Mohammed Ben Ali – który wcześniej próbował przyznać się do wszystkiego policjantom – z wielką ochotą opowiadał o wydarzeniach. Wyszedł nawet na środek i odgrywał przebieg morderstwa na użytek zafascynowanej i zniesmaczonej publiczności. Według Ben Alego, kiedy razem z Moulay zmęczeni się kopaniem i biciem Cherify, chwycili dwa końce garoty i owinęli ją wokół szyi dziewczyny. Powoli, cierpliwie pociągali sznur w przeciwnych kierunkach. Później oboje poćwiartowali jej ciało, „gotowali szczątki przez dwadzieścia cztery godziny, aby nie można było ich rozpoznać”, a potem upchnęli w koszu pełnym ziół^[324]. A jednak z jakąś zdumiewającą niedbałością obeszlą się ze zwłokami dziewczyny. Nie dość, że nie dopilnowali, aby szczątki rzeczywiście były „nierozpoznawalne”, ale nawet nie zatroszczyli się o to, aby ukryć kosz. Zniszczone ciało Cherify nie mogło im dłużej przynosić pieniędzy, nie miało więc dla nich żadnego znaczenia.

„Właściwy sposób”

Dziesiątki świadków zeznawało przeciwko Moulay, ale najbardziej przejmujące wrażenie robiły wychudzone dzieci, które wyciągnięto zza zamurowanej ściany. W sądzie widzowie ze zdumieniem patrzyli na ich wycieńczone ciała i na ich dzikie, zwierzęce przerażenie – jedna z dziewczynek zaczęła wrzeszczeć, kiedy zobaczyła Moulay w sali sądowej – ale nikt nie spodziewał się, że te dzieci, które widziały cały przebieg zdarzenia przez szparę, powstałą w pękniętym tynku, nie będą miały nic do powiedzenia. Były tak zagłodzone i tak maltretowane, że z trudem mogły sobie cokolwiek przypomnieć, a tym bardziej przywołać te wspomnienia na żądanie. „Ledwo coś mamroczą, cicho zawodzą, udęczone” – pisała Colette. Kiedy zadawano im pytanie, dlaczego nie próbowały uciekać, mówiły: „Nie myśleliśmy o tym”, albo „To niemożliwe, byliśmy za słabi”. Colette dość bezdusznie opisywała je jako „wdzięczne bydło, ale bydło, którego trudna do zrozumienia przejmująca głupota jest skrajnie odrażająca”^[325].

Kiedy się czyta relacje z procesu, można odnieść wrażenie, że te dzieci jawiły się jako coś w rodzaju czystej karty, istoty pozbawione pamięci po miesiącach tortur. Kiedy je uratowano, najcięższe z nich ważyło nieco ponad trzydzieści kilo. „Ofiara? Z pewnością” – pisała Colette o jedynym chłopcu w tej grupie, trzynastolatku o imieniu Driss, który chwiał się i z trudem chwycił powietrze, stojąc w miejscu dla świadków. „Ale ofiara pozbawiona pamięci; zapomniał o lochu, wszach, swędzeniu, głodzie, torturach”^[326].

Widać było, że Moulay odnosiła się do tych dzieci, zeznających jako świadkowie, jej dawnych pracowników, ze wzgardą. Obserwując ją, Colette zauważyła, że Moulay nie przejawia śladu poczucia winy z powodu tego, jak je traktowała. Dla Moulay przemoc

stanowiła po prostu naturalny element świata, w którym żyła. Tak się robiło, kiedy ktoś prowadził dom publiczny. „Jakich słów czy wyobrażeń mamy użyć, jeśli chcemy sprawić, aby Oum-El-Hassen zrozumiała, co my rozumiemy przez okrucieństwo i w jaki sposób oskarżona o morderstwo i stosowanie tortur może przekazać nam swoje przekonanie, że jest niewinna?” – pytała Colette^[327]. Moulay najwyraźniej była głęboko przekonana, że prostytutki powinny znać swoje miejsce w społeczeństwie i była zbulwersowana widokiem swoich drżących i zawodzących byłych lokatorek. „Gdyby tylko powierzyli tę wrzeszczącą dziewczynę Oum-El-Hassen, zobaczyliby, jak należy ją wychowywać w odpowiedni sposób” – pisała Colette, próbując sobie wyobrazić sposób myślenia Moulay. „Trochę tortur, głodu, odrobina izolacji”^[328].

Poczynania Moulay wskazują, że za wszelką cenę pragnęła postępować zgodnie z regułami – i to nie jakimikolwiek, ale wprowadzonymi przez Francuzów. Poinformowała władze o szykującym się powstaniu niczym posłuszne dziecko, które donosi na innych. Podśluchiwała swoje dziewczęta, żeby się upewnić, czy postępują zgodnie z wprowadzonymi przez nią zasadami, a te były proste: dostarczaj przyjemności klientom i nie próbuj uciekać. Jednak to odwoływanie się do reguł zwiódło ją na manowce, ponieważ zasady gry, w którą grała, nie były przejrzyste. Badaczka Marnia Lazreg pisze, że „kolonialne postrzeganie prostytucji skażone było nie tylko rozmyślnym ignorowaniem tego, w jaki sposób kolonializm przyczynia się do rozkwitu tej aktywności, a nawet ją wspiera, ale także przez nieustające pragnienie, aby zdefiniować prostytucję jako oznakę moralnej podrzędności skolonizowanych ludów”^[329]. Francuscy żołnierze może i przez chwilę płacili jej rentę w uznaniu zasług, ale tak naprawdę nigdy nie uznaliby jej za jedną z nich. Była zbyt splamiona.

Czy Moulay tak bardzo starała się przestrzegać reguł, ponieważ szczerze przyswoiła sobie zasady systemu kolonialnego? Czy też okazywała swoją lojalność na chłodno i z wyrachowania postawiła na zwycięską drużynę? Wydaje się, że postanowiła stanąć po stronie Francuzów, traktując to jako racjonalną kalkulację: ona będzie teraz dla nich dobra, a oni będą dobrzy dla niej później. Ale co to za inwestycja, liczyć na lojalność kolonizatorów?

Przez całe życie Moulay jej pozycja była uzależniona od stałej obecności przemocy – ze strony tych, którzy stali wyżej od niej, i ze strony jej samej wobec tych, którzy stali niżej. Poddała się kolonizacji i sama była kolonizatorem. W 1933 roku, kilka lat po tym jak Moulay ostrzegła swoich Francuzów o powstaniu religijnym, jeden z dziennikarzy ubolewał nad sytuacją przeciętnej kobiety marokańskiej, która tkwiła „zamknięta w średniowiecznych rygorach” i „nie potrafiła czytać ani pisać, pozostając uwięziona w swoim domu”^[330]. Na tym tle Moulay może wydawać się nie tyle kobietą uwięzioną, co strażniczką więzienia. Była wolna od ograniczeń życia rodzinnego, ale uwewnętrzniła – aż nazbyt dobrze – inny system opresji. Chociaż udało jej się uniknąć losu jednej „z nie wiadomo jak wielu nieszczęsnych”, martwych dziewcząt, sama przyczyniała się do wzrostu ich liczby. W ramach tej ekonomii ciał, w której każdy karmi się kimś innym, zaczyna wyłaniać się przerażające pytanie, czy życie we względnej wolności (Moulay) można kupić tylko za cenę życia innej osoby (Cherifa)? Przemoc zaczyna wydawać się nieuchronna, nawet matematycznie konieczna – przerażające

równanie władzy.

W sądzie kilka osób zeznawało na temat charakteru Moulay – czy raczej jej skłonności do postępowania zgodnie z zasadami, co stanowiło jej prawdziwą linię obrony. Jeśli była kobietą zachowującą się przyzwoicie i prowadziła przyzwoity dom, jak ktoś może ją krytykować? Przyzwoita kobieta nie może zostać stracona na szafocie, chyba nie, prawda? Jednak bolesnym rozczarowaniem dla Moulay podczas procesu było to, że żaden z jej ukochanych oficerów nie próbował stanąć w jej obronie. Wezwano kilku z nich na świadków, ale żaden z jej klientów czy kochanków nie pojawił się w sądzie, żeby opowiedzieć, jak bardzo była dla nich *cenna* i *dobra*. Przypuszczalnie to była największa zdrada, jaka przytrafiła się jej w życiu, i kiedy zdała sobie z niej sprawę, rozplakała się w swoją białą, jedwabną chusteczkę.

Białe jedwabie

Przez cały czas trwania procesu prasa traktowała Moulay bez litości. Dziennikarze skupiali się na okrucieństwie, widocznym w jej rysach, podkreślając, że niegdyś była kobietą piękną, utalentowaną i popularną, ale teraz jawi się jako obraz prawdziwego zła, zarówno jej wewnątrz, jak i to, co na zewnątrz: ta „niegdyś wspaniała” kurtyzana zesłała naprawdę na bardzo złą drogę^[331]. Wiązano nawet jej skłonność do coraz bardziej okrutnych zachowań z utratą dobrego wyglądu. „Kiedy straciła swoją urodę, otworzyła dom prostytucji” – pisał „Oshkosh Daily Northwestern” z rodzajem świętoszkowatego samozadowolenia^[332].

Najbardziej przejmująca próba wejrzenia w psychikę Moulay pochodzi z pisanego na chłodno, ale pięknego reportażu Colette – choć i on, mimo że Colette siedziała koło morderczynie przez wiele godzin i obserwowała zawiłą grę emocji w jej oczach, nadal pozostanie jedynie spekulacją. W swojej relacji ze sprawy Moulay Colette pokusiła się o pewną teorię, wyjaśniającą jej okrucieństwo, mówiąc, że Moulay uważała doświadczenie brutalności za swoisty rytuał przejścia w życiu młodych, pięknych kobiet, które pragną zadawać się z mężczyznami. „To, co nazywamy okrucieństwem, stanowiło od wczesnego dzieciństwa zwyczajną, krwawą i radosną codzienność jej własnego życia: bicie, sznur krępujący szczupłe kończyny, szorstkie męskie objęcia, namiętność, z jaką szukała towarzystwa [...] naszych pierwszych francuskich kontyngentów” – pisała Colette. „Wszystko to, co zabija, rani, zadaje ból, stanowiło jej bezpośrednie doświadczenie jako dziewczyny szukającej przygód”. Świat Moulay nauczył ją, że kobiety są „istotami, które ściśle rzecz biorąc, nie mają żadnej wartości”, a ona uwewnętrzniła to przesłanie i potem przekazywała je swoim lokatorkom. „Gdzie miała się nauczyć tego, że kary zadawane kobietom [...] mają jakiegokolwiek granice?” – zastanawiała się Colette. Cała jej wiedza na temat przemocy zapewne pochodziła od francuskich żołnierzy, którzy maszerowali przez ulice miast jej kraju i płacili jej za noc spędzoną z jej północnoafrykańskimi dziewczętami.

Jej oddanie dla Francuzów zostało jednak ostatecznie nagrodzone: uniknęła gilotyny i została skazana jedynie na piętnaście lat więzienia. (Mohammed dostał tylko dziesięć lat). Kiedy jej historia dotarła do Stanów Zjednoczonych, prasa rozdeła ją do mitycznych rozmiarów: liczba ofiar, jakie jej przypisywano, sięgnęła setki^[333]

i przynajmniej w jednej gazecie podano informację, że została stracona na gilotynie. W tym samym artykule napisano, że podczas egzekucji jej ukochany pułkownik „jak widziano, uronił kilka łez”^[334].

Błędne informacje na temat Moulay pogłębiały jedynie otaczające ją poczucie tajemniczości i egzotyki. Nawet Colette nie ustrzegła się od porównywania procesu do powieści rodem z *Tysiąca i jednej nocy*. Do dziś Maroko jawi się w wyobraźni Zachodu jako kraj zmysłowości i egzotyki; opisy Fezu nie zmieniły się wiele od czasów, gdy Colette, przybywszy prosto ze swojej kolonizatorskiej ojczyzny, chodziła jego ulicami, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. (W 2007 roku na stronach „New York Timesa” przedstawiano Fez z niekłamanym zachwytem, pisząc o „postaciach spowitych w biel i zapomnianych uliczkach, w których trudno się odnaleźć – a jednak naznaczonych wyjątkowym urokiem”^[335]). Kiedy zachodnia prasa relacjonowała historię Moulay, szczegóły dotyczące palenia haszyszu, gibkich tancerek i wrzącej miętowej herbaty pasowały zgrabnie do odwiecznych, popularnych wyobrażeń na temat kobiety egzotycznej, umieszczonych na tle postaci bardzo silnych, męskich, europejskich żołnierzy kolonialnych. W ostatecznym rachunku, kim była Moulay dla „Oshkosh Daily Northwestern”, jeśli nie „spowitą w białe szaty postacią” z jakiejś baśni?

Ale prawdziwa zagadka Moulay nie sprowadza się do egzotyki. Chodzi o kierujące nią motywy, których nigdy nie uda nam się poznać. Kogo chciała zadowolić, zabijając? Swoich klientów? Własne mroczne impulsy? Francuzów? I dlaczego? Możemy jedynie się domyślać, jakie siły stały za tym, że tak chętnie dała się postrzelić w dłoń w obronie oficerów najeżdźczej armii. Nie wiemy, co się wydarzyło między Moulay a jej kochankiem, pułkownikiem. Możemy jedynie spekulować, że poczuła się załamana i porzucona, że prześladowały ją wspomnienia wspaniałych dni, kiedy była piękna i wszyscy żołnierze ją podziwiali. Ale wszystko, na czym możemy dziś się oprzeć, to ten obraz Moulay patrzącej w sali sądowej na stosowane przez nią samą narzędzia tortur i płaczącej w białą, jedwabną chusteczkę.

Moulay poszła więc do więzienia, a świat zastanawiał się, dlaczego nie skazano jej na karę śmierci. Niektórzy przypuszczali, że wiedziała więcej, niż była gotowa powiedzieć – być może trzymała w zanadrzu jakiś „polityczny dynamit”^[336] – albo że nadal miała ustosunkowanych przyjaciół, którzy zemściliby się, gdyby Francuzi posłali ją na szafot. Ale nikt z osób wysoko postawionych nie kiwnął palcem, aby ułaskawiono Moulay, poszła więc do więzienia i nigdy więcej świat o niej nie słyszał, przynajmniej nie we „właściwych” kręgach.

A może w końcu zjawił się jej pułkownik i zburzywszy mury więzienia, porwał ją w jakąś gorącą noc. Jeśli jednak tak się nie stało, Moulay wypełzła ze swojej celi po odbyciu wyroku i zniknęła po raz drugi w mrocznym półświatku, który ją wychował i który ją zniszczył.

Rozdział dziesiąty

Arcykapłanka kliki Sinobrodego^[337]

Tillie Klimek

Jeśli jakaś kobieta pragnęła zabić swojego męża, Chicago lat dwudziestych dwudziestego wieku wręcz idealnie nadawało się do realizacji tego zamierzenia. Wystarczyło strzałem w tył głowy położyć trupem niewiernego łajdaka, a potem w sądzie zagryzać wargi w akcie skruchy, roztaczając wokół siebie delikatną woń perfum. Adwokaci przypuszczalnie poradziliby ci, żebyś zrobiła sobie odpowiednią fryzurę, najlepiej głębokie fale, wzorując się na ślicznej morderczynie, która chwilę wcześniej całkiem wolna opuściła gmach sądu, jak choćby „Elegancka Belva” Gaertner albo „Piękna Beulah” Annan – postaci, które zainspirowały twórców musicalu *Chicago*. Ława przysięgłych, złożona wyłącznie z mężczyzn, będzie z aprobatą zerkąła w stronę twoich kostek w jedwabnych pończochach, gdy delikatnie, drżąc z emocji, zakładasz nogę na nogę. No i pamiętaj, żeby od czasu do czasu jakaś łza spłynęła ci z oka wzdłuż twojego idealnego nosa. Wtedy wyjdiesz wolna – ale tylko pod warunkiem, że jesteś naprawdę bardzo piękna.

Ale Tillie Klimek nie była piękna. Miała czterdzieści pięć lat i jej uroda należała już do przeszłości, zniszczona przez porody, prowadzenie domu i cztery małżeństwa o podejrzanym burzliwym przebiegu. Jej przekleństwem była „przysadzista figura” i „ziemista cera”^[338]. Tillie pielęgnowała drobne urazy. Sprawiała wrażenie osoby, która wie to i owo na temat okultyzmu. A do tego miała czelność podjąć grę w zabijanie mężów, nie kłopotując się o to, żeby poznać zasady.

Trumna na sprzedaż, okazja, trzydzieści dolarów

Tillie przyjechała do Stanów Zjednoczonych jako mniej więcej roczne dziecko, w ramach pierwszej fali polskiej emigracji do Chicago^[339], trwającej od lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku do początku lat dwudziestych dwudziestego i znanej jako emigracja „za chlebem”; uczestniczyli w niej głównie ludzie wywodzący się z klas niższych. Tillie nigdy nie nauczyła się dobrze mówić po angielsku i później często zarzucano jej rodzinie, podobnie jak jej samej, że mają maniery „wieśniaków”^[340]. Życie Tillie jako osoby dorosłej toczyło się dość banalnie, zwłaszcza jeśli spojrzeć na nie, uwzględniając tło zapierającej dech panoramy Chicago. W mieście szalała nielegalna produkcja alkoholu, rządził Al Capone, dziennikarze z rywalizujących gazet rozwiązywali spory za pomocą pistoletu, a liczba morderstw, popełnianych przez kobiety, wzrosła w ciągu czterdziestu lat o czterysta procent^[341]. A zatem kiedy w 1914 roku umarł pierwszy mąż Tillie, nikt specjalnie się tym nie przejmował. Miesiąc później ponownie wyszła za mąż, a potem straciła drugiego męża zaledwie dziewięćdziesiąt dni później. Wtedy też nie zwrócono na to większej uwagi. Przemoc szalała na ulicach i w tym, że jakaś kobieta polskiego pochodzenia zainkasowała trzy tysiące dolarów z polisy ubezpieczeniowej i oszczędności zmarłego, nie było nic szczególnie szokującego.

Tillie nie starała się specjalnie unikać zwracania na siebie uwagi, tym bardziej że nigdy nie miała problemów z przyciąganiem osób, którymi była zainteresowana najbardziej, czyli głównie nieżonatych mężczyzn. Chociaż później krytykowano jej urodę, z całą pewnością miała jakiś rodzaj wdzięku, ponieważ nie narzekała na brak mężów czy kochanków. Zwłaszcza jej oczy były urzekająco piękne (choć niewykluczone, że mówimy tak z perspektywy czasu lub też, by posłużyć się lepszym terminem, z punktu widzenia „pełzającego determinizmu”, czyli przekonania, że od początku wiedzieliśmy, że właśnie tak będzie – skoro dziś, kiedy patrzymy w jej oczy, widzimy w niej zabójczynię). Swoje pieniądze wydała po części na romantyczną wyprawę z najnowszym kochankiem do Milwaukee – nazywał się Józef Guskowski – mając nadzieję, że wkrótce zostanie jej mężem numer trzy.

Niestety, piękno Milwaukee nie zadziało swoją magią na Guskowskiego, ponieważ nie oświadczył się Tillie ani pierwszego dnia, ani żadnego z następnych. Tillie zaczęła się niepokoić. Wydała tyle pieniędzy na te wakacje i nie ma pierścionka? W rezultacie w drodze powrotnej do Chicago próbowała nastraszyć Guskowskiego i zmusić go do uległości, mówiąc, że obaj jej mężowie nie zmarli z przyczyn naturalnych. Zostali otruci, jak mu oświadczyła. Obaj. Przez nią samą.

Guskowski wpadł w panikę. Jeśli wcześniej nie bardzo się palił do oświadczyć, teraz miał już pewność, że nie zamierza się z nią ożenić. Kiedy Tillie zrozumiała swój błąd, zagroziła, że oskarży go, powołując się na Mann Act, ustawę, która miała w zamyśle chronić kobiety przed prostytutką, ale w rzeczywistości bywała wykorzystywana do ścigania ludzi pod zarzutem rozmaitych przejawów „niemoralności”, w tym dobrowolnej aktywności seksualnej, podejmowanej przez osoby dorosłe, niezwiązane małżeństwem. „Ach tak?” – odparł Guskowski. Jeśli ona ośmieli się go oskarżyć, on zaprowadzi ją prosto na policję i powie, że jest morderczynią – co było zgodne z prawdą.

Guskowski jednak najwyraźniej ciągle wyobrażał sobie, że droczenie się z Tillie to dobry pomysł, ponieważ kilka dni później ich spory skończyły się na dobre, gdy padł trupem.

W 1919 roku Tillie ponownie stanęła na ślubnym kobiercu. Razem ze swoim trzecim mężem, Franciszkiem Kupczykiem, przeniosła się do Chicago, na 924 North Winchester Avenue, do budynku, który do dziś cieszy się sławą jako „nawiedzony dom Tillie Klimek”. Małżeństwo nie całkiem układało się po jej myśli i Tillie wkrótce związała się z kochankiem o imieniu John, który zaglądał do ich domu, aby pocałować Tillie, kiedy Kupczyk wyszedł już do pracy (co zauważyli sąsiedzi). Życie toczyło się swoim normalnym torem – nawet jeśli nie było idealne – aż do momentu, gdy dwa lata po ślubie Kupczyk ciężko zachorował.

Pewnego popołudnia, kiedy jej mąż leżał cierpiący w łóżku, Tillie wybiegła z mieszkania, wymachując gazetą. Pokazała ją właścicielce domu, która ze zdumieniem ujrzała, że Tillie wskazuje ogłoszenie, reklamujące trumny za trzydzieści dolarów. To była prawdziwa okazja i Tillie oświadczyła, że zamierza ją kupić. „Mój mąż już długo nie pociągnie” – oświadczyła przerażonej kobiecie^[342]. Kupiła także kilka metrów drogiej, czarnej tkaniny, usiadła na łożu Kupczyka i nucąc mu, szyła dla siebie piękny kapelusz na pogrzeb.

Kupczyk zmarł dwudziestego piątego kwietnia 1921 roku i kiedy leżał sztywno w salonie, ubrany w swój najlepszy garnitur, Tillie puszczała na cały głos muzykę taneczną ze swojej victrolki. W pewnym momencie sięgnęła nawet w stronę trumny męża, chwyciła go za ucho i zawołała: „Ty diable, już więcej nie wstaniesz!”^[343]. Gdy tylko znalazł się w grobie, Tillie zainkasowała sześćset siedemdziesiąt pięć dolarów z polisy ubezpieczeniowej i zaczęła szukać następnego męża.

Jednak w sąsiedztwie zaczęły krążyć plotki na temat Tillie. Skąd mogła wiedzieć, że jej mąż stoi nad grobem? Ludzie zaczęli szeptać, że jest nawiedzona, że potrafi dostrzec zbliżającą się śmierć przynajmniej na tyle w porę, żeby tanio kupić trumnę. Oczywiście Tillie wiedziała, że Kupczyk „już długo nie pociągnie”, ponieważ sama go truła z aptekarską precyzją. W oczach łatwowiernych sąsiadów tymczasem wydawała się kobietą, która potrafi przewidzieć przyszłość^[344].

Ostro ze Szczurami

Jednym z gości na pogrzebie Kupczyka był łagodny, ciężko pracujący pięćdziesięcioletni wdowiec, który nazywał się Józef Klimek. Niektórzy mówili, że był alkoholikiem, ale sam Klimek z całą mocą odrzucał podobne oskarżenia. Prawdę mówiąc, nie przyszedł na pogrzeb, aby oddać hołd Kupczykowi, ale po to, aby popatrzeć na świeżo owdowiałą Tillie. Przyjaciele namawiali go do tego związku i po latach spędzonych w samotności myślał, że mógłby ponownie mieć żonę, wydała mu się kusząca.

Po nabożeństwie żałobnym Tillie nie została jednak, aby z nim flirtować. „Czuła się zbyt niedobrze, aby rozmawiać z ludźmi” – wyjaśniał później Klimek. Ale po kilku tygodniach delikatnych zabiegów Tillie zgodziła się go poślubić. Klimek nie posiadał się z radości, jego samotne dni skończyły się na dobre. „Ożeniłem się z Tillie, żeby mieć dom” – mówił. I jakież to był przytulny dom! Cenił jej umiejętności posługiwania się szydełkiem i uwielbiał jak gotuje.

Oczywiście Tillie miała jakąś przeszłość, ale Klimek nie dbał o to, że miewała kochanków. Teraz się zmieniła. Tego był pewien. „Gdy tylko się pobraliśmy, spaliła wszystkie fotografie swoich poprzednich mężów i swoich przyjaciół” – oświadczył. „A także podała wszystkie listy. Postawiła moje zdjęcie na kominku – tak było”^[345].

Jednak, z czego romantycznie zauroczony Klimek nie zdawał sobie sprawy, małe domowe szczęście nie satysfakcjonowało Tillie. Zaczęła się na nie skarżyć w rozmowach z kuzynką, Nellie Kulik, która także niedawno pochowała męża. Kiedy Nellie podsunęła jej myśl o rozwodzie, Tillie odparła: „Nie, pozbędę się go w jakiś inny sposób”^[346]. Nellie wiedziała dokładnie, co Tillie miała na myśli i przed wyjściem wsunęła jej w rękę niewielką puszkę proszku, opatrzoną napisem „Ostro ze szczurami”. W puszcze była trucizna domowej roboty, złożona z arszeniku zabarwionego węglem, coś, co można było kupić bez trudu w każdej życzliwie nastawionej drogerii w okolicy. Na puszcze widniało przykuwające wzrok logo: martwy szczur leżący na grzbiecie, a nad nim hasło „Nie umierają w domu”. Nellie zawsze miała pod ręką trochę tego specyfiku. Poniżej logo widniał napis: „Niezrównany eksterminator”. „Stary wypróbowany środek, nigdy nie zawodzi”.

Tillie wróciła do domu i zajęła się przygotowywaniem dla Klimka serii cudownych

potraw domowej roboty, przyprawiając każdą z nich do smaku solidną porcją „Ostro ze szczurami”. A Klimek jadł i jadł, i robił się coraz bardziej chory i chory. Nogi mu sztywniały i oddech zaczął cuchnąć czosnkiem – jedne z bardziej niewinnych oznak zatrucia arsenikiem. Mniej więcej w tym samym czasie nagle umarli jego dwa ukochane psy.

Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej Klimka leżały już w zasięgu ręki Tillie, gdy nagle jego brat, John, wszystko zepsuł, nabierając podejrzeń. Mimo głośnych protestów Tillie, że potrafi sama zaopiekować się Klimkiem, John uparł się, że sprowadzi własnego lekarza, który przyjrzy się jego bratu. Lekarz natychmiast rozpoznał symptomy zatrucia arsenikiem i błyskawicznie wysłał Józefa do szpitala, po drodze zawiadamiając policję.

Dwudziestego szóstego października 1922 roku Tillie została aresztowana pod zarzutem próby zamordowania Józefa Klimka. Następnego dnia aresztowano także jej kuzynkę, Nellie, za dostarczenie arseniku. Kiedy odwożono Tillie policyjnym samochodem, odwróciła się do siedzącego obok policjanta i powiedziała: „Następny obiad chciałabym ugotować dla ciebie. To przez ciebie mam te wszystkie kłopoty”^[347].

Ekshumacje

Wkrótce wyszło na jaw, że próba otrucia Józefa Klimka nie była jakimś odosobnionym incydem. Policja otrzymała kilka anonimowych listów, w których ponaglano ją do wydobywania ciał trzeciego męża Tillie, starego Franciszka Kupczyka, oraz pierwszego męża Nellie. I proszę, ciała obu mężczyzn okazały się naszpikowane arsenikiem. Najwyraźniej Tillie miała wrogów, którzy od dawna podejrzewali, że za jej zdolnościami „jasnowidzenia” stało popełnione przez nią morderstwo („Nie umierają w domu!”). Nagłówki gazet zaczęły przypominać opowieść o Frankensteinie: „Nakaz wykopania ciał mężów obu kobiet”, „Trzy kolejne ciała ekshumowane w sprawie Klimek”, „Ekshumacje ciał innych krewnych”.

Tymczasem Tillie została zabrana do szpitala na spotkanie z jej ostatnim żyjącym mężem. Czy czuła jakieś wyrzuty sumienia z powodu próby zamordowania Klimka? Nie czuła. A kiedy w gniewie zasypywał ją pytaniami, odparła: „Nie wiem. Daj mi święty spokój”. Gdy usłyszała, że chory prosi pielęgniarkę o szklanek wody, wrzasnęła w jej stronę: „Jeśli będziesz miała z nim jakieś kłopoty, weź solidną deskę i walnij go w łeb!”. Mimo to pocałowała go na pożegnanie, wprawiając w zdumienie świadków tej rozmowy^[348].

Wkrótce wyszło na jaw, że Tillie zabijała nie tylko swoich mężów. Kiedy policja pracowicie ekshumowała kolejne ciała, na posterunku pojawiły się dwie kuzynki Tillie i poradziły policjantom, aby zaczęli kopać głębiej. Twierdziły, że Tillie zgładziła także czwórkę ich rodzeństwa: wszyscy zmarli po przerażającej kolacji w jej domu. Tillie poróżniła się z ich matką i całą swoją wściekłość wyładowała na dzieciach, podając im zatrute jedzenie.

Liczne zbrodnie Tillie miały najwyraźniej pewien wspólny motyw: małosłowną zemstę. Zabiła Józefa Guskowskiego, ponieważ poczuła się upokorzona tym, że nie kupił jej pierścionka zaręczynowego, i potrafiła wpadać w taką wściekłość z powodu drobnych uraz i nieporozumień, że kiedy była w złym nastroju, wszyscy w jej otoczeniu dla

własnego bezpieczeństwa powinni trzymać się od niej z dala. Na policji pojawiły się także dwie sąsiadki Tillie i oświadczyły, że niemal śmiertelnie się rozchorowały, gdy poczęstowała je zatrutymi cukierkami. Jedna z tych kobiet powiedziała, że wcześniej posprzeczała się z Tillie, druga twierdziła, że Tillie zauważyła jej sąsiedzką rozmowę z Klimkiem i bardzo jej się to nie spodobało.

Gdy Tillie i Nellie zostały oskarżone o morderstwo – Tillie o zamordowanie Franciszka Kupczyka, Nellie o zamordowanie swego pierwszego męża – kolejne ekshumacje przybrały jeszcze bardziej niepokojący obrót. „Poszlaki w sprawie tajemniczej trucizny”^[349] doprowadziły śledczych do trzech niewielkich grobów: bliźniąt urodzonych przez Nellie oraz wnuczki. Nellie urodziła bliźnięta, kiedy była jeszcze żoną swojego pierwszego męża, ale mąż odmówił uznania ich za swoje dzieci. (W tym czasie Nellie przeżywała burzliwy romans z mężczyzną, który został jej drugim mężem, Albertem Kulikiem). Jedno z bliźniąt zmarło w wieku ośmiu miesięcy, drugie miesiąc później. Trzecie dziecko, wnuczka, prawdopodobnie zostało otrute, gdy córka Nellie skrytykowała ją za jej „sposób życia”^[350]. Podobnie jak jej mordercza kuzynka, Nellie okazała się porywcza i nie potrafiła spokojnie znosić różnicy zdań.

Policja ledwo mogła nadążyć za kolejnymi oskarżeniami, jakie pojawiały się w tej sprawie. Zupełnie jak gdyby pękła jakaś tama w środowisku Tillie i ludzie poczuli wreszcie, że mogą dawać wyraz swoim najgłębszym, najmroczniejszym podejrzeniom na temat rzekomo jasnowidzącej sąsiadki oraz jej kuzynki, która uśmierciła trójkę małych dzieci. Wszyscy nagle byli przekonani, że ktoś ich truje. Jeden z synów Nellie podejrzewał, że matka powoli uśmiercała nawet jego. Jedna z córek Nellie obawiała się, że Tillie próbowała ją otruć. Nawet siostra Nellie, Cornelia, trafiła do więzienia, ponieważ jej zięć doszedł do wniosku, że podawała mu bimber, zaprawiony trucizną. Trucizna, wszędzie trucizna i ani kropli wody, żeby się napić! Ostatecznie liczba domniemyanych ofiar sięgnęła dwudziestu: dwanaście z tych osób nie żyło, siedem cierpiało na poważny uszczerbek na zdrowiu, a jedna zaginęła (tajemniczy mężczyzna, znany jedynie jako „Meyers”; podejrzewano, że był jeszcze jednym mężem albo kochankiem Tillie)^[351]. Przy czym ta liczba dotyczyła jedynie ludzi. Jedna z sąsiadek twierdziła, że jej pies nagle zmarł, gdy Tillie „zgłosiła zastrzeżenia” do jego uporczywego szczekania^[352].

Cała lokalna społeczność popadła w obsesję – a z punktu widzenia policji sytuacja wydawała się niemal nie do opanowania. Dały się słyszeć głosy o istnieniu „krainy trucizny”^[353], nawiedzanej przez czarownice i rozciągającej się na cały obszar Chicago zamieszkały przez Polonię. Tillie obsadzono w roli „arcykapłanki kliku Sinobrodego”^[354]. Obie kuzynki czekała szubienica.

„Po prostu umarli tak jak inni ludzie”

Pobyty w więzieniu ujawnił duże różnice osobowości obu oskarżonych. Nellie uśmiechała się częściej, rzadziej mówiła po angielsku i miała skłonność do hysterii. Pozwoliła fotografom zrobić sobie zdjęcie, ale dopiero gdy zaczesła włosy do tyłu. Na pytania o sprawę odpowiadała, że to jej syn, który sam wysuwał przeciw niej oskarżenia, po prostu zrobił sobie „żart”, a jacyś „ważni ludzie” potraktowali to poważnie^[355]. Tillie dla odmiany była milcząca, nieporuszona i wyzywająca, „panowała nad swoimi emocjami

jakby była automatem”^[356]. Tylko raz dała się ponieść prawdziwym uczuciom, gdy wybuchła w swojej obronie: „Nikogo nie obrabowałam! Nikogo nie zastrzeliłam, nikogo nie otrułam, nikogo nie zabiłam. Nic takiego nie zrobiłam! Wszyscy się na mnie uwzięli. Wszyscy się na mnie gapią, jakby chcieli mnie zjeść. Czemu się na mnie tak gapią? Mówię prawdę. Jeśli coś zrobiłam, zrobiłam to sobie. Nikomu więcej”^[357].

Prokurator wyznaczony do tej sprawy – William McLaughlin, zastępca prokuratora stanowego – pragnął krwi Tillie. McLaughlin miał skłonność do przesady i najwyraźniej postanowił zyskać nieśmiertelną sławę. Podczas tego procesu karmił dziennikarzy melodramatycznymi cytatami, jakie pragnęli usłyszeć, nazywając sprawę „najbardziej zdumiewającym trucicielskim spiskiem, jaki kiedykolwiek ujawniono” oraz „najbardziej zdumiewającym morderczym spiskiem w ostatnich dziejach kryminalistyki”^[358]. Twierdził, że obie kuzynki organizowały „trucicielskie przyjęcia”, podczas których serwowały dania naszpikowane arsenikiem szerokim kręgom swoich krewnych^[359]. Prawdę mówiąc, był głęboko przekonany, że „Mała Polska” w Chicago jest siedzibą całego *spisku* kobiet, odgrywających rolę Sinobrodego, i że Tillie oraz Nellie stanowiły po prostu (toporny, nieatrakcyjny) wierzchołek góry lodowej. Nie zadowalała go wizja dożywocia dla Tillie. Chciał zobaczyć ją na stryczku.

Poza salą sądową kilka najbardziej dynamicznych reporterek w Chicago intensywnie pracowało nad tą sprawą, w tym zdumiewająca Genevieve Forbes, która pisywała o sprawach kryminalnych w epoce, w której kobiety po prostu nie zajmowały się takimi historiami. Forbes przeprowadziła wiele wywiadów z osobami z kręgu Tillie. Rozmawiała w szpitalu z Józefem Klimkiem, wytropiła rodziców Tillie i wreszcie uzyskała audiencję u samej Tillie.

Swoim przenikliwym spojrzeniem dziennikarki Forbes dostrzegła w postaci Tillie pewne niuanse, którymi wcześniej nikt się nie przejmował. Ujrzała w Tillie niebezpieczną, mściwą kobietę, która posługiwała się trucizną jako sposobem na ukojenie swojej zranionej dumy i mocno skrywała swoje sekrety. Przyjrzała się też powierzchowności Tillie – „otyła, przysadzista polska chłopka, w wieku czterdziestu pięciu lat, ale wyglądająca na pięćdziesiąt pięć, o niezgrabnej figurze, dużych dłoniach i stopach oraz brązowych włosach, zaczesanych do tyłu i zawiązanych w węzeł”^[360] – niemniej przyznawała jej, nie bez wahania, pewną inteligencję. „Tillie Klimek jest widzem oglądającym swój własny dramat” – pisała^[361].

Sąd nie dostrzegał jednak w Tillie tego rodzaju zalet i proces przybrał nieprzyjemny obrót, gdy sędzia zażądał specjalistycznego „raportu na temat psychopatycznych cech” obu oskarżonych kobiet. Lekarz, który je zbadał, uznał, że obie wykazywały poziom rozwoju umysłowego „poniżej normalnego oraz symptomy *dementia praecox*”, a ich inteligencję oceniał jako nie wyższą niż jedenastoletniego dziecka. Sędzia posunął się nawet krok dalej, przywołując jeden z ulubionych tematów epoki: eugenikę. Z irytacją podkreślał, że jednego z synów Nellie już wcześniej uznano za osobę „ociężałą umysłowo” i sędzia żywił głębokie przekonanie, że kryminalne skłonności są zakodowane w DNA rodziny. „Gdyby jakiś doświadczony ekspert od spraw eugeniki zbadał historię tej rodziny w okresie, gdy wykryto w niej jednego półgłówka, policja mogłaby wtedy, zawczasu ostrzeżona, uważniej przyjrzeć się tej kobiecie” –

oświadczył. „Kiedy znajdziemy jeden przypadek, możemy podjąć poszukiwania i zlokalizować całe gniazdo”^[362].

Zauważmy, że żadna z tych kobiet nie mówiła dobrze po angielsku. Jeśli badanie przeprowadzono w języku angielskim, jest całkiem prawdopodobne, że po prostu nie były w stanie poprawnie odpowiadać na pytania. Rzeczywiście, wydaje się, że Nellie była zdecydowanie bardziej prostoduszna niż jej kuzynka, ale Tillie nie była idiotką i raport medyczny wyraźnie nie doceniał jej możliwości. „Ona ma rozum” – pisała Forbes. „I jej inteligencja panuje nad jej emocjami”^[363]. Jednak Tillie nie mówiła płynnie po angielsku, a poza tym i tak nie chciała się tłumaczyć, więc sąd podtrzymywał tezę, że jej zbrodnie stanowiły rezultat dziecięcego intelektu – albo dzieło nieudolnej, odstręczającej wieśniaczki.

Zważywszy na panujące w Chicago lat dwudziestych rządy chaosu, nic dziwnego, że proces Tillie przekształcił się w przedstawienie cyrkowe. Przy wielu okazjach sędzia musiał wrzeszczeć: „To nie jest teatr!”^[364]. Ale to był teatr. W gronie świadków oskarżenia znalazły się sąsiadki, powtarzające plotki, trzech grabarze oraz „kobieta prowadząca zakład pogrzebowy”^[365] i publiczność najwyraźniej nigdy nie miała dość, wysłuchując ich zeznań. Jeden z grabarzy wywołał zamieszanie na sali sądowej opowieścią o kochanku Tillie o imieniu John, który często odwiedzał Tillie, gdy Franek Kupczyk wychodził do pracy. „Nieraz widziałem, jak ją całował” – oświadczył grabarz. Kiedy oskarżyciel spytał, co wydarzyło się następnie, grabarz odparł: „No cóż, potem Tillie zasłoniła okna jakimiś gazetami, więc nie mogłem zajrzeć do środka”^[366]. W tym momencie wszyscy wybuchnęli śmiechem – nawet Tillie.

Ale pod koniec procesu nikt się nie śmiał i nawet Tillie ze swoją beznamiętną postawą zaczęła się załamywać. Kiedy chemik z biura koronera zeznał pod przysięgą, że znalazł arsenik w ciałach wszystkich trzech jej byłych mężów, zaczęła wreszcie przejawiać oznaki niepokoju. Mimo to konsekwentnie prezentowała swoją linię obrony, występując zawsze w czarnym kapeluszu, który uszyła, towarzysząc umierającemu Kupczykowi. Twierdziła, że Kupczyk zmarł na skutek zatrucia alkoholem i zaprzeczała, jakoby była odpowiedzialna za śmierć któregoś z pozostałych mężów. „Kochałam ich, a oni kochali mnie. Po prostu umarli tak jak inni ludzie” – oświadczyła. „Nie jestem za to odpowiedzialna. Nie mogłam nic zrobić, jeśli chcieli umrzeć”^[367].

McLaughlin niemal błagał przysięgłych o karę śmierci. Miał już szczerze dosyć kobiet, które wywijały się od kary za morderstwo. „Panowie, kara śmierci w tym stanie nigdy nie była dotąd orzekana w przypadku kobiet!” – wołał. „Ta podsądna przypomina wiele innych kobiet w tym mieście. Myśli, że może to jej uść na sucho. Jest mnóstwo kobiet, panowie, które czekają na wasz werdykt w tej sprawie. Mam poczucie, że kara śmierci ma tutaj zastosowanie i jestem o tym głęboko przekonany”^[368].

Miał rację, Tillie przypominała dokładnie „bardzo wiele innych kobiet w tym mieście” – (zamordowała swojego męża). Pamiętajcie o tych czterystu procentach? Ale w odróżnieniu od wielu innych kobiet, które zalewały się łzami i flirtowały, stojąc na miejscu dla świadków, Tillie nie wywinęła się od kary i morderstwo nie „uszło jej na sucho”. Przysięgli uznali, że jest winna zamordowania Franciszka Kupczyka i skazano ją na dożywocie – to był najsurowszy wyrok, jaki kiedykolwiek otrzymała kobieta

w hrabstwie Cook w tych czasach.

Niezbyt piękna

Proces Nellie przebiegał dość chaotycznie. Być może dlatego, że sąd nie nigdy traktował jej równie poważnie jak Tillie, królowej lodu, Nellie wyszła na wolność – mimo że przeciwko niej zeznawały jej własne dzieci. Kiedy została uniewinniona od zarzutu dostarczenia Tillie trucizny, McLaughlin dał za wygraną i zrezygnował z wysuwania przeciw niej innych zarzutów. Bez wątpienia w ciele jej pierwszego męża znajdowało się mnóstwo arszeniku, ale nikt nie miał ochoty zajmować się dłużej sprawami tej rzekomej „kliki Sinobrodego”, skoro jej arcykapłanka i tak znalazła się za kratkami.

Na ławie oskarżonych zasiadały teraz inne morderczynie i bez wątpienia znacznie przyjemniej było na nie patrzeć. W ciągu dwu następnych lat w tym samym gmachu sądu pojawiły się „Elegancka Belva” Gaertner i „Piękna Beulah” Annan, pozując reporterom w obcisłych sukniach i wykorzystując wszystkie sztuczki kobiecej kokieterii (w tym także, choć nie tylko, zalewanie się łzami, modne kapelusze i kosztowne stroje), dzięki czemu obie wyszły na wolność.

Na tym właśnie polegała przykra prawda, kryjąca się za werdyktem w sprawie Tillie: gdyby Tillie była bardziej atrakcyjna, być może nigdy nie zostałaby skazana na dożywocie. Oczywiście bez wątpienia była winna, ale w Chicago już wcześniej sądy miawały do czynienia z kobietami winnymi zabójstwa męża i te z nich, które uważano za atrakcyjne, wychodziły z sądu na wolność. W tym okresie w Hrabstwie Cook uniewinniono od zarzutu morderstwa dwadzieścia osiem kobiet. I wszystkie były atrakcyjne. Ostatnią uniewinnioną była Cora Orthwein, „ośniewająca piękność, dobrze ubrana, z północnego brzegu”. Przed wyrokiem, jaki zapadł w sprawie Tillie, skazano tylko cztery oskarżone: Hildę Axlund („niezbyt piękna”), Verę Trepannier („w wieku starszym niż średni”), Emmę Simpson („uznana za obłąkaną”) oraz Dorę Waterman („niezbyt piękna”)^[369].

Oczywiście, choć formalnie Tillie stanęła przed sądem jedynie pod zarzutem zamordowania Franciszka Kupczyka, większość obserwatorów nie miała wątpiwości, że była seryjną zabójczynią, a nawet przywódczynią całego „gangu trucicielek”. W dodatku zarówno prasa, jak i widzowie w sali sądowej wręcz uwielbiali namiętą przemoc ze strony kobiet, które zabijały mężów i kochanków. Czyli robiły dokładnie to, co Tillie. Orthwein, na przykład, zastrzeliła swojego kochanka po nocy pijaństwa i namiętych kłótni. Kto mógłby powątpiewać, że gdyby Tillie była młoda i ośniewająca, jej historia nie zostałaby opisana zupełnie inaczej, mimo takiego nasycenia przemocą? Prasa mogłaby ją przedstawić jako subtelną poszukiwaczkę małżeńskiego szczęścia, która nieustannie doświadczała poniżenia ze strony swoich brutalnych, nieokrzęsanych kochanków, prostaków. Seryjną poszukiwaczkę miłości, która jedynie przypadkiem popełniała zbrodnie.

Sądy i prasa dobrze zdawały sobie sprawę ze swoich uprzedzeń, ale najwyraźniej czerpały z nich satysfakcję. Było coś szalenie *seksownego* w kobiecie, która popełniała zbrodnię, a potem wychodziła na wolność. Moralne oburzenie społeczeństwa rezerwowano dla takich kobiet jak Tillie, które robiły złe rzeczy, ale nie wyglądały

atrakcyjnie. W rubryce zatytułowanej „Linijka tekstu albo dwa”, publikowanej w gazecie „Tribune”, zamieszczono złośliwy telegram, wyszydzający Chicago z powodu brzydoty jego ostatniej morderczyni. „Chicago chlubiące się osobą Tillie Klimek to prosta droga do porażki” – czytamy. „Proponuje się, aby zorganizować dla chętnych kandydatek lekcje piękna, dobrych manier itd., zanim pozwolicie na kolejne morderstwa”.

Po jednym szczególnie niedorzecznym procesie, podczas którego dwie olśniewająco piękne siostry blondynki zostały uniewinnione od zarzutu morderstwa, zirytowany prokurator rzucił, że najwyraźniej na widok „blond loków albo ciemnych oczu przysięgli zapominają o najbardziej obciążających dowodach”^[370]. Genevieve Forbes ujęła to najbardziej dosadnie: „Tillie Klimek poszła do więzienia, ponieważ nigdy przedtem nie wstąpiła do salonu piękności”^[371].

Diabeł się nie podniesie

Podczas całego procesu najwyraźniej nigdy nie poruszano kwestii przemocy domowej. Większość zgromadzonych dowodów wskazywała na pieniądze jako motywację Tillie, ponieważ po śmierci każdego męża inkasowała niedużą sumkę. Z tego powodu przypuszczalnie sąd nie czuł potrzeby głębszego zajmowania się jej psychiką. Ale kolejne ławy przysięgłych z niezwykłym zrozumieniem odnosiły się do wszelkich sugestii przemocy małżeńskiej w sprawach o zabicie męża^[372]. Można więc się zastanawiać, dlaczego nigdy nie powoływano się na ten motyw w obronie Tillie. W końcu zarówno Tillie, jak i jej rodzice twierdzili, że Klimek i Kupczyk byli alkoholikami, a potem pojawił się wątek Tillie, wrzeszczącej do ucha zmarłego Kupczyka: „Ty diable, już nigdy nie wstaniesz!”. Czy zabijała wyłącznie dla pieniędzy i z zemsty? A może starała się uciec przed jakimś diabłem albo dwoma.

Z całą pewnością pieniądze nie stanowiły w jej przypadku jedyne motyw, skoro Tillie wielokrotnie zabijała, nie mając żadnej nadziei na wypłatę z ubezpieczenia. Żywiła przesadnie wielkie pretensje i używała trucizny, aby uciszyć każdego, kto ją zirytował, czy była to sąsiadka, która ośmieliła się flirtować z jej mężem, czy też pies, który uporczywie szczekał. Przynajmniej Genevieve Forbes nie miała wątpliwości, że Tillie jest postacią tajemniczą i że jej zagadka nie znalazła dotąd rozwiązania. Ale miasto jako takie wolało przenieść swoją uwagę w stronę śliczniejszych kryminalistek. Przez chwilę zainteresowano się Tillie, jej zbrodniami, jej wyglądem, ale nikt szczególnie nie przejmował się jej demonami. Mówili więc o niej, że jest „przysadzista” i „brzydka”, a potem wsadzili ją na resztę życia do więzienia.

Tillie w więzieniu wiodła spokojne życie. Kilka lat później powiedziała Forbes, że całkowicie pochłania ją wyszywanie oraz że smakuje jej więzienne jedzenie. Spędziła za kratkami trzynaście lat, a w tym czasie opinia publiczna skupiła uwagę na większych, bardziej „seksownych” zbrodniach. A potem zmarła w więzieniu dwudziestego listopada 1936 roku. W gazetach podano jej wiek, zawyżając go o cztery lata. Zarówno w chwili śmierci, jak i za życia, nikt nie troszczył się o to, aby Tillie sprawiała dobre wrażenie.

Mimo swojego dobrego sprawowania w więzieniu, Tillie zachowała kilka sekretów. W końcu nigdy nie znaleziono jej domniemanego kochanka o nazwisku „Meyers”. W dodatku kilka lat po procesie, kiedy jej ostatni mąż odszedł z tego świata,

lekarze donieśli, że zabiło go zapalenie migdałków. Sekcja zwłok wykazała jednak, że w osłabionym ciele Józefa Klimka nadal było pełno arszeniku.

Rozdział jedenasty

Czarodziejka z Kilkenny^[373]

Alice Kyteler

Chcesz zniszczyć kobietę w przedoświeceniowej Europie? Masz do wyboru kilka wygodnych posunięć. Możesz ją oskarżyć o niegodziwe zachowania seksualne – zawsze skuteczna taktyka. Możesz utrzymywać, że zabiła swoje dziecko. Albo możesz związać wszystkie swoje oskarżenia w jeden dramatyczny pakiet, ociekający seksem oraz przesadami, i nazwać ją czarownicą – a potem umyć ręce i pozwolić, aby tłum przejął inicjatywę, podczas gdy ty spokojnie zasiądziesz nad misą ciepłego bulionu z owczej głowizny.

Bohaterka pierwszego prawdziwego europejskiego procesu czarownic^[374] prawdopodobnie była także pierwszą odnotowaną w dziejach Europy seryjną zabójczynią, ale groteskowe oskarżenia, jakie rzucano pod jej adresem – spała z demonami!, gotowała potrawkę z mózgow nieochrzczonych dzieci! – szybko przesłoniły jej prawdziwe zbrodnie. Lady Alice Kyteler, która czterokrotnie stawiała na ślubnym kobiercu i nieustraszenie pięła się w górę drabiny społecznej, okazała się niebezpiecznym przeciwnikiem. Była czarująca, potężna, przedsiębiorcza i potrafiła dbać o swoje interesy. Jeśli przyjrzymy się bliżej jej życiu, zaczniemy dostrzegać pewne wzorce, jak choćby to, że zostawiła za sobą kilku zmarłych mężów, jednak te schematy wyparowały z kronik historycznych. Potomni zapamiętali jedynie, jeśli w ogóle o niej myślą, że Alice zapewne latała, albo i nie latała, na posmarowanym tłuszczem kiju od miotły.

Kiedy kilkaset lat po procesie Lady Alice, w którym oskarżono ją o to, że była „matką przełożoną i panią” konwentyku czarownic, czyta się dokumenty procesu, nie sposób nie nabrać całkowitej pewności, że ta kobieta wcale *nie* składała w ofierze dziewięciu surowych oczu pawia jakiejś mrocznej, demonicznej sile, przezwanej Robinem, synem Arta. Została fałszywie oskarżona, ponieważ miała za dużo pieniędzy, a społeczeństwo uważało, że potężne kobiety są niebezpieczne i irytujące oraz dlatego, że inni chcieli zagrabić jej ziemię. Reakcja społeczeństwa, w którym żyła, nawet wtedy nie była czymś nowym. Już tysiąc lat wcześniej rzymski poeta Juwenalis mamrotał, że „Nic bardziej nieznośnego jak baba bogata”^[375].

Skandaliczne, prawda? Jednak nie powinniśmy zapominać o tych wszystkich zmarłych mężach.

Maleficia

U schyłku trzynastego wieku irlandzkie miasto Kilkenny stanowiło cudowne miejsce do życia. Wokół rozpościerały się zielone, żyzne pola i lasy. W pobliżu majaczyła sylwetka potężnego zamku, emanującego siłą, ładem i poczuciem bezpieczeństwa. A do tego w mieście nie brakowało mężczyzn gotowych do ożenku.

Ulicami tego pięknego miasta przemieszczała się Alice Kyteler, czasami nazywana

Dame, czasami Lady, dumna potomkini flamandzkich kupców^[376]. Alice już w młodości sytuowała się wysoko na drabinie społecznej: posiadała ziemię, była spokrewniona z szeryfem Kilkenny i mogła poszczycić się wieloma wpływowymi przyjaciółmi. Jej pozycja wzmocniła się jeszcze bardziej, gdy około 1280 roku poślubiła zamożnego bankiera. Nazywał się William Outlawe; wśród *jego* krewnych znajdował się sam lord kanclerz Irlandii. Alice i William mieli syna Williama juniora i Alice obdarzała chłopca czułą uwagą, nie żałując pieniędzy na jego wychowanie. Zawsze był jej ulubieńcem.

Po jakichś dwudziestu latach małżeństwa Outlawe zmarł. Szczęśliwie William junior dorósł już na tyle, by zarządzać ziemiami ojca i rodzinnym interesem bankowym, a szczodry testament Outlawe'a dawał zarówno Alice, jak i jej synowi gwarancje, że poradzą sobie w ciężkich czasach. Zresztą, prawdę mówiąc, nawet bardziej niż „poradzą” – nagle stali się bogatsi i bardziej wpływowi niż byli przed jego śmiercią. Wyglądało to niemal tak, jak gdyby strata dobrego, kochanego taty okazała się prezentem od losu.

Alice szybko zainteresowała się nowym mężczyzną, Adamem le Blondem, który pochodził z potężnego rodu posiadaczy ziemskich. Świeżo poślubieni małżonkowie stanowili wspaniałą parę, a ich powiązania rodzinne sięgały wierzchołka drabiny społecznej. Pożyczyci nawet królowi Edwardowi I pięćset funtów niezbędnych do sfinansowania wojen ze Szkocją. Le Blond najwyraźniej uwielbiał swojego pasierba, ponieważ bez oporu wyłożył dla Williama juniora trzy tysiące funtów, które młody człowiek natychmiast zakopał w ziemi, dla bezpieczeństwa. W tamtych czasach to była olbrzymia suma. Aby ująć rzecz we właściwej perspektywie, mężczyzna za cały dzień ciężkiej pracy zarabiał jednego pensa (dwieście czterdzieści takich pensów składało się na jednego funta). Kobieta zarabiała wtedy połowę tej sumy^[377].

Jednak tak otwarte okazywanie względów wychowankowi zaczęło budzić w Kilkenny pewną niechęć. Uznano, że William junior jest rozpieszczonym, młodym człowiekiem i mieszkańcom miasta najwyraźniej nie przypadło do gustu to, że Alice skorzystała na obu swoich małżeństwach. Nawet szeryf, krewny Alice, zaczął jej zazdrościć uprzywilejowanej pozycji. Pewnej nocy w 1302 roku zakradł się więc do domu Williama juniora z grupą mieszkańców miasta i bezwstydnie wykopał te trzy tysiące funtów. Rabusie oświadczyli, że skoro pieniądze leżały w ziemi, należy potraktować je jako „skarby” – ukryte cenne przedmioty, które nie miały właściciela – i że dlatego należą do króla. Alice i Le Blond zaczęli protestować, ale szeryf zamiast zwrócić im pieniądze, oskarżył ich o zabójstwo i wtrącił do więzienia^[378].

Zabójstwo? Wyglądało na to, że oskarżenie wyssano z palca – i w pewnym sensie tak było, ponieważ miało ono uchronić szeryfa przed kłopotami z powodu kradzieży pieniędzy. Jednak ludzie już od pewnego czasu szeptali różne rzeczy na temat Alice. Podejrzewali, że coś knuje.

Oboje małżonków wkrótce wypuszczono na wolność, ponieważ byli bogaci i wpływowi i nikt nie mógł przedstawić przeciwko nim żadnych przekonujących dowodów, ale niechęć wobec Alice i Williama juniora zaczęła narastać. Tymczasem le Blond całkiem niespodziewanie, jak się wydawało, zmienił treść swojego testamentu na rzecz Williama juniora i uczynił go swoim jedynym spadkobiercą, a jednocześnie

anulował wszystkie długi młodego człowieka, w tym także pożyczkę owych trzech tysięcy funtów^[379]. Decyzja le Blonda wydawała się tym bardziej szokująca, że miał już biologiczne dzieci, które bez wątpienia z przerażeniem przyjęły wiadomość o utracie swojego dziedzictwa.

A potem, uporządkowawszy wszystkie swoje ziemskie sprawy, Adam le Blond zmarł. Kolejna wygodna śmierć, która nastąpiła dokładnie w momencie, w którym Alice i William junior mogli skorzystać na niej najbardziej.

W 1309 roku Alice znalazła sobie bardzo atrakcyjnego trzeciego męża: zamożnego rycerza, który nazywał się Richard de Valle. Podobnie jak jej poprzedni mężowie, de Valle musiał być niezwykle zauroczony swoją świeżo poślubioną małżonką, ponieważ wkrótce on także, choć miał biologiczne dzieci z poprzedniego małżeństwa, postanowił, że William junior będzie jego faworytem. De Valle zaczął obsypywać swojego pasierba pieniędzmi oraz powierzać mu różne ważne zadania w interesach. Na przykład William junior otrzymał prawo do ściągania należności, jakie różni dłużnicy byli winni rodzinie de Valle'ów.

A kiedy de Valle zmarł i Alice przypadła jedna trzecia jego dość znacznego majątku ziemskiego, jeden z synów de Valle'a usiłował zagarnąć tę ziemię dla siebie, zapewne kierując się niechęcią do macochy, która już wtedy posiadała dość rozległy majątek. Najwyraźniej jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego macocha nie jest kimś, z kim warto zadzierać. Alice miała żelazną wolę (a także pokaźnych rozmiarów wizytownik, by tak rzec), toteż zamiast ustąpić pasierbowi, wytoczyła mu proces w sądzie – i wygrała^[380]. W efekcie nie dość, że stała się bogatsza niż kiedykolwiek wcześniej, to na dokładkę w oczach świeżo osieroconych dzieci de Valle'a oficjalnie była złą macochą.

Niewątpliwie za zamkniętymi drzwiami Alice zachęcała swoich mężów, aby przepisali swój majątek na nią i jej ukochanego syna. Być może nie chodziło w tym o rozmyślną, przebiegłą manipulację; może po prostu była tak urocza, że spełniali wszystkie jej życzenia. Nie wiemy, co takiego dokładnie robiła za każdym razem, aby nakłonić swoich kolejnych mężów do zmiany testamentu, ani czy przy tej okazji dodawała im czegoś szkodliwego do polewki. Wszystko, co możemy dziś zrobić, to wychwycić pewien schemat. Alice wraz ze śmiercią każdego męża nieustannie pomnażała swój majątek, a potem szybko przenosiła swoje zainteresowanie na innego bogatego człowieka.

Niemniej, schematy często na coś wskazują, na jakąś prawdę, jakieś źródło, jakąś tajemnicę^[381]. A ten szczególny schemat wydarzeń miał, jak się okazało, bardzo długi, by tak rzec, czas połowicznego rozpadu; ludzie prawdopodobnie do końca świata będą zabijać swoich ukochanych dla zysku. Kiedy coś takiego robi kobieta, nazywamy ją „czarną wdową”, odwołując się do zasadniczo błędnego założenia, że wszystkie samice gatunku pajaków, nazywanego potocznie „czarną wdową”, pożerają swoich partnerów po akcie seksualnym. Jeśli istniały jakiegokolwiek dowody z zakresu medycyny sądowej, obciążające Alice na okoliczność śmierci jej mężów, dawno temu rozpadły się w proch, wraz z ich ciałami. Ale kolejna grupa osieroconych pasierbów i pasierbic z całą pewnością podejrzewała, że Alice jest czarną wdową, choć nie nazywali tego w ten

sposób. Użyli terminu, który wydawał im się znajomy i sam nasuwał się z pewną oczywistością: czary.

Czwarty mąż Alice wprawdzie nie umarł, ale jego życie nie było przyjemne. Nazywał się sir John le Poer i w trakcie ich małżeństwa zaczął w dziwny sposób podupadać na zdrowiu. Wychudł bardzo. Wypadły mu wszystkie włosy. Zaczęły mu odpadać paznokcie dłoni i stóp. Osoby obeznane ze sztuką aptekarską bez wątplenia dostrzegłyby w problemach zdrowotnych le Poera objawy powolnego, stopniowego trucia arsenikiem. Ale dla pozostałych obserwatorów jego choroba wyglądała po prostu jak efekt poczynąń czarownicy.

Jednak sam Le Poer najwyraźniej nie żywił podejrzeń wobec małżonki, ponieważ dość szybko i ochoczo dokonał stosownych zmian w swoim testamencie. W nowej wersji jego ostatniej woli pojawiły się szczodre zapisy na rzecz Alice i Wiliama juniora, zapewniające im wygodne życie na wiele lat po tym, jak duch le Poera opuści jego wymęczone ciało.

Zmiana testamentu rozwścieczyła jednak dzieci le Poera – kolejną grupę pasierbów Alice. Najpierw musieli pogodzić się z tym, że ich ojciec poślubia tę zamożną, arogancką wdowę, a teraz mieli spokojnie patrzeć, jak jednym podpisem ojca pozbawia ich ona prawowitego dziedzictwa? W 1324 roku udali się więc do najbliższego biskupa i poinformowali go, że Alice czarami opętała ich ojca, otumaniała jego umysł i otruła swoich trzech poprzednich mężów. Swoje zarzuty opierali na rozpowszechnionej wówczas wierze w *maleficia* – powodowane złą wolą działania czarownic i czarowników skierowane przeciw społeczności, służącej często do wyjaśniania takich zjawisk jak choroba, śmierć i katastrofy naturalne.

Zrób coś, powiedzieli pasierbowie Alice do biskupa. Każ aresztować czarownicę.

Dzieci le Poera nie mogły wybrać lepiej, jeśli chciały się komuś zwierzyć ze swoich podejrzeń. Duchowny, u którego szukali pomocy, nazywał się Richard de Ledrede, był Anglikiem i piastował godność biskupa Ossory. Kiedy słyszał słowo „czarownica”, myślał „heretyczka”, a najbardziej ze wszystkiego nienawidził heretyków.

Herezja

Richard de Ledrede pochodził z Anglii i był moralnym legalistą, a poza tym nie najlepiej radził sobie w kontaktach z ludźmi. Prawdopodobnie był błyskotliwym uczonym; nie miał żadnych koneksji politycznych – a już na pewno talentów towarzyskich – które pomogłyby mu zdobyć w 1317 roku urząd biskupa Ossory^[382]. Kiedy otrzymał tę godność, wychwalano go za dość blado brzmiące cnoty: był „przyzwoity”, szanowany i wiódł „czysty żywot”. Jednak ta charakterystyka z pewnością pomijała jego żarliwość religijną, namiętność do przestrzegania reguł oraz niewątpliwy talent do przysparzania sobie wrogów.

Ledrede odebrał swoją edukację w okresie, gdy przez Francję przetaczała się fala histerycznych polowań na czarownice, których symbolem stały się sensacyjne procesy członków zakonu templariuszy. Kościół katolicki zaczął właśnie artykułować swoje stanowisko w kwestii – oraz wzajemnych zależności między tymi zjawiskami – uprawiania czarów, magii i świętokradztwa. Uprawiania czarów nie uważano już jedynie

za równoznaczne z praktykowaniem magii i aktów, określanych terminem *maleficia*. W tym okresie zaczęto traktować je jako zjawiska pozostające w bezpośredniej opozycji do samego Kościoła: czyli herezję.

Ówczesny papież, Jan XXII, był człowiekiem opętanym paranoją. Doszedł do niewzruszonego przekonania, że wrogowie nieustannie dybią na jego życie, posiłkując się mrocznymi praktykami czarnoksięskimi: przysyłają mu diabła, zakłętego wewnątrz pierścienia, roztapiają w ogniu niewielkie woskowe figurki, przedstawiające jego osobę itd.^[383] Dwudziestego siódmego lutego 1318 roku ogłosił pierwszą ważną bullę papieską przeciwko uprawianiu czarów. Wprawdzie bulla oficjalnie nie stwierdzała, że czarownicy są heretykami, ale w chwili, gdy została opublikowana, związek między tymi dwoma zjawiskami zdążył się już w pełni ukształtować w umysłach ludzi Kościoła. Bulla oraz papieska paranoja skutecznie uitorowały drogę dla przyszłych wydarzeń: powstania inkwizycji, prześladowań i stosów płonących w całej Europie^[384].

Postawa Ledredego wobec czarowników i heretyków kształtowała się właśnie w tej atmosferze gwałtownych namiętności i swoją karierę biskupa rozpoczął „uzbrojony w religijny zapal, który szybko zapewnił mu niepopularność” wśród jego irlandzkich parafian^[385]. Irlandczycy nadal pragnęli śpiewać sprośne piosenki; on chciał ich zmusić do odśpiewywania łacińskich hymnów. Oni byli dumni ze swojego kraju, krainy świętych i uczonych; on w całej Irlandii wszędzie dostrzegał dzieło diabła. Jego parafianie byli przyzwyczajeni do przestrzegania zarówno reguł swojego irlandzkiego króla, jak i zasad Kościoła, i najlepsi z irlandzkich biskupów potrafili taktownie stąpać po tej cienkiej linii. Jednak Ledrede nie miał takich talentów. Jak pisano, „całkowicie brakowało mu jakiegokolwiek praktycznego zmysłu dyplomatycznego” i był gotów lekką ręką odrzucić zasady wprowadzane przez króla, jeśli tylko domagał się tego Kościół^[386]. Wystawił sobie także w Kilkenny „kosztowny pałac”, co z pewnością nie zaskarbiło mu sympatii miejscowej ludności^[387].

Mieszkańcy jego diecezji szybko zapalali do niego nienawiścią i robili wszystko, aby uprzykrzyć mu życie. W 1320 roku papież poczuł się zmuszony wynagrodzić Ledredemu rozmaite przykrości, jakich biskup do tego czasu zaznał od swoich owieczek: został uwięziony przez własnych parafian, fałszywie oskarżano go o rozmaite przestępstwa, jego służący padali ofiarą napaści, odmawiano mu wypłaty dziesięcin i ktoś ukradł mu sto szylingów, uciekając się do przemocy^[388].

Chociaż z czasem zaczęli darzyć siebie nawzajem odrazą, Alice i Ledrede w istocie mieli ze sobą wiele wspólnego. Oboje byli ambitni, twardzi i absolutnie nie zamierzali nikomu ustąpić. Stali się też obiektem pogardy ze strony wielu swoich współczesnych, jednak ta nienawiść nigdy nie powstrzymała ich w dążeniu do osiągnięcia tego, czego chcieli. Oboje najwyraźniej przejawiali lekko psychotyczną bezwzględność w dążeniu do celu; Ledrede starał się za wszelką cenę narzucić prawa, ustanowione przez Kościół, Alice starała się zgromadzić jak największy majątek dla siebie i swojego syna. Niewykluczone, że w innym życiu mogliby ze sobą współpracować, ale na tym świecie dzieliło ich zbyt wiele różnic nie do przewyciężenia: kobieta kontra mężczyzna, król kontra Kościół, Irlandia kontra Anglia; płynność powiązań społecznych kontra niewzruszona litera prawa.

Fi! fi! fi! Amen

Kiedy Ledrede dowiedział się, że jakaś bogata, starsza kobieta terroryzuje Kilkenny, zabijając mężów na lewo i prawo, uznał, że ta sprawa stanowi idealną okazję do zademonstrowania jego religijnego zapału. W dodatku mógł sprawić przyjemność papieżowi. Toteż nie bacząc na fakt, że dzieci le Poera wysuwały przeciw swojej złej macosze jedynie stare, dobrze znane oskarżenie o czary, Ledrede doszedł do wniosku, że ma do czynienia z „diabelskim gniazdem” heretyków^[389]. Natychmiast pospieszył do Kilkenny, aby wszcząć śledztwo i wkrótce „wykrył” prawdziwy kult jedenastu czarownic pod wodzą strasznej lady Alice Kyteler.

Wraz z pojawieniem się Ledredego, oskarżenia przeciw Alice nagle nabrały rozmachu. Pierwotne, wysunięte przez dzieci le Poera głosiło, że Alice opętała czarami i zabiła swoich pierwszych trzech mężów, a obecnie morduje czwartego. Jednak nowe oskarżenia miały o wiele poważniejsze implikacje, związane z herezją: twierdzono teraz, że Alice wyparła się wiary chrześcijańskiej, składała zwierzęta w ofierze, zasięgała porady demonów i zamieniała kościelne uroczystości w demoniczne parodie (to znaczy zapalała świece i nakładała ekskomunikę na swoich mężów, wykrzykując przy tym słowa „Fi! fi! fi! Amen”). Oskarżano ją także o to, że warzy diabelską zupę w czaszce świętego rozbójnika, składającą się z takich ingrediencji jak wnętrzności koguta, „pewne przerażające robaki”, mózgi nieochrzczonych dzieci oraz paznokcie zmarłych mężczyzn. Wreszcie oskarżono ją o to, że sypia z demonem, który nazywa się Robin Artisson albo Robin, syn Arta, i to jemu przypuszczalnie zawdzięczała całe swoje bogactwo. Robin zjawiał się u niej pod postacią kota, czarnego psa albo mężczyzny o czarnej skórze w towarzystwie dwu kompanów – a gdyby ktoś sądził, że sypianie z duchem stanowi akt prawdziwie bezcielesny, ich schadzki pozostawiały tak namacalne dowody lepkich uścisków, że służąca Alice, Petronilla, musiała potem po nich sprzątać^[390].

Stawiane zrzućy, nawet jeśli brzmią melodramatycznie, kryły w sobie cały szereg interesujących implikacji. Wynikało z nich, że Alice nie tylko występuje przeciwko Kościołowi katolickiemu, ale także podważa instytucję małżeństwa i macierzyństwo, nie wspominając już o nakładaniu na mężów ekskomuniki i o rozgotowanych mózgach niemowląt. Miłosne uściski z Robinem stanowiły zapewne najbardziej jaskrawy z rzekomych aktów subwersji ze strony lady Alice: przede wszystkim uprawiała seks (i to pozamałżeński) z demonem przybierającym najróżniejsze kształty (niezbyt dobry materiał na męża), po drugie fakt, że Petronilla musiała po nich sprzątać, był dowodem na „marnotrawienie nasienia”, co zgodnie z naukami Kościoła katolickiego stanowiło grzech, ponieważ oznaczało uprawianie seksu, który nie prowadził do poczęcia.

Jak na ironię, te barwne oskarżenia stanowiły skuteczną zasłonę dymną, która odwracała uwagę obserwatorów od pierwotnych oskarżeń wysuniętych wobec Alice. Jeśli *rzeczywiście* zabiła swoich poprzednich mężów, a obecnie truje sir Johna le Poera, jak przysięgały dzieci le Poera, to oznaczało, że i tak odrzucała rolę żony i matki (a przynajmniej macochy) i dążyła do tego, by zostać wdową i zrujnować przyszłość swoich pasierbów. Ale poza pasierbami nikt na to nie zwracał uwagi. Ciekawsze były demony i perspektywa spalenia kobiety na stosie!

Chociaż zapał, z jakim Ledrede zwalczał Alice, wynikał z jego odrazy do herezji,

niechęć do Alice wśród miejscowej elity wyływała z bardziej prozaicznych powodów. Prawdę mówiąc, Alice stanowiła problem, i to od lat. Wszystko w tej kobiecie było zagrożeniem dla patriarchy w Kilkenny: dziedziczyła majątek, miała silną wolę, zachowywała się w sposób niezależny (choć formalnie rzecz biorąc była zamężna, trudno sobie wyobrazić, żeby czuła się w jakikolwiek sposób skrępowana chorobą le Poera), a w dodatku prowadziła tę grę przez co najmniej czterdzieści lat. Nie ma nic równie nieznośnego jak bogata kobieta!

Nie chodzi jedynie o to, że Alice stanowiła zagrożenie dla *ego* mężczyzn z Kilkenny. Groźba była o wiele bardziej namacalna. Jej pozycja oznaczała zagrożenie ekonomiczne dla jej pasierbów i dla każdego, kto opierał swoje powodzenie materialne na interesach rodów Outlawe'ów, le Blondów, de Valle'ów i le Poerów. Krótko mówiąc, Alice stanowiła żyjący dowód niebezpieczeństw, jakie wiązały się z prawem kobiet do dziedziczenia, czyli kwestią, która poważnie zaprzętała umysły Irlandczyków w tej epoce^[391]. Wysuwane przeciw niej oskarżenia o czary odzwierciedlały te lęki i resentment, jaki budziło jej bogactwo. Zostały pomyślane, pisał historyk Norman Cohn, „aby pokazać, że lady Alice nie miała żadnych praw do swojego bogactwa; że zostało ono wydarte z rąk prawowitych właścicieli za pomocą prawdziwie diabolicznych środków: że było skażone u samego źródła”^[392].

Ale choć majątek wpędził ją w kłopoty, dzięki pieniądзом miała możliwość wykaraskania się z nich. Ledrede mógł wysuwać przeciw Alice wszelkie możliwe oskarżenia o sprzeciwianie się woli Kościoła katolickiego, jakie tylko chciał, jednak Alice miała za sobą poparcie świeckich bogów: pieniądza i władzy.

Męka Ledredego

Kiedy Ledrede usiłował upleść wokół niej sieć swoich oskarżeń, Alice, nie czekając na rozwój wypadków, zastukała do różnych drzwi. Jej dawny przyjaciel, lord kanclerz Irlandii, dowiedział się o zamieszaniu w Kilkenny i próbował przekonać Ledredego, aby dał spokój oskarżeniom. Kiedy Ledrede mimo to próbował aresztować Alice, lord kanclerz delikatnie dał mu do zrozumienia, że Alice po prostu *nie może* zostać aresztowana, ponieważ nie została we właściwy sposób oskarżona o popełnienie przestępstwa. Na co Ledrede, „poirytowany”, odpowiedział, że „służba Kościołowi stoi ponad prawnymi formami, obowiązującymi w tym kraju”^[393].

Taki właśnie był Ledrede. Prawa kraju krępowaly jego ruchy, więc postanowił działać na własną rękę. Nakazał Alice, aby stawiała się w sądzie, na co ona uciekła do Dublina. Wściekły Ledrede, nie tracąc animuszu, obłożył ją ekskomuniką, a następnie zażądał, aby w sądzie zamiast oskarżonej pojawił się jej syn, William junior.

Jeden z ludzi sprawujących władzę w Kilkenny, Arnald le Poer – prawdopodobnie spowinowacony z Alice przez małżeństwo – postanowił udobruchać Ledredego. Udał się więc osobiście z wizytą do wzburzonego biskupa i próbował namówić go do rezygnacji z powziętego planu, ale Ledrede okazał się tak uparty i nieznośny, że w końcu Arnald opuścił siedzibę biskupa, nie posiadając się ze złości. Następnego dnia Arnald kazał wtrącić Ledredego do więzienia i zatrzymać do czasu, gdy bezpiecznie minie wyznaczona data stawienia się Williama juniora w sądzie. Nie było to całkiem zgodne z prawem, ale

biskup nie mógł w tej sprawie wiele zrobić. Choćby nie wiadomo jak głośno grzmiał na temat praw Kościoła i ich wyższości nad prawami kraju, zarówno Kościół, jak i prawo zwykle uginały się przed takimi ludźmi jak Arnald, którzy mieli do swej dyspozycji pieniądze i żołnierzy^[394].

W więzieniu Ledrede krzyczał, że czarownicy i heretycy cieszą się ochroną władz w tej zapomnianej przez Boga Irlandii, podczas gdy ludzie pobożni, tacy jak on, trafiają do niewoli. Jednak takie zachowania mogły jedynie spotęgować nastroje, zwrócone przeciw cudzoziemcowi, które Arnald umiejętnie podsycił, mówiąc o „obcym, który przybył z Anglii”^[395]. Kiedy kilku powodowanych współczuciem parafian zatrzymało się u wrót więzienia, aby przynieść Ledredemu coś do jedzenia, Arnald oświadczył, że biskup nie ma prawa przyjmować żadnych gości. Biskup w odpowiedzi obłożył całą diecezję interdyktem – co oznaczało, że wszyscy czasowo nie mają prawa przyjmować sakramentów i uczestniczyć w innych kościelnych rytuałach – choć formalnie rzecz biorąc, nie miał prawa tego zrobić^[396]. (Podobnie jak Arnald, czyli człowiek, który stał się jego nemezis, Ledrede czasami ignorował prawo, jeśli mu to pasowało). Zmagania obu mężczyzn przekształciły się w serię „rozkosznych” ataków *ad hominem*: gdy Ledrede wściekał się w więzieniu, Arnald zachęcał wszystkich członków miejscowej społeczności, aby śmiało zgłaszali swoje skargi przeciw biskupowi. A parafianie chętnie skorzystali z okazji i wprawiali biskupa w zakłopotanie, oskarżając go o „poważne zbrodnie”^[397].

Kiedy Ledrede w końcu opuścił więzienie, urządził wielkie przedstawienie, wychodząc „w triumfie, ubrany w swoje pontyfikalne szaty”^[398]. Jego pragnienie, aby pochwycić Alice, tylko się wzmogło, i skoro Alice wciąż ukrywała się w Dublinie, natychmiast wyznaczył nową datę procesu sądowego Williama juniora. Ale zanim udało mu się zaciągnąć Williama juniora do sądu, Ledrede dowiedział się, że sam ma się stawić w sądzie. Do króla dotarła w końcu wieść o chaosie panującym w Kilkenny i pragnął usłyszeć wyjaśnienie sprawy nielegalnego interdyktu. Ledrede próbował się wywinąć, twierdząc, że wyprawa do sądu byłaby zbyt niebezpieczna, skoro musiałby przejechać przez ziemie „jego wroga” – Arnalda – ale nikt nie chciał słuchać takich wymówek.

Nawet teraz, gdy w całą sprawę zaangażował się król, Ledrede najwyraźniej nie rozumiał, że toczy przegraną bitwę. Prawdę mówiąc, był absurdalnie pewny siebie. Podczas jednej ze zwyczajowych wizyt Arnalda w sądzie, Ledrede wkroczył do budynku w pełnym stroju biskupim, w towarzystwie drużyny duchownych, trzymając hostię w złotym naczyniu – ciało samego Chrystusa po transsubstancjacji, zgodnie z naukami Kościoła katolickiego! Miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób zastraszyć Arnalda, a ten pomoże mu aresztować Alice. Ale nawet najbardziej złote naczynia na świecie nie mogły ochronić Ledredego przed szyderstwem. Arnald wybuchnął gniewem i krzyżąc, nazwał go „podstępny, grubiańskim, agresywnym mnichem, który ma brudne ręce”^[399] i zmusił do tego, by usiadł na jednej z ław, zarezerwowanych dla przestępców. Ledrede, upokorzony i obrażony, wołał, że „Chrystus nie był nigdy traktowany w ten sposób, odkąd sam stanął przed Poncjuszem Piłatem”^[400].

Chociaż konflikt między Alice a Ledredem został przysłonięty przez nedorzeczne zmagania biskupa z Arnaldem, Alice baczenie przyglądała się wszystkiemu, co się działo,

i uznała, że przyszedł czas na małą demonstrację siły z jej strony. Udało jej się wystosować oskarżenie przeciwko Ledredemu w sądzie świeckim, zarzucając mu, że znieśli ją i obłożył ekskomuniką, „choć nie została pozwana, nie udzielono jej napomnienia i nie została skazana za przestępstwo uprawiania czarów^[401]. To, że Alice zdołała zwrócić ostrze wymiaru sprawiedliwości przeciw swojemu oskarżycielowi, mimo że nadal groził jej proces o uprawianie czarów, pokazuje jeszcze raz, że była osobą bardzo zręczną i dobrze ustosunkowaną – a także odważną.

Kiedy w końcu Ledrede zdołał pokonać tę ostatnią przeszkodę prawną i *wreszcie* udało mu się uzyskać zgodę na postawienie Alice przed sądem za uprawianie czarów, było już za późno. Alice, która zawsze tak zręcznie poruszała się w społecznych realiach swojej epoki, uznała, że proces nie będzie leżał w jej interesie, i uciekła do Anglii.

Ludzie

Domniemani wspólnicy Alice, snujący opowieści o demonach i oczach indyków oraz paznokciach truposzy, nie mieli dość pieniędzy ani koneksji, aby uciec z miasta. Po wyjeździe Alice kilku z nich aresztowano i wtrącono do więzienia. Na torturach przyznali się do wszystkich swoich rzekomych zbrodni i potwierdzili, że Alice była ich przerażającą przywódczynią, „matką i panią ich wszystkich”^[402].

Petronilla z Meath, pokojówka, która rzekomo sprzątała po schadzках Robina i Alice, na swoje nieszczęście stała się kozłem ofiarnym, odpowiedziała za wszystkie występki Alice, zarówno prawdziwe, jak i wymaginowane. Po sześciokrotnej chłości Petronilla przyznała się, że pełniła rolę medium między Alice a jej demonicznym kochankiem. Oświadczyła również, że Alice posiadała magiczną miotłę, na której potrafiła latać oraz że osobiście rzucała czary na miejscowe kobiety w taki sposób, że wyglądały potem, jak gdyby z głowy wyrastały im kozie rogi. Jeśli chodzi o czarną magię, oświadczyła Petronilla, nie było na świecie nikogo równie potężnego jak lady Alice.

Biedna Petronilla została spalona żywcem trzeciego listopada 1324 roku – po raz pierwszy wydano wtedy w Irlandii taki wyrok za herezję^[403]. Jednak w ludzkiej pamięci żyła jako symbol niewinnej, skrzywdzonej kobiecości. (W 1979 roku artystka Judy Chicago ponownie przypomniała światu o Petronilli, włączając jej imię do feministycznej instalacji zatytułowanej *The Dinner Party*). Pozostałych członków rzekomego „złowrogięgo towarzystwa Robina, syna Arta” spotkały inne okrutne kary^[404] – chłosta, wygnanie, ekskomunika i spalenie na stosie – Alice wyszła z tego cało.

Trudno powiedzieć, która z głównych postaci tego dramatu miała ostatecznie powody do śmiechu. Alice pokazała Ledredemu, że nie może jej dosięgnąć, ale musiała spędzić resztę życia na wygnaniu. Ledrede zdołał w końcu zawlec Williama juniora przed oblicze prawa, ale kiedy ten wreszcie zjawił się w sądzie, zachowywał się wojowniczo i był „uzbrojony po zęby”^[405]. Obaj mężczyźni zdołali zawrzeć kruche porozumienie: biskup wybaczy Williamowi juniorowi jego występki, jeśli William junior obieca, że okaże skrucę, chodząc do kościoła, karmiąc ubogich i fundując piękny, zrobiony z ołowiu dach katedry.

Ledrede zemścił się także na człowieku, który próbował go zniszczyć: oskarżył Arnalda o herezję, obłożył ekskomuniką i wtrącił do więzienia, gdzie Arnald ostatecznie

zmarł. Jednak zemsta nie była słodka. Ledrede nabrał przekonania, że w jego diecezji roi się od czarownic i apostatów i w rezultacie przez następnych kilka lat każdy, kto mu się czymś naraził, ryzykował, że zostanie uznany za heretyka. Biskup stał się jeszcze bardziej niepopularny – jeśli potraficie to sobie wyobrazić – i zdołał w końcu nastawić przeciw sobie wszystkich, od parafian po samego króla. W 1329 roku został wypędzony z Irlandii i podobnie jak Alice, musiał spędzić resztę życia na wygnaniu. Kilka lat później zawaliła się dzwonnica katedry, grzebiąc pod gruzami piękny, ołowiany dach – jedyny namacalny symbol jego zwycięstwa^[406].

Dziś na ogół nikt nie pamięta o Ledredem, podobnie jak o początkowych oskarżeniach wysuniętych przeciw Alice: o to, że była seryjną morderczynią^[407]. Choć minęło zbyt wiele czasu, aby móc bez cienia wątpliwości uznać Alice za morderczynię, późniejsze przypadki zabójstw, popełnianych na mężach, kryły w sobie niepokojące podobieństwo do jej historii: zauroczeni mężowie, którzy szybko umierają; żony, które z każdej śmierci męża wnoszą materialną korzyść; metodyczne, ponowne zamażpójście. Archetyp „czarnej wdowy” do tego stopnia zakorzenił się w naszej wyobraźni, że można go spotkać nawet na stronie internetowej FBI^[408]. Wiele cech tego archetypu dobrze charakteryzuje postać Alice: czarna wdowa jest inteligentna, sprawnie manipuluje innymi, zwykle jest starsza, dobrze zorganizowana; każde morderstwo przynosi jej korzyść, pracuje wytrwale przez dłuższy czas i potrafi bez wahania zabijać tych, którzy darzą ją zaufaniem.

Zapewne za najsilniejszy dowód przeciw Alice można uznać fakt, że jej ostatni mąż, któremu udało się przeżyć, sir John le Poer, nigdy nie kwestionował wysuwanych przeciwko niej oskarżeń. Prawdę mówiąc, w końcu nawet on nabrał podejrzeń i postanowił przeszukać komnatę swojej ukochanej; wreszcie znalazł woreczek „pełen przerażających, odrażających rzeczy”, który skwapliwie przekazał Ledredemu. Tego lata Ledrede kazał wznieść pośrodku Kilkenny ogromne ognisko, po czym spalił woreczek, oświadczywszy świadkom, że zawierał proszek, jakim posłużono się, aby otruć sir Johna le Poera, a także „ludzkie paznokcie, włosy, zioła, robaki i inną ohydę”^[409].

To zabawne, jak wielką rolę w tej sprawie odegrały ludzkie ułomności, choć jej bohaterowie nie żyją od stuleci. Ledrede pragnął udowodnić, że Alice, przy całym jej okrucieństwie i chciwości, nie była jedynie *winna*, ale że była istotą *niehumaną*: czarownicą i kochanicą diabła, która polowała na mężczyzn. Oskarżył ją więc o urojone zbrodnie, zamiast skupić się na jej przestępstwach. Kto mógłby go winić? Ludzie przez stulecia robili dokładnie to samo, wyjaśniając zbrodnie działaniem magii, hysterii, nocnymi wizytami nadprzyrodzonych istot i szaleństwem. A wszystko dlatego, żeby móc przekonać siebie samych, że czyny, jakie popełniła Alice, są dla nas, ludzi, czymś obcym; że leżą całkowicie poza granicami normalnych ludzkich zachowań. Tak jednak nie jest. Ostatecznie ta stara sprawa dowodzi, jak bardzo ludzie byli *wszyscy* ci, którzy szaleli, kłamali, manipulowali w Kilkenny: uparty, świętoszkowaty hipokryta Ledrede, bezwstydną, zachłanną, zręcznie wymykająca się zasadzkom losu Alice, rozpieszczony dzieciak, William junior, nawet Arnald ze swoim małostkowym pragnieniem, aby wtrącać się w dramaty innych.

Alice zapisała się w annałach historii jako mroczne centrum sprawy znanej jako

proces czarownic z Kilkenny, i od tamtej pory opowiadano o niej jak o czarownicy, nie morderczyni. Sześć stuleci później W.B. Yeats skończył jeden ze swoich najbardziej gorzkich wierszy obrazem zrozpaczonej Alice, która składała w ofierze pawie pióra i grzebienie kogutów swojemu „zuchwałemu demonowi”^[410]. Siedemset lat później Kyteler’s Inn w Kilkenny wabi turystów muzyką na żywo i obrazami duchów – oraz wykonanym z brązu posągami Alice, która wygląda, jakby była wyczerpana, w jednej dłoni trzyma ropuchę, w drugiej kij od miotły.

Rozdział dwunasty

Piękna podrzynaczka gardel^[411]

Kate Bender

Pod koniec 1870 roku na południowo-wschodnim krańcu Kansas pojawił się tajemniczy kwartet. Dwaj mężczyźni mieli na imię John. Obie kobiety miały na imię Kate^[412]. Starsi John i Kate byli małżeństwem; młodszy John i Kate byli rodzeństwem. Wszyscy nosili nazwisko Bender i poza tym nikt nie wiedział o nich nic więcej.

W tamtych czasach w Kansas naprawdę można było zacząć wszystko od początku. Stan powstał zaledwie dziewięć lat wcześniej i wśród jego mieszkańców wciąż nie brakowało ludzi o wybuchowym temperamencie – osobników wyjętych spod prawa, którzy napływali z Północy i ze Wschodu, aby zagubić się w dzikich pustkowiach prerii. Bez wątplenia w Kansas mieszkało także wiele osób przyzwoitych i pobożnych, które pracowicie uprawiały swój kawałek ziemi, ale ich domostwa często leżały wiele mil od siebie, odseparowane przez pustkowia, smagane zawodzącym wiatrem.

Benderowie mieli niemieckie korzenie, o czym świadczył ich akcent, ale poza tym wszystko, co o nich wiedziano, okazywało się wątpliwe, w tym także ich imiona, a nawet prawdziwa natura łączących ich relacji. Powiadano na przykład, że młodszy Benderowie w rzeczywistości stanowili małżeństwo, które jedynie udawało brata i siostrę, albo że byli rodzeństwem, które skrywało, że są kochankami. Jedną z legend głosiła, że cała czwórka została wygnana z niemieckiej osady w Pensylwanii, ponieważ obie kobiety okazały się czarownicami; tańczyły ponoć nago o północy na cmentarzu i sypiały z „Mrocznym Nieznajomym”, zawieszały swoje ubrania „na grobowcu bezbożnika” i odmawiały *Ojczy Nasz* od tyłu^[413]. Ale skoro na Zachodzie nikt nie wiedział niczego pewnego na temat czyjejkolwiek przeszłości, nikt nie mrugnął okiem, gdy rodzina Benderów pojawiła się w rejonie Wielkich Równin niczym wcielony koszmar amerykańskiego pogranicza.

W Kansas Benderowie ostatecznie osiedlili się na niewielkiej farmie, siedem mil na północny wschód od miasteczka Cherryvale, tuż obok drogi łączącej większe miasta, Fort Scott oraz Independence. Położenie było świetne i Benderowie wiedzieli, jak je wykorzystać: zawiesili kilka firanek, powiesili sztyl i otworzyli zajazd.

Na terenach pogranicza porządni Amerykanie wysoko cenili sobie „sąsiedzkość”, widząc w niej postawę równie wartościową jak pobożność. Dobre stosunki z sąsiadami stanowiły coś więcej niż sposób nawiązywania kontaktów towarzyskich; były niezbędnym warunkiem przetrwania, zwłaszcza na terenach pustkowi, po których snuło się wielu nieznajomych^[414]. Otworzenie gospody – z jej mglistymi odniesieniami do miejsca narodzin Jezusa i skojarzeniami z kominkiem, na którym trzaska ogień, i ciepłymi łóżkami – stanowiło najbardziej dobrosąsiedzki z sąsiedzkich gestów.

Ale ten zajazd był, w najlepszym razie, jednogwiazdkowy. Prawdę mówiąc, składał się jedynie z niewielkiej chaty, przedzielonej na pół ciężką zasłoną z płótna. Benderowie przekształcili frontowy „pokój” w miniaturowy sklep, połączony z czymś, co miało być jadalnią, w której przejeżdżający wędrowiec mógł zaopatrzyć się w tytoń, herbatniki,

sardynki, cukierki, proch i kule, a do tego zjeść posiłek domowej roboty^[415]. Jeśli ktoś zajrzał za brudną zasłonę, jego oczom odsłaniał się tylny pokój, wykorzystywany jako sypialnia – goście zatrzymujący się na noc musieli jakoś zmieścić się w tej samej izbie obok Benderów. Spostrzegawczy gość zauważyłby jeszcze klapę w podłodze, prowadzącą do małej piwnicy. Za domem był niewielki ogródek i sad oraz obora z kilkoma wychudzonymi zwierzętami w środku. Poza tym wokół rozciągała się kompletna pustka.

Uważny obserwator mógł jednak dostrzec jeszcze jedną osobliwość w gospodarstwie Benderów: ich sad był zawsze świeżo zaorany. Wydawało się to niepotrzebnym wydatkiem energii, ale sąsiedzi upatrywali w tym wyraz jakiegoś niemieckiego dziwactwa i przez następne dwa lata nie myśleli o tym.

John junior uznał, że powinni mieć szyld, reklamujący ich towary, znalazł więc jakąś deskę i wypisał na niej niezgrabnie „Sporzywczę”. Kate, która zawsze była mózgiem rodzinnego interesu, poprawiła ortografię. Wywiesili szyld nad frontowymi drzwiami i mogli rozpocząć działalność.

Piękna dzika bestia

Sąsiedzi uważali dwójkę starszych Benderów za osoby dziwaczne i raczej antypatyczne. Tata Bender był mężczyzną koło sześćdziesiątki, niskim i odrobinę przygarbionym oraz, według relacji jednego z sąsiadów, „nigdy nie patrzył człowiekowi w oczy”^[416]. Twierdził, że urodził się w Holandii i przed przyjazdem do Ameryki prowadził piekarnię w Niemczech, poza tym mówił tylko po niemiecku (z wyjątkiem kilku angielskich przekleństw). Mama Bender mówiła łamaną angielszczyzną i wydawało się, że ma około pięćdziesiątki. Była niska, przysadzista, miała niebieskie oczy, brązowe włosy i pewnego razu opisano ją jako prawdziwe uosobienie Lady Makbet: innymi słowy, była bezwzględna i mało kobieca^[417].

John Bender junior miał dwadzieścia kilka lat, płynnie mówił po angielsku i był znacznie przystojniejszy od swoich rodziców. Nosił schludny wąsik i mógł się podobać, choć zdarzało mu się uśmiechać bez powodu i niektórzy sąsiedzi powątpiewali w bystrość jego umysłu. Ale tak naprawdę nikt nie zaprzętał sobie głowy Johnem juniorem czy jego rodzicami, ponieważ najmłodszą z Benderów była Kate, a czy miało sens rozprawianie o kimkolwiek innym, kiedy można było mówić o Kate?

Mnóstwo atramentu wylano, rozpisując się nad fizycznym wyglądem najbardziej niegodziwych kobiet, i Kate nie jest wyjątkiem. Była piękna, zwłaszcza kiedy widziało się ją w towarzystwie odrażającej rodziny, i wszyscy, którzy pisali o niej pod koniec dziewiętnastego wieku, przechodzili samych siebie, aby opowiedzieć o jej nieodpartym uroku. Kate miała dwadzieścia kilka lat. Była wysoka. Miała twarz „jak młody orzeł”^[418], jej oczy płonęły, a włosy lśniły rdzawo. Jej ciało? „Dobrze zbudowana, o zmysłowych kształtach, jasnej skórze, prawie białej jak mleko, różowych policzkach”. Kusiała „tygrysią gracją” i „zwierzęcym magnetyzmem”^[419] – „piękna dzika bestia”^[420]. Jej urodę szpeciła jedynie niewielka blizna, albo oparzenie, pod lewym okiem. (No dobra, nie wszyscy zachwycali się jej urodą, „New York Times” nazwał ją „nierzucającą się w oczy młodą kobietą o czerwonej twarzy”, ale w tej gazecie twierdzili także, że John junior i Tata

Bender byli braćmi i nazywali się Thomas i Wiliam)^[421].

Kate była śmiała, inteligentna i hipnotyzująca. Pragnęła sławy i podchodziła do życia z żarłoczną, amoralną zachłannością. W odróżnieniu od swoich domniemanych rodziców, łatwo nawiązywała rozmowę i nie miała problemów z utrzymywaniem kontaktów społecznych. Chodziła na tańce (dobrze tańczyła), jeździła konno (była dobrą amazonką), uczęszczała do szkoły niedzielnej i na zebrania w mieście (umiała flirtować). W 1871 roku pracowała nawet jako kelnerka w restauracji hotelu Cherryvale, gdzie, jak można się domyślać, dostawała sute napiwki.

Urok Kate zawsze jaśniał największym blaskiem, gdy pojawiała się perspektywa zarobku. Jedną z bardziej osobliwych cech jej osobowości była wiara w spirytyzm – system luźno powiązanych ze sobą melodramatycznych wierzeń, popularny w Stanach Zjednoczonych w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, związany z seansami spirytystycznymi, mediami i mnóstwem oszustw. Kate przekształciła spirytystyczne zainteresowania w dodatkowe źródło dochodu: sprzedawała w okolicy swoje wątpliwe, magiczne sztuczki, wygłaszała wykłady i podejmowała się znalezienia zagubionych przedmiotów, leczenia rozmaitych chorób za pomocą ziół i korzonków albo sprzedawania amuletów – za jedyne pięćdziesiąt centów. W 1872 roku rozdawała nawet ulotki, zachwalając swoje usługi:

Prof. Miss Katie Bender

Potrafi uleczyć wszelakie choroby. Potrafi wyleczyć ze ślepoty, głuchoty, napadów drgawek i wszelkiego rodzaju dolegliwości, także głuchotę i niemotę.

Mieszka 14 mil na wschód od Independence, przy drodze z Independence do Osage Mission, półtora mili na południowy wschód od Norahead Station.

Większość z tego, co napisano o pozostałych Benderach w tamtych czasach, można uznać za swego rodzaju przykład „brutalnej” retoryki (tzn. popatrzcie na tych niewrażliwych, nieokrzesanych Niemców, którzy nie potrafią mówić naszym językiem i nie przychodzą na nasze potańcówki, i rozumieją jedynie ciężką pracę i przemoc). Ale wszyscy zgadzali się, że Kate była wyjątkowa. Oto jest coś cudownie ironicznego w tym, że najmłodsza i najładniejsza z Benderów okazała się w końcu najbardziej niegodziwa – mózgiem wszystkich rodzinnych przedsięwzięć. „Diabłem wcielonym”, jak nazywali ją sąsiedzi^[422].

Dziwne noce

W tamtych czasach prerię przemierzało tak wielu samotnych wędrowców, a jednocześnie pustkowia były wciąż tak bardzo niespokojne, że gdy w okolicach Cherryvale zaczęły krążyć opowieści o zaginionych ludziach, nikt specjalnie się tym nie przejmował. W tej epoce ludzie ciągle znikali. To była cena, jaką płacili za próbę zasiedlania dzikich ostępów.

Tak czy inaczej, w 1872 roku rodzinny interes Benderów kwitł w najlepsze. Wielu podróżników przejeżdżających tą drogą chętnie zatrzymywało się w zajeździe na gorący

posiłek i wielu z radością witało możliwość przespania się pod dachem, a Kate była cudowną kobietą interesu. Nie tylko sprzedawała artykuły spożywcze i umiała przekonać wędrowca, żeby zatrzymał się na kolację, ale wiedziała, jak zadbać o swój strój, zawsze w „pewnym” nieładzie, i potrafiła „przypadkowo” otrzeć się o swojego gościa, gdy przeciskała się w niewielkim pomieszczeniu. Sadzała gości na najlepszym miejscu przy stole – tuż przy płóciennej zasłonie – dzięki czemu mogli obserwować ją przy pracy.

Kilku podróżnych opowiadało o niepokojących doświadczeniach w gospodzie Benderów, ale ich opowieści nie traktowano zbyt poważnie. Pewien człowiek, znany jako „Happy Jack” Reed, przejeżdżając obok gospody, zauważył Kate, która była najwyraźniej rozmyślnie nie całkiem ubrana. Zatrzymał się na krótko, żeby przywitać się i Kate namówiła go, aby zaszedł do domu i usiadł przy stole tuż przed płócienną zasłoną. Podczas pogawędki Jack usłyszał dziwne dźwięki, dobiegające z zewnątrz – coś jakby rodzaj wysokiego kaszlu – i poczuł, jak coś ukradkiem przesuwają się po drugiej stronie płótna. Chwilę później przez frontowe drzwi weszło dwóch nowych podróżnych i reszta posiłku przebiegła bez żadnych incydentów.

Kiedy „Happy Jack” zatrzymał się w gospodzie w drodze powrotnej, Kate bardzo ucieszyła się na jego widok. Zaczęli rozmawiać, ale pogawędkę przerwało im kilku podróżnych, którzy, tak się akurat złożyło, jechali prosto do rodzinnego miasta Jacka. Zamierzali jeszcze tego samego wieczora dotrzeć do domu, więc Jack poprosił ich o przekazanie wiadomości jego rodzinie, że zatrzyma się na noc w zajeździe Benderów i będzie w domu następnego dnia. I wtedy nastrój Kate nagle się zmienił. Próbowiła przekonać Jacka, żeby nie przekazywał tej wiadomości do domu, a gdy uparcie stał przy swoim, Kate tak bardzo się zirytowała, że nie chciała więcej z nim rozmawiać. Kiedy się okazało, że nie ma z kim flirtować, Happy Jack poszedł spać.

W środku nocy obudził go przeszywający wrzask. Przerażony, zaczął nasłuchiwać i usłyszał kilka ciężkich ciosów, po czym krzyki ustały. Nagle zauważył, że Kate Bender stoi przy jego łóżku i sprawdza, czy na pewno śpi. Mocno zacisnął oczy i starał się równo oddychać.

Happy Jack nie był jedynym gościem zajazdu, który zarejestrował dziwne odgłosy po zapadnięciu zmroku. Pewien człowiek o nazwisku Corlew słyszał jęki i szmery, dobiegające z piwnicy Benderów, ale Kate, która zawsze miała pod ręką gotową odpowiedź, zapewniła go, że to tylko świnia, która dostała się pod dom. Kilka osób miało nawet gorsze doświadczenia; pewna kobieta, zajmująca się obwoźnym handlem, zgodziła się spędzić noc w zajeździe, ale przestraszyła się i uciekła, gdy zobaczyła jak John junior zaczął ostrzyć niepokojąco wyglądający nóż.

Warto zauważyć, że wielu z tych wędrowców przypominało sobie o swoich przeżyciach w gospodzie dopiero wtedy, gdy Benderowie opuścili miasteczko. Jednak zanim do tego doszło, rodzina Benderów wydawała się jedynie trochę dziwna i nieco nieokrzesana. Dopiero gdy odkryto zbrodnie Benderów, te incydenty nabrały mitycznego charakteru. Opowieść o nocy spędzonej tuż obok Kate Bender stawała się historią bliskiego spotkania ze śmiercią, dramatycznym wydarzeniem, które bohater przeżył, aby opowiedzieć innym swoją historię.

Oberżyci z piekła rodem

Wszystkie atrybuty „zajazdu” – łóżka, posiłki domowej roboty, tytoń, herbatniki, sardynki, cukierki, proch czy kule – stanowiły w oczywisty sposób jedynie parawan, za którym Benderowie prowadzili w istocie sprawnie zorganizowaną krwawą oberżę.

Oczywiście Kate stanowiła przynętę. Kiedy flirtowała z gościem, starała się dopilnować, żeby usiadł plecami do płóciennej zasłony, brudnej i pokrytej dziwnymi plamami. Po drugiej stronie zasłony Tata albo John junior czekali w milczeniu, ściskając w dłoni młotek. Na zewnątrz Mama Bender stała na czatach. Jeśli dostrzegła, że na podwórze wjeżdża kolejny wędrowiec, wydawała serię kaszlnięć wysokim głosem – dźwięk, który usłyszał Happy Jack – a wtedy gość, siedzący przed zasłoną, miał szansę ująć z życiem. Ale jeśli Mama Bender milczała, gra toczyła się dalej. Gdy tylko gość roześmiał się, przesunął albo pochylił do tyłu w taki sposób, że jego głowa dotykała zasłony, jeden z mężczyzn uderzał młotkiem, rozbijając czaszkę ofiary przez materiał. Wtedy Kate rzucała się naprzód, wyciągała nóż i przecinała nieszczęśnikowi gardło.

Potem otwierali klapę w podłodze i spychali ciało do piwnicy. Jeśli ofiara jeszcze żyła, zostawiali ją na dole, dopóki nie umarła (stąd jęki, które usłyszał Corlew), albo wykańczali ją później. W środku nocy Benderowie wywlekali ciało do sadu i grzebali w płytkim grobie. Następnego ranka Tata Bender starannie orał teren, aby ukryć prostokąt świeżo poruszonej ziemi w kształcie trumny.

System Benderów był odrażająco genialny. Mordowali jedynie wędrowców, a ci zwykle podróżowali samotnie. Żaden z mieszkańców Cherryvale niczego nie podejrzewał, ponieważ nikt z okolicy nie znał przejezdnych ani nie przejmował się, kim byli, a kiedy wiadomość o zaginięciu ofiary docierała do jej bliskich, nie sposób już było powiedzieć, które z niebezpieczeństw czyhających na drogach ją zabiło. W epoce amerykańskich wielkich nadziei, związanych z eksploracją, Benderowie mogli prosperować w najlepsze – krzycząca manifestacja niebezpieczeństw czekających na wędrowców przemierzających pustkowia.

Podobnie jak wielu innych przedsiębiorczych Amerykanów, Benderowie dostrzegali okazję i chwyтали ją bezlitośnie. Swoją uwagę skupiali zwłaszcza na najbogatszych gościach, właścicielach dobrych koni, solidnie zrobionych wozów i pękatych toreb u siodła. Ponieważ wielu z tych mężczyzn jechało na Zachód, aby spróbować szczęścia i rozpocząć nowe życie, często wieźli ze sobą sporo pieniędzy – w niektórych przypadkach oszczędności całego życia. Pewien człowiek, nazywał się John Greary, źle się poczuł w drodze i zatrzymał się w gospodzie Benderów z nadzieją, że przespana noc postawi go na nogi. Z jakiegoś powodu dawał do zrozumienia, że jest bogaty – a może próbował zrobić wrażenie na Kate? – więc Benderowie byli wściekli, kiedy po zamordowaniu nieszczęśnika okazało się, że ma przy sobie jedynie czterdzieści centów. Zwykle jednak w ich ręce trafiały setki, a nawet tysiące dolarów, nie wspominając już o koniach i wozach (sprzedawanych sąsiadom, którzy najwyraźniej nie zadawali pytań), a nawet ubrania. Większość ofiar pogrzebano bez koszul.

O ile wybrana przez nich metoda, zajazd atrapa kusząca podróżnych, miała praktyczny charakter – w końcu posiadali kawałek ziemi położony obok głównego szlaku – o tyle ich interes wpisywał się w klasyczny motyw powieści grozy: gospoda,

która ma dawać schronienie przed demonami, czyhającymi na drodze, a tymczasem sama okazuje się siedliskiem demonów. (Oczywiście Benderowie nie próbowali odwoływać się do literatury, wymyślając swoją morderczą zagrodę, ale ten trop wyjaśnia, dlaczego ich historia tak szybko nabrała mitycznego charakteru i obrosła fantazjami). Współcześnie rozpoznajemy ten motyw „piekielnego hotelu” albo „zajazdu bez powrotu”^[423] z książek i filmów takich jak *Lśnienie* czy *Psychoza*, jednak sam pomysł nie był nowy już w czasach, gdy Benderowie pojawili się w Kansas w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, znany był z takich opowiadań jak *Czerwona Oberża* (Honoré de Balzac, 1831) albo *A Terribly Strange Bed* (Wilkie Collins, 1852, opublikowane w czasopiśmie, którego redaktorem był Charles Dickens). Ujmując rzecz nieco szerzej, lęk związany z myślą, że coś, co ma dawać bezpieczeństwo, okazuje się złem, sięga starożytności: dlaczego, jak sądzicie, postać „złej macochy” pojawia się w tak wielu baśniach? Matka, która budzi przerażenie? A dlaczego domek czarownicy z opowieści o Jasiu i Małgosi jest zrobiony z piernika?

Skromna, zakurzona gospoda z ogniem trzaskającym na kominku budziła skojarzenie z „domem”, a piękna Kate Bender z „żoną” i przypuszczalnie wydawała się zmęczonym podróżnikom jakimś migotliwym mirażem, przystanią, w której mogą na chwilę poczuć się bezpiecznie. Ich obawy budziła sama droga – wijąca się przez nieznaną pustkowią Dzikiego Zachodu. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali, było to, że Kate, która przez cały wieczór tak miło się uśmiechała, nagle rzuci się na nich z brudnym nożem. Owszem, pragnęli jej dotyku, ale nie takiego.

Być może najsmutniejszą historią, jaka wydarzyła się w zajeździe Benderów, było morderstwo, które popełnili na pewnym ojcu i jego małej córeczce. Mężczyzna, wdowiec niemieckiego pochodzenia, nazywał się G.W. Longcohr – wcześniej był sąsiadem Charlesa Ingallsa, pierwowzoru ojca z *Domku Na Prerii*^[424] – i wiozł swoją córeczkę do Iowa, gdzie zamierzał zostawić ją u dziadków. Longcohr po drodze zatrzymał się w mieście Independence, gdzie kupił wóz i parę koni od człowieka, który nazywał się doktor Wiliam York. Kiedy Longcohr wraz z córeczką wyruszyli w dalszą drogę w swoim nowym wozie, ojciec być może delikatnie starał się wyjaśnić dziewczynce, że nie będzie mogła dłużej razem z nim mieszkać, przynajmniej przez pewien czas. A kiedy niebo pociemniało i nadeszła pora położyć się do łóżka, na horyzoncie zamajaczyła niewielka wiejska gospoda, a z jej okien kusząco nawoływało światło.

Sekretne groby

Benderowie przypuszczalnie mogliby zabijać jeszcze długo, gdyby nie popełnili morderstwa na niewłaściwej osobie. To był naprawdę klasyczny błąd: postanowili sprawdzić, jak daleko mogą się posunąć i przeliczyli się.

Doktor Wiliam York był człowiekiem wpływowym, miał czułe serce i dwóch bardzo potężnych braci: Alexander M. York był senatorem z Kansas, pułkownik Ed York weteranem wojny domowej. W 1873 roku, gdy doktor York dowiedział się, że Longcohr i jego córeczka zniknęli wkrótce po tym, jak kupili od niego wóz, postanowił zbadać tę sprawę. Wyruszył więc z miasta, prawdopodobnie dziewiątego albo dziesiątego marca, jadąc na pięknym rudym dereszku i wioząc przy sobie prawie tysiąc dolarów w gotówce.

A potem zniknął.

Inaczej niż w przypadku pozostałych ofiar Benderów, zniknięcie doktora Yorka natychmiast wywołało reakcję. W końcu zaginął dość blisko domu i bardzo wiele ważnych postaci rozpoczęło poszukiwania. Gazety w całym kraju zamieściły wiadomość o tym wydarzeniu i wkrótce liczne grupy poszukiwawcze zaczęły przeczesywać okolicę. Zaginięcie doktora stanowiło prawdziwy skandal, zagadkę, za którą mógł stać niemal każdy. Bracia doktora postanowili starannie odtworzyć jego ostatnie chwile i nie żalowali pieniędzy na drobiazgowy śledztwo. Przeszukali nawet sąsiednie rzeki. Wkrótce dowiedzieli się, że doktor York zatrzymał się po drodze w niewielkim sklepie, aby kupić cygara i wspomniał właścicielowi, że zamierza spędzić noc w zajeździe Benderów.

Z początkiem kwietnia pułkownik York przyjechał do gospody, aby zadać Benderom kilka pytań. John junior tłumaczył odpowiedzi Taty Bendera, wygłaszane po niemiecku: Tak, doktor York zatrzymał się u nich około południa pewnego dnia i zjadł lunch, a potem pojechał dalej swoją drogą. Kate kręciła się wokół, urocza jak zawsze i gotowa do współpracy. Powiedziała pułkownikowi, że z radością pomoże odnaleźć doktora Yorka, odwołując się do swoich spirytystycznych mocy – ale pod warunkiem, że wróci sam, następnego dnia, żeby miała trochę czasu na przygotowanie swojego umysłu do seansu jasnowidzenia. „Znajdę pańskiego brata, nawet jeśli jest w piekle” – oświadczyła^[425]. Jednak pułkownik nigdy ponownie się nie zjawił. Być może uznał, że jest obłąkana.

Mniej więcej w tym okresie mieszkańcy Cherryvale zorganizowali publiczne zebranie, starając się odpowiedzieć na oskarżenia. Zniknięcie doktora Yorka odsłoniło bowiem w jaskrawym świetle to, że w ciągu minionych dwóch lat wiele innych osób zaginęło w okolicach Cherryvale. Część farmerów natychmiast zgłosiła gotowość do przeszukania swoich terenów, inni mówili o spaleniu winnych, gdyby udało się ich odnaleźć. Tata Bender i John junior także wzięli udział w zgromadzeniu, starając się sprawić wrażenie, że cała rzecz umiarkowanie ich obchodzi. Ale doskonale wiedzieli, o jaką stawkę toczy się gra. Wkrótce po zebraniu czwórka Benderów zebrała gotówkę zrabowaną ofiarom, załadowała wóz i – zabierając ze sobą jedynie niedużego psa – wymknęła się po cichu jak duchy.

Około dziewiątego kwietnia, ponad dwadzieścia kilometrów od ich domu, niedaleko miasta Thayer, ktoś znalazł w lesie porzucony wóz. Konie, których nie wyprzężono, wyglądały na wygłodzone, a wóz był naszpikowany kulami. Wokół kręcił się nieduży pies. Sam wóz stanowił naprędce zbudowaną konstrukcję z przypadkowych kawałków drewna; na jednym z nich dostrzeżono napis „Artykuły spożywcze”.

Nieco później kilku sąsiadów przejeżdżało obok gospodarstwa Benderów. Nagle dobiegły ich głośnie nawoływania cielaka. Weszli do obory i zobaczyli, że ciele umiera z głodu, a jego matka, przywiązana obok, rozpaczliwie pragnie się do niego zbliżyć z wymionami pełnymi mleka. Uwolniwszy zwierzęta, mężczyźni zajrzeli do domu. W środku panował nieopisany bałagan: wszędzie leżało porzucone jedzenie i naczynia, w piecu znaleźli mnóstwo spalonych papierów, w rogu leżała Biblia w języku niemieckim. Benderowie najwyraźniej chyłkiem wymknęli się z miasta.

Wiadomość o podejrzanym zniknięciu rodziny Benderów wkrótce dotarła do

pułkownika Yorka, który wyruszył na czele swoich ludzi, aby zbadać porzucone gospodarstwo. Do poszukiwań przyłączyli się farmerzy z sąsiednich gospodarstw, ciekawi, co się stało z ich sąsiadami. Początkowo mężczyźni nie znaleźli żadnych twardych dowodów, ale natknęli się na szereg dziwnych tropów: trzy młotki różnej wielkości, złowrogo wyglądający nóż, dziwne rysunki, wydrapane na podłodze, symbolizujące dwanaście znaków zodiaku, w palenisku niedopalone magiczne laleczki^[426].

Wkrótce odkryli klapę w podłodze sypialni Benderów, a kiedy ją otworzyli, w nozdrza uderzył ich nieopisany smród. Kilku najdzielniejszych zdołało zajrzeć do środka i szybko uświadomili sobie, że ich ręce pokrywa coś lepkiego: cała piwnica przesiąknięta była cuchnącą krwią, przelaną w ciągu minionych dwóch lat.

Jednak w piwnicy nie znaleziono żadnych ciał, podobnie jak nie znaleziono ciał ukrytych w domu. Mężczyźni rozebrali cały budynek do fundamentów – i ciągle nic. W końcu pułkownik York usiadł w swoim wozie, aby odpocząć i przegonić ogarniające go poczucie rozpacz. Czyżby przez cały czas mylili się co do Benderów? To, że zachowywali się gburowato i z rezerwą, nie oznaczało, że byli mordercami.

Ze swojego siedzenia pułkownik miał dobry widok na całe gospodarstwo Benderów i kiedy tak rozglądał się wokół przygnębiony, coś w sadzie przykuło jego uwagę: szereg długich, wąskich zagłębień w ziemi. Poderwał się do góry. „Chłopcy – zawołał – widzę tam *groby!*”^[427]

Mężczyźni pobiegli do sadu i zaczęli badać grunt cienkim, żelaznym prętem, który bez trudu wchodził w zagłębienia. Według relacji kilku świadków, kiedy wyciągnięto pręt z pierwszego dołka, poszukiwacze ujrzeli na jego końcu przyklejone ludzkie włosy^[428]. Zaczęli więc kopać. Pierwsze ciało, jakie wydobyli, zostało pochowane twarzą do ziemi. Mężczyzna miał roztrzaskaną podstawę czaszki i przecięte gardło. Kiedy odwrócono go na wznak, potwierdziły się wszystkie najgorsze obawy pułkownika: to był jego brat.

Podawana w raportach liczba ciał, wydobytych w gospodarstwie Benderów, zwykle waha się od ośmiu do jedenastu – choć w niektórych relacjach pojawiają się dane sięgające trzydziestu pięciu ofiar. Większość zmarła na skutek uderzenia tępym narzędziem i poderżnięcia gardła. Dwóm ofiarom zadano liczne ciosy nożem, w tym choremu mężczyźnie, który miał przy sobie tylko czterdzieści centów. Być może Kate okaleczyła jego ciało w przyływie furii, jaka zapewne musiała ją ogarnąć, gdy okazało się, że nie jest bogaty. Znaleziono także ciało młodej kobiety, ale nikt nie potrafił jej zidentyfikować. Pod ciałem George’a Longcohra odkryto zwłoki jego córeczki. Wokół gardła miała przewiązany kawałek jedwabnej chustki. Żaden z mężczyzn, obecnych na miejscu, nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób umarła. Przypuszczalnie została uduszona, ale obawiali się, że mogła też zostać pochowana żywcem pod ciałem martwego ojca.

Rozwiali się jak dym

Benderowie byli przygotowani do ucieczki: już na wstępie mieli dużą przewagę, a do tego wieźli ze sobą grube pliki gotówki, odebrane zmarłym mężczyznom – przypuszczalnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów^[429]. W miasteczku Thayer, gdzie znaleziono naszpikowany kulami wóz, widziano cztery osoby odpowiadające opisowi rodziny

Benderów, które wsiadły do pociągu zmierzającego na północ. Podróżni mieli ze sobą kufer z psiej skóry oraz płócienny worek, wypełniony tajemniczym dobytkiem. Wsiadli do pociągu, a potem po prostu zniknęli.

Mieszkańcy południowo-wschodniego Kansas czuli się głęboko wstrząśnięci na myśl, że tuż przed ich nosem mogły się wydarzyć tak przeraźliwe zbrodnie. Te morderstwa wydawały się szczególnie niepokojące ze względu na kilka czynników: element okultyzmu, śmierć dziecka oraz fakt, że przez dwa lata wszyscy znali Benderów. Okazało się, że Benderowie cały czas urządzali sobie krwawe szyderstwo z sąsiedzkich stosunków. Gazety drukowały teraz historyczne opowieści o „ludzkich hienach w kręgach spirytystów”^[430]. Grupy detektywów amatorów wyruszyły na poszukiwania, pragnąc za wszelką cenę dopaść morderczą rodzinę i rozszarpać ją na kawałki, powodowane bardziej żądzą krwi niż detektywistycznymi umiejętnościami.

Wiele osób było przekonanych, że Benderowie współpracowali z mieszkańcami położonych w pobliżu osiedli Cyganów i Afroamerykanów, więc oba osiedla napadnięto – prawdopodobnie sprawcy tych rajdów potrzebowali tylko pretekstu do czegoś, co i tak od dawna pragnęli zrobić. W tym czasie pogłoski rozprzestrzeniały się niczym pożar. Benderowie pojechali na południe. Benderowie udali się na północ. Benderowie zginęli w krwawej strzelaninie i zostali pochowani głęboko w grobie. Stan Kansas wyznaczył nagrodę w wysokości dwóch tysięcy dolarów dla każdego, kto przyprowdzi zbiegów przed oblicze sprawiedliwości, ale nikt nigdy nie zjawił się, aby ją odebrać.

Cienie Benderów wydawały się czyhać wszędzie. Owiani byli teraz niekwestionowaną złą sławą i wydawało się, że pojawiają się przed oczami głodnej zemsty publiczności niczym zjawa – zwłaszcza Kate. Ludzie przysięgali, że widzieli ją w Nowym Orleanie, w Meksyku, w Nowym Jorku, w Hawanie, a nawet w Paryżu. Powiadano, że wyszła za mąż (albo ponownie wyszła za mąż), zmieniła nazwisko i dalej para się swoim krwawym rzemiosłem na południu^[431]. Twierdzono, że zaczęła przebierać się za mężczyznę i pracuje jako kowboj^[432]. Paranoja sięgnęła nawet estetyki rodem z gabinetu osobliwości: w jednym z teatrów w Kansas przez jedno popołudnie pokazywano jakąś parę ludzi, którzy mieli być Tatą i Mamą Benderami. Właściciel teatru inkasował od widzów dwadzieścia pięć centów za wejście i zebrał całkiem „pokaźną sumę”^[433]. Ale żadnemu z tych nieszczęśników nie udowodniono nigdy, że naprawdę jest którymś z Benderów. Po ich zniknięciu tożsamość członków rodziny stała się równie zmienna i podatna na kształtowanie jak wiatr szalejący nad prerią.

Nawet silne ramię prawa nie potrafiło udowodnić, kim byli Benderowie ani gdzie się podzieli. Szesnaście lat po odkryciu grobów w Michigan aresztowano dwie kobiety pod zarzutem, że są Mamą Bender i Kate. Ściągnięto je do Kansas i postawiono przed sądem podczas parodii procesu, w trakcie którego żaden ze świadków nie potrafił jednoznacznie powiedzieć, czy są prawdziwymi Benderami, czy nie. Opinia publiczna była silnie podzielona; każdemu świadkowi, który rozpoznał je jako Mamę Bender i Kate, można było przedstawić drugiego, który równie zdecydowanie twierdził, że to nieprawda. Bez pomocy fotografii trudno było rozpoznać osoby po wielu latach ciężkiego życia, gdy upływ czasu zmienił ich rysy. Nawet jeden z rzekomych byłych kochanków Kate nie

potrafił powiedzieć na pewno, czy stojąca przed nim kobieta to Kate Bender, czy nie. Wreszcie oskarżyciel doszedł do wniosku, że obie kobiety nie mają nic wspólnego z Benderami i wypuścił je na wolność.

Jedź na Zachód

Opinia publiczna była w sprawie tych kobiet tak bardzo podzielona między innymi dlatego, że wielu mieszkańców Kansas żarliwie wierzyło w to, że Benderowie zginęli już w 1873 roku, gdy znaleziono ich podziurawiony kulami wóz. Nie miało znaczenia, że przy tej okazji każdy inaczej wyobrażał sobie okoliczności ich śmierci. Część ludzi po prostu czuła głęboko, że Benderowie nie należą już do świata żywych. A jednocześnie wielu mężczyzn było gotowych przypisać sobie chwałę wykończenia Benderów.

W 1908 roku „New York Times” opublikował złożone na łożu śmierci wyznanie człowieka, który oświadczył, że wraz z innymi członkami samozwańczej „straży obywatelskiej” rozprawił się z morderczą rodziną. W swojej opowieści ten rzekomy mściciel swobodnie czerpał z różnych motywów, należących do estetyki mitologii pogranicza:

Tej nocy było ciemno i baliśmy się, że mogą nam uciec, ale sprzyjało nam szczęście. Zobaczyliśmy, jak pędzą co sił przez prerię i zawołaliśmy do nich. Wyszedł właśnie księżyc, ale często przesłaniały go ciężkie chmury. [...] Spięliśmy konie i ruszyliśmy na złamanie karku, a kule leciały gęsto z obu stron^[434].

Snuta w ten sposób opowieść o krwawych Benderach stanowi kwintesencję amerykańskiej historii, obficie zaprawionej amerykańskim gotykiem i groteską. Zaczyna się od obrazu kogoś, kto postanawia osiąść na dzikim pograniczu i kończy się obrazem kogoś, kto znika w promieniach zachodzącego słońca. To klasyczna opowieść o samotnym jeźdźcu, który przybywa do miasteczka: o demonicznych przybyszach znikąd, którzy pojawiają się i mordują dobrych Amerykanów, ale ostatecznie osiąga ich sprawiedliwość, ściganych przez całą prerię przez amerykańskich jeźdźców wśród gradu kul i w świetle promieni upiornego księżyca.

To wyznanie na łożu śmierci najprawdopodobniej stanowi wytwór fantazji – choćby dlatego, że mnóstwo podobnych „wyznań” krążyło w prasie przez wiele dziesięcioleci po zniknięciu Benderów. Mimo to łatwo zrozumieć, dlaczego tak wiele osób było gotowych przysiąc, że to oni zgładzili Benderów, niezależnie od faktu, że taki wyczyn stanowiłby wielki powód do sławy i pretekst do naprawdę dobrej opowieści. Zastanówmy się chwilę nad tym, jak bardzo przerażający musieli Benderowie wydawać się swoim sąsiadom osadnikom. Ta rodzina – która rzeczywiście mogła być rodziną, ale nią być nie musiała – stanowiła odwrócenie wszystkiego, co mieszkańcy pogranicza pragnęli uważać za świętą prawdę na własny temat. Benderowie tak niepokojąco pasowali do swojego otoczenia, że wręcz można by ich uznać za wytwór ludzkiej wyobraźni, jakiś produkt zbiorowej świadomości pionierów, gdyby nie zachowane fotografie ich sadu, usianego otwartymi grobami.

Amerykański Zachód, mimo uchwytnych problemów, wiążących się z zasiedlaniem nowych terenów, był bardzo mocno naznaczony pewną nieuchwytną

wizją, no cóż, idealizmu. Jak pisał historyk Frederick Jackson Turner (który sformułował coś, co moglibyśmy nazwać istotą pogranicza), to była „kraina ideałów, traktowanych opacznie lub nie”: odkrywania, innowacyjności, demokracji oraz indywidualizmu. Już samo to, że Zachód wydawał się wspaniały i ogromny oraz (błędne) niezamieszkały, oznaczało, że „jego zasoby jawiły się jako nieograniczone, a społeczeństwo mogło żywić przekonanie, że przez samą obecność tych rozległych, nowych przestrzeni, potrafi odrzucić wszystkie nękające je nieszczęścia”^[435]. Pomyślmy choćby o gloryfikującym języku, jakim posługujemy się, gdy mówimy o wszystkim, co dotyczy pogranicza: bezkresne niebo, niezłomny amerykański duch, nieśmiertelne hasło: „Ruszaj na Zachód, młody człowieku!”. To wszystko jest takie piękne, takie naiwne, tak idealistyczne, że można niemal usłyszeć rozbrzmiewającą w tle sekcję smyczków: „O, piękne bezkresne nieba!”^[436] (Te słowa, mniejsza o ich wartość, zostały napisane zaledwie dwadzieścia dwa lata po tym, jak Benderowie zniknęli z powierzchni ziemi).

I właśnie w samym centrum tego pulsującego optymizmu zjawili się Benderowie, dosłownie podryzując gardła amerykańskim idealistom. Niszczyli amerykańskie marzenie. Odbierali oszczędności całego życia i lśniące od nowości wozy ludziom, którzy mieli nadzieję, że posiadą całą ziemię.

Niemniej, Benderowie sami byli dziedzicami tego marzenia, podobnie jak ich wszystkie nieszczęsne ofiary. W końcu jeśli życie amerykańskiego Zachodu polegało na tym, że grupy niecierpliwych imigrantów zajmowały dziewicze ziemie i uprawiały je dla własnej korzyści, przejawiając przy tym nieustraszoną przedsiębiorczość – no cóż, dokładnie tak samo postępowali Benderowie. Ruszyli na Zachód, aby uciec od swojej ponurej przeszłości. Otworzyli nowy biznes. Osiągali zyski. A potem, gdy okoliczności zwróciły się przeciwko nim, rozplłynęli się w rozległym krajobrazie, który z jednej strony krył obietnicę, a z drugiej grozę.

Takie przedstawienie sprawy głęboko uraziłoby ludzi, którzy formowali grupy „straży obywatelskiej”, polujące na Benderów. Oczywiście bardzo wielu mężczyzn pragnęło przypisać sobie zasługę położenia ich trupem na rozległej prerii podczas szalonego konnego pościgu na złamanie karku, w świetle promieni księżyca przebijających się zza chmur.

„Mówię ci, człowieku, to była naprawdę zła kobieta”

Jednak w tych opowieściach o śmierci Benderów nie chodzi jedynie o odzyskanie amerykańskiego idealizmu. Chodzi w nich także o zabicie Kate – najważniejszego Bendera, najgorszego Bendera. I w tych opowieściach naprawdę słychać, jak bardzo chcieli ją schwytać. W większości z nich to ona jest tą spośród Benderów, która walczy najzjadlej, cierpi najbardziej i umiera ostatnia. „Naprawdę, szkoda, jak ona potrafiła walczyć” – opowiadał bohater wyznania z „New York Timesa”. „Walczyła jak tygrysyca, wszystkimi pazurami, aż musieliśmy ją okiełznać niczym wierzgającego mustanga”. W innej relacji Kate rzuca do ścigających ją mężczyzn: „Strzelajcie i niech was piekło pochłonie!”^[437].

Opisywana w tych historiach gwałtowna śmierć Kate stanowi cenę, jaką dziewczyna musi zapłacić za to, że była najgorsza z nich wszystkich. W oczach

mieszkańców Cherryvale Mama i Tata Benderowie wydawali się gruboskórnymi kryminalistami, którzy prawie nie mówili w ich języku, a John junior był ograniczony na umyśle, ale Kate powinna być inna. Była młoda, śliczna, uwodzicielska – na Boga!, ona dobrze *tańczyła*. Jako jedyna z Benderów mogła uchodzić za osobę normalną. Bywała na spotkaniach towarzyskich, rozdawała lekarstwa na ból głowy, flirtowała z mężczyznami, pracowała jako kelnerka w hotelu. Podstępnie przekonując sąsiadów, że ona także jest dobrą sąsiadką, zdradziła ich najbardziej. Dlatego w tych opowieściach musi najmocniej za to odpokutować.

W trzeciej relacji o rzekomej śmierci Benderów, Mama, Tata i John junior zostali zlincowani, ale Kate broniła się tak zaciekle, że członkowie grupy pościgowej nie mogli porządnie zarzucić jej pętli na szyję. „Mówię ci, człowieku, to była naprawdę zła kobieta” – opowiadał jeden z rzekomych świadków tej sceny. „Wrzeszczała i gryzła, przeklinała, kopała [...] Ktoś wreszcie roztrzaskał jej czaszkę drągiem, a inny wpakował jej w mózg kulkę albo dwie”^[438].

W czwartej relacji inna grupa samozwańczych strażników obywatelskich zapędziła Benderów na pole kukurydzy, niedaleko granicy dzielącej Kansas i Oklahomę. Tata Bender i John junior zginęli szybko. Członkowie straży usiłowali złapać Mamę Bender żywcem, ale wyciągnęła mały pistolet i musieli położyć ją trupem na miejscu. Kate, ostatnia, która się jeszcze nie poddała, rzuciła się do ucieczki przez pole kukurydzy, strzelając nieustannie do człowieka, który ją ścigał. Trafiła go w nogę; kulał, ale zdołał jej odpowiedzieć ogniem i Kate wreszcie upadła na ziemię, ranna, ale żywa. Mężczyzna przykuśtykał do niej, cały czas strzelając. Wkrótce dołączył do niego drugi i obaj naszpikowali jej ciało kulami. Podobnie jak w przypadku innych relacji, potrzeba było więcej niż jednego mężczyzny, aby ją zabić.

Obecna w tych opowieściach przemoc wobec Kate jest niepokojąca, niezależnie od tego, jak bardzo w realnym życiu skłonna do przemocy była sama Kate. Momentami te opowieści mają złowrogo erotyczny posmak, jak choćby wtedy, gdy mężczyźni opisują, jak Kate się miotła („niczym wierzgający mustang”), jak musieli ją powstrzymać, skrępować. Można odnieść wrażenie, że mężczyźni, opowiadający tę historię, odczuwają przyjemność, snując swoje marzenia o tym, w jaki sposób mogliby uśmiercić Kate: jak przeciągają jej śmierć, sprawiają, aby naprawdę ją bolało. To społecznie usankcjonowana okazja do oddawania się fantazjom o przemocy wobec kobiet. Mężczyzna nigdy nie mógłby w ten sposób wypowiadać się w dobrym towarzystwie – w „New York Timesie”! – jeśli kobieta, o którą chodzi, nie zostałaby oficjalnie uznana za postać naprawdę, naprawdę złą. Kate oczywiście została uznana za najgorszą z nich wszystkich.

W ten sposób Kate Bender, naznaczona przez przemoc rozgrywającą się w wyobraźni, rozplynęła się w miecie. Jednak zniknąwszy w ten sposób, stała się silniejsza, jej legenda rosła. Ożyła, powstając z popiołów swojego prawdziwego życia, aby być piękniejszą i bardziej niebezpieczną niż kiedykolwiek wcześniej, piękną podrzynaczką gardeł – na zawsze stając się symbolem niebezpieczeństw, jakie czyhają na wędrowców, którzy ośmielają się flirtować z dziewczyną o rudych włosach.

Rozdział trzynasty

Producentki aniołków z Nagyrév^[439]

Pewnego razu, w czerwcu 1929 roku, w niewielkiej węgierskiej gazecie, która nazywała się „Szolnoki Újság”, czyli „Gazeta Szolnockska”, ukazał się anonimowy list. Jego autor twierdził, że coś złego dzieje się w sąsiednim miasteczku Nagyrév – chodzi o morderstwo. A nawet o dwa dziesięciolecia dokonywanych z rozmysłem, powolnych, powtarzających się morderstw. „Władze nic nie robią w tej sprawie, a truciele bez przeszkód kontynuują swoje dzieło” – czytamy w liście. „To z mojej strony ostatnia próba. Jeśli i ona zawiedzie, to znaczy, że nie ma żadnej sprawiedliwości”^[440].

Policja szybko przybyła do Nagyrév, a także kilku sąsiednich wsi i błyskawicznie aresztowała dziesiątki podejrzanych osób. W niegdyś sennym miasteczku zapanował chaos, sąsiedzi zaczęli oskarżać siebie nawzajem o zabójstwo, a w tym czasie policjanci rozkopywali kolejne groby na miejscowym cmentarzu, dopilnowawszy, aby mieszkańcy mieli dobry widok na rozkładające się ciała.

Dwa tygodnie po opublikowaniu anonimowego listu o historii z Nagyrév zaczęto pisać o tym na całych Węgrzech, a pod koniec lata także za granicą. Czytelnicy przecierali oczy ze zdumienia: podejrzanymi w tej sprawie były niemal wyłącznie kobiety powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia. Czy to jakiś rozgałęziony morderczy spisek? Jakiś sabat węgierskich czarownic, kontynuujących średniowieczne praktyki? Ostateczny dowód, że kobiety są złe z natury? Nikt nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że przez kilka dekad w małym miasteczku mogło dochodzić do powtarzających się morderstw, jak gdyby nigdy nic. Nikt nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób kobiety mogły tego dokonać.

W pułapce

Życie w Nagyrév było ciężkie i brutalne. Jego mieszkańcy, zgodnie ze stereotypem małego miasteczka, czuli się przytłoczeni świadomością, że nie mają przed sobą żadnej szansy ucieczki, żyjąc w miejscu „otoczonym, jak gdyby żelazną obręczą, przez wielkie majątki ziemskie”^[441]. Mieszkańcy Nagyrév nie widzieli przed sobą perspektyw: młodzi nie mieli szans na kupno ziemi czy awans społeczny.

Początek dwudziestego wieku przyniósł w skali całego globu potężne zmiany i konflikty, ujmując rzecz łagodnie, i te napięcia, związane ze zmianami społecznego klimatu, nie ominęły także Nagyrév. Do miasteczka wracali mężczyźni z frontów pierwszej wojny światowej, poranieni, gniewni, cierpiący na syndrom stresu pourazowego. Kryzys w rolnictwie, następstwo Wielkiego Kryzysu, oznaczał, że chłopci nie znajdowali zbytu dla produkowanych przez siebie towarów. Nagyrév miało niewiele kontaktów ze światem zewnętrznym, drogi były kiepskie, nie zatrzymywał się tam żaden pociąg ani autobus. W miasteczku nie było nawet lekarza. Między rolnikami a skromną warstwą klasy średniej miasteczka rosły napięcia, a snobistyczne zachowanie miejscowego pastora, nauczycieli i innych przedstawicieli władz stwarzały klimat, w którym ludzie ubodzy nie mieli poczucia, że mogą dzielić się swoimi obawami i podejrzeniami z osobami stojącymi wyżej w hierarchii społecznej^[442].

W tym świecie małżeństwo nie stanowiło żadnej drogi ucieczki. Wielu miejscowych mężczyzn było alkoholikami, którzy regularnie bili swoje żony. Mówiono o nich „brutale”^[443]. Młodzi po ślubie często mieszkali razem z rodzicami, co rodziło kolejne napięcia, a sztywne role genderowe oznaczały, że stosunki między kobietami a mężczyznami często były, delikatnie mówiąc, trudne. Oczekiwano, że żony będą bez protestu znosić przemoc domową; mężczyźni paranoicznie obawiali się, że żony zdradzają ich ze stacjonującymi w miasteczku żołnierzami, podczas gdy oni sami byli na froncie. Zdarzały się rozwody, ale nie były społecznie akceptowane i wiele kobiet wołało trwać w małżeństwie, naznaczonym przemocą – czerpiąc przy tym niewielką pociechę ze skromnych zarobków swoich mężów – niż próbować samodzielnie układać sobie życie^[444].

W tym zubożałym i odizolowanym świecie dzieci często postrzegano jako obciążenie: kolejną gębę do wykarmienia, niemowlę, które wyrośnie na kobietę równie beznadziejną jak jej matka. Wieśniaczki często uciekały się więc do prymitywnych i niebezpiecznych form antykoncepcji, takich jak *facsigna*, drewniana zatyczka, która miała być umieszczana w szyjce macicy^[445]. Inne prawdopodobnie próbowały domowych metod aborcji, obejmujących nakłuwanie macicy za pomocą szydełka, umieszczanie w szyjce macicy trujących ziół albo spędzają płody za pomocą gęsiego pióra. Jeśli nie pomogły ani drewniane zatyczki, ani gęsie pióra i dziecko przychodziło na świat, matka mogła liczyć już tylko na ostateczny, niezawodny środek: dzieciobójstwo. Można tego było dokonać na wiele równie okrutnych sposobów: głodzenie, trucie, rzucenie na pożarcie świniom, uduszenie poduszką, wykąpanie w gorącej wodzie, a potem wystawianie na chłód, aby dziecko zachorowało na zapalenie płuc^[446]. Ten rodzaj przestępstw był tak rozpowszechniony, że rodzice podejrzani o zabicie swojego dziecka mieli świadomość, że nie narażają się na to, że ktoś na nich doniesie do władz. Dzieciobójstwo stanowiło po prostu element brutalnego cyklu życia.

W 2001 roku węgierski socjolog, Ferenc Moksony, zbadał sześćset wiejskich społeczności na Węgrzech i przekonał się, że odsetek samobójstw był wyższy w wioskach, położonych na uboczu, kierujących się tradycyjnymi zasadami^[447]. Uczony Béla Bodó posunął się krok dalej, pisząc: „Im bardziej zmarginalizowana jest dana społeczność, a jej członkowie bardziej sfrustrowani przez swoje ubóstwo i poczucie izolacji, tym wyższe będzie prawdopodobieństwo, że zwrócą się w stronę dewiacyjnych zachowań”^[448].

To właśnie wydarzyło się w Nagyrév.

„Wysłali mnie do grobu ci, których kochałem najbardziej”

Przez dwadzieścia lat kobiety z Nagyrév zabijały mężczyzn z Nagyrév i nikt nie powiedział na ten temat ani słowa.

Trudno określić, kiedy to wszystko się zaczęło. Wydawało się wręcz, jakby te morderstwa wyłoniły się w gotowej postaci z sielskiej aury spokojnej, węgierskiej wsi. Wiemy, że do jednego z pierwszych zabójstw doszło na początku drugiej dekady dwudziestego wieku, gdy pewna kobieta, która nazywała się Julianna Lipka, przeprowadziła się do domu, należącego do pary starszych, schorowanych i zamożnych

ludzi, aby się nimi opiekować. Starszy człowiek zmarł ze starości, ale jego żona okazała się kłótniwą zrzędą i miała odrażający zwyczaj plucia na podłogę. Nie o takiej pracy myślała Julianna, kiedy się u nich zatrudniała.

Kiedy poskarżyła się ze swojego utrapienia grupie starszych kobiet, zdradziły jej pewien sekret: jeśli kupi lep na muchy i namoczy go w wodzie, warstwa trucizny wydzieli się na powierzchnię. Może wtedy zebrać truciznę i dodać ją do jedzenia albo napoju. Rezultat okaże się śmiertelny – a do tego nikt niczego nie wykryje. Julianna posłuchała rady i postąpiła, jak jej powiedziano. Najpierw zabiła starszą kobietę, później otruła swoją własną, nieznośną przyrodną siostrę, a potem jej irytującego męża. Kiedy przekonała się, jak łatwo można poprawić sobie życie za pomocą czegoś tak banalnego jak lep na muchy, trudno było ją powstrzymać.

Jedną z tych starszych kobiet była Zsuzsanna Fazekas, miejscowa akuszerka, nikt nie znał lepiej tajników życia i śmierci niż ona. Potrafiła skutecznie pomóc przy porodzie, aby dziecko bezpiecznie przyszło na świat, poradzić coś na naciągnięty mięsień chłopca i otruć czyjś męża, a wszystko w ciągu jednego dnia pracy. Ponieważ w miasteczku nie było lekarza, Zsuzsanna dysponowała sporą władzą i mieszkańcy odnosili się z nabożnym podziwem zarówno do jej tajemniczej wiedzy, jak i jej skandalicznych postępów. W kieszeni nosiła fiolkę z arsenikiem. Sama była rozwiedziona. Palila papierosy i piła w miejscowej gospodzie, w miejscu, do którego nigdy nie zajrzałyby większość kobiet. A do tego dobrze radziła sobie w swoim rzemiośle: w 1929 roku mieszkała w jednym z najładniejszych domów w miasteczku.

Zsuzsanna bez wahania potrafiła doradzić swoim zrozpaczonym klientkom w sprawie morderstwa i rozdawała truciznę jak gdyby to był środek na ból głowy. Czasami nawet sama popełniała morderstwo, jak choćby wtedy, gdy przyniosła jednej z kobiet lekarstwo na „uspokojenie” jej kłopotliwego męża, byłego jeńca wojennego, który nie potrafił poradzić sobie z utratą wzroku podczas jednej z bitew. Obie kobiety rozumiały bez słów, że lekarstwo jest zatrute i Zsuzsanna podała je mężowi klientki, która w tym czasie stała obok. Kiedy indziej położyła proponowała inne sposoby zabijania. Pewnego razu wyjaśniła pewnej bardzo ubogiej kobiecie, jak dokładnie ma zagłodzić na śmierć swoje niechciane, świeżo narodzone dziecko.

Inna starsza kobieta – Rozália Takács, masażystka – także była głęboko zaangażowana w wiele morderstw. Swoją „karierę” rozpoczęła w bardzo osobisty sposób, otruwszy swojego męża, „potwora alkoholika”, za pomocą arseniku^[449]. Następnie swoją wiedzę przekazała pewnej młodej matce, która pragnęła zgładzić teścia, uciekającego się do przemocy. Szeptła: „Nie musisz się dręczyć z jego powodu. Przyniosę staruchowi coś, co go wykończy”^[450].

W ten sposób zarówno *idea* morderstwa, jak i *środki* niezbędne do przeprowadzenia tego zamiaru rozprzestrzeniły się w Nagyrév niczym złowroga mgła. Żadna z tamtejszych kobiet nie zabijała w samotności. Udawała się raczej do swoich przyjaciółek, szukając porady, a one zachęcały ją, wspierały jej działania i dzieliły się wiedzą – oraz środkami – jakich potrzebowała. Oceniono później, że w Nagyrév działo się tak czterdzieści dwa razy: popełniono czterdzieści dwa morderstwa, dzieło trzydziestu czterech osób. To była idea siostrzeństwa, która zesłała na manowce, oraz prawdziwa

woda na młyn tych wszystkich, którzy sądzili, że jeśli jedna kobieta jest z natury zła, to grupa kobiet stanowi zło zwielokrotnione.

Wzajemne powiązania między tymi zbrodniami dobrze widać na przykładzie sprawy Márii Kardos, jednej z barwniejszych postaci w miasteczku. Mária była bogatsza niż inne kobiety, ubierała się lepiej i była rozwiedziona dwukrotnie, rzecz dość niezwykła w Nagyrév. Po drugim rozwodzie miała kochanka – byłego burmistrza. W tym czasie jej dorosły syn, chorowity dwudziestotrzylatek z poprzedniego małżeństwa, okazał się bardziej kłopotliwy niż mogła się spodziewać. Mária czuła się uwięziona przez konieczność opieki nad synem i wolała przeznaczyć swoją energię na nowy romans. Być może miała już dosyć bycia matką i uważała, że obowiązki związane z macierzyństwem skończyły się dla niej. Kupiła więc od Zsuzsanny arsenik i zaczęła go dodawać synowi do jedzenia. Stan jego zdrowia pogorszył się szybko.

Tuż przed śmiercią syna Mária kazała wynieść jego łóżko na zewnątrz, aby mógł zażyć trochę słońca. A kiedy tak leżał, wpatrując się w niebo, Mária przypominała sobie coś, co zawsze tak lubiła w swoim chłopcu: jego piękny głos.

„Pomyślałam, że chciałabym jeszcze raz usłyszeć jego głos” – opowiadała później policjantom. „Powiedziałam więc: «Zaśpiewaj, mój mały. Zaśpiewaj mi moją ulubioną piosenkę». A on ją zaśpiewał, swoim ślicznym, czystym głosem”^[451]. Smutno jej było na myśl, że ma utracić ten głos – ale jego śmierć oznaczała dla niej wolność, mogła ponownie wyjść za mąż.

Na nieszczęście dla Márii były burmistrz okazał się niepoprawnym kobieciarzem i wyjątkowo niechętnie reagował na myśl o ponownym ożenku. W 1920 roku Mária wreszcie namówiła go, żeby ją poślubił, a miejscowe plotkarki opowiadały, że „trzeba było go zawlec do urzędu jak bydło na rzeź”^[452]. Małżeństwo nie przyniosło jednak Márii romantycznych uniesień: jej nowy mąż nadal pił i sypiał z innymi kobietami i wkrótce oboje małżonkowie zaczęli zajmować osobne sypialnie.

Tak się akurat składało, że Zsuzsanna także nienawidziła byłego burmistrza z jakichś własnych, bliżej nieznanych powodów, choć swoją nienawiść tłumaczyła tym, że był jej winien kilka worków pszenicy. Toteż gdy położna zwiędziała się o najnowszych wydarzeniach w życiu Márii, z wielką ochotą ruszyła jej na pomoc. Dwie kobiety trwały byłego burmistrza powoli, przez miesiąc, aż wreszcie zmarł w kwietniu 1922 roku. Później w redakcyjnych komentarzach gazety wyobrażały sobie upiorną wściekłość ofiar z Nagyrév, takich jak ten nieszczęsny drugi mąż i chorowity syn, podkreślając ich skrajne oburzenie *zdradą*, jaką były te morderstwa. „One mnie zabiły, wysłały mnie do grobu, te, które kochałem najbardziej”^[453]. Ale kiedy to się wszystko działo, morderstwa przechodziły niezauważone. Aby podziękować Zsuzsannie, Mária dała jej pewną sumę pieniędzy, wystarczającą na zakup małego cielaka.

Podobnie jak w przypadku wielu innych zabójstw w Nagyrév, motywy tych kobiet wydawały się nie tylko małostkowe, ale także psychopatycznie okrutne: dług w postaci kilku worków pszenicy, chorowity syn stojący na drodze do ponownego małżeństwa. Jednak właśnie takie powody kobiety podawały sobie nawzajem jako motyw trucia: *Pluła na podłogę. Uskarżał się na swoją ślepotę. Byłam zirytowana. Miałam wszystkiego dość.* W rzeczywistości te drobne niewygody reprezentowały jedynie ich mroczne, głębsze

potrzeby.

To było pokolenie kobiet, które niczego nie dostały od życia i niczego nie mogły się spodziewać. Pokolenie kobiet, którym wojna zabrała mężów, a potem wrócili poranieni, rozczarowani, brutalni, podejrzliwi, ze zniszczoną psychiką. Trucizna nie była rozwiązaniem idealnym, ale przynajmniej dawała jakąś odmianę. Część z tych kobiet mordowała pod wpływem rozpacz, jak jedna z nich, która była bita przez męża ciężkim łańcuchem. W sądzie oświadczyła wyzywająco: „Nie czuję żadnej winy; mój mąż był bardzo złym człowiekiem [...] Odkąd nie żyje, mam spokój”^[454].

Niektóre z nich zabijały, aby móc związać się z innym mężczyzną, jak kobieta, która otruła swojego męża i poślubiła jego najlepszego przyjaciela. Inne zabijały z zemsty, jak choćby kobieta, która otruła teścia, molestującego ją seksualnie. Jeszcze więcej z nich używało trucizny, aby zdobyć jakieś dobra materialne, jak choćby kobieta, która zamordowała matkę, żeby szybko odziedziczyć po niej spadek.

Ich motywy były różne, ale metody podobne. Myśl, że można poprawić swoją sytuację w życiu za pomocą trucizny, rozprzestrzeniała się wśród kobiet z Nagyrév niczym pożar. A to, że trucicielki tak bardzo były od siebie nawzajem uzależnione, czerpiąc od siebie informacje i środki, stworzyło w miasteczku niebezpieczną sieć poczucia winy. Każda z nich mogła ściągnąć katastrofę na swoje przyjaciółki, ale ta, która zaczęłaby mówić pierwsza, skazałaby także siebie samą.

Panika w miasteczku

Pod koniec lat dwudziestych władze sąsiedniego miasta Szolnok zaczęły otrzymywać anonimowe listy, w których twierdzono, że coś strasznego dzieje się w Nagyrév. Początkowo ignorowano te chaotyczne apele, z których emanowała panika. Zważywszy na zawilą narrację, w której padało wiele imion, nazwisk, oraz nieprzyjemny charakter całej sprawy, można je było łatwo zdezawuować jako wiejskie plotki:

Tu jest wiele takich [...] które karmiły innych trucizną. [...] Wujek Misi Beke [został zabity przez] Rózę Kiss, która [zabiła] swojego męża i starą panią János Pápai i próbowała także [zabić] starego Sándora Szendi i panią Pista Valki, ale jej się nie udało, i nie wiadomo jeszcze jak wielu innych^[455].

Ale kiedy „Szolnoki Újság” opublikowała w 1929 roku jeden z listów – „władze nie robią nic i truciele bez przeszkód kontynuują swoje dzieło” – państwowa biurokracja musiała zareagować i od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo szybko, zwłaszcza gdy gazety i brukowce wprawiły węgierską opinię publiczną w stan gorączkowego oburzenia^[456]. Nagle zarówno prasa, jak i władze zaczęły naciskać na miejscową policję, aby wyjaśniła sprawę, i to szybko.

I tak po dwudziestu latach spokojnych, niewykrytych przez nikogo morderstw, w Nagyrév zapanował chaos. Aresztowano podejrzanych i poddano brutalnym przesłuchaniom w domu miejscowego dozorca cmentarza. Kobiety wielokrotnie wzywano nocą, a kiedy akurat nie zadawano kolejnych pytań, musiały stać twarzą do ściany i nie odzywać się do siebie nawzajem. Juliannę Lipkę, wtedy już jedną z najstarszych i najbardziej podupadłych na zdrowiu podejrzanych, postraszone chłostą.

Jeśli policjantom nie udało się wydobyć z kogoś zeznania, uciekali się do dziwacznych metod zastraszania: jeden z policjantów ukrył się pod łóżkiem w pokoju, w którym przetrzymywano dwie podejrzane, po czym nagle chwycił je za nogi; niemal umarły ze strachu. Przeżalone przesądne kobiety – z pewnością jakieś nadprzyrodzone siły musiały mieć w tym udział – natychmiast złożyły zeznania.

Okazję do kolejnych aktów zastraszania dawały ekshumacje. Ofiary należało zbadać na obecność trucizny, to prawda, ale policjanci starali się dopilnować, aby ciała wydobywano z grobów w towarzystwie możliwie wielu świadków. Nie próbowali nawet ukrywać mdlących rezultatów swoich działań przed dziećmi – również „widoku połyskującego na brązowo” mózgu, pokrytego „brązowymi robakami o krótkich skrzydłach, żywiącymi się zwłokami”^[457].

W mieście zapanowała prawdziwa histeria i wszyscy zaczęli wskazywać palcami na sąsiadów. Mieszkańcy dystansowali się zwłaszcza od oskarżonych, które wydawały się najbardziej winne, ale nikt nie odczuł tej wrogości bardziej niż Zsuzsanna. Ze względu na jej powiązania ze szczególnie dużą liczbą morderstw, akuszerka znalazła się wśród pierwszych podejrzanych, które poddano przesłuchaniom. Z pewnością musiała być przeżrana. Wiedziała dokładnie, jak wielu mieszkańców miasteczka może ją oskarżyć.

Policjanci zwolnili ją na jeden dzień za kaucją, spodziewając się, że pomoże im znaleźć innych trucicieli. Tymczasem przeżrana Zsuzsanna snuła się po miasteczku, prosząc przyjaciół i byłych klientów o pieniądze, które mogłyby wystarczyć na wynajęcie prawnika, bo nawet dobrze prosperująca położna nie mogła sobie kupić wybawienia w Nagyrév. Chociaż błagała i płakała, wystraszeni mieszkańcy miasteczka odwracali się od niej. Nikt nie chciał ryzykować, że zostanie oskarżony o jakieś związki z Zsuzsanną, niezależnie od tego, jak wiele zrobiła dla tych ludzi w przeszłości.

Podczas tej wędrówki położna zaczęła coraz bardziej tracić panowanie nad sobą i kiedy wreszcie dotarła do domu, zaklinała się głośno, że zemści się na swoich niewdzięcznych klientach. Przez całą noc nie zmrużyła oka, chodząc niespokojnie po podwórku. Poczula, że znalazła się w pułapce. Kiedy rankiem zobaczyła nadchodzących policjantów, którzy szli ją aresztować, wyciągnęła ze swojej sukni fiolkę z trucizną i wypila do dna jej zawartość.

W niektórych opowieściach o trucicielkach z Nagyrév Zsuzsanna występuje jako osoba stojąca za wszystkimi morderstwami; obłąkana położna, która uważa, że ma prawo decydować o tym, kto będzie żył, a kto zginie – dysponująca wręcz jakąś nadprzyrodzoną mocą. Pewien dziennikarz „New York Timesa”, depeszujący z Budapesztu, dostrzegł w niej „postać, która mogłaby z powodzeniem stać nad wrzącym tygłem w Szekspirowskim *Makbecie* albo pełnić obowiązki jakiejś znachorki w Afryce”. Inny nazwał ją „bezmyślnym, wschodnim bóstwem, nieustająco przeżuwającym coś swoimi krwawymi zębami”^[458].

Zsuzsanna rzeczywiście odgrywała centralną rolę w zabójstwach, ale miała w sobie mniej z czarownicy, niż przypisywały jej gazety. Bardziej była kobietą interesu, postacią, wokół której toczyły się wydarzenia. Dostarczała truciznę kobietom, które chciały kogoś zabić. Sama przynosiła truciznę, jeśli kobiety były szczególnie pełne wahań. Proponowała morderstwo jako rozwiązanie sytuacji napięć, nieszczęścia, przemocy fizycznej

i seksualnej oraz niecierpliwości, subtelnie legitymizując proponowane działania w umysłach swoich sąsiadek z miasteczka.

Nazywanie Zsuzsanny czarownicą odzwierciedlało potrzebę znalezienia jednego źródła wszystkich morderstw, jednej przyczyny całego zła. To wydawało się łatwiejsze niż uznanie morderstw z Nagyrév za to, czym były w rzeczywistości: przerażającym zjawiskiem zrodzonym – i podsycanym – przez problemy społeczne. Te morderstwa były zbyt liczne i zbyt rozpowszechnione, aby można je było wszystkie przypisać Zsuzsannie czy jakiegokolwiek innej kobiecie. Źródło tych zbrodni było równie niedostrzegalne i wszechobecne jak sama trucizna. Sytuacja ekonomiczna, kultura i ludzkie nieszczęście splotły się w Nagyrév w gęstą sieć, przyczyniając się do powstania atmosfery społecznej, nacechowanej nie tyle szaleństwem jednej akuszerki, co cichej, wieloletniej kobiecej rozpacz.

Kiedy policjanci weszli do jej domu, Zsuzsanna skręcała się z bólu na ziemi. Próbowali zmusić ją, aby połknęła mleko i wymiotowała truciznę, ale mocno zaciskała szczękę. Uświadomiwszy sobie, że tracą właśnie kluczowego świadka, policjanci zaczęli gorączkowo poszukiwać jakiegoś pojazdu, którym można by przewieźć Zsuzsannę do najbliższego szpitala, znajdującego się w sąsiednim mieście, ale bardzo trudno było wydostać się z Nagyrév, a sąsiedzi odmówili pomocy. Nie chcieli mieć więcej nic wspólnego z tą czarownicą. Kiedy wreszcie policja znalazła podwodę, Zsuzsanna już nie żyła.

Wiejska zagadka

Prawnik János Kronberg, którego mianowano sędzią śledczym w tej sprawie, nie cierpiał kobiet z Nagyrév od samego początku. Wydał wobec nich tak wiele nakazów aresztowania, jak tylko mógł, i kazał je wszystkie przewieźć do sąsiedniego Szolnoka, gdzie czekał już na nie tłum gapiów żadnych sensacji. Brukowiec „Kis Újság” odnotował smutny kontrast między oskarżonymi – głównie ubogimi, starymi kobietami w czerni, które opuszczały wzrok i zasłaniały twarze chusteczką – a elegancko ubranym tłumem zamożnych mieszczan, obrzucających je wyzwiskami^[459].

Proces stwarzał dla osób z klasy średniej i wyższej ekscytującą okazję do tego, aby napawać się swoim poczuciem wyższości. Już wcześniej żywiono uprzedzenia do wieśniaków i dziennikarze wykorzystywali ten fakt, nasączając swoje relacje wszelkimi przesadami, jakie tylko przychodziły im do głowy. Nagłówki gazet podkreślały staroświecki, wręcz prymitywny charakter zbrodni: „Tam, gdzie przez półtorej dekady nie było słycać jednego głosu sumienia: Odwiedzajcie Nagyrév, miasteczko śmierci na brzegu Cisy”, albo: „Za pomocą średniowiecznych metod dzieci zabijały rodziców, aby zagarnąć ich ziemię”^[460].

W więzieniu w Szolnok aresztowane wieśniaczki usiłowały przystosować się do samotności, cel, w których grasowały szczury, oraz ciągłych przesłuchań. Więzienie zupełnie nie przypominało życia w małym miasteczku, do jakiego były przyzwyczajone. Zmuszono je do wypełniania testów, w których używano kodów kulturowych klasy średniej, aby ustalić ich możliwości intelektualne, poprzez zadawanie pytań dotyczących opodatkowania, świąt narodowych i armii. Pewien psychiatra, który badał podejrzane,

uznał, że wszystkie popełnione przez nie morderstwa miały nierozzerwalny związek z seksem: te kobiety albo były oziębłe, albo rozwiązłe, a ich rzekomo wypaczone popędy seksualne „miały [swoje] korzenie w wiejskiej tajemniczości i nienormalnym stylu życia, który zniekształcał psychikę podsądnych i sprawiał, że ich zachowania stawały się nieprzewidywalne”^[461].

Dwie z uwięzionych kobiet, pod wpływem upokorzenia i dezorientacji, popełniły samobójstwo, przywiązując swoje chustki do krat więziennych okienek. Prasa odczytała ten akt jako przyznanie się do winy.

Nihilizm

Kobiety z Nagyrév nigdy nie sądziły, że do czegoś takiego dojdzie.

Tak, zabijały ludzi, ale wiele z nich nawet nie postrzegało swoich postępów jako *morderstwa*. Dla nich morderstwo oznaczało krew, walkę i użycie siły. One po prostu sprowadzały na innych wieczny sen. „Nie jesteśmy morderczyniami” – oświadczały w sądzie. „Nie zadźgaliśmy i nie utopiłyśmy naszych mężów. Oni po prostu umarli od trucizny. To była dla nich łatwa śmierć, a nie morderstwo”^[462].

Być może te kobiety rozumiały otrucie jako „łatwą śmierć,” ponieważ były znieczulone na samo umieranie. Wiedziały, jak brutalne potrafi być życie. Widziały mężczyzn, którzy szli na wojnę i wracali jako wraki, fizyczne i psychiczne; wiedziały, co znaczy brak żywności; widziały dzieci, które marły jak muchy, niezależnie od tego, czy się je zabijało, czy nie. (W latach trzydziestych niemal jedna trzecia wszystkich chłopskich dzieci na Węgrzech umierała przed osiągnięciem wieku szkolnego^[463]). Być może te kobiety mówiły sobie, że po prostu przyspieszają bezlitosny proces, który i tak doprowadziłby do śmierci ich poranionych na wojnie mężów, wojowniczych krewnych i wrzeszczące niemowlęta.

Gazeta „Pesti Napló” spekulowała na temat „dziwnej kombinacji przyczyn”, które doprowadziły do takiej zażyłości ze śmiercią i takiej gotowości do tego, aby po nią sięgać. „Tak, chodziło o pieniądze; tak, chodziło o głód ziemi oraz tak, to była miłość i nienawiść” – pisano w redakcyjnym komentarzu. „Ale chodziło także o kulturowy nihilizm, o życie jak zwierzęta, o prymitywną naturę ich duszy”^[464].

Kulturowy nihilizm, na pewno. Ale życie jak zwierzęta? *Prymitywne dusze*? Te morderstwa zrodziły się z bardzo ludzkich emocji – oczywiście niewygodnych, nawet odstręczających, jak rozpacz czy pożądanie, gniew albo irytacja, ale równie ludzkich. Te kobiety zabijały, aby ulżyć sobie w rozpaczach i poprawić trochę swój los. Czasami to oznaczało jakiś zysk (pieniądze, ziemię, nowego kochanka), kiedy indziej jedynie uwolnienie się od czegoś (męża, syna, rodzica). „Jeśli ci mężczyźni byli brutalni – pisał «New York Times» – te kobiety wydają się wyjątkowe, zważywszy na siłę i wytrwałość ich namiętności. Przeciętny wiek kobiet osądzonych do tej pory wynosi ponad pięćdziesiąt pięć lat, jednak pożądanie odgrywało w ich zbrodniach nawet większą rolę niż chciwość”^[465]. Ta ostatnia uwaga rozmijała się z prawdą, ale dobrze wypadła w druku.

To, że kobiety z Nagyrév tak otwarcie – w tak *ludzki* sposób – pragnęły czegoś więcej niż to, co dawało im życie, wydawało się niewygodne dla bardziej zamożnych

obserwatorów, którzy mówili sobie, że są one po prostu anachroniczne. Innymi słowy, kręgi społeczne, do których *sami* należeli, potrafiły odróżniać dobro od zła, ale to przesłanie na razie nie dotarło do Nagyrév. W rzeczywistości klimat społeczny, panujący w Nagyrév, bez wątpienia stanowił produkt świata, który otaczał miasteczko – fakt, do którego obrona wkrótce zaczęła się odwoływać. Ta okoliczność nie usprawiedliwiała morderstw, ale jednocześnie oznaczała, że te kobiety nie były zwierzętami.

Żałobny lament

Pod koniec roku, po przesłuchaniu setek osób i rozkopaniu ponad pięćdziesięciu grobów, ekshumowaniu czterdziestu ciał, w których znaleziono arszenik, władze uznały, że są gotowe postawić w stan oskarżenia trzydzieści cztery kobiety i jednego mężczyznę. Na sali sądowej tłoczyła się żadna krwi publiczność, pragnąca na własne oczy zobaczyć tych dewiantów, i kiedy widzowie szczególnie nie lubili którejś z podsądnych, gwizdali, wyli albo wrzeszczeli, domagając się surowych wyroków.

W obliczu tej fali nienawiści w interesie kobiet z Nagyrév leżało sprawianie wrażenia osób prostych, pokornych, czystych i budzących skojarzenia z babciami. Jedyna nadzieja na ulaskawienie w ich przypadku wiązała się ze sprawianiem wrażenia, że są dobrymi kobietami ze wsi, które albo są niewinne, albo działały w samoobronie.

Jednak kolejne procesy rozbiły siostrzany związek trucicielek. Oskarżone kobiety zeznawały przeciwko sobie nawzajem; znajomi i krewni zmarłych mężczyzn obciążali zeznaniami oskarżone kobiety; niektórzy mieszkańcy miasteczka składali nawet obciążające zeznania przeciw członkom własnej rodziny. Jeśli któraś z kobiet stojących przed sądem zabiła męża, który stosował wobec niej przemoc, świadkowie z Nagyrév zwykle byli bardziej wyrozumiali, ale bardzo ostro zwracali się przeciwko tym kobietom, które postrzegali jako osoby mające jakąś skazę charakteru.

János Kronberg uważał, że wszystkie oskarżone są winne i pragnął, aby zawisły na szubienicy. Jego argumentacja miała charakter błędnego koła, ale była skuteczna: jeśli była jakaś przyczyna morderstwa, wtedy popełniano morderstwo i tylko oskarżone mogły tego dokonać. Kiedy Kronberg nie dysponował twardymi faktami, uciekał się do oczerniania charakteru tych kobiet. Ich zeznania nazywał „bajkami”^[466] i uważał, że otrucie kogoś, ponieważ wymagało zręczności, działania w sekrecie i konsekwencji, stanowiło kwintesencję kobiecej zbrodniczości.

Obrona nie miała zbyt wielu argumentów, do których mogłaby się odwołać. Adwokaci próbowali o wszystkie morderstwa obwiniać Zsuzsannę, która idealnie nadawała się do roli kozła ofiarnego, ponieważ nie żyła. Dowodzili także, że zbrodnie tych kobiet wynikały z ubóstwa i twierdzili, że węgierskie władze mogły zrobić więcej dla poprawy poziomu życia w Nagyrév. To akurat bez wątpienia było prawdą, ale w niewielkim stopniu przyczyniło się do wykazania niewinności oskarżonych.

Okazało się, że jedną z osób wywołujących największą nienawiść na sali sądowej, była rozwódka Mária Kardos. Budziła ogromne wzburzenie widzów, ponieważ wydawała się dumna, pewna siebie i nie okazywała skruchy. W dodatku nastawiła przeciw sobie całą salę, gdy skrytykowała swojego zmarłego syna i zmarłego trzeciego męża. Poza tym włożyła kosztowną chustkę na głowę, co irytowało zamożne mieszcanki z Szolnok, które

uważały, że próbuje w ten sposób wywyższać się ponad swój stan^[467]. Podczas policyjnych przesłuchań przyznawała się do popełnionych przez siebie przestępstw, opowiadając o nich bardzo szczegółowo; najwyraźniej czuła się dumna ze swoich poczynań. Teraz próbowała obciążyć możliwie jak największą liczbę mieszkańców miasteczka: „My, kobiety z Nagyrév, wszystkie wiedziałyśmy, co robi Zsuzsanna Fazekas. Byłyśmy tak przyzwyczajone do jej uczynków, jak byłyśmy przyzwyczajone do widoku stad gęsi wychodzących każdego ranka na łąki [...] Żadna z kobiet, które zostały aresztowane z powodu przypadków otrucia, nie jest niewinna”^[468].

Starając się zmusić Márię do okazania jakiegoś żalu z powodu popełnionych przestępstw, Kronberg nękał ją opowieściami o tym, jak niedoskonałą była matką, przypominając jej, że ptaki karmią swoje młode, że krowy liżą swoje świeżo narodzone cielęta, że pies rzuci się do wody, aby ratować swoje szczenięta, nawet jeśli miałby przy tym zginąć. W końcu Mária się załamała. „Jeżeli człowiek czuje się zrozpaczony, może zrobić wiele rzeczy” – przyznała. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, ktoś z obserwatorów rzucił głośno: „Sznur!”^[469].

Ostatecznie ogłoszono wyroki. Siedem kobiet skazano na karę śmierci, w tym Márię i masażystkę Rozálię Takács, która pomagała przy wielu morderstwach. Większość pozostałych podsądnych skazano na dożywocie albo ciężkie kary więzienia; kilka kobiet wyszło na wolność, ponieważ zabrakło dowodów, aby można było je skazać.

Po ogłoszeniu wyroku wieśniaczki zaczęły zawodzić wysokimi głosami, „Jaj, Jaj, Istenem, Istenem”^[470]. To był pogrzebowy lament, „Niestety, niestety, mój Boże” – a ich zawodzenie wprawiło w konsternację zamożną publiczność. Było zbyt nagie, zbyt namacalne. Przyszli zobaczyć publiczne widowisko, ale nie chcieli mieć do czynienia z nieznośną intensywnością ludzkiej rozpacz. Zwłaszcza z rozpaczą tych wieśniaczek.

Wkrótce sprawą zajął się jednak Sąd Najwyższy i zredukował wiele wyroków, co wprawiło w zakłopotanie miejscowe władze. Sąd znalazł nieprawidłowości w sposobie, w jaki skazano te kobiety, i uznał, że większość wyroków jest zbyt wysoka. Ostatecznie w przypadku trzech z siedmiu kobiet, w tym Rozalii Takács, uchylono wyrok, który skazywał je na karę śmierci. Mária Kardos nie otrzymała takiej łaski; sąd ponownie zbadał jej sprawę i doszedł do wniosku, że ze względu na okrucieństwo swoich zbrodni, popełnionych z premedytacją, zasłużyła na śmierć. Zawisła na szubienicy rankiem trzynastego stycznia 1931 roku.

„Te kobiety stały się źródłem wielkiego rozczarowania” – pisała gazeta „Szolnoki Újság” podczas trwania procesów. „Zamiast czarownic, demonów i sprytnych morderczyń widzimy na ławie oskarżonych jedynie łagodne, ubogie, stare i załamane kobiety. [...] Życie przyniosło im niewiele radości. Nie zasłużyły jednak na nic lepszego”^[471].

Rozdział czternasty

Królowa trucielei^[472]

Marie-Madeleine, markiza de Brinvilliers

Trucizna: odwieczna broń kobiet. Dobrze wpisuje się w domowe okoliczności. Jest subtelna, sekretna, czysta. Trucizna nie pozostawia krwawych plam na podłodze ani dziur w ścianach. Dodanie kilku kropel bezbarwnego płynu do zupy albo wina to najprostsza rzecz na świecie. A kto, historycznie rzecz biorąc, przebywa w domu, gotuje zupę i podaje wino? Wiadomo, kobiety.

W Paryżu drugiej połowy siedemnastego wieku nie sposób było uwolnić się od myśli o truciznie ani od lęku przed trucizną, a co za tym idzie, przed kobietami: wrózkami, które miały tajemnicze związki z arsenikiem, amuletami i aborcjami oraz przed bogatymi młodymi żonami, które je odwiedzały. Na dworze Króla Słońce ten paranoiczny lęk był tak ogromny, że każdy, kogo rozboleł brzuch, wpadał w panikę, świecie przekonany, że ktoś, gdzieś usiłuje go zgładzić. Postępy w farmakologii, w połączeniu z bardzo żywymi obawami przed działaniem czarnej magii, rodziły idealną atmosferę dla polowania na czarownice, znanego dzisiaj jako „afery trucielei” (*L'affaire des poisons*). A wiele spośród oskarżonych stanowiły kobiety.

„Jak to możliwe [...] że te, które są tak czułe na nieszczęścia innych [...] mogą popełniać tak wielką zbrodnię?” – pisał pewien zdumiony komentator, zaszokowany liczbą trucielek, które tłumnie zaludniały miejskie więzienia. „To potwory. I nie należy przypuszczać, że są one takie same jak inne, już prędzej należałoby je przyrównać do najbardziej niegodziwych z mężczyzn”^[473].

Z pewnością można było w jakiś osobliwy sposób czerpać pociechę z przypuszczeń, że te trucieleki bardziej przypominają mężczyzn niż dziewczęta, ale takie postawienie sprawy po prostu mijало się z prawdą. Tymi „potworami” były francuskie arystokratki: kobiety, które spędzały wiele godzin, czekając, aż fryzjerki ułożą im włosy; chodziły na tańce; piły mrożony szampan, ulubiony napój króla^[474]. A cała ta nieszczęsna afera została zapoczątkowana przez pewną śmiałą, buntowniczo nastawioną, filigranową markizę, która miała na imię Marie-Madeleine.

La Brinvilliers

Marie-Madeleine d'Aubray urodziła się w 1630 roku jako córka radcy parlamentu, co stanowiło posadę dającą zarazem rozległe wpływy, jak i godziwe dochody. Miała dwóch młodszych braci oraz siostrę, która prawdopodobnie nie była równie atrakcyjna jak ona, skoro skończyła w zakonie. A Marie – no cóż, Marie była po prostu jedną z tych ślicznych, odważnych dziewcząt, pełnych życiowej energii. Dumna, wrażliwa, obdarzona żywym temperamentem. Miała wielkie błękitne oczy i kasztanowe włosy oraz przyjemną dla oka figurę: była „niewysoka, ale wyjątkowo zgrabnie ukształtowana”^[475]. A do tego Marie była inteligentna. Pewien historyk, który przeanalizował jej listy, donosił później, że jej ortografia była bez zarzutu, „rzecz dość rzadka w przypadku dam jej epoki”,

a charakter pisma „godny uwagi – śmiały, zdecydowany, jak u mężczyzny”^[476].

Marie jednak wyróżniała się nie tylko charakterem pisma, które wskazywało na wcześnie rozbudzone talenty. Wiele lat później oświadczyła również, że straciła dziewictwo w wieku lat siedmiu ze swoim pięcioletnim bratem – twierdzenie, któremu następnie zaprzeczała. Jednak kiedy ta pogłoska dotarła do paryskich amatorów plotek, przyczyniła się jedynie do wzmocnienia aury zakazanego erotyzmu, jaka przez większą część życia otaczała Marie.

Jako młoda kobieta Marie weszła w niebywale libertyńskie kręgi paryskiej elity, skupione wokół amoralnego dworu Ludwika XIV. To był oszałamiający świat, który cechował się „skrajną bezwzględnością i kompletnym brakiem zmysłu moralnego”^[477]. Zaludniony przez znudzonych, podstępnych arystokratów, którzy z upodobaniem oddawali się hazardowi, grając przez wiele dni i nocy z rządu, rozsiewali złośliwe plotki na temat swoich rywali, angażowali się w publiczne romanse i pochłaniali kieliszek za kieliszkiem mrożonego szampana oraz nieustannie knuli intrygi, aby doprowadzić do upadku swoich wrogów.

Mimo zepsucia, przebiegającego przez dwór niczym pulsująca arteria, w paryskim dobrym towarzystwie panowało niewzruszone przekonanie, że przynależność do arystokracji oznacza, że jest się kimś *lepszym* niż inni ludzie. Arystokraci uważali, że skoro mają władzę i bogactwo, to znaczy, że są też po prostu dobrzy – że bycie szlachetnie urodzonym nadaje pewnego wyjątkowego charakteru ich osobom. Kilkadziesiąt lat później obrońca Marie dowodził, że najprawdopodobniej nie mogła się dopuścić żadnych zbrodni z racji swoich „wyższych zalet, urodzenia i fortuny”. Arystokrata, owszem, mógł być trochę zepsuty, trochę rozpuszczony – te nieprzespane noce!, kochankowie!, za dużo gier hazardowych! – ale arystokraci nie robili niczego, co byłoby w dosłownym sensie *przestępstwem*. To było po prostu nie do pomyślenia^[478].

W wieku lat dwudziestu jeden Marie weszła nieco głębiej w kręgi lepszego towarzystwa, gdy poślubiła zamożnego Antoine’a Gobelina. Rodzina męża zawdzięczała swoją fortunę produkcji barwników. Dochody Gobelina w połączeniu z posagiem Marie oznaczały, że jako zamożna para małżeńska, o dość wysokiej pozycji społecznej, mogli wieść beztrudne życie w Paryżu. A nawet lepiej. Posiadłość Gobelina, zwana Brunvillier, została ostatecznie podniesiona do statusu „markizatu”, co wraz z niewielką zmianą pisowni przyniosło Marie tytuł markizy de Brinvilliers, albo „Tej Brinvilliers”, jeśli pisało się o niej w plotkarskim liście.

Czy byli zakochani? Czy w tamtych czasach w ogóle ktoś kochał swojego małżonka? Pod koniec życia Marie pisała z głębokim uczuciem o Gobelinie, ale wkrótce po ślubie oboje otwarcie zaczęli romansować z innymi. Zachowanie skandaliczne, tak, ale wcale nie takie niezwykle: prawdę mówiąc młoda, atrakcyjna, zamożna i zamężna kobieta powinna była, zgodnie z obyczajem, mieć kochanków. W siedemnastowiecznej Francji posiadanie kochanka nie skazywało nikogo na ostracyzm. Raczej zaczynało o tobie mówić. Poza tym Gobelin okazał się człowiekiem słabym i najwyraźniej nie dbał o to, co robi Marie, jeśli tylko nie przeszkadzała mu w jego własnych, bezbarwnych amorach. Marie dla odmiany „cechowała się niezwykle żywym, bujnym usposobieniem”^[479] i dość szybko zakochała się w kimś, kto potrafił znacznie lepiej zadbać o jej potrzeby niż mąż.

Na nieszczęście wybrała jednego z tych mężczyzn, których powinna była unikać. Jej kochanek, zabójczo przystojny oficer armii, Godin de Sainte-Croix, miał reputację kobieciarza, z pewną zdecydowanie mroczną skazą charakteru, a do tego był błyskotliwym łajdakiem, który potrafił elokwentnie rozprawiać na każdy temat, od teologii po chemię^[480]. W życiu Marie odegrał rolę „demonia, który ściągnął na nią burzę i zagroził bezpieczeństwu jej rodziny”^[481]. Ale Marie zawsze uwielbiała burze. Wkrótce oboje stali się przedmiotem rozkosznie skandalicznych plotek w całym mieście.

Podczas gdy jej mąż pracowicie krzątał się wokół swoich romansów, nie dbając wiele o to, co Marie robi z Sainte-Croixem, jej potężny ojciec i dwaj bracia nie byli już tak wyrozumiali. Widzieli, jak otwarcie Marie przechwalała się swoim romansem i czuli się tym głęboko upokorzeni. Inni arystokraci może i chichotali z upodobaniem, opowiadając sobie o erotycznych wyczynach Marie, ale mężczyznom z jej rodziny te zachowania nie wydawały się ani ekscytujące, ani zabawne niczym kolejny, paryski żart. Stały się źródłem bolesnego poczucia hańby.

W tamtych czasach we Francji, jeśli miało się odpowiednią pozycję i ktoś okrywał twoją rodzinę wstydem, wystarczyło po prostu wystąpić o podpisany przez króla nakaz aresztowania, znany jako *lettre de cachet*. I tak pewnego popołudnia, gdy zakochana para przejeżdżała przez Paryż w swoim kosztownym powozie, została zatrzymana przez straż, wymachującą *lettre de cachet*, wystawionym na prośbę ojca Marie, po czym Sainte-Croix został niezwłocznie odesłany do Bastylii.

Można sobie wyobrazić wściekłość, jaka ogarnęła Marie, gdy jej kochanek został w ten sposób publicznie wyrwany z jej objęć. W drodze do domu „miotła się w ślepej furii dzikiego zwierzęcia”^[482]. Dla Marie to była chwila, od której wszystko się zaczęło. Później oświadczyła lodowato, że „nie powinno się nikogo wyprowadzać z równowagi; gdyby Sainte-Croix nie został umieszczony w Bastylii, być może nic by się nie wydarzyło”^[483].

Dobrzy ludzie

Niewykluczone, że właśnie w więzieniu, gdzie spędził sześć tygodni, Sainte-Croix poznał innego więźnia, tajemniczego Włocha, znawcę trucizn, który nazywał się Egidio Exili. Paryska histeria na punkcie trucicielstwa jeszcze się nie rozszalała i nadal pokutowało przekonanie, że posługiwanie się takimi specyfikami stanowi domenę podstępnych Włochów. (Francuski pamflet z tego okresu powiadał, że we Włoszech trucizna to „najbardziej pewny i najbardziej rozpowszechniony środek, pozwalający złagodzić nienawiść i pragnienie zemsty”^[484], zupełnie jak gdyby opisywano jakiś rodzaj lekarstwa na dolegliwości gastryczne).

Marie twierdziła później, że to Exili nauczył Sainte-Croiksa wszystkiego, co niezbędne na temat tajemniczej sztuki stosowania trucizn. Po czym zmieniła swoją opowieść, utrzymując dla odmiany, że w rzeczywistości Sainte-Croix dowiedział się wszystkiego o truciznach od szwajcarskiego chemika Christophe’a Glasera, uczonego, cieszącego się wielką sławą i pełniącego rolę aptekarza samego monarchy. Glaser swoją sławę zawdzięczał w równej mierze wiedzy, co szalonym receptom, uwzględniającym takie ingrediencje jak „czaszka człowieka, który zmarł gwałtowną śmiercią”^[485].

Oczywiście trujące proszki sprzedawano w każdej aptece, więc Marie mogła wejść w posiadanie fiolki arszeniku albo antymonu, kiedy tylko miała na to ochotę. Jednak jej opowieść o początkach całej sprawy wskazuje na ożywiający kochanków pragnienie, aby wpisać swoje zbrodnie w jakiś szerszy kontekst. Nie chcieli być zwykłymi, skromnymi trucicielami. Pragnęli poczucia, że są współnikami wielkich postaci; pragnęli podnieść swoje trucicielskie praktyki do rangi makabrycznej sztuki.

Podczas gdy Sainte-Croix siedział w Bastylii, Marie miała mnóstwo czasu, aby wściekać się coraz bardziej z powodu utraty kochanka. Jednak na tym nie kończyły się jej troski; potrzebowała także pieniędzy. Jej mąż fatalnie radził sobie z finansami, musieli spłacić jego karciane długi, a do tego Sainte-Croix był kosztownym kochankiem, który szastał jej pieniędzmi, jakby to były jego własne. Nie trzeba dodawać, że bogactwo jej ojca zaczęło wyglądać coraz bardziej kusząco.

Sainte-Croix zaraz po wyjściu z więzienia, drugiego maja 1663 roku, wynajął laboratorium i zaczął rozpowiadać, że jest alchemikiem, a przynajmniej znajduje się na dobrej drodze do tego, aby nim zostać. Zawsze doskonale świadomy swojej reputacji zepsutego młodzieńca, zaczął rozsiewać pogłoski, że jest już bardzo, bardzo blisko wielkiego odkrycia, a jednocześnie zaczął wypróbować trucizny^[486].

Sięgnięcie po truciznę wydawało się obojgu kochankom posunięciem sensownym. Potrzebowali pieniędzy, byli wściekli na ojca Marie i gdyby tylko znaleźli właściwą formułę, wszystko wyglądałoby tak, jak gdyby jej ojciec zmarł z powodu podagry, problemów żołądkowych albo jakiejś naprawdę paskudnej gorączki. Aby udoskonalić swój przepis, Marie postanowiła wypróbować go na pacjentach Hôtel Dieu, sławnego publicznego szpitala położonego tuż obok Notre Dame. Tam, przechadzając się wśród chorych, rozdawała swoim ulubieńcom zatrute konfitury i słodczyce, po czym obficie zalewała się łzami, gdy spotykała ich nieuchronna śmierć.

„Któż mógłby coś takiego wymyślić, że kobieta wychowana w szanowanej rodzinie [...] mogłaby uczynić sobie rozrywkę z udawania się do szpitali, aby truć pacjentów?” – pisał Nicolas de la Reynie, ówczesny szef policji^[487]. Marie, ze swoimi wielkimi oczami i zgrabną figurą, wyglądała i zachowywała się jak dobra arystokratka, która pochyla się, aby pogłodzić czoło żebraka, umierającego w gorączce. Przedstawicielom władz, takim jak de la Reynie, trudno było pogodzić tę całą manifestacyjną dobroć i szlachetność z faktem, że w rzeczywistości Marie w ogóle nie była kimś dobrym. (Nawet w swoim domu, gdzie powinna zachowywać się jak przystało na dobrą żonę, Marie rozsiewała zło. Eksperymentowała na jednej ze swoich służących, karmiąc ją zatrutym agrestem i szynką; w rezultacie biedna pokojówka czuła palący ból w żołądku i przez trzy lata uskarżała się na problemy zdrowotne).

Gdy kochankowie nabrali pewności, że ich trucizna działa skutecznie i jest praktycznie nie do wykrycia, zwrócili się przeciwko ojcu Marie. Córkę umieściła w domu ojca służącego, który zaczął podtruwać go arszenikiem. Nadszedł rok 1666. Tym samym nadeszła pora, aby tatuś pożegnał się z tym światem.

Trujące wody

W ciągu następnych ośmiu miesięcy Marie przyglądała się, jak jej ojciec gaśnie.

Kiedy wysłany przez nią służący zaaplikował mu już wystarczająco wiele trucizny, aby zniszczyć jego zdrowie, Marie stawiała się u łóżka cierpiącego ojca w jego wiejskiej posiadłości i przejęła kontrolę nad morderczym procesem, dodając arszeniku do jego jedzenia i napojów. Powolna agonia ojca nie robiła na niej żadnego wrażenia; podała mu truciznę co najmniej trzydzieści razy. Kiedy jej starszy brat przybył, aby sprawdzić, co się dzieje z ojcem, poruszony pisał w liście do swojego zwierzchnika: „Zostałem go w stanie, który powiedział mi, że nie ma niemal żadnej nadziei na to, aby odzyskał zdrowie [...] w tak skrajnej udręce”^[488]. Po miesiącach wymiotów, potwornego bólu żołądka i uczucia, że palą go całe wnętrzności, Monsieur d’Aubray zmarł dziesiątego września 1666 roku. Przyczyna śmierci, jaką podali jego lekarze? Podagra^[489].

Spadek podzielono między czwórkę rodzeństwa d’Aubray. Marie i Sainte-Croix szybko przepuścili swoją część. W 1670 roku znaleźli się ponownie w punkcie wyjścia: rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy, ścigani przez wierzycieli i pełni nienawiści do każdego, kto kiedykolwiek stanął przeciw ich miłości.

Bracia Marie mieszkali razem, co było dość wygodne, ale starszy z nich miał żonę, która nienawidziła Marie. To zaś oznaczało, że Marie nie była mile widziana w jej kuchni, a tym samym nie mogła „przyprawić” żadnej tarty, pasztetu ani wina. Umieściła więc w domu braci kolejnego służącego. Nazywał się La Chaussée i był idealnym człowiekiem do tej roli: pracował wcześniej dla Sainte-Croiksa, miał kryminalną przeszłość oraz podobnie jak Marie, potrafił z lodowatą cierpliwością patrzeć, jak ktoś umiera. La Chaussée natychmiast zabrał się do pracy z pomocą starannie dobranych, „trujących wód” (jedna była czerwona, druga przejrzysta), zaprawiając nimi rozmaite napoje i wyszukane potrawy mięsne, które obaj bracia spożywali z upodobaniem^[490]. Wkrótce zaczęli uskarżać się na palący ból w żołądku.

Śmierć obu braci Marii także trwała długo. Mówimy tutaj o miesiącach cierpienia: wymiotach, niezdolności do zjedzenia czegokolwiek, skurczach, utracie wzroku, krwawych stolcach, opuchliznie, utracie wagi oraz poczuciu nieustającego palenia wnętrzności. Ich ciała stały się tak „cuchnące i zarażone”^[491], że nie sposób było przebywać z nimi w jednym pokoju. Trudno też sobie wyobrazić siostrę, która potrafiła w ten sposób patrzeć, jak jej bracia powoli umierają w męczarniach, ale taka właśnie była Marie. Była wściekła. „Gwałtowne namiętności”, które towarzyszyły jej przez całe życie, obejmowały nie tylko poządlivość i chciwość, ale także palące pragnienie *zemsty*^[492]. Jej bracia, razem z ojcem, zbudowali patriarchalną klatkę, z której nieustannie próbowała się wyrwać. Skazali ją na małżeństwo ze słabym, nudnym mężem, a potem ją ukarali, gdy próbowała od niego uciec. Domagali się od niej odpowiedniego zachowania nie tylko ze względu na nią samą, ale także ze względu na ich własną reputację. Odpowiedziała straszliwą zemstą.

Starszy brat Marie zmarł w czerwcu, młodszy przeżył do września. Sekcja zwłok obu d’Aubrayów wykazała potworne zniszczenia organizmu: żołądek i wątroba były poczerniałe i przeżarte gangreną, jelita praktycznie rozpadały się. Po śmierci młodszego brata lekarze zaczęli podejrzewać, że obaj zostali otruci, ale nie upierali się przy swoich podejrzeniach. Nikt nie miał pojęcia, kto mógłby popełnić taką zbrodnię, tym bardziej, że La Chaussée z wielkim talentem odgrywał rolę wiernego służącego, a sama Marie zadbała,

aby w chwili śmierci każdego z nich znaleźć się wiele kilometrów od domu. La Chaussée dostał nawet sporą sumę, sto koron, w nagrodę za swoją wierną służbę.

Po śmierci wszystkich najbliższych krewnych płci męskiej Marie zaczęła planować zamordowanie siostry, pobożnej, niezamężnej dziewczyny, dysponującej znacznym majątkiem. Chciała także otruć bratową, która właśnie odziedziczyła sporą część majątku d'Aubraya, co niezmiernie zirykowało Marie. W dodatku rozważała otrucie swojego męża i poślubienie Sainte-Croiksa – choć ten ostatni najwyraźniej nie był zainteresowany tym pomysłem. Jedną z największych plotkarek epoki madame de Sévigné pisała, że kiedy Marie podawała swojemu mężowi truciznę, Sainte-Croix – który „nie palił się, aby pojąć za żonę tak niegodziwą kobietę” – nieustannie podsuwał biednemu człowiekowi remedium. Rezultat? „Pięć albo sześć razy miało nim; to był otruty, to wolny od trucizny, i ciągle pozostawał przy życiu”^[493].

Nie trzeba dodawać, że Sainte-Croix i Marie swój miodowy miesiąc już dawno mieli za sobą. Marie z wściekłością napisała nawet do niego list, w którym oświadczyła, że życie jej zbrzydło i właśnie się otruła za pomocą specyfiku, który kupiła od niego za tak wysoką cenę^[494]. W rzeczywistości Marie tuż po śmierci swoich braci związała się z kolejnym kochankiem. Ten nowy związek miał okazać się dla niej równie destrukcyjny jak romans z Sainte-Croiksem, tyle że w inny sposób; podczas gdy Sainte-Croix zachęcał ją do zbrodni, nowy kochanek właśnie z powodu zbrodni ostatecznie zwrócił się przeciwko niej. Ale na razie Marie nie miała pojęcia, że kiedyś ją zdradzi. Wiedziała tylko, że nowy mężczyzna, jaki pojawił się w jej życiu, jest miły, młody i dobry.

Różne osobliwe sekrety

Jean-Baptiste Briancourt jesienią 1670 roku otrzymał posadę nauczyciela dzieci Marie i wkrótce potem został jej kochankiem. Briancourt, podobnie jak jej mąż, był człowiekiem tchórzliwym, słabego charakteru, ale musiał się wydawać markizie atrakcyjną odmianą w przeciwieństwie do Sainte-Croiksa, ponieważ Marie w tym okresie czuła się bardzo niepewnie w swoim związku (stąd pomysły małżeństwa i groźby samobójstwa). Podczas gdy Sainte-Croix był osobnikiem pozbawionym skrupułów i nie bał się niczego, Briancourt zachowywał się ostrożnie i kierował się zasadami moralności. Markiza kompletnie zawróciła mu w głowie, a jednocześnie budziła w nim lęk; nieustannie mówiła o truciznach i opowiedziała mu wszystko o swoich zbrodniach. Poza tym na własne oczy widział, jak okrutnie traktuje swoją córkę i podejrzewał, że usiłuje otruć dziewczynkę^[495].

W końcu Briancourt zaczął się zastanawiać, czy markiza nie próbuje i jego uśmiercić. Jego najgorsze obawy potwierdziły się, gdy pewnego razu Marie zaprosiła go, aby przyszedł o północy do jej buduaru. Kiedy Briancourt, nieco wcześniej niż było umówione, przypadkiem znalazł się obok jej pokoju, dostrzegł, że Marie ukrywa Sainte-Croiksa w swojej garderobie. W rezultacie doszło do sceny niemal rodem z wodewilu: Briancourt pojawił się o północy, urażony, milczący; Marie usiłowała zaciągnąć go do łóżka; Briancourt nagle rzucił się w stronę garderoby; Marie z krzykiem skoczyła za nim, próbując go powstrzymać przed otwarciem drzwi; mimo to Briancourt otworzył je i znalazł się twarzą w twarz z czającym się tam Sainte-Croiksem. Na ten widok wrzasnął:

„Ach, łajdaku, przyszedłeś tutaj, żeby wbić mi nóż!”. Sainte-Croix błyskawicznie wybiegł z sypialni, a Marie rzuciła się na podłogę, wrzeszcząc i płacząc oraz grożąc, że zaraz się otruje. Ostatecznie Briancourt jakoś ją uspokoił, obiecując, że jej wybaczy, a jednocześnie utwierdził się w przekonaniu, że powinien uciec z samego rana^[496].

Marie zaczęła się załamywać. Potrafiła z zimną krwią mordować krewnych, ale burzliwy związek z Sainte-Croixem wyczerpywał jej siły. Powoli uświadamiała sobie, że ten człowiek w pewnym sensie skradł jej całe życie. Oddała mu swój majątek i swój czas, swoją miłość; związała się z nim najstraszliwszymi sekretami. On, w zamian, wykorzystywał ją bez skrpułów, a teraz, gdy pojawiły się kłopoty, zamierzał się wycofać. Po czym, w akcie ostatecznej zdrady, Sainte-Croix umarł, zanim odkryto jego zbrodnię, i cała wina spadła teraz na nią.

Według legendy trzydziestego lipca 1672 roku Sainte-Croix przygotowywał trucizny w swoim tajnym laboratorium, założywszy na twarz szklaną maskę, aby uniknąć wdychania niebezpiecznych wyziewów. Ale kiedy stał pochylony nad płomieniem, mieszając w jakimś diabelskim tyglu, maska pękła i Sainte-Croix natychmiast zginął od własnej trucizny. W rzeczywistości jego śmierć nie była aż tak malownicza. Po prostu umarł po długiej chorobie i nikt nie podejrzewał, że jest przestępcą. Prawdę mówiąc, w oczach Kościoła odszedł z tego świata jako dobry człowiek: przed śmiercią zdążył się wypowiadać i otrzymał ostatnie namaszczenie.

Jak się okazało, był jednak katastrofalnie zadłużony i paryskie sądy wysłały do jego domu komisarza, który miał uporządkować sprawy majątkowe. (Jak na ironię komisarz przybył z tego samego budynku, w którym niegdyś pracował ojciec Marie). Komisarz wśród dokumentów Sainte-Croiksa dość szybko natknął się na tajemniczy zwój zatytułowany „Moje wyznanie”, ale ponieważ akurat w tym momencie nie wysuwano jeszcze wobec zmarłego żadnych podejrzeń, uznał, że dokument stanowi rodzaj wynurzeń o charakterze religijnym, słowa człowieka skierowane do Boga, nieprzeznaczone dla oczu postronnych. A skoro tak, postanowił, że należy wrzucić papier do ognia^[497].

Poza tym jednak komisarz znalazł także niewielkie pudełko pełne tajemniczych fiolek i proszków, obejmujących, jak się okazało, takie substancje, jak: antymon, wiotriol, sublimat i opium^[498]. Co jeszcze dziwniejsze, w środku był list, z którego wynikało, że na wypadek śmierci Sainte-Croiksa, całą zawartość pudełka należy niezwłocznie dostarczyć markizie de Brinvilliers. „Wszystko, co się w nim znajduje, ma związek z nią i należy wyłącznie do niej” – czytamy w liście. „Na wypadek, gdyby umarła przede mną [...] należy je spalić i wszystko, co się w nim znajduje”^[499]. Komisarz znalazł także liczne papiery i koperty opatrzone napisem: „spalić na wypadek śmierci”, a pewien biograf twierdził nawet, że Sainte-Croix ośmielił się zatytułować jedną z kopert „Różne osobliwe sekrety”^[500]. Jak można się domyślać, komisarz przekazał pudełko policji.

Cała sprawa nabrała jeszcze bardziej podejrzanego charakteru, gdy Marie późnym wieczorem pospiesznie udała się na policję, domagając się, aby niezwłocznie wydano jej pudełko tru... – to znaczy „osobliwych sekretów”. Powinna zachowywać się spokojnie, odgrywając nostalgiczną tęsknotę za rzeczami należącymi do zmarłego kochanka, tymczasem przez swoje „natarczywe nalegania i niezwykle sposób, w jaki domagała się zwrotu” pudełka, spowodowała, że władze nabrały podejrzeń^[501]. Policjanci zamiast

przekazać jej pudełko, postanowili zbadać jego zawartość i podali próbki dwu najbardziej tajemniczych substancji zwierzętom, a te po kilku godzinach zmarły^[502].

Kiedy bratowa Marie usłyszała o tajemniczym pudełku pełnym trucizn, natychmiast zjawiła się w sądzie, domagając się zemsty za morderstwo popełnione na jej mężu. Złożyła oskarżenie przeciwko La Chausséemu, którego szybko wtrącono do więzienia i oświadczyła władzom, że powinny natychmiast schwytać markizę Brinvilliers.

Marie uciekła z kraju.

Tortury

Podczas gdy władze francuskie poszukiwały markizy na całym kontynencie, La Chaussée stanął przed sądem. Jako człowiek niskiej rangi społecznej, mający za sobą kryminalną przeszłość, a przeciw sobie gniewną arystokratkę, od początku nie miał szans. Został uznany winnym, zanim cokolwiek wyznał, wyłącznie w oparciu o „domysły i silne przypuszczenia”^[503]. Dwudziestego czwartego marca 1673 roku sędziowie skazali go na śmierć, ale najpierw miał zostać poddany torturom pytań (*Question ordinaire et extraordinaire*^[504]).

Pytania stanowiły w istocie formę tortur za pomocą wody, podczas których zatykano ofierze nos, tak aby nie mogła oddychać, rozciągano ciało na koźle i wlewano do gardła znaczne ilości wody – dwa razy więcej w przypadku pytań ekstraordynaryjnych. Po wyduszeniu z siebie zeznań, wśród jęków, La Chaussée został następnie poddany kolejnej torturze za pomocą urządzenia, zwanego *brodequin*. Umieszczano goleń skazańca między dwiema deskami, po czym między deskę a nogę powoli wbijano kliny, co prowadziło ostatecznie do zgniecenia goleni. Podczas tej tortury La Chaussée odmówił przyznania się do czegokolwiek, ale kiedy uwolniono go, nie wytrzymał i powiedział wszystko. (Najwyraźniej było to zachowanie typowe dla tortur – sama ulga, że człowiek jest wolny od bólu, często sprawiała, że z ust skazańca płynął strumień zeznań). Następnie przywiązano go do koła, stłuczono żelaznymi drągami i pozostawiono, aby wykrwawił się w agonii. Ten rodzaj egzekucji był znany jako „łamanie kołem” i przywodzi na myśl ukrzyżowanie – podczas którego ofiara umiera, patrząc w niebo.

Marie skutecznie wymykała się władzom francuskim przez dokładnie trzy lata i jeden dzień od chwili skazania La Chausséego na śmierć. Podróżowała po Europie, żyjąc z niewielkich sum pieniędzy, przesyłanych przez siostrę – tę samą siostrę, którą niegdyś pragnęła zamordować. Po śmierci siostry, w 1675 roku, Marie musiała radzić sobie sama i w końcu wynajęła pokój w klasztorze w Liège, będącym wówczas niezależnym miastem-państwem, w którym stacjonowały liczne oddziały francuskie. Okazało się, że popełniła wielki błąd. Wkrótce do władz Paryża dotarła wiadomość, że niesławna La Brinvilliers ukrywa się w klasztorze i Marie została aresztowana.

Kiedy wieziono ją z powrotem do Paryża, aby postawić przed sądem, kilka razy próbowała się zabić, połykając gwoździe i garści tłuczonego szkła. Jeśli w świetlanych czasach romansu z Sainte-Croixem mówiło o niej całe miasto, teraz zyskała jeszcze większą sławę. Zaczęła krążyć plotka, że próbowała nawet – w pewnym sensie – wbić się na pal, wpychając sobie ostrą żerdź między nogi. Jak pisała jedna z przyjaciółek madame

de Sévigné: „Wsadziła sobie drąg – zgadnij gdzie! Nie w oko, nie w usta, nie w ucho, nie w nos i nie na sposób turecki [analnie]. No, zgadnij gdzie!”^[505]. La Brinvilliers przez tak wiele lat romansowała na oczach wszystkich, że nawet pogłoski o jej próbach samobójczych wpisywano w kontekst bardzo silnie nacechowany seksualnie. Jednak Marie nie była już dzikim dzieckiem Paryża libertynów. W wieku lat czterdziestu sześciu była kobietą napiętnowaną, a do tego nie miała już sił.

Po aresztowaniu Marie w jej pokoju znaleziono plik papierów – pisemne wyznanie. Podobnie jak jej kochanek, Marie rozpaczliwie pragnęła uwolnić swoje sumienie od ciężaru. W tym dokumencie oskarża siebie o „dziwaczne i potworne zbrodnie”: zamordowanie ojca, zabójstwo obu braci, przyczynienie się do tego, że La Chauséego łamano kołem, próby otrucia jednego ze swoich dzieci, myśli samobójcze, spalenie jakiejś stodoły, snucie planów zamordowania siostry i próbę otrucia własnego męża. Prawdę mówiąc, wyparła się całego swojego życia. „Oskarżam samą siebie o to, że wywołałam powszechny skandal” – pisze. „Oskarżam siebie o to, że nie czciłam mojego ojca oraz że nie okazywałam mu należnego szacunku, jaki byłam mu winna”. Przyznaje się do tego, że miała dwoje dzieci z Sainte-Croiksem oraz trzecie dziecko z kuzynem, oraz że utraciła dziewictwo w wieku lat siedmiu z bratem, oraz że dopuszczała się kazirodztwa „trzy razy w tygodniu, być może w sumie trzysta razy”. Oświadczyła także, że oddając się Sainte-Croiksowi, przyczyniła się do własnej zguby^[506].

Oczywiście Marie w tym wyznaniu jednym pociągnięciem pióra odwraca naszą uwagę od wszystkich swoich morderstw, gdy, uciekając się do skrajności, mówi o kazirodztwie, i co najmniej jeden historyk wysunął na tej podstawie przypuszczenie, że jej słowa można odczytać jako zaszyfrowaną wiadomość o seksualnym wykorzystywaniu w dzieciństwie^[507]. W czasach Marie te twierdzenia jedynie podsycaly jej reputację kobiety o nienasyconej pożądlivosti. Ale kiedy czytamy je dziś, mamy przed oczami portret zrozpaczonej, samotnej kobiety, przepojonej poczuciem żalu i obsesyjnie pogrążającej się w samozatruceniu: od nieokazywania należnej czci ojcu przechodzi do zamordowania go, od sypania z braćmi po morderstwo popełnione na nich, od wywołania „powszechnego skandalu” do przyczynienia się do poprzedzonej torturami śmierci nieszczęsnego drobnego przestępcy. W sądzie wszystkiego się wyparła, twierdząc, że w chwili, kiedy pisała to wyznanie, była niespełna rozumu: miała gorączkę, była zagubiona, sama, w obcym kraju.

Ponieważ Marie była kobietą o wysokim statusie społecznym, sąd potrzebował niepodważalnych dowodów, aby wykazać jej winę – a do tego obciążające ją „wyznanie” okazało się niewystarczające. Wśród zeznań wielu świadków ciągle powracał jeden motyw: La Brinvilliers miała *obsesję* na punkcie trucizny. Jedna z kobiet opowiedziała, że Marie pewnego razu upiła się na przyjęciu i wymachując pudełkiem trucizn Sainte-Croiksa, mówiła ze śmiechem: „Oto zemsta na wrogach! To pudełko jest niewielkie, ale pełno w nim majątków do odziedziczenia!”^[508]. Ktoś inny słyszał, jak Marie powiedziała do Briancourta (ach, te paryskie plotki!), że istnieją „sposoby, aby pozbyć się ludzi, którzy sprawiają jej przykrość”^[509]. Żadne z tych świadectw nie wystarczyło, aby ją skazać – aż do chwili, gdy w sądzie pojawiła się osoba, która wiedziała wszystko o jej zbrodniach: sam Briancourt.

Marie w sumie przez osiemnaście godzin wysłuchiwała, jak jej były kochanek składał obciążające ją zeznania. Opowiedział sądowi wszystko: o tym, jak ona i Sainte-Croix zabili jej ojca i braci, jak prosiła go o pomoc w zamordowaniu swojej siostry i bratowej, jak spiskowała, aby zamordować jego samego z pomocą Sainte-Croix, ukrytego w garderobie. Marie przysłuchiwała się temu wszystkiemu z przerażającą wyniosłością, na wszystkie oskarżenia odpowiadając, że Briancourt jest pijakiem i kłamcą. Kiedy Briancourt, stojąc na miejscu dla świadków, zaczął płakać i oświadczył: „Ostrzegałem panią wiele razy, madame, mówiąc o twojej niegodziwości i twoim okrucieństwie, i o tym, że twoje zbrodnie przywiodą cię do zguby”, Marie nazwała go tchórzem. Sąd ze zdumieniem patrzył na jej postawę: dziwną i pozbawioną współczucia, jednak zeznanie Briancourta było właśnie tym, czego sędziowie potrzebowali, aby ją skazać^[510].

Marie była prawdziwym zjawiskiem na sali sądowej: spokojna, chłodna, dumna. Nieustannie wszystkiemu zaprzeczała, nawet wtedy, gdy całe jej życie zostało na jej oczach „bezlitośnie rozczłonkowane”^[511]. Pod wpływem przeraźliwej natury jej zbrodni wszyscy obecni w sądzie przeżywali silne emocje – w końcu nawet sędziowie zaczęli płakać – ale Marie „siedziała dumnie wyprostowana i w jej błękitnych oczach nie pojawiła się ani jedna łza”^[512].

Szesnastego lipca 1676 roku sędziowie uznali, że jest winna i skazali ją na „pytania” *ordinaire et extraordinaire*, mając nadzieję, że podczas tortur zdradzi nazwiska współników. Po torturach miała zostać ścięta. W pewnym sensie ten wyrok był miłosierny. Mogli ją skazać na spalenie żywcem^[513].

De Profundis

Przydzielono Marie spowiednika, jezuitę, który nazywał się Edme Pirot, człowieka równie głęboko wrażliwego i pełnego współczucia jak Marie była dumna i chłodna. Prawdę mówiąc, Pirot miał duszę tak delikatną, że podobno mdlał na widok krwi. Nic dziwnego więc, że widok Marie – która była już bardzo chuda i zrezygnowana w obliczu czekającej ją śmierci – natychmiast poruszył jego serce.

Podobnie jak wcześniej Briancourt, Pirot rozpaczliwie pragnął, aby Marie wyznała swoje winy, a ona, jakimś cudem, pragnęła teraz wyrazić skruchę. Spędziwszy trochę czasu w towarzystwie spowiednika, oświadczyła, że jest gotowa złożyć w sądzie pełne zeznania. I tam, na oczach wszystkich, ostatecznie przyznała się, że zabiła ojca i braci. Być może miała nadzieję, że w ten sposób uniknie tortur.

Na swoje nieszczęście nie powiedziała sędziom niczego, czego już wcześniej nie wiedzieli; mieli nadzieję, że wyda współników, mroczne sekrety, ważne nazwiska. W mieście zaczęła szaleć paranoja na punkcie trucizn i władze wpadały w panikę na myśl o przerażającej nieuchwytności tego rodzaju przestępstw. Obawiano się, że po śmierci Marie jej trucizny w jakiś sposób znowu zaczną zabijać. W końcu, w swoim wyznaniu wspominała, że sprzedała truciznę innej kobiecie, która chciała zabić swojego męża. Kto mógł przewidzieć, kogo ta pajęcza sieć zła, czynionego przez kobiety, jeszcze dotknie?

A zatem rozpoczęły się tortury. Marie rozebrano do naga i rozciągnięto na drewnianym koźle, z nogami w kostkach przywiązanymi do podłogi i dłońmi

przytwierdzonymi do ściany za jej plecami. Kat zaczął przez lejek wtlaczać jej wodę do gardła, a kiedy po każdej kolejnej porcji z trudem łapała oddech, zadawano jej pytania.

„Mój Boże, chcecie mnie zabić!” – łkała. „Powiedziałam tylko prawdę”. Do gardła wiano jej kolejną porcję wody. „Chcecie mnie zabić!” – wołała znowu. Uniesiono kozła, aby jej ciało rozciągnęło się jeszcze bardziej, rozpoczęły się pytania ekstraordynaryjne. „Boże, rozerwiecie mnie na kawałki!” – wrzeszczała. „Boże, litości! Boże, miej łaskę nade mną!” Jej kostki i przeguby zaczęły krwawić, a kat dalej wtlaczał jej wodę do gardła, mimo to La Brinvilliers nie chciała przyznać się do niczego więcej ponad to, co już powiedziała w sądzie, jęcząc, że nie chce kłamać, bo to „zabiłoby jej duszę”^[514].

Po czterech i pół godzinach tortur oprawcy uświadomili sobie, że jeśli Marie skrywała jakieś mroczne sekrety, zamierzała zabrać je ze sobą do grobu. Oświadczyli jej więc, żeby przygotowała się na śmierć i odesłali ją z powrotem do spowiednika.

Najwyraźniej upokorzenie i przerażający charakter tortur po części obudziły w Marie dawny ogień. Poprzedniego wieczoru w towarzystwie Pirotta była pokorna i gotowa wszystko wyznać, ale teraz ogarniał ją gniew na myśl o przeżytym upokorzeniu oraz tym, co ją jeszcze czekało. W drodze na szafot będzie musiała publicznie wyznać swoje grzechy, a po śmierci jej prochy zostaną rzucone na wiatr – niesłychany koniec dla wyniosłej markizy. Pirott tak usilnie próbował ją nakłonić, aby znowu poczuła skruchę, że w końcu się rozplakał. Wreszcie, po godzinie błagań i łez, Marie także zaczęła płakać.

Egzekucja skandalicznej La Brinvilliers stanowiła spore wydarzenie i na ulicach zjawilo się wielu członków paryskiej arystokracji, pragnących obejrzeć jej haniebną procesję przez miasto. Podstawiono niewielki brudny wózek do przewożenia skazańców, którym miała pojechać na szafot. W drodze do wózka Marie musiała minąć grupę arystokratów, którzy znaleźli jakiś sposób na to, aby dostać się na teren więzienia i jeszcze raz rzucić okiem na tę niesławną kobietę, ciekawi zapewne, czy była wciąż tą samą dziewczyną, z którą tańczyli, grali w karty, wznosili toasty zmrożonym szampanem. Teraz stała bosa, w białej koszuli z szorstkiego płótna; z jej szyi zwisała pętla, symbol czekającego ją losu.

Droga przez Paryż – Marie mijała kolejne grupy gapiących się na nią arystokratów oraz tłumy wrzeszczące, że zasłużyła na śmierć – była zapewne niezwykle wymagającą próbą dla kobiety o jej statusie społecznym. Pirott, który obserwował ją z bliska, zauważył, że dosłownie skręcała się ze wstydu, gniewu i upokorzenia: „Jej twarz skurczyła się, brwi miała ściągnięte, oczy miały iskry, usta miała wykrzywione. Całe oblicze było naznaczone goryczą”^[515]. Rysunek przedstawiający tę straszliwą chwilę, uwiecznioną przez artystę Charlesa LeBruna, można do dziś oglądać w Luwrze. To posępny obraz powtarzającego się cyklu ludzkich nieszczęść – zabójca w drodze na szafot.

Procesja dotarła pod Notre Dame, gdzie Marie musiała wysiąść z wózka i poddać się publicznemu aktowi skruchy. Uklękła i trzymając w ręku zapaloną pochodnię, oświadczyła: „Wyznaję, że niegodziwie i pod wpływem pragnienia zemsty otrułam mojego ojca i moich braci oraz próbowałam otruć moją siostrę, aby wejść w posiadanie ich dóbr. Proszę o wybaczenie Boga, króla i prawo mojego kraju”^[516]. Jak pisał później Pirott, „Niektórzy powiadają, że zawahała się, wypowiadając imię ojca – ale niczego takiego nie zauważyłem”^[517].

Na szafocie kat ściął Marie włosy i rozdarł koszulę, aby odsłonić szyję i ramiona. Pirot szeptał jej do ucha modlitwy, starając się ją uspokoić, podczas gdy tłum wrzeszczał gniewnie, zagłuszając jego słowa. Kat zasłonił jej oczy, a ona zaczęła powtarzać posłusznie słowa modlitwy za Pirotem, gdy długi miecz błysnął w powietrzu. Nagle zamilkła.

Pirot, któremu zakręciło się w głowie, uznał, że kat chybił kompletnie, ponieważ Marie, chociaż przestała się odzywać, nadal klęczała wyprostowana z głową na ramionach. Jednak chwilę później głowa stoczyła się z jej karku, a ciało padło naprzód. Kat spytał Pirotą: „Dobry cios?” i natychmiast wypił łyk wina. Zgodnie z prośbą Marie, Pirot zaczął odmawiać nad jej krwawiącym ciałem *De profundis*, katolicką modlitwę za zmarłych. „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie”.

„Będziemy ją wdychać”

La Brinvilliers była martwa, a Paryż przerażony, roztrzęsiony, oburzony. „Afera madame de Brinvilliers jest straszna i od dawna nie słyszano, aby ktoś wspominał o kobiecie tak niegodziwej jak ona” – pisała jedna z paryskich plotkarek do innej. „Źródłem wszystkich jej zbrodni była miłość”^[518]. Ponieważ Marie nie kryła swoich apetytów seksualnych, przechwalając się demonstracyjnie w całym Paryżu swoim romansem z Sainte-Croixem, opowieść o pięknej markizie, która truła innych z powodu miłości, wydawała się jej współczesnym czymś naturalnym jako wyjaśnienie jej uczynków.

Na miłość oraz jej bliskich kuzynów, pożądanie i obsesję, od niepamiętnych czasów wskazywano jako na „źródło” zbrodni popełnianych przez kobiety, i to na wiele archetypowych sposobów: czy była to zazdrosna kochanka, odrzucona miłość, szalona Ofelia, czy dziewczyna z gangu Mansona, poddana w sekcie praniu mózgu. Miłość pozwala snuć opowieść, która jest nie tylko romantyczna, ale także *przyjemna*. W końcu to płomień palący się jasnym ogniem; miłość może niszczyć, ale w swoim jądrze powinna być prawdziwa i szlachetna, podobnie jak francuscy arystokraci uchodzili za ludzi dobrych. Jeśli źródłem przestępstw Marie była miłość, odpadała najgorsza część jej niegodziwości, a ona przynajmniej stawała się bardziej akceptowalna społecznie. Godzono się z tym, że dobra arystokratka będzie odrobinę szalona, tam gdzie chodzi o miłość, zwłaszcza arystokratka zakochana w takim człowieku jak Sainte-Croix, który przechwalał się swoją pseudowiedzą i jako rzekomy alchemik próbował zamienić zwykłe metale w złoto.

Dziś potrafimy dostrzec, że tym, co popychało markizę do zbrodni, nie była miłość, mimo uporczywych paryskich plotek. Marie kochała i była kochana, i być może miłość przyczyniła się do jej upadku, ale była także wybuchowa, chciwa i skoncentrowana na swoim pudełku „majątków do odziedziczenia”. („Nie powinno się nikogo wyprowadzać z równowagi!”) Tyle że pieniądze były prozaiczne, a pragnienie zemsty, w przypadku arystokratki, uważano za niesmaczne, więc zadowolono się opowieścią o miłości.

Ale nawet mimo tej romantycznej pozłoty, historia Marie odcisnęła się na Paryżu silnym piętnem – przerażone miasto obsesyjne zaczęło obawiać się trucizny. Jeśli śliczna, bogata kobieta mogła otruć swoich najbliższych mężczyzn, kto potrafi się oprzeć pokusie

sięgnięcia po truciznę? Jeśli arystokracja może się okazać tak przeżarta złem, kto może czuć się bezpieczny?

„Cóż, wszystko się skończyło, sprawa załatwiona, Brinvilliers jest teraz w powietrzu” – pisała madame de Sévigné do przyjaciółki. „Jej biedne, małe ciało zostało po egzekucji wrzucone do bardzo wielkiego ognia, a jej prochy ciśnięte na wiatr, więc będziemy nią oddychać i za pośrednictwem komunikacji subtelnych duchów może i w nas zrodzić się ta sama skłonność do sięgnięcia po truciznę, która wprawi w zdumienie nas wszystkich. [...] Nigdy nie widziano takich tłumów ani Paryż nie był tak podekscytowany i napięty”^[519].

Prawdę mówiąc, niektórzy paryżanie z taką uwagą śledzili losy Marie, że obserwowali, jak jej ciało się spala do samego końca. Pragnęli zobaczyć, gdzie wylądują jej prochy. Ludzie, którzy stali najbliżej szafotu, opowiadali potem, że tuż przed ścięciem jej twarz rozjaśniło światło. Śmierć uczyniła ją świętą, mówili, i zaczęli szukać w prochach kawałków jej kości.

Zakończenie

Horror

Czas połowicznego rozpadu w przypadku morderstwa trwa wiecznie. Siła przyciągania kryminalnej historii jest ogromna. I tak jest jakieś milion rzeczy, nad którymi trzeba się zastanawiać, kiedy się myśli o seryjnych mordercach. Milion punktów widzenia do przeanalizowania, milion zagadek do rozwikłania. Już samo to wydaje się dość dziwne. Czemu właściwie można snuć na temat tych ludzi tak liczne teorie? Czy nie powinniśmy po prostu ograniczyć się do umycia rąk i jak najszybciej o nich zapomnieć? Dlaczego mamy na ich punkcie *obsesję*? I czemu pewna przyjaciółka gwałtownie odsunęła ode mnie krzesło, na którym siedziała, gdy powiedziałam jej, że „okazywałam empatię, choć nie sympatyzowałam” z każdą kobietą opisaną w tej książce?

Ludzie zwykle reagują na dwa sposoby, kiedy wspominam, że piszę książkę o seryjnych zabójczyniach. Słyszę żywiołowe: „To zabawne!” albo pełne przestrochu: „To straszne”. (Sekretna opcja numer trzy: nerwowy chichot, któremu towarzyszy delikatny krok do tyłu). Rozumiem te wszystkie reakcje, ale każda z nich wzięta z osobna jest błędna. Wierzę, że musimy i śmiać się, i wzruszać ramionami, aby zrozumieć naszą ludzką historię, która po części stanowi dziedzictwo śmierci.

Odwracanie się od zbrodni z odrazą jest czymś naturalnym, ale jeśli będziemy odwracać się od niej zbyt mocno, popadniemy w pewną iluzję. Psychologowie mają teorię, która głosi, że uwielbiamy separować się od „zła”, ponieważ dzięki temu czujemy się lepsi: „Umieszczanie zła w wybranych jednostkach albo grupach kryje w sobie «społeczną wartość», polegająca na «uwalnianiu» samego społeczeństwa od ciężaru winy”^[520]. A poczucie, że jest się niewinnym, z całą pewnością brzmi wspaniale. Jednak, jak pisał Aleksander Sołżenicyn, mając za sobą szereg straszliwych doświadczeń (więzienie, obóz pracy przymusowej, wygnanie): „Gdybyż to było takie proste! – że są gdzieś te czarne charaktery, w czarnych zamiarach wykonujące swoją czarną robotę i że trzeba tylko umieć je rozpoznać i zniszczyć! Ale linia podziału między dobrem a złem przecina serce każdego człowieka. A kto gotów jest odciąć kawałek własnego serca?”^[521].

Uwielbiam również sposób, w jaki pisze o tym Joyce Carol Oates: „Kiedy próbujemy zrozumieć umysł seryjnego zabójcy, staramy się zrozumieć ludzki umysł w jego skrajności, a czy cokolwiek, co jest «ludzkie», powinno być nam obce? To, w jakim punkcie to, co «ludzkie» przechodzi na stronę tego, co «potworne», jest w końcu kwestią prawa, ideologii albo estetycznego smaku”^[522].

Kobiety

To prawda, że seryjne zabójczynie często przez dłuższy czas działają niezauważone. Ale, tak dla porządku, powiedzmy sobie jedno: gadanina, jak to „nikt nawet sobie nie uświadamia, że *istnieją* kobiety seryjne zabójczynie”, może szybko osunąć się w śmieszność. Zabójczynie istnieją, jednak niedoceniając realności tego faktu nie oznaczają, że dosłownie narażamy swoje życie za każdym razem, gdy rozmawiamy z kobietą. W pewnej, skądinąd wspaniałej książce na ten temat, natknęłam się na zdanie,

że „śliczna dziewczyna stojąca za ladą w delikatesach, która kroi dla nas chleb”, może w rzeczywistości być zabójczynią bez serca. Człowieku, po prostu zamów swoją kanapkę, *nic* ci się nie stanie.

Mimo to nie poświęcano zabójczyniom zbyt wiele dociekliwych badań, a kiedy już się je podejmuje, daleko im do wyczerpania tematu: często koncentrują się głównie na morderstwach popełnianych w Stanach Zjednoczonych, albo na zabójstwach dokonanych w ciągu minionych stu lat itd. Z tego powodu nie uwzględniłam w tej książce bardzo wielu danych statystycznych; zwykle wydają się albo ograniczone w swoim zakresie, albo niewiarygodne. Mimo to podam jedną wielkość, która może was ucieszyć: w Stanach Zjednoczonych ryzyko, że zostanieie zamordowani przez seryjną zabójczynię, wynosi mniej więcej jeden na pięćdziesiąt milionów^[523].

Prawdopodobieństwo, że zostanieie zamordowani przez którąś z kobiet opisanych w tej książce oczywiście wynosi zero. Moja decyzja, aby wybrać zabójczynie pokryte już nieco „patyną czasu” (Nannie Doss to najmłodsza z nich, ale ona działała w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku), miała głównie charakter estetyczny; w sytuacji gdy ofiary i sprawcy od dawna nie żyją, środek ciężkości samej opowieści przesuwa się, mam nadzieję, w stronę tego, co niezwykle i mesmeryzujące, nie zaś w stronę tego, co po prostu... przynębiające. Współcześni seryjni zabójcy z całą pewnością są warci badań, ale jest w najnowszych zbrodniach pewien ciężar i pewien smutek, które za sprawą historii zwykle tracą swoją ostrość, na dobre albo złe. Tak czy inaczej, żyjemy w czasach nienależących do seryjnych zabójców. To rodzaj morderców, jaki dziś jest rzadkością, zagrożony gatunek, zupełnie inaczej niż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku, gdy wydawało się, że wręcz roi się od nich na ulicach i nie sposób ich powstrzymać^[524]. Jeśli charakter zbrodni odzwierciedla obawy i niepokoje danej epoki, to żyjemy w erze masowych morderstw, w epoce terrorystów. Nasze gwałtowne rozkosze nadal prowadzą do równie gwałtownego i szybkiego końca, ale charakter tego końca zmienia się wraz z pulsowaniem kolejnych epok.

Jeden wynik potwierdza się jednak wielokrotnie w różnych badaniach statystycznych: większość seryjnych zabójców, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, to osoby białe^[525]. (Czy jesteśmy zaskoczeni?) Oczywiście, dane statystyczne zawsze odzwierciedlają stojący za nimi aparat pojęciowy. Powiedziałabym raczej, że większość seryjnych zabójców, o których *pisze się* w mediach i którzy *pojawią się* w zapisach historycznych, to osoby białe. Jeśli chodzi o kategorię „kobieta seryjna zabójczyni o innym kolorze skóry niż biały, działająca przed latami pięćdziesiątymi dwudziestego wieku”, to informacje, jakimi dysponujemy, są skąpe, trudno dostępne albo najwyraźniej nie zostały w żaden sposób nigdy udokumentowane. W dodatku wiele informacji mija się z prawdą; jeśli uda wam się znaleźć spis odnotowanych w historii seryjnych zabójczyń, podzielony na kategorie według rasy, zauważycie, że wiele kobiet nie-białych, jakie w nich występują jako najdawniejsze „seryjne zabójczynie”, to w rzeczywistości postaci mityczne, rozbójniczki albo złowrogie królowe. Moje własne badania oczywiście muszą z konieczności być niedoskonałe i niepełne, ale mogę wam powiedzieć, kogo chciałam umieścić w tej książce: Clementine Barnabet, młodą, czarną dziewczynę z Nowego Orleanu, oraz Miyuki Ishikawę, japońską akuszerkę. Na nieszczęście niewiele informacji

zachowało się na ich temat, poza faktami dotyczącymi samych zbrodni, nawet (w przypadku Miyuki) w języku japońskim, i nie zdołałam dotrzeć do wystarczająco wielu szczegółów, aby móc w pełni ożywić te postaci na użytek czytelników.

Mówiąc bardziej ogólnie: zastanawiam się, czy seryjne zabójczynie dlatego nie stały się przedmiotem rozległych badań, że w ostatecznym rachunku w głębi serca nie uważamy ich za bohaterki warte takiego wysiłku. Niech kroją chleb; niech wbijają w nas wzrok zza lady w delikatesach. My po prostu się ich *nie boimy*.

Ból serca

Okazuje się, że los kobiety zabójczynie to los osoby samotnej. Żadna z kobiet opisanych w tej książce nie miała, jak się wydaje, zbyt wielu bliskich przyjaciół. Tillie miała kuzynkę Nellie, Raya miała Sakinę, Anna i Alice miały ukochanych synów. Ale to wszystko. Małżeństwo i macierzyństwo z oczywistych powodów nie stały się dla większości z tych kobiet źródłem pocieszenia. I o ile potrafię powiedzieć, o tyle jedynymi ludźmi, którzy naprawdę próbowali jakoś do nich dotrzeć albo starali się je zrozumieć, byli duchowni, dziennikarze oraz od czasu do czasu jakiś lekarz albo obrońca – innymi słowy ludzie, którzy otrzymali polecenie, aby się nimi zajmować już *po tym*, jak zostały zamknięte w więzieniu; wysłano ich, kiedy już było za późno, aby uratować je przed nimi samymi.

A skoro mówimy o samotności; kiedy myślę o tych kobietach, do głowy przychodzi mi termin *mise en abyme*^[526], który dosłownie znaczy „umieszczony w otchłani”. To wyrażenie przywołuje na myśl uczucie, jakie ogarnia człowieka w gabinecie luster: obraz obrazu, coś co mnoży się w nieskończoność. Słyszę te słowa i widzę Elżbietę Batory, jak stoi w ogromnych salach swojego zamku, spadając w otchłań; nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby ukazać jej cokolwiek innego poza jej własną, zniekształconą rzeczywistością. I widzę Mary Ann Cotton, skazaną na nieustanne powtarzanie siebie samej, w nieskończoność odgrywającą mroczną parodię małżeństwa i macierzyństwa. I widzę wieśniaczki z Nagyrév oraz ich morderstwa, z których każde jest niczym sztuka teatralna, wpleciona w treść *Hamleta*, maleńką opowieścią odzwierciedlającą inną opowieść w wielkiej skali, wzmacniającą poczucie, że to, co się wydarzyło, i to, co się miało wydarzyć było kompletnie nieuniknione.

W jakimś sensie nie robi na mnie wrażenia to, że wszyscy mamy obsesję na punkcie seryjnych zabójców. Może tak być powinno. (Mark Seltzer, profesor UCLA, który wielokrotnie pisał na temat przemocy, nazywa tę obsesję „kulturą rany” – naszą tendencją do tego, aby skupiać się wokół traumy, naszą niezdolnością do tego, aby odwrócić oczy). Nie sądzę, aby nasze obsesje brały się z tego, że wszyscy jesteśmy w skrytości ducha ludźmi gwałtownymi i jedynie wykorzystujemy seryjnych zabójców do odgrywania naszych najmroczniejszych fantazji. Myślę, że wypływają z naszego niekończącego się uwielbienia dla opowieści. To powiedziawszy, muszę przyznać, że podczas pisania tej książki prześladowała mnie myśl o palącym poczuciu moralnej odpowiedzialności. Nie chcę, aby morderstwo stawało się mimochodem czymś banalnym albo zabawnym. Nie chcę, aby seryjne zabójczynie wyrastały na jakiś skrajny przykład feministek. Nie chcę być częścią długiej tradycji uwznioślenia seryjnych zabójców, choć jestem pewna, że od

czasu do czasu nie udaje mi się tego uniknąć. Wierzę jednak w uzdrawiającą i oświecającą moc opowieści i sądzę, że można się czegoś nauczyć, przyglądając się złu, usiłując je zrozumieć, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jesteśmy sami odrobinę za nie odpowiedzialni. *Czy cokolwiek, co jest ludzkie powinno być nam obce?* To pytanie jest przerażające i piękne.

Płakałam dwukrotnie podczas pracy nad tą książką, za każdym razem w tym samym miejscu: w chwili, gdy Anna Marie Hahn całkowicie załamuje się w drodze na krzesło elektryczne. Morderstwa, których dopuściła się Anna, należą do popełnionych z wyjątkowo zimną krwią, w kontekście tych, które opisałam w tej książce – jednak w obliczu własnej śmierci Anna nie potrafiła zachować zimnej krwi. Myślę, że to jest takie poruszające, takie smutne, ponieważ pokazuje, jak rozpaczliwie ludzkie ciało pragnie żyć, nieważne, jak zła czy na wszystko obojętna stała się dusza, która je zamieszkuje. Nawet najbardziej psychopatyczna kobieta, patrząc w oczy własnej śmierci, potrafi sobie uświadomić, że tym, co ostatecznie ceniła najbardziej, było jednak samo życie.

Przypisy

- [1] F. Nietzsche, *Z genealogii moralności*, przeł. L. Staff Kraków 2003, s. 125.
- [2] Eurypides, *Medea*, przeł. J. Łanowski, w: *Ajschylos, Sofokles, Eurypides, Antologia tragedii greckiej*, Kraków 1975, s. 398.
- [3] A.L. Farrell, R.D. Keppel, V.B. Titterington, *Lethal Ladies: Revisiting What We Know About Female Serial Murderers*, „Homicide Studies” 15, nr 3 (2011): s. 228–52.
- [4] Według danych statystycznych zgromadzonych w bazie danych: Radford University/FGCU Serial Killer Database oraz informacji zawartych w: W. Eric, *Serial Murderers and Their Victims*, Belmont, CA, 1997.
- [5] P. Vronsky, *Female Serial Killers: How and Why Women Become Monsters*, Nowy Jork 2007, s. 3.
- [6] Zob. indeks na stronie: unknownmisandry.blogspot.com.
- [7] D. Schurman-Kauflin, *The New Predator – Women Who Kill: Profiles of Female Serial Killers*, Nowy Jork 2000, s. 12.
- [8] Pojęcie analizowane w: P. Pearson, *When She Was Bad: How and Why Women Get Away with Murder*, Nowy Jork 1998.
- [9] F.S. Perri, T.G. Lichtenwald, *The Last Frontier: Myths and the Female Psychopathic Killer*, „Forensic Examiner”, lato 2010, s. 50–67.
- [10] M.A. Harrison, E.A. Murphy, L.Y. Ho, T.G. Bowers, C.V. Flaherty, *Female Serial Killers in the United States: Means, Motives, and Makings*, „Journal of Forensic Psychiatry and Psychology” 26, nr 3 (2015), s. 383–406.
- [11] M. Harland, *The Truth about Female Criminals*, „North American Review” 150, nr 398, styczeń 1890, s. 138–40.
- [12] Perri, Lichtenwald, *The Last Frontier*.
- [13] *Ibid.*
- [14] *Questions sur les empoisonneurs*, BA, MS 2664, fol. 45 w: L.W. Mollenauer, *Strange Revelations: Magic, Poison, and Sacrilege in Louis XIV’s France*, University Park, PA 2007, s. 63, 159.
- [15] Tę listę można znaleźć – dostęp z 6 listopada 2016 – na cieszącej się uznaniem stronie: holytaco.com/female-murderers-casey-anthony.
- [16] Nietzsche, *Z genealogii moralności*, s. 125.
- [17] Cytat pochodzi z tekstu Lwa Tołstoja: *Несколько слов по поводу книги Война и мир*, opublikowanego w 1868 r. w czasopiśmie „Русский архив”. W anglojęzycznych wydaniach *Wojny i pokoju* bywa umieszczany jako posłowie – przyp. tłum.
- [18] Ten przydomek, dość popularny w odniesieniu do Elżbiety Batory, występuje w wielu pozycjach cytowanych poniżej.
- [19] T. Thorne, *Countess Dracula: The Life and Times of the Blood Countess, Elisabeth Báthory*, Londyn 1997, s. 84. R.T. McNally, *Dracula Was a Woman: In Search of the Blood Countess of Transylvania*, Nowy Jork 1983, s. 19. V. Penrose, *The Bloody Countess*, Londyn 1970, s. 15. K.L. Craft, *Infamous Lady: The True Story of Countess*

Erzsébet Báthory, Lexington 2009, s. 14.

[20] McNally, *Dracula Was a Woman*, s. 19. Craft, *Infamous Lady*, s. 13.

[21] McNally, *Dracula Was a Woman*, s. 16, 18–19. Penrose, *The Bloody Countess*, s. 15.

[22] McNally, *Dracula Was a Woman*, s. 21.

[23] Craft, *Infamous Lady*, s. 13.

[24] Thorne, *Countess Dracula*, s. 89.

[25] McNally, *Dracula Was a Woman*, s. 30. Thorne, *Countess Dracula*, s. 92.

[26] Craft, *Infamous Lady*, s. 41.

[27] *Ibid.*, s. 63.

[28] McNally, *Dracula Was a Woman*, s. 60.

[29] *Ibid.*, s. 127.

[30] Craft, *Infamous Lady*, s. 64.

[31] *Ibid.*, s. 62.

[32] Zeznanie Ficzkó, przekład w dodatkach do: Craft, *Infamous Lady*.

[33] Tripartitum opus iuris consuetudinarii incliti regni Hungariae – przyp tłum.

[34] R.L. Bledsaw, „No Blood in the Water: The Legal and Gender Conspiracies Against Countess Elizabeth Bathory In Historical Context” (praca magisterska, Illinois State University, 2014), s. 30.

[35] Craft, *Infamous Lady*, 67.

[36] *Ibid.*, s. 58, 116.

[37] *Ibid.*, s. 57.

[38] Raport: Mózes Cziráky, 27 października 1610, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[39] Craft, *Infamous Lady*, s. 104.

[40] Zeznanie Dorki, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[41] Zeznanie Ficzkó, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[42] List Janósa Ponikenusza, duchownego kościoła w Csejte, do teologa Éliasa Lanyiego, 1 stycznia 1611, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[43] Wszystkie opisy tortur pochodzą z akt procesu oraz zeznań Dorki, Ficzkó, Ilony Jó oraz Katalin, *ibid.*

[44] Zeznanie Ilony Jó, *ibid.*

[45] Z raportu Andrása z Keresztúr dla króla Macieja II, 28 lipca 1611, *ibid.*

[46] Nazywał się László Turóczy.

[47] Zeznanie Ilony Jó, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[48] Craft, *Infamous Lady*, s. 126, 127, 155.

[49] *Ibid.*, 99.

[50] *Ibid.*, 90.

[51] *Ibid.*, s. 107–8, 113.

[52] *Ibid.*, s. 110.

[53] List Zrínyi do Thurzona, 12 luty 1611, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

[54] Craft, *Infamous Lady*, s. 127–8.

[55] List Ponikenusza do Éliasa Lanyiego, 1 stycznia 1611, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.

- [56] List Thurzona do żony, 30 grudnia 1610, *ibid.*
- [57] Craft, *Infamous Lady*, s. 133.
- [58] *Ibid.*, s. 160.
- [59] Zeznanie Szuzanny, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.
- [60] *Ibid.*, s.244.
- [61] Zeznanie Nicolausa Barosiusa, pastora z Verbo, *ibid.*
- [62] *Ibid.*, s. 171.
- [63] Pogłębioną analizę kwestii stosowania tortur, kontekstu przesłuchań oraz „zwykłego dochodzenia” por. Bledsaw, „No Blood in the Water”, s. 30.
- [64] Thorne, *Countess Dracula*, s. 167. Penrose, *The Bloody Countess*, s. 168.
- [65] Craft, *Infamous Lady*, s. 180.
- [66] List Stanisława Thurzona do Jerzego Thurzona, 25 sierpnia 1614, Craft, *Infamous Lady*, dodatki.
- [67] Craft, *Infamous Lady*, s. 184.
- [68] Takim przydomkiem prasa najczęściej opatrywała Nannie Doss w okresie jej największej popularności.
- [69] „Corsicana Daily Sun”, *Possible Poison Victims Now 14*, 7 grudnia 1954.
- [70] „Pampa Daily News”, *Nannie Doss Hams It Up for Newsmen*, 8 grudnia 1954.
- [71] „Lawton Constitution”, *Nannie Doss Enjoyed Good, Clean Romance*, 3 czerwca 1965.
- [72] „Kansas City Times”, *Doss Tales as False*, 30 listopada 1954.
- [73] „Lima News”, *Jovial Mrs. Doss Never Lost Smile Throughout Four Poison Confessions*, 19 grudnia 1954.
- [74] *Ibid.*
- [75] „Kansas City Times”, *Full Story Not Told*, 1 grudnia 1954.
- [76] *Ibid.*
- [77] „Great Bend Tribune”, *Reticent Widow Investigated In Arsenic Deaths*, 27 listopada 1954.
- [78] „Miami Daily News Record”, *Nannie Doss Admits Poison Deaths of 4*, 29 listopada 1954.
- [79] „Bridgeport Telegram”, *Affable Grandmother Confesses Poisoning of 5 Husbands*, 29 listopada 1954.
- [80] „Logansport Pharos Tribune”, *Tulsa Widow Confesses Killing Five Husbands*, 29 listopada 1954.
- [81] „Brownwood Bulletin”, *Endorsement of Widow Written by Poison Victim*, 30 listopada 1954.
- [82] „Bridgeport Telegram”, *Affable Grandmother*.
- [83] „Pampa Daily News”, *Defense Wants to ‘Shut Up’ Nannie Doss*, 1 grudnia 1954.
- [84] *Ibid.*
- [85] „Bridgeport Telegram”, *Affable Grandmother*.
- [86] „Miami Daily News Record”, *Suspect Gave Autopsy Okay*, 29 listopada 1954.
- [87] „Logansport Pharos Tribune”, *Tulsa Widow*.

- [88] „Anniston Star”, *Nannie’s Conscience Clear*, 3 czerwca 1965.
- [89] „Kansas City Times”, *Doss Tales*, 30 listopada 1954.
- [90] *Ibid.*
- [91] *Ibid.*
- [92] „Pampa Daily News”, *Nannie Doss Hams It Up for Newsmen*, 8 grudnia 1954.
- [93] „Moberly Monitor Index”, *Slayer of Four Husbands Will ‘Quit Talking’*, 30 listopada 1954.
- [94] Ostatnią rozmowę Bundy’ego z Jamesem Dobsonem można obejrzeć pod adresem <https://vimeo.com/49018764>, dostęp 5 lutego 2017, tekstowa wersja wywiadu jest dostępna w wielu miejscach w sieci.
- [95] „Brownwood Bulletin”, *Widow Liked to Write Epitaphs for Tombstones of Her Poison Victims*, 5 grudnia 1954.
- [96] „Neosho Daily News”, *Doctors Begin Sanity Tests on Nanny Doss*, 16 grudnia 1954.
- [97] „Lubbock Morning Avalanche”, *Confessed Slayer to Mental Hospital*, 17 grudnia 1954.
- [98] „McKinney Daily Courier Gazette”, *Grandma Doss Described as ‘Ideal Patient’*, 9 marca 1955.
- [99] „El Paso Herald Post”, *Slayer of Four Husbands Held Insane by Examiners*, 14 marca 1955.
- [100] „Greenwood S.C., Index Journal”, *Jury to Decide if Granny Doss Legally Sane*, 2 maja 1955.
- [101] „Long Beach Independent”, *Killer of Four Husbands Gets New Proposal*, 26 marca 1955.
- [102] *Ibid.*
- [103] „Harlingen TX, Valley Morning Star”, *Psychologist Holds Nannie Doss Insane*, 3 maja 1955.
- [104] „Palm Beach Post”, *Woman Termed Shrew Who Slew Four Husbands*, 4 maja 1955.
- [105] „Pampa Daily News”, *Nannie Doss Called Shrewby Prosecutor*, 4 maja 1955.
- [106] „Albuquerque Journal”, *Nannie Might Kill Again Sanity Hearing Jury Told*, 4 maja 1955.
- [107] „Anniston Star”, *Chuckling Mrs. Doss Agrees She’s Sane Enough Face Trial*, 5 maja 1955.
- [108] „Salem OR, Daily Capital Journal”, *Grandma Doss Gets Life Term*, 2 czerwca 1955.
- [109] „Brownsville Herald”, *Arsenic Slayer Gets Life Term*, 2 czerwca 1955.
- [110] „Sedalia Democrat”, *Nannie Doss Gets Life Term for Killing Husband*, 2 czerwca 1955.
- [111] „Miami Daily News Record”, *Nannie Grants an Interview*, 7 września 1955.
- [112] „Moberly Monitor Index”, *Accused Poisoner Sent to Hospital for Mental Tests*, 16 grudnia 1954.
- [113] „Miami Daily News Record”, *Nannie Grants*, 7 września 1955.

[114] „Miami Daily News Record”, *Like Being AT Home, 'Nannie Says of Her Stay in State Penitentiary*, 1 grudnia 1955.

[115] *Ibid.*

[116] *Ibid.*

[117] M.C. Brower, *Advances in Neuropsychiatry: Neuropsychiatry of Frontal Lobe Dysfunction in Violent and Criminal Behaviour: A Critical Review*, „Journal of Neurology, Neurosurgery and Psychiatry” 71, nr 6 (2001), s. 720–6.

[118] „Gastonia Gazette”, *Grandma, You Rat!*, 30 listopada 1954.

[119] Cytaty pochodzą z: „The Guardian” *Canada's Black Widow*, 25 marca 2016 oraz „Daily Mail”, *The Many Faces of Canada's 'Internet Black Widow*, 19 marca 2016.

[120] Ten cytat przytaczało wiele źródeł prasowych. „The Edwardsville Intelligencer”, *News Quotes*, 13 maja 1957.

[121] „Panama City News-Herald”, *Widow Rejects Life in Prison*, 13 maja 1957.

[122] „New York Times”, *Lizzie Halliday Dead; Guilty of Five Murders and Described as 'Worst Woman on Earth'*, 29 czerwca 1918.

[123] „Harrisburg Daily Independent”, *Murder Is a Mania with Her*, 11 września 1893.

[124] „Algona Upper Des Moines”, *Young Yeta Fiend*, 15 lipca 1891.

[125] G.A. Blumer, *The Halliday Case*, „Brooklyn Medical Journal”, 9, s. 169.

[126] „New York Times”, *Distrusted Mrs. Halliday*, 12 września 1893.

[127] Blumer, *The Halliday Case*, s. 167.

[128] *Ibid.*, s. 168.

[129] *Ibid.*, s. 166.

[130] „New York, NY, The World”, *A Woman without a Heart*, 5 listopada 1893.

[131] *Ibid.*

[132] „New York Times”, *The Halliday Murder Case*, 7 września 1893.

[133] N.J. Plainfield, *The Daily Press*, *Mrs. Halliday's Trial*, 20 czerwca 1894.

[134] „Middletown Daily Argus”, *Lizzie Halliday' Trial*, 20 June 1894.

[135] „Lebanon Daily News”, *Watching Her Closely*, 8 września 1893.

[136] „New York Times”, *Mrs. Halliday in Jail*, 9 września 1893.

[137] „New York Times”, *Mrs. Halliday Not Insane*, 12 września 1893.

[138] „Chicago Tribune”, *To Stop the Insanity Dodge*, 21 kwietnia 1898.

[139] „Transactions of the Medical Society of the State of New York” 1895, s. 241.

[140] Wywiady Nellie Bly z Lizzie można znaleźć w: *A Woman Without a Heart*, „The World”, 5 listopada 1893 oraz *Lizzie Borgia*, „St. Louis Post Dispatch”, 5 listopada 1893.

[141] „Sun and the Erie County Independent”, *Cut Her Throat This Time*, 15 grudnia 1893.

[142] „Middletown Daily Argus”, *Trial*.

[143] „New York, NY, Evening World”, *A Wierd Murderess [sic!]*, 20 czerwca 1894.

[144] „New York, NY, Evening World”, *Was Like a Tigress*, 21 czerwca 1894.

[145] „New York, NY, Sun”, *Mrs. Halliday Convicted*, 22 czerwca 1894.

- [146] „Middletown Daily Argus”, *Trial*.
- [147] „New York, NY, Sun”, *Convicted*.
- [148] „Middletown Times Press”, *More Mystery*, 11 września 1893.
- [149] Spostrzeżenia na temat stanu Lizzie znajdują się w: J.B. Ransom, *Shall Insane Criminals Be Imprisoned or Put to Death?*, „Transactions of the Medical Society of the State of New York”, 1895, s. 233.
- [150] Blumer, *The Halliday Case*, s. 163.
- [151] Ransom, *Insane Criminals*, s. 235.
- [152] Blumer, *The Halliday Case*, s. 173.
- [153] „Middletown Daily Argus”, *Lizzie Halliday Getting Better*, 12 sierpnia 1895.
- [154] „Washington Bee”, *Mrs. Halliday Tries Again*, 7 września 1895.
- [155] „York, PA, Gazette”, *Exciting War Play*, 6 listopada 1898.
- [156] „French Broad Hustler”, *Mad Murderess Kills Girl Nurse*, 4 października 1906.
- [157] „Middletown Times Press”, *More Mystery*, 11 września 1893.
- [158] „Leavenworth Times”, *The Gipsy Fiend*, 11 października 1893.
- [159] „Middletown Times Press”, *More about Mrs. Halliday*, 4 grudnia 1893.
- [160] *True Relation of Four Most Barbarous and Cruel Murders Committed In Leicestershire by Elizabeth Ridgway*, G. Croom, Londyn 1684.
- [161] R.E. Josselin, E. Hockliffe, *The Diary of the Rev. Ralph Josselin, 1616–1683*, Londyn, Offices of the Society, 1908.
- [162] Croom, *A True Relation*.
- [163] J. Newton, *A true relation of the fact, trial, carriage and death of Ridgeway*, Londyn, Richard Chiswell, 1684.
- [164] W pamflecie George’a Crooma nazywał się William, ale ponieważ Newton rozmawiał z Elizabeth osobiście, jestem skłonna uznać jego relację za bardziej wiarygodną.
- [165] Croom, *A True Relation*.
- [166] Newton twierdzi, że to był biały arszenik. Newton, *Fact, Trial, Carriage*.
- [167] Croom, *A True Relation*.
- [168] *Ibid.*
- [169] Newton, *Fact, Trial, Carriage*.
- [170] *Ibid.*
- [171] *Ibid.*
- [172] *Ibid.*
- [173] *Ibid.*
- [174] Croom, *A True Relation*.
- [175] Newton, *Fact, Trial, Carriage*.
- [176] *Ibid.* Wszystkie następne przytoczenia wypowiedzi Elizabeth w rozmowach z Newtonem oraz Newtona na temat Elizabeth pochodzą z relacji Newtona.
- [177] Perri, Lichtenwald, *The Last Frontier: Myths and The Female Psychopathic Killer*, „Forensic Examiner”, lato 2010, s. 50–67.
- [178] Croom, *A True Relation*.

[179] Newton, *Fact, Trial, Carriage*.

[180] Croom.

[181] *Ibid.*

[182] *Ibid.*

[183] To jeden z wielu zwierzęcych przydomków, jakimi prasa opatrywała siostry. S.T. Lopez, *Madams, Murders, and the Media, Re-Envisioning Egypt 1919–1952*, Kair 2005, s. 384.

[184] Cytat z Abazy pierwotnie ukazał się w: „Al-Ahram Weekly”, 25 listopada 1920 oraz ponownie w: Yunan Labib Rizk, *The Women Killers*, „Al-Ahram Weekly”, 17–23 czerwca 1999.

[185] Najlepszym źródłem na temat wczesnego życia sióstr jest praca: Issa, Salah, *Rijal Raya wa Sekina: Sira Ijtima'yahwa Siyasiyyah*, Kair 2002.

[186] N. Takla, *Murder in Alexandria: The Gender, Sexual and Class Politics of Criminality In Egypt, 1914–1921*, rozprawa doktorska, UCLA, s. 146.

[187] *Ibid.*, s. 26.

[188] Issa, *Rijal Raya wa Sekina*, s. 468.

[189] *Ibid.*, s. 168.

[190] *Ibid.*, s. 111–112.

[191] Takla, *Nefertiti, Murder in Alexandria: The Gender, Sexual and Class Politics of Criminality in Egypt, 1914–1921*, „UCLA Center for Study of Women”, 21 marca 2016, dostęp 1 kwietnia 2016, csw.ucla.edu/2016/03/21/murder-alexandria-gender-sexual-class-politics-criminality-egypt-19141921/.

[192] Takla, rozprawa doktorska, s. 79.

[193] *Ibid.* s. 103.

[194] S. Botman, *Egypt from Independence to Revolution: 1919–1952*, Syracuse, NY, 1991, s. 100.

[195] „Al-Lataif al-Musawara”, 29 listopada 1920, cyt. za: *The Centenary of Ray and Sakina*, „CommunityTimes”, 11 lutego 2015, dostęp 5 lutego 2017, communitytimes.me/thecentenary-of-ray-and-sakina/. Nie udało mi się odnaleźć tytułu oryginalnego artykułu.

[196] Tak ujmuje to Issa. Issa, *Rijal Raya wa Sekina*, s. 468.

[197] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[198] Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 373.

[199] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[200] „Al-Haqa'iq”, 21 listopada 1920, cyt. za: Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 389. Nie udało mi się odnaleźć tytułu oryginalnego artykułu.

[201] Komentarz redakcyjny w „Al-Umma”, 21 listopada 1920, cyt. za: Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 385.

[202] Komentarz redakcyjny w „Al-Haqa'iq”, 20 grudnia 1920, cyt. za: Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 385.

[203] Abaza, „Al-Ahram Weekly”.

[204] Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 384.

[205] „Appleton, WI, Post Crescent”, *50 Murder Mysteries Cleared by Confession*,

19 lutego 1921.

[206] Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 384.

[207] Karykatura opublikowana w „Al-Rashid”, 9 grudnia 1920.

[208] Komentarz redakcyjny w „Al-Rashid”, przedrukowany w: Lopez, *Madams, Murders, and the Media*, s. 384.

[209] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[210] „Al-Muqattam”, *The Trial of Raya and Sakina and Their Accomplices*, 11 maja 1921.

[211] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[212] *Ibid.*

[213] „Al-Basir”, *Qadayyat Raya wi Sakina*, 11 maja 1921, cyt. za: Takla, rozprawa doktorska, s.182.

[214] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[215] Podawane przez prasę cytaty z końcowego monologu Sakiny i komentarze na jego temat można znaleźć w: Takla, rozprawa doktorska, s. 191-192.

[216] S. Boyle, *Gender and Calamity in the British Empire*, w: *Gender and the Representation of Evil*, red. L. Fallwell, K.V. Williams, Nowy Jork, 2017, s. 94.

[217] *Ibid.*, s. 90.

[218] „Al-Ahram Weekly”, *The Women Killers*, 17-23 czerwca 1999.

[219] We wpisie na blogu strony „Community Times” można znaleźć kilka wypowiedzi dzisiejszych mieszkańców dzielnicy, z których część mówi o „wstydzie” z powodu niesławnej przeszłości. Por. *The Centenary of Raya and Sakina*, „Community Times”, 11 lutego 2015, dostęp 5 lutego 2017, communitytimes.me/the-centenary-of-ray-and-sakina/.

[220] „Haaretz”, *Sisters without Mercy: Behind Egypt’s Most Infamous Murder Case*, 27 grudnia 2014.

[221] „Leeds Mercury”, *Execution of Mary Ann Cotton*, 25 marca 1873.

[222] S.L. Crosby, *Poisonous Muse: The Female Poisoner and the Framing of Popular Authorship in Jacksonian America*, Iowa City 2016, s. 11.

[223] A. Appleton, *Mary Ann Cotton: Her Story and Trial*, Londyn 1973, s. 48.

[224] Z korespondencji więziennej Mary Ann Cotton. Te listy można znaleźć w książkach: Appleton, *Mary Ann Cotton: Her Story and Trial* oraz D. Wilson *Mary Ann Cotton: Britain’s First Female Serial Killer*, Hampshire, UK 2012.

[225] T. Whitehead *Mary Ann Cotton, Dead, but Not Forgotten*, Londyn 2000. Taką teorię wysuwa Tony Whitehead, kierując się przypuszczalnie nadmierną sympatią do Mary Ann.

[226] Wilson, *Britain’s First*, s. 64.

[227] Appleton, *Her Story and Trial*, s. 56. Appleton cytuje w tym miejscu źródło bez adresu.

[228] Seksualna zachłanność Mary Ann stanowi powracający temat książki Appletona. Mary Ann na pewno wykorzystywała swoje atuty, aby zdobyć to, na czym jej zależało, ale spekulowanie na temat jej popędu seksualnego wydaje się przejawem voyeuryzmu.

[229] Por. rozdział 13, „Producentki aniołów z Nagyrév”.

[230] Appleton, *Her Story and Trial*, s. 60.

[231] *Ibid.*, s. 61.

[232] Z korespondencji więziennej Mary Ann Cotton. Por. Appleton, *Her Story and Trial* oraz Wilson, *Britain's First*.

[233] Appleton, *Her Story and Trial*, s. 63.

[234] *Ibid.*, s. 76.

[235] *Ibid.*, s. 41.

[236] Wilson, *Britain's First*, s. 91.

[237] Appleton, *Her Story and Trial*, s. 32.

[238] Wilson, *Britain's First*, s. 128.

[239] J. Flanders, *The Invention of Murder: How the Victorians Revelled in Death and Detection and Created Modern Crime*, Londyn 2011, s. 390.

[240] Z korespondencji więziennej Mary Ann Cotton. Por. Appleton, *Her Story and Trial* oraz Wilson, *Britain's First*.

[241] „Berwick Advertiser”, *Execution of Mary Ann Cotton*, 28 marca 1873.

[242] Wilson, *Britain's First*, s. 151, cytuje „Newcastle Courant”.

[243] „Burnley Advertiser”, *Execution of Mary Ann Cotton*, 29 marca 1873.

[244] To słowo znajdowało się na tabliczce, jaką zawieszono na szyi Darii podczas publicznego odczytywania wyroku w 1768 roku. Uwaga: O ile nie podano inaczej, o tyle wszystkie poniższe informacje pochodzą z pracy: G.I. Studenkin, *Saltyczycha* (ros. *Салтычиха*), „Russian Antiquity Journal” 10 (1874), przeł. Rostislav i Alyona Tkachenko (2016).

[245] Studenkin zauważa, że różne dokumenty dotyczące sprzedaży chłopów pańszczyźnianych i ziemi, zostały podpisane przez jej duchownego albo przez jej syna, a nie przez samą Darię.

[246] S.S. Montefiore, *Potiomkin: książę książąt*, przeł. K. Bażyńska-Chojnacka, P. Chojnacki, W. Jeżewski, Warszawa 2006, s. 23.

[247] Cesarski ukaz Katarzyny II z 15 kwietnia 1771.

[248] Montefiore, *Potiomkin: książę książąt*, s. 25.

[249] Cyt. za: Montefiore, *Potiomkin: Książę książąt*, s. 25.

[250] Sir D.M. Wallace, *Russia*, t. 1, Londyn, Nowy Jork 1912, s. 263.

[251] Cesarski ukaz Katarzyny II z 22 sierpnia 1767.

[252] G.K. Chesterton, *Ortodoksja*, przeł. M. Sobolewska, Warszawa 2007, s. 27, 37.

[253] R.K. Massie, *Katarzyna Wielka: portret kobiety*, przeł. M. Król, Kraków 2012, s. 332.

[254] To sformułowanie występuje w kilku dość powierzchownych tekstach, poświęconych Darii, jakie można znaleźć online, ale nie udało mi się zlokalizować go w drukowanych źródłach. Przypuszczam, że raport pochodzi z jednego z wielu starych dokumentów w języku rosyjskim, dotyczących tej sprawy, niestety niedostępnych dla mnie, dopóki ktoś nie przetłumaczy ich angielski.

[255] G.L. Freeze, *The Orthodox Church and Serfdom in Prereform Russia*, „Slavic

Review” 48, nr 3 (1989), s. 361–87.

[256] R. Pipes, *Rosja carów*, przeł. J. Bratkiewicz, Warszawa 1990, s. 244.

[257] Mój tłumacz, Rostislav Tkachenko, pisze, że słowo „«Sałtyczycha» nie brzmi jak arystokratyczne imię – jest bardziej szorstkie, wulgarne, «wiejskie». Kiedy nazwie się kogoś «Diaczycha» albo «Sałtyczycha», przezwisko niesie ze sobą obraz kobiety prostej i dość prostackiej – a nie pięknej, inteligentnej arystokratki. Po prostu «zwykłej», jak wszyscy. A zatem dla Sałtykowej i jej przyjaciół to przezwisko brzmiało obraźliwie, jako coś, co nie korespondowało z ich statusem jako posiadaczy ziemskich”.

[258] Te epitety występują w tekście cesarskiego werdyktu Katarzyny II z 2 października 1768.

[259] Takim przydomkiem opatrzyła Annę Hahn reporterka Karin Walsh z „Chicago Daily Times”.

[260] D.B. Franklin, *The Good-bye Door: The Incredible True Story of the First Female Serial Killer to Die in the Chair*, Kent, Ohio 2006, s. 189.

[261] Cytaty pochodzą z dwudziestostronicowego wyznania Anny, które publikowano w gazetach, począwszy od 19 grudnia 1938. Pełna wersja wyznania znajduje się w książce Franklin, *The Good-bye Door*, s. 213–24.

[262] „Cincinnati Enquirer”, *Anna Hahn’ Death Cell Confession! Four Cincinnati Murders Are Laid Bare*, 19 grudnia 1938.

[263] *Ibid.*

[264] „Cincinnati Enquirer”, *Blonde Linked with Another Poisoning; Indicted on Charges of Murdering Two*, 17 sierpnia 1937.

[265] *Ibid.*

[266] „Cincinnati Enquirer”, *Death Cell Confession!*

[267] M.A. Harrison, E.A. Murphy, L.Y. Ho, T.G. Bowers, C.V. Flaherty, *Female Serial Killers in the United States: Means, Motives, and Makings*, „Journal of Forensic Psychiatry and Psychology” 26, nr 3 (2015), s. 383–406.

[268] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 18.

[269] „Cincinnati Enquirer”, *With ‘Love and Kisses!’*, 19 sierpnia 1937.

[270] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 25.

[271] *Ibid.*, s. 26.

[272] „Pittsburgh Press”, *Ohio Widow Held as Police Probe Alleged Poison Lot*, 12 sierpnia 1937.

[273] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 30.

[274] „Cincinnati Enquirer”, *Woman Found Poisons in Wagner’s Dwelling, Hahn Trial Testimony*, 19 października 1937.

[275] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 36.

[276] *Ibid.*, s. 13–14.

[277] „Des Moines Register”, *Charged with Pouring Death from Bottle*, 14 sierpnia 1937.

[278] „Cincinnati Enquirer”, *Aged Mother Unaware*, 22 sierpnia 1937.

[279] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 76.

[280] „Cincinnati Enquirer”, *Thoughts Are on Mother*, 23 sierpnia 1937.

- [281] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 88.
- [282] *Ibid.*, s. 133.
- [283] *Ibid.*, s. 187.
- [284] *Ibid.*, s. 70.
- [285] „Cincinnati Enquirer”, *Wagner’s Physician Testifies in Hahn Case*, 16 października 1937.
- [286] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 161–2.
- [287] *Ibid.*, s.165–6.
- [288] *Ibid.*, s.179.
- [289] „Cincinnati Enquirer”, *Death Cell Confession!*.
- [290] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 183.
- [291] *Ibid.*, s.196.
- [292] *Ibid.*, s.199.
- [293] „Columbus Dispatch”, *True Anna Hahn Seen as Last Day Slipped by, Matron Says*, 8 grudnia 1938.
- [294] „The Cincinnati Enquirer”, *Anna Hahn Falls and is Carried to Chair; Dies After She Cries Appeal to Spectators*, 8 grudnia 1938.
- [295] *Ibid.*
- [296] „New Castle News”, *Mrs. Hahn Dies in Electric Chair In Columbus, O.*, 8 grudnia 1938.
- [297] Franklin, *The Good-bye Door*, s. 209.
- [298] „Mirror (Perth, Australia)”, *‘Female Landru’ of Morocco – Beautiful Dancer Denies Throttling Dancing Girl*, 17 grudnia 1938.
- [299] H. Pückler-Muskau, *Semilasso in Africa: Adventures in Algiers, and Other Parts of Africa*, Londyn 1837, s. 302.
- [300] „Daily News (Perth, Australia)”, *Glamor Girls’ Grim Fate in Morocco*, 21 grudnia 1938.
- [301] Colette, *Looking Backwards*, Bloomington 1975, s. 35.
- [302] *Ibid.*, s. 34.
- [303] *Ibid.*, s. 35.
- [304] Gershovich, Moshe, *French Military Rule in Morocco: Colonialism and Its Consequences*, London 2000, s. 57.
- [305] „American Weekly (San Antonio Light)”, *Wicked Madame Moulay Hassen*, 12 września 1937.
- [306] Relacja z procesu w „Paris-Soir”, 15 listopada 1938.
- [307] „American Weekly”, *Wicked Madame*.
- [308] *Ibid.*
- [309] Colette, *Looking Backwards*, s. 37.
- [310] Relacja z procesu w „Paris-Soir”, 16 listopada 1938.
- [311] „Lincoln Evening Journal”, *Former Dancer Sentenced*, 17 października 1938.
- [312] Colette, *Looking Backwards*, s. 34.
- [313] Relacja z procesu w „Paris-Soir”, 16 listopada 1938.

[314] „Goulburn Evening Penny Post (Australia), *A Landru of Morocco*, 23 lipca 1937.

[315] „American Weekly”, *Wicked Madame*. Późniejsze relacje podają, że za ścianą było pięcioro dzieci: cztery dziewczynki i chłopiec.

[316] *Ibid.*

[317] Colette, *Looking Backwards*, s. 36.

[318] *Ibid.*, s. 37.

[319] „Nevada State Journal”, *World-Famous Courtesan Faces Torture Charges*, 15 listopada 1938.

[320] Oświadczenie M. Julin, przedrukowane w: „Mirror”, *Female Landru* oraz relacja z procesu w „Paris-Soir”.

[321] „American Weekly”, *Wicked Madame*.

[322] *Ibid.*

[323] H. Tayebi, *Print Journalism in Morocco: From the Pre-colonial Period to the Present Day*, „Mediterranean Journal of Social Sciences” 4, nr 6 (lipiec 2013), s. 497–506.

[324] Relacja z procesu w „Paris-Soir”, 16 listopada 1938.

[325] Colette, *Looking Backwards*, s.38.

[326] *Ibid.*, s. 39.

[327] *Ibid.*, s. 36.

[328] *Ibid.*, s. 37.

[329] M. Lazreg, *The Eloquence of Silence: Algerian Women in Question*, Nowy Jork 1994, 58.

[330] Zob. A. Baker, *Voices of Resistance: Oral Histories of Moroccan Women*, Albany 1998, s. 20–21.

[331] „Nevada State Journal”, *World-Famous Courtesan*.

[332] „Oshkosh Daily Northwestern”, *Escapes the Guillotine, Gets 15-Year Sentence*, 16 listopada 1938.

[333] Wilmington, DE, „Sunday Morning Star”, *Mass Murderess Once Won the Legion of Honor*, 3 października 1937.

[334] *Ibid.*

[335] „New York Times”, *The Soul of Morocco*, 8 kwietnia 2007.

[336] „American Weekly”, *Wicked Madame*.

[337] „Chicago Daily Tribune”, *Klimek Poison List Is Twenty; Arrest 1 More*, 29 listopada 1922.

[338] „Chicago Daily Tribune”, *‘Guilty’ I Klimek Verdict*, 14 marca 1923.

[339] Urodziła się w 1876 roku jako Otylia Gburek – przyp. tłum.

[340] „Chicago Daily Tribune”, *Arsenic Cousins Goon Trial with Air of Peasants*, 7 marca 1923.

[341] D. Perry, *The Girls of Murder City: Fame, Lust, and the Beautiful Killers Who Inspired Chicago*, Nowy Jork 2010, s. 17.

[342] „Chicago Daily Tribune”, *How Mrs. Klimek Jested of Death of Husband Told*, 9 marca 1923.

[343] *Ibid.*

[344] Ione Quinby, reporter który relacjonował proces Tillie kilka lat później, napisał, że „setki osób wierzyło, że jest opętana przez siły nadprzyrodzone”. „Milwaukee Journal”, 16 października 1940.

[345] Wywiad Genevieve Forbes z Józefem Klimkiem, „Chicago Daily Tribune”, *Study of Klimek*, 16 listopada 1922.

[346] „Chicago Daily Tribune”, *Poison Evidence Robs Mrs. Klimek of Indifference*, 11 marca 1923.

[347] *Ibid.*

[348] „Chicago Daily Tribune”, *Grave Digger Tells of Goings On at Klimeks*, 10 marca 1923.

[349] „Chicago Daily Tribune”, *Poison Deaths May Total 12; Babes Victims?*, 12 listopada 1922.

[350] *Ibid.*

[351] Jeśli chodzi o liczbę ofiar por. „Chicago Daily Tribune”, *‘Mrs. Bluebeards’ of Klimek case and 20 Alleged Victims*, 19 listopada 1922.

[352] „Chicago Daily Tribune”, *Klimek Poison List*.

[353] „Chicago Daily Tribune”, *Police to Delve Anew for Clews [sic!] to Poisoners*, 16 listopada 1922.

[354] „Chicago Daily Tribune”, *Klimek Poison List*.

[355] „Chicago Daily Tribune”, *Judge Dismisses Koulik Jury*, 14 kwietnia 1923.

[356] „Chicago Daily Tribune”, *Death Called Mere Routine in Poison Home*, 15 listopada 1922.

[357] „Chicago Daily Tribune”, *Klimek Poison Charges Ready for Grand Jury*, 18 listopada 1922.

[358] „Chicago Daily Tribune”, *‘Mrs. Bluebeards’ of Klimek case and 20 Alleged Victims*, 19 listopada 1922.

[359] „Belvidere Daily Republican”, *Ask Hanging for Two Women Charged with Murder Orgy*, 6 marca 1923.

[360] „Chicago Daily Tribune”, *Killing Ladies*, 27 lutego 1927.

[361] „Chicago Daily Tribune”, *Death Called Mere Routine*.

[362] „Chicago Daily Tribune”, *Indict 2 Women in Poison Cases; Below Normal*, 21 listopada 1922.

[363] „Chicago Daily Tribune”, *Death Called Mere Routine*.

[364] „Chicago Daily Tribune”, *Grave Digger*.

[365] *Ibid.*

[366] *Ibid.*

[367] „Chicago Daily Tribune”, *Tillie Klimek Is Strong Witness in Own Defense*, 13 marca 1923.

[368] „Chicago Daily Tribune”, *‘Guilty’ Klimek Verdict*.

[369] *Ibid.*

[370] „Des Moines Register”, *Declares the Double Standard of Murder I Still Invincible*, 25 czerwca 1923.

- [371] „Chicago Daily Tribune”, *Killing Ladies*, 27 lutego 1927.
- [372] Na przykład por. proces Cory Orthwein. „Los Angeles Times”, *Sensation is Sprung in Orthwein Trial*, 22 czerwca 1921.
- [373] St. J.D. Seymour, *Irish Witchcraft and Demonology*, Dublin 1913, rozdz. 2.
- [374] R. Thurston, *Witch, Wicce, Mother Goose: The Rise and Fall of the Witch Hunts in Europe and North America*, Harlow 2001, s. 73.
- [375] Juwenalis, *Satyra VI*, przeł. J. Sękowski, w: *Trzej satyrycy rzymscy, Horacy, Persjusz, Juwenalis*, Warszawa 1958, s. 156.
- [376] A. Neary, *The Origins and Character of the Kilkenny Witchcraft Case of 1324*, „Proceedings of the Royal Irish Academy”, 83C (1983), s. 343.
- [377] M.B. Callan, *The Templars, the Witch, and the Wild Irish: Vengeance and Heresy in Medieval Ireland*, Ithaca 2014, s. 155.
- [378] T. Wright, *Narratives of Sorcery and Magic From the Most Authentic Sources*, Londyn 1851, s. 24.
- [379] Neary, *The Origins and Character*, s. 344.
- [380] *Ibid.*, s. 344.
- [381] R.G. Ó Domhnaill, *Fadó Fadó: More Tales of Lesser-known Irish History*, Leicester 2015, s. 27.
- [382] Neary, *The Origins and Character*, s. 338.
- [383] Seymour, *Irish Witchcraft and Demonology*, s. 44.
- [384] Wright, *Narratives of Sorcery and Magic*, s. 25.
- [385] Neary, *The Origins and Character*, s. 340.
- [386] *Ibid.*, s. 340–1.
- [387] Callan, *The Templars, the Witch, and the Wild Irish*, s. 144.
- [388] *Papal Letters*, red. W.H. Blissand, J.A. Twemlow, Londyn 1893–1960, s. 1305–42, 206–7.
- [389] Neary, *The Origins and Character*, s. 345.
- [390] Callan, *The Templars, the Witch, and the Wild Irish*, s. 136.
- [391] Szczegółowe omówienie tej kwestii można znaleźć w rozdziale książki: Callan *The Templars, the Witch, and the Wild Irish*, zatytułowanym „Gender and the Colony of Ireland”.
- [392] Cohn, Norman, *Europe’s Inner Demons: An Enquiry Inspired by the Great Witch-hunt*, Chicago 2001, s. 138.
- [393] Wright, *Narratives of Sorcery and Magic*, s. 27.
- [394] *Ibid.*
- [395] Neary, *The Origins and Character*, s. 346.
- [396] Por. Code of Canon Law/1917, cc.2186-2187, w: *Codex Iuris Canonici Pii X Pontificis Maximi Iussu Digestus, Benedicti Papae XV Auctoritate Promulgatus* ed. Pietro Gasparri, Nowy Jork 1918.
- [397] Wright, *Narratives of Sorcery and Magic*, s. 28.
- [398] *Ibid.*
- [399] Seymour, *Irish Witchcraft and Demonology*, s. 33.
- [400] Wright, *Narratives of Sorcery and Magic*, s. 29.

- [401] Seymour, *Irish Witchcraft and Demonology*, s. 34.
- [402] *Ibid.*, s. 35.
- [403] *Ibid.*, 39.
- [404] Anonymous, *Contemporary Narrative of the Proceedings Against Dame Alice Kyteler*, Londyn 1843.
- [405] Wright, *Narratives of Sorcery and Magic*, s. 30.
- [406] Neary, *The Origins and Character*, s. 349–50.
- [407] Oczywiście nie jestem pierwszą osobą, która wysuwa przypuszczenie, że była seryjną morderczynią. Ten wątek podejmują także Ó Domhnaill oraz Thorne.
- [408] Można to zobaczyć: www.fbi.gov/stats-services/publications/serial-murder.
- [409] Seymour, *Irish Witchcraft and Demonology*, s. 37.
- [410] W.B. Yeats, *Nineteen Hundred and Nineteen. The Tower*, Londyn 1928.
- [411] „Jacksonville Journal Courier”, *Was Kate – The Killer – Ever Here?*, 30 czerwca 1974.
- [412] A. Hardy, *Kate Bender, the Kansas Murderess: The Horrible History of an Arch Killer*, Girard, KS, 1944, s. 3.
- [413] *Ibid.*, s. 2.
- [414] J.T. James, *The Benders of Kansas*, Washington, DC, Photoduplication Service, Library of Congress, 1913, s. 19.
- [415] N. Case, *History of Labette County, Kansas from the First Settlement to the Close of 1892*, Topeka, KS, 1893, s. 86.
- [416] Hardy, *Kate Bender, the Kansas Murderess*, s. 3.
- [417] F. Triplett, *History, Romance and Philosophy of Great American Crimes and Criminals*, Nowy Jork 1884, s. 560.
- [418] Hardy, *Kate Bender, the Kansas Murderess*, s. 3.
- [419] James, *The Benders of Kansas*, s. 13.
- [420] Triplett, *History, Romance and Philosophy*, s. 557.
- [421] „New York Times”, *The Kansas Murders*, 13 maja 1873.
- [422] „Wichita City Eagle”, *The Cherryvale Murders*, 15 maja 1873.
- [423] Te wyrażenia zaczerpnęłam z niesłychanie fascynującej witryny tvtropes.org, ale idea tych tropów jest dość uniwersalna.
- [424] L. O'Brien, *Laura Ingalls Wilder and the Bloody Benders: Truth or Fiction?*, w: „Melville House Books”, 29 stycznia 2015, dostęp 21 kwietnia 2016, mhpbooks.com/laura-ingalls-wilderand-the-bloody-benders-truth-or-fiction/.
- [425] R.F. Scott, *What Happened to the Benders?*, „Western Folklore” 9, nr (1950), s. 326.
- [426] Hardy, *Kate Bender, the Kansas Murderess*, s. 15.
- [427] *Ibid.*
- [428] Triplett, *History, Romance and Philosophy*, s. 569.
- [429] Hardy, *Kate Bender, the Kansas Murderess*, s. 19.
- [430] *Ibid.*, s. 16.
- [431] „Camden News”, *Story of Iron-Fisted Kate*, 22 września 1971.
- [432] „Parsons Daily Sun”, *Another ‘Kate Bender’*, 9 marca 1904.

- [433] „Kinsley, KS, Valley Republican”, *Crime*, 21 sierpnia 1880.
- [434] „Nowy Jork Times”, *Dying Man Clears the Bender Mystery*, 12 lipca 1908.
- [435] Cytaty pochodzą z jego sławnego artykułu z 1893 roku: *The Significance Of the Frontier in American History*, dostępnego w różnych postaciach online.
- [436] *America the Beautiful*, amerykańska pieśń patriotyczna, autorstwa (tekst) Katharine Lee Bates – przyp. tłum.
- [437] Scott, *What Happened to the Benders?*, s. 334.
- [438] „New York, NY, Sun”, *The Fate of the Benders*, 9 stycznia 1887.
- [439] „Producentka aniołków”, to przezwisko używane w odniesieniu do wielu seryjnych morderczyń, na przykład Amelii Dyer. „Producentki aniołków z Nagyrév” to najczęściej spotykany termin stosowany w odniesieniu do kobiet z Nagyrév *en masse*.
- [440] List przedrukował „New York Times”, *Murder by Wholesale: A Tale from Hungary*, 16 marca 1930.
- [441] *Ibid.*
- [442] Pogłębioną analizę atmosfery społeczno-kulturowej w Nagyrév w czasach morderstw można znaleźć w książce: B. Bodó, *Tiszazug: A Social History of a Murder Epidemic*, Nowy Jork 2002, rozdz. 4.
- [443] „New York Times”, *Murder by Wholesale*.
- [444] J. Parascandola, *King of Poisons: A History of Arsenic*, Lincoln, NE 2012, s. 37.
- [445] Bodó, *Tiszazug*, s. 190.
- [446] *Ibid.* s. 193.
- [447] F. Moksony, *Victims of Change or Victims of Backwardness? Suicide in Rural Hungary*, w: G. Lengyel, Z. Rostoványi, red., *The Small Transformation: Society, Economy and Politics in Hungary and the New European Architecture*, Budapeszt 2001, s. 366–76.
- [448] Bodó, *Tiszazug*, 179.
- [449] *Ibid.*, s. 209.
- [450] B. Bodó, *The Poisoning Women of Tiszazug*, „Journal of Family History” 27, nr 1 (styczeń 2002), s. 49.
- [451] „New York Times”, *Murder by Wholesale*.
- [452] Cytat z barwnego reportażu z procesu, autorstwa pisarza Zsigmonda Móricza. Por. Móricz, Zsigmond, *Ripportok, 1930–1935*, Budapeszt 1958. Przedrukowane w dodatkach do: Bodó, *Tiszazug*.
- [453] Bodó, *Tiszazug*, s. 16, autor przytacza jedną z udramatyzowanych relacji na temat procesu, zamieszczonych w prasie węgierskiej.
- [454] Bodó, *Tiszazug*, s. 211.
- [455] *Ibid.*, s. 235.
- [456] Bodó, *The Poisoning Women*, s. 40.
- [457] Bodó, *Tiszazug*, s. 90.
- [458] Parascandola, *King of Poisons*, s. 39.
- [459] „Kis Újság”, 19 sierpnia 1929.
- [460] Bodó, *Tiszazug*, s. 13.

- [461] *Ibid.*, s. 86.
- [462] „New York Times”, *Murder by Wholesale*.
- [463] Bodó, *Tiszazug*, s. 193.
- [464] Cytaty z „Pesti Napló”, szeroko czytanej liberalnej gazety żydowskiej, 14 grudnia 1929.
- [465] „New York Times”, *Murder by Wholesale*.
- [466] Bodó, *Tiszazug*, s. 118–9.
- [467] *Ibid.*, s. 101.
- [468] *Ibid.*, s. 115.
- [469] *Ibid.*
- [470] *Ibid.*, s. 123.
- [471] „Szolnoki Újság”, 15 grudnia 1929.
- [472] *The Terrible Book of Poisons, Or the Life and Plots of the Marchioness of Brinvilliers*, Londyn 1860.
- [473] *Questions sur les empoisonneurs*, BA, MS 2664, fol. 45, przeł. w: L.W. Mollenauer, *Strange Revelations: Magic, Poison, and Sacrilege in Louis XIV's France*, University Park, PA, 2007, s. 63, 159.
- [474] H. Stokes, *Madame De Brinvilliers and Her Times 1630–1676*, Londyn 1912, s. 71.
- [475] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 65.
- [476] F. Funck-Brentano, G.C. Maidment, *Princes and Poisoners: Studies of the Court of Louis XIV*, Londyn 1901.
- [477] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, VI.
- [478] Mollenauer, *Strange Revelations*, s. 12.
- [479] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 66.
- [480] *Ibid.*, s. 75.
- [481] *Ibid.*, s. 76.
- [482] *Ibid.*, s. 80.
- [483] J. Saint-Germain, *Madame De Brinvilliers: La Marquise Aux Poisons*, Paris 1971, s. 123, 78.
- [484] A. Somerset, *The Affair of the Poisons: Murder, Infanticide, and Satanism at the Court of Louis XIV*, Nowy Jork 2004, s. 10.
- [485] *Ibid.*, s. 12.
- [486] *Ibid.*, s. 40–41.
- [487] Funck-Brentano, *Princes and Poisoners*, s. 12–13.
- [488] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 139.
- [489] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 46.
- [490] L'Estrange, Roger, *A Narrative of the Process Against Madam Brinvilliers; and of Her Condemnation and Execution, for Having Poisoned Her Father and Two Brothers, Translated Out of French*, Londyn, 17 lipca 1676.
- [491] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 47.
- [492] L'Estrange, *A Narrative of the Process*.
- [493] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 148.

- [494] Funck-Brentano, *Princes and Poisoners*, s. 22.
- [495] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 224.
- [496] Funck-Brentano, *Princes and Poisoners*, s. 30–31.
- [497] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 50.
- [498] *Memoire Du Proces Extraordinaire Contre Madame D Brinvilliers...*, Amsterdam 1676.
- [499] Stokes, *Madame De Brinvilliers*, s. 166.
- [500] A. Dumas, *Celebrated Crimes*, Nowy Jork 1910, t. 8.
- [501] L'Estrange, *A Narrative of the Process*.
- [502] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 52.
- [503] F. Ravaisson, *Archives de la Bastille*, VI, s. 396.
- [504] Średniowieczne tortury stosowane w sądownictwie francuskim do XVIII wieku. Autorka opisuje dwie z najczęściej stosowanych metod: *question d'eau* oraz *brodequins* – przyp. tłum.
- [505] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 24.
- [506] Pełna wersja wyznania w: Saint-Germain, *La Marquise Aux Poisons*, s. 131–2.
- [507] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 57.
- [508] *Ibid.*, s. 25.
- [509] L'Estrange, *A Narrative of the Process*.
- [510] Funck-Brentano, *Princes and Poisoners*, s. 68–69.
- [511] *Ibid.*, s. 74.
- [512] E. Pirot, G. Roullier, *Marquise De Brinvilliers: Récit De Ses Derniers Moments*, Paris 1883.
- [513] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 62–63.
- [514] Dumas, *Celebrated Crimes*.
- [515] Pirot, *Récit De Ses Derniers Moments*.
- [516] Dumas, *Celebrated Crimes*.
- [517] Pirot, *Récit De Ses Derniers Moments*.
- [518] Bussy, Roger De Rabutin, Ludovic Lalanne, *Correspondance De Roger De Rabutin, Comte Bussy Avec Sa Famille Et Ses Amis (1666–1693)*, Westmead, Farnborough, Hants 1972.
- [519] Somerset, *The Affair of the Poisons*, s. 32.
- [520] P.G. Zimbardo, *A Situationist Perspective on the Psychology of Evil*, w: A.G. Miller, red., *The Social Psychology of Good and Evil*, Nowy Jork 2004.
- [521] A. Sołżenicyn, *Archipelag Gulag*, przeł. J. Pomianowski, Poznań 2008. t.1, s. 160.
- [522] J.C. Oates, *I Had No Other Thrill or Happiness*, „New York Review of Books”, 24 marca 1994.
- [523] S.L. Mallicoat, C.E. Ireland, *Women and Crime: The Essentials*, Thousand Oaks, CA, 2013, s. 236.
- [524] C. Beam, *Blood Loss: The Decline of the Serial Killer*, „Slate”, 5 stycznia 2011, dostęp: 6 lutego 2017,

slate.com/articles/news_and_politics/crime/2011/01/blood_loss.html.

[525] Na przykład por. dane statystyczne zebrane przez Radford University/FGCU Serial Killer Database.

[526] Termin zaczerpnięty z heraldyki. Stosowany w sztukach plastycznych i literaturoznawstwie. W najszerszym sensie oznacza znajdowanie się między dwoma lustrami, co prowadzi do nieskończonego powielania odbitego obrazu. W literaturoznawstwie oznacza element autotematyzmu w dziele literackim – przyp. tłum.